

*Martin Kat*

## *Tajemnice nocy*

*Pochodzą z różnych światów. Brianne, młoda kobieta schwytana w życiową pułapkę, za wszelką cenę pragnie się z niej wyrwać. Kapitan Marcus Delaine, chmurny i niedostępny lord, wiezie samotne życie wilka morskiego. Gdy Brianne ucieka z opresji, chroniąc się na statku Marcusa, wybucha między nimi napiętność...*

*Czy jednak napiętność wystarczy, by wiedli szczęśliwe życie?*

## *Rozdział 1*

### *Marzec roku 1803*

Noce bywały zawsze najgorsze. Brandy utkwiała wzrok w falistych szybkach, zniekształcających panującą za nimi ciemność, dostrzegła jedynie własne odbicie i jęła się zastanawiać, jak długo zdoła jeszcze wytrzymać.

Odkąd tylko pamiętała, każdego dnia swych dziewiętnastu lat Brianne Winters pracowała od pierwszych przebłysków świtu po czas, kiedy kurtyna mroku okrywała świat za dzielonymi kamiennymi słupkami oknami tawerny Pod Białym Koniem.

- Brandy, dziewczyno, przestań śnić na jawie i wracaj do roboty. Twój tata będzie tu lada chwila, a klienci mają pusto w kuflach. - Najlepsza przyjaciółka Brianne, Florence Moody, smukła, ciemnowłosa kobieta, starsza o sześć lat od Brandy, stanęła w drzwiach kuchni. Jej szczupła twarz była ledwie widoczna zza obłoku kuchennych oparów. Pracowały razem od tak dawna, że Flo wydawała się Brandy bardziej matką lub siostrą niż przyjaciółką.

Brandy się uśmiechnęła.

- Przepraszam. Nie zamierzałam zniknąć na tak długo. Stary Salty Johnson wrócił do portu. Opo-

wiadał o podróży z Halifaksu. Dopadł ich sztorm, jeden z masztów złamał się, upadł na statek i omal go nie zatopił.

Flo wytarła dłonie w ochraniający spódnicę fartuch.

- Stary Salty zawsze ma na podorędziu jakąś opowieść. Nie przejmuj się nim. Zaraz zacznie się ruch.

„Pomyślny Wiatr” rzucił właśnie kotwicę i załoga wkrótce się tu zjawi. Będziemy miały pracowity wieczór, zważywszy że marynarze od dwóch miesięcy nie postawili stopy na lądzie.

Brandy jęknęła i przeszła z kuchni do zadymionej, kiepsko oświetlonej sali barowej.

- Przysięgam, że załoga Daltona jest najgorsza. Nie wyglądam ich z utęsknieniem.

Tawerna miała już prawie sto lat, jej sufit stanowiły grube drewniane bale, podłogę zaś wyłożono kamiennymi płytami. Do ścian przymocowano cynowe kinkiety, rzucające słaby blask na pociemniałe od dymu, drewniane ściany. Choć ojciec kochał to miejsce, ona go nienawdziła. Uważała, że jest obskurne, cuchnie starym piwem, a jego ściany są zawsze zimne i zawilgocone.

- Są hałaśliwi - mówiła tymczasem Flo - i nie ma się co łudzić, jutro od krzyża po kolana będziemy całe w siniakach.

- Nie ja. Mam już zupełnie dość przeklętych marynarzy. Nie potrafią utrzymać łap przy sobie. Nie znoszę tego podszczypywania i obmacywania. Pierwszy, który spróbuje mnie dotknąć, poczuje na łbie ciężar cynowego kufla.

Flo tylko się roześmiała.

- Twojemu tacie to by się nie spodobało. Lubi, kiedy marynarze są zadowoleni. To dobre dla interesu.

Lecz Brandy nie obchodziło, czego życzy sobie jej ojciec. Tak, jak jego nie obchodziło, czego życzy

sobie, lub czego by chciała, jego córka. Dbał jedynie o swą przeklętą tawernę i o zarobek.

- Jestem Wielki Jake Winters - zwykł mawiać - właściciel Białego Konia, najlepszej tawerny na nabrzeżu Charlestonu.

Był bardzo dumny z tego miejsca, dziedzictwa, które zamierzał zostawić kiedyś synowi. Tylko że Wielki Jake nie miał syna.

Prawdę mówiąc, jego żona zmarła, wydając na świat ich jedyne dziecko, córeczkę o takich samych jak u Ellen Winters rudozłotych włosach. W niczym nieprzypominającą dużego, silnego chłopca, którego tak rozpaczliwie pragnął Jake. Druga żona urodziła kolejną dziewczynkę, drobniejszą jeszcze niż Brandy i tak słabą, iż nie przeżyła nadejścia pierwszych chłodów. Frances Winters zmarła na febrę, gdy Brandy miała zaledwie dziesięć lat, a Wielki Jake pogodził się wreszcie z tym, co uważał za wolę boską.

Nigdy nie będzie miał syna. Córka musiała wystarczyć, lecz żal i rozgoryczenie Jake'a wisiąły niczym olbrzymia, ciemna chmura nad głową Brandy w każdej minucie jej życia.

- Byłaś dziś rano na targu, prawda? - spytała przyjaciółkę. Ubrana w prostą brązową spódnicę, sięgającą ledwie kostek, zawiązywany na tasiemki gorset i białą chłopską bluzkę z dekoltem, odsłaniającym szczyty piersi, pochyliła się nad porysowanym drewnianym stołem, by wytrzeć rozlane piwo. Długi warkocz prześliznął się jej z pleców na ramię.

- Po prawdzie, dopiero co wróciłam - odparła Flo. - Zabrakło nam jaj. Kupiłam kilka, a także kawałek bekonu na śniadanie dla twego taty.

- A co ciekawego usłyszałaś po drodze?

- Masz ci, o mało nie zapomniałam. Rzeczywiście, słyszałam coś, o czym chętnie się dowiesz.

- Mam nadzieję, że to coś dobrego. Przydałoby się, dla odmiany.

Flo weszła za szeroki, zbity z desek bar i docisnęła szpunt w beczułce z brandy.

- Ponoć „Morski Jastrząb” zawinie wkrótce do portu. Spodziewają się go w każdej chwili. Kapitan Ogden z latarni dostrzegł statek, który mijał cypel, zmierzając ku redzie.

Serce zaczęło mocniej bić jej w piersi. „Morski Jastrząb”. Niemożliwe. Mimo to puls nadal przyspieszał.

- Myślałam, że kapitan Delaine popłynął z powrotem do Anglii. Nie spodziewałam się, że zobaczymy go prędzej, jak za kilka miesięcy.

Flo wzruszyła ramionami. Była szczupłą kobietą o szerokich biodrach i przyjaznym uśmiechu.

- Nic o tym nie wiem. Kapitan wydawał się jednak pewny swego. A rzadko się myli.

Dłoń Brandy zadrżała.

- Rzeczywiście... Właściwie, prawie nigdy. - Odeszła, pogrążona w rozmyślaniach o wielkim, w pełni ożaglowanym statku i jego przystojnym właścicielu, kapitanie Marcusie Delaine. A dokładniej, kapitanie Delaine, lordzie Hawksmoor Odziedziczony niedawno tytuł stanowił dla niego niespodziankę równie wielką, jak dla wszystkich którzy go tu znali.

Wspomniała smagły, nieco arogancki profil kapitana i pomyślała, że nie powinni czuć się aż tak zaskoczeni. Delaine odznaczał się szczególną prezencją. Każdy jego gest, każdy świadczący o niezachwianej pewności siebie ruch zdradzał arystokratyczne pochodzenie. Urodził się, żeby dowodzić

i było to widoczne w każdym rysie jego posępnej, przystojnej twarzy, od wysokich kości policzkowych po stanowcze, ładnie wykrojonych wargi.

Był wysoki, szeroki w ramionach, wąski w biodrach, bez grama zbędnego tłuszczu. Był też mocno zbudowany i umięśniony, o czarnych jak węgiel, lekko kręconych włosach, zawsze nieco zbyt długich i zakrywających kołnierz doskonale skrojonego, granatowego surduta. Marcus Delaine był mężczyzną co się zowie. Jego załoga wiedziała o tym, i Brandy Winters także.

Właśnie dlatego, odkąd sięgała pamięcią, była w nim odrobinę zakochana.

- Rusz się, dziewczyno. - Flo trąciła ją łokciem, popychając w kierunku baru. - Jake schodzi po schodach.

Brandy westchnęła i skinęła głową. Z przylepionym do twarzy uśmiechem zabrała się do pracy.

Popołudnie minęło niepostrzeżenie i nastał wieczór. Sala zaczęła się wypełniać, głównie za sprawą marynarzy z „Pomyślnego Wiatru”. Chmury dymu zawisły nad barem, drażniąc płuca ostrą wonią tytoniu. Rubaszny śmiech wznosił się ku ciężkim, pociemniałym ze starości belkom sufitu.

Godziny mijały z dręczącą powolnością, wypełnione niewybrednymi żartami i unikaniem błędzących dłoni marynarzy. Jakże nienawidziła tego miejsca! Gdyby Bóg zechciał spełnić jedno jej życzenie, poprosiłaby, aby pozwolił jej uciec od ogłupiającej harówki i niekończących się godzin nudy w tawernie Pod Białym Koniem.

Pewnego dnia, pomyślała z tęsknotą. Pewnego dnia znajdzie sposób i stąd odejdę.

Wieczór trwał. Obsługiwała stół, przy którym siedzieli brytyjscy marynarze. Jeden z nich, zwany

Boggs, opowiedział fascynującą historię. Banda werbowników uprowadziła go i zmusiła do zaciągnięcia się, kiedy był jeszcze niemal dzieckiem. Z upływem lat pokochał jednak morze i związane z żeglowaniem przygody. Brandy przysłuchiwała się temu z zazdrością, żałując po raz setny, że nie urodziła się chłopcem, który mógłby uciec na morze i wieść życie pełne przygód, zamiast trwać przykuta do miejsca niczym niewolnik, mając w perspektywie kolejne lata harówki w tawernie.

Zrobiło się późno. Była już niemal północ, kiedy przez wahadłowe drzwi wszedł w towarzystwie kilku żeglarzy Cole Proctor, mat i pierwszy oficer na „Pomyślnym Wietrze”. Brandy była na nogach od świtu. Stopy miała obolałe, szczypały ją oczy, a kręgosłup palił żywym ogniem. A teraz pojawił się wielki, krzepki, hałaśliwy Cole Proctor. Gorzej już być nie może, pomyślała.

Mając nadzieję, że marynarz usiadzie w rejonie obsługiwanym przez Flo, wśliznęła się ukradkiem do kuchni i wyjrzała przez szczelinę w drzwiach.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz? - Wielki Jake spojrzał na córkę spod krzaczastych, siwiejących brwi. - Nie trzeba nam pomocy w kuchni. Wracaj na salę, gdzie czekają klienci. Bierz się do roboty, albo ja dobioreę ci się do tyłka.

Miała ochotę zaprotestować, poprosić go, by pozwolił jej zostać w ukryciu przez minutę czy dwie i uniknąć nazbyt ruchliwych łap Proctora, wiedziała jednak, że na nic by się to nie zdało. Wielki Jake wierzył w dyscyplinę, a także w to, iż klient ma zawsze rację. Córka była tylko kobietą. Trochę obmacywania nie zaszkodzi, a pomoże w interesach. Czasami zastanawiała się, jak daleko ojciec skłonny byłby się posunąć, aby zapewnić sukces tawernie.

- No już, ruszaj. - Chwycił ją za ramię tak mocno, że się skrzywiła, i pociągnął ku drzwiom.
  - Idę, tatusiu. - Rozcierając bezwiednie ramię, wróciła do sali, kierując się wprost ku stolikowi w rogu. Cole Proctor wybrał to miejsce, wiedząc, że ona będzie je obsługiwała.
  - Dobry wieczór, panie Proctor. - Uśmiechnęła się z przymusem, starając się pozostać poza zasięgiem jego rąk. - Co mam dziś podać?
  - Spójrzcie, co tu mamy, koledzy. - Przesunął spojrzeniem od czubka jej głowy po cholewki mocnych brązowych trzewików. Zatrzymał wzrok przez chwilę na kostkach dziewczyny, a potem powędrował spojrzeniem w górę i utkwił je w jej biuście. - Co powiecie, marynarze? Czy to nie najładniejsza dzierlatka po tej stronie Atlantyku?
- Brandy spłonęła rumieńcem i zadarła wyżej brodę. Komplementy ze strony złąknionych kobiecego towarzystwa marynarzy to nic nowego, jednak te, którymi obdarzał ją Proctor, były zazwyczaj nazbyt dosadne. Żaden marynarz nie patrzył też na nią z tak oczywistym pożądaniami, jak zwalisty mat z „Pomyślnego Wiatru”.
- Pytałam, na co mielibyście dziś ochotę. Roześmiał się, przeciągle i lubieżnie.
  - Słyszeliście, chłopcy? Pani pyta, na co mielibyśmy ochotę.
- Wyciągnął błyskawicznie mięsistą dłoń i chwycił Brandy za nadgarstek. Próbowała się wyrwać, ale był od niej dwa razy większy i o wiele silniejszy. Pociągnął dziewczynę ku sobie, po czym, mimo że się opierała, posadził ją na kolanach i objął w talii.
- Życzymy sobie, gołąbeczko, ciebie. I to solidnej porcji!



- Proszę mnie puścić, mam robotę. - Jęła się wyrywać, ale on tylko roześmiał się wulgarnie. Objął wielką dłonią oba nadgarstki Brandy i przyciągnął dziewczynę bliżej siebie.

- Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, co sprawiłoby mi większą przyjemność, niż rozsuniecie tych białych ud i zanurzenie pomiędzy nie mojego dużego, twardego...

- Wystarczy, Proctor. - Brandy podniosła wzrok i zerknęła na wysoką, odzianą w ciemny strój postać, przemawiającą głębokim, groźnie brzmiącym głosem. - Puść dziewczynę.

Policzki Brandy płonęły. Choć czuła się ponizona i zawstydzona, nigdy jeszcze widok Marcusa Delaine nie sprawił jej aż takiej radości.

- Zadała mi pytanie, a ja odpowiedziałem. Radziłbym, kapitanie, aby strymował pan żagle i odpłynął w swoją stronę.

Brandy szarpnęła się, lecz nie zdołała oswobodzić. Kapitan przyglądał się jej wysiłkom, a jego dłoń, zwisająca dotąd swobodnie wzdłuż boku, zwinęła się w pięść.

- Powiedziałem, że masz ją puścić, i nie będę tego powtarzał.

Brandy przygryzła wargę. Ojciec wpadnie w szal, jeśli z jej powodu wybuchnie w tawernie bijatyka.

Zmusiła się, by spojrzeć na kapitana. Z nadzieją, że wygląda na bardziej opanowaną, niż się naprawdę czuła.

- Wszystko w porządku, kapitanie Delaine. Pan Proctor tylko się ze mną droczył. Prawda... Cole? -

dodała, nadając głosowi łagodzący ton, maskujący, jak miała nadzieję, fakt, iż w środku cała gotuje się z gniewu.

Potężny marynarz uśmiechnął się pożądliwie.

- Zgadza się, kapitanie. Po prostu się zaprzyjaźnialiśmy. Nie ma o co drzeć szat.

Kapitan utkwił w jej twarzy spojrzenie oczu tak ciemnoniebieskich, że wydawały się niemal czarne.

- To prawda, panno Winters? Pan Proctor po prostu się zaprzyjaźniał?

- Tak - skłamała, omal się przy tym nie krztusząc. Na samą myśl o tym, że Marcus Delaine mógłby sądzić, iż podoba jej się, że jest obmacywana przez mężczyznę pokroju Cole'a Proctora, robiło się jej niedobrze.

Lecz strach przed ojcem okazał się silniejszy.

Marcus wyprostował się na całą imponującą wysokość.

- W takim razie przepraszam. - Ukłonił się lekko i uśmiechnął, lecz był to uśmiech chłodny i pozbawiony serdeczności. Odwrócił się, by odejść, a Brandy uznała, że jakoś przeżyje tę chwilę, czując się tylko odrobinę poniżona. Mogłaby wysunąć się dyskretnie z uścisku podobnych do ramion ośmiornicy łap Proctora, gdyby ten nie wybrał sobie akurat tej chwili, żeby brutalnie uszczypnąć ją w pośladek.

Wściekłość wybuchła w niej z siłą oceanicznego sztormu i dobre intencje wyleciały przez okno.

Wrzasnęła i zeskoczyła z kolan natręta, poruszając się tak szybko, że nie był w stanie temu zapobiec. A potem wymierzyła mu solidny policzek.

- Jesteś najbardziej godnym pogardy, najobrzydliwszym typem, z jakim miałam pecha się zetknąć.

Przysięgam, że jeśli dotkniesz mnie w ten sposób jeszcze raz, znajdę pistolet i cię zastrzelę!

Odwróciła się gwałtownie i wpadła wprost na szeroką pierś Marcusa Delaine. Kąciki jego warg uniosły się w leciutkim uśmiechu.

- Sądziłem, że pan Proctor tylko się zaprzyjaźnia. Brandy spłonęła rumieńcem i się odsunęła.
- Cole Proctor nie ma pojęcia, co znaczy to słowo. Nie chciałam, żeby przeze mnie wynikły tu kłopoty.
- Wina nie leżała po twojej stronie.
- Prawda, lecz ojciec będzie miał w tej kwestii inne zdanie.

Zamierzała powiedzieć coś jeszcze, podziękować za interwencję, ale przeszkodził jej szurgot odsuwanego gwałtownie krzesła. Odwróciła się i zobaczyła, że Cole Proctor wstał.

- Uderzyłaś mnie, mała kocico - powiedział, pocierając zaczerwieniony policzek. - Pokażę ci, co się dzieje, gdy ktoś podnosi rękę na Cole'a Proctora.

Sięgnął po nią, lecz kapitan był szybszy: odsunął Brandy na bezpieczną odległość i wszedł pomiędzy nią a marynarza.

- Zasłużyłaś na ten policzek i dobrze o tym wiesz, Proctor. Jeśli chcesz dać komuś nauczkę, może byś tak zaczęła ode mnie?

Proctor błysnął w dzikim uśmiechu dużymi zębi-skami.

- Doskonały pomysł. Zajmę się tobą, a potem złapię dziewczynę i policzę się z nią.
- Jej ojciec może mieć w tej sprawie coś do powiedzenia.

Proctor prychnął.

- Wielki Jake o nią nie dba. Prawdę mówiąc, sprzedałby dziewczynę temu, kto da najwięcej, gdyby tylko uznał, że dostanie dobrą cenę.

Brandy gwałtownie pobladła, a kapitan zacisnął szczęki.

- Może byśmy tak wyszli? - powiedział cicho. - Moglibyśmy omówić temat dokładniej.

Jednak potężny marynarz nie zamierzał rezygnować ze wsparcia kompanów. Zamiast wyjść, zamachnął się i wyprowadził cios, który, gdyby sięgnął celu, mógłby posłać na kolana nawet silnego mężczyznę. Marcus wykonał jednak unik, uskoczył przed krzesłem, którym mał w niego rzucił, a potem wrócił na pozycję i walnął napastnika w żołądek z taką siłą, że ten zgiął się wpół.

Drugi cios, starannie wymierzony, trafił mata w szczękę i posłał do kąta, gdzie upadł, uderzając głową o ścianę. Jęknął z bólu, wywrócił oczami i było po walce.

Niestety, pozostali członkowie załogi „Pomyślnego Wiatru” nie zamierzali odpuścić upokorzenia i rzucili się ku marynarzom z „Morskiego Jastrzębia”, stojącym murem za swoim kapitanem. Padło jedno przekleństwo, potem drugie i w sali zapanował chaos. Krzesła fruwały w powietrzu. Pełne piwa kufle lądowały na głowach gości. Brandy uskoczyła przed pchniętym gwałtownie stołem i krzyknęła ostrzegawczo do Flo, która uchyliła się przed nadlatującym cynowym dzbankiem i umknęła, by skryć się za barem, gwarantującym jakie takie bezpieczeństwo.

Nim Jake Winters opanował sytuację, wewnątrz tawerny wyglądało, jakby przeszedł przez nie huragan. Choć jego ludzie byli za to odpowiedzialni jedynie po części, Marcus zaproponował, że pokryje szkody. Ojciec Brandy zerknął na skórzaną sakiewkę, którą kapitan położył przed nim na barze.

- Wezmę pańskie pieniądze jako rekompensatę za to, co zostało zniszczone, lecz za kłopoty, jakich mi przysporzyła, odpowie moja córka. - Chwycił Brandy za nadgarstek i jął ciągnąć dziewczynę

w kierunku schodów. - Najwyższy czas, by poniosła karę za to, że tak się wywyższa.

- To nie była moja wina - zaprotestowała Brandy, zapierając się piętami. - Nie ja zaczęłam, ale Cole Proctor.

- Pańska córka ma racje. Była ofiarą, nie inicjatorką. Byłoby niesprawiedliwe, gdyby ukarał ją pan za coś, na co nie miała wpływu.

Wielki Jake zacisnął z uporem szczęki.

- Ta pannica to jeden wielki kłopot, podobnie jak jej matka i wszystkie kobiety, które znałem. Nie powinienem był płacić temu fircykowatemu nauczycielowi. Dziewucha uważa, że jest od nas lepsza, bo liznęła trochę nauki.

- To nieprawda, ja...

Uciszył ją, wymierzając solidny policzek.

- Musisz poznać, gdzie twoje miejsce, dziewczyno. Zamierzam dopilnować, by tak się stało.

Kapitan utkwiał spojrzenie ciemnych oczu w twarzy Brandy. Policzek piekł ją, czerwieniejąc w oczach.

Jedyną oznaką gniewu Marcusa było pulsowanie mięśnia nad szczęką. Pchnął z wolna sakiewkę w kierunku Jake'a.

- Wina leży po naszej stronie. Mojej i załogi. Jeśli dziewczyna zostanie, ukarana, nie spodoba się to załodze. - Uśmiechnął się samymi tylko wargami, a w jego spojrzeniu czaiła się groźba. - Wszyscy wiedzą, że Biały Koń to najlepsza tawerna na nabrzeżu. Byłoby szkoda, gdyby moi ludzie uznali, że nie są tu już mile widziani.

Ledwie maskowana groźba nie uszła uwagi Jake'a. Marcus Delaine był bogatym, wpływowym człowiekiem. A także lordem i właścicielem Przedsiębiorstwa Żeglugowego Hawksmoor. Gdyby postanowił ukarać Jake'a, tawerna utraciłby nie tylko

dochód, jaki zapewniały załogi jego pięciu statków, lecz także wszystkich tych, których kapitanowie liczyli się z Marcusem.

Powściągnął zatem gniew, choć niemal purpurowy rumieniec na jego twarzy powiedział Brandy, że nie przyszło mu to łatwo.

- Może ma pan rację, kapitanie - wykrztusił. - Może zbyt się pospieszyłem. - Rzucił Brandy nienawistne spojrzenie i pchnął córkę w kierunku schodów na piętro, gdzie znajdowała się jej sypialnia. - Podziękuj kapitanowi za to, że ominęło cię lanie, choć na nie zasłużyłaś. Lecz jeśli wyniosłe zachowanie znów ściągnie ci na głowę kłopoty, obiecuję, że nie będziesz miała tyle szczęścia.

Brandy skinęła głową. Zażenowanie walczyło w niej z ulgą. Obdarzyła kapitana drżącym, przepelnionym wdzięcznością uśmiechem i ruszyła ku schodom. Długi miedziany warkocz objął się jej przy każdym kroku o plecy. Nie była już dzieckiem, a ojciec właśnie tak ją traktował. Podobnie Marcus.

Dlaczego jedynie mężczyźni pokroju Proctora widzieli w niej kobietę?

I jak długo zdoła znieść tyranię ojca, nim się zbuntuje i coś z tym zrobi?

Już niedługo, przyrzekła sobie w duchu. Już niedługo.

Okazja nadeszła szybciej, niż Brandy się spodziewała. To zrządzenie losu, pomyślała, odpowiedź Boga na jedną z tysięcy modlitw. Zdarzyło się to następnego ranka, gdy przechodziła obok znajdującej się w sąsiedztwie tawerny zwanej Pod Sosnami. Szła właśnie ulicą, gdy zza rzeźbio-

nych drzwi gospody wyszedł Marcus, kierując się ku miejscu, gdzie cumował „Morski Jastrząb”.

Brandy przyglądała się jego wysokiej, smukłej, a zarazem umięśnionej sylwetce, promieniującej pewnością siebie, czując zalewającą ją falę ciepła. Działo się tak za każdym razem, gdy go widziała.

Przyspieszyła kroku i dogoniła kapitana w chwili, kiedy przecinał ulicę, by wejść na nabrzeże.

- Dzień dobry, kapitanie - pozdrowiła go, uśmiechając się radośnie. - Widziałam, jak wychodzi pan z gospody. Chciałam podziękować za to, co pan wczoraj dla mnie zrobił.

Marcus zwolnił, by mogła dotrzymać mu kroku.

- Zapewniam, panno Winters, że była to dla mnie przyjemność. Proctor zasłużył na solidne lanie.

Uśmiechnął się leciutko. Na opalonej skórze jego policzka ciemniał siniec.

- Myślałam, że popłynął pan do Anglii. Nie spodziewałam się zobaczyć pana przez jakiś czas w porcie.

Zmarszczył czarne brwi nad prostym, ładnym nosem.

- Kiedy wracaliśmy z Wirginii, zepsuł nam się ster. Musimy zastąpić go innym, zanim będziemy mogli wyruszyć do domu.

Był tak wysoki, że by na niego spojrzeć, musiała zadrzeć głowę. Gdy to zrobiła, słońce zabłysło na czarnych, falujących włosach mężczyzny i Brandy poczuła dziwną chęć, aby przeczesać je palcami.

- O ile pamiętam, poprzednio też miał pan kłopoty ze statkiem.

- Rzeczywiście, ostatnio prześladowuje nas pech

- powiedział z odcieniem niezadowolenia w głosie.

- Mam nadzieję, że to się wkrótce zmieni. Tymczasem wyruszymy w krótki rejs na Bahamy z ładun-

kiem mąki, którą wzięliśmy w Aleksandrii, a także drewna i innych towarów. Potem wrócimy tutaj, weźmiemy podstawowy ładunek i popłyniemy do Anglii.

- Jak długo was nie będzie? - spytała z zainteresowaniem, czując, że przyśpiesza jej puls.

- Jeśli wszystko pójdzie jak należy, około miesiąca. Wyspy nie leżą zbyt daleko. Wyładujemy towar i wrócimy najszybciej, jak się da.

W głowie Brandy zrodził się pomysł tak szalony, że jej puls jeszcze bardziej przyspieszył.

- Popłyniecie na Bahamy, a potem prosto tutaj?

- Zgadza się. Nie planowaliśmy tego, ale możemy sporo zarobić, a zważywszy na ostatnie problemy, pieniądze bardzo się przydadzą.

- Kiedy wypływacie?

- Jak tylko zamontują ster. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zapewne pojutrze.

Podeszli do trapu prowadzącego na statek. Kapitan odwrócił się i spojrzał na Brandy.

- Na wypadek, gdybyśmy mieli się już nie zobaczyć, uważaj na siebie, panno Winters. - Uśmiechnął się i białe zęby zabłysły na tle opalanej skóry. - Przy odrobinie szczęścia „Pomyślny Wiatr” opuści Charleston w tym samym czasie.

Brandy uśmiechnęła się, wspominając chwilę, kiedy pięść kapitana zetknęła się ze szczęką maty.

- Oby tak się stało.

Wyciągnął dłoń, dotknął jej policzka, a potem pogładził delikatnie włosy.

- Jak długo już się znamy?

- Prawie dziesięć lat. - Pamiętała chwilę, gdy po raz pierwszy go ujrzała. Był wówczas przystojnym porucznikiem marynarki, a ona dzieckiem. Już wtedy ją zaintrygował.



- Dorastas, dziewczyno. Wkrótce zechcesz wyjść za mąż, mieć własny dom i rodzinę.

Brandy potrząsnęła głową.

- Nie chcę męża, przynajmniej nie teraz. Chcę zobaczyć różne rzeczy, podróżować. Żyć własnym życiem, zanim się ustatkuję.

Kapitan spojrzał na Brandy z wyrazem skrywanego współczucia. Słyszał, jak wypowiada te słowa co najmniej z dziesięć razy.

- Kobiecie trudno jest zachować niezależność.

- Mnie się uda. Przekona się pan.

Spojrzał na port i na wysoki statek, podskakujący lekko na wodzie, na olbrzymie maszty ze świerkowego drewna kołyszące się na wietrze. Mewa zaskrzeczała nad ich głowami.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Brandy. Zaslugujesz na to, by dostać wszystko, czego pragniesz.

Brandy doskonale zdawała sobie sprawę, czego pragnie: żeglować po morzach z Marcusem Delaine.

Przeżyć przygodę. I po raz pierwszy w życiu zamierzała dopilnować, by tak się stało.

Uśmiechnęła się.

- Przyjemnej podróży, kapitanie.

Skinął jej głową i pomachał, zaabsorbowany myślami o statku i o załodze. Brandy przyglądała się przez chwilę, jak mężczyzna znika po drugiej stronie trapu, a potem odwróciła się i ruszyła z powrotem do tawerny. Miała tylko dwa dni. Zaledwie dwa dni, by przygotować się do podróży, która mogła odmienić jej życie. Na samą myśl o tym przenikał ją dreszcz.

Uśmiechnęła się i przyspieszyła kroku.

- I jak, kapitanie, co myślisz?

Było późne popołudnie. Marcus stał na nabrzeżu obok „Morskiego Jastrzębia”, oglądając złamany ster, wymieniony szczęśliwie na nowy.

- Sam nie wiem. Linia złamania wydaje się zbyt równa. Drewno mogło zostać przepiłowane, trudno jednak stwierdzić to na pewno. A te wklęsnięcia... Wyglądają, jakby zostały zrobione młotem. Możliwe, że ktoś chciał, by ster się rozleciał. Osłabiając drewno, na pewno by do tego doprowadził.

Hamish Bass, pierwszy oficer na „Morskim Jastrzębiu” i długoletni przyjaciel Marcusa, badał wielki kawał drewna przełamany na pół i całkowicie bezużyteczny.

- Tak, tak to właśnie mogło wyglądać, kapitanie. - Podrapał szorstką siwą brodę. - Choć, prawdę mówiąc, jeśli się weźmie pod uwagę olbrzymią masę wody, jaka się przez niego przelewa, trudno powiedzieć coś na pewno. Może to tylko wygląda podejrzanie.

Marcus przeczesał dłonią włosy.

- Masz prawdopodobnie rację. Ale to już trzeci problem w ciągu ostatnich dwóch miesięcy i nie podoba mi się to. Pewnie chwytam się każdej możliwości, próbując wyjaśnić, dlaczego prześladowuje nas pech.

- Niewielu miałoby powód, by zrobić coś takiego.

- Rzeczywiście. Niezadowolony członek załogi. Ktoś, kto żywi urazę.

- Ma pan lojalną załogę, kapitanie. Marynarze wiedzą, że jest pan porządnym człowiekiem, bardziej wyrozumiałym niż większość. Mają szczęście,

że udało im się zaciągnąć na „Morskiego Jastrzębia”, i większość zdaje sobie z tego sprawę.

Marcus skinął głową, zadowolony z tego, co usłyszał.

- Straciliśmy trochę czasu, lecz wynagrodzimy to sobie, zawożąc ładunek na Bahamy.

Hamish rozciągnął wargi w krzywym, acz szczerym uśmiechu.

- Widzi pan? Wszystko zaczyna się układać. Marcus także się uśmiechnął.

- Może masz rację. Zakładam, że będziemy mogli wyruszyć, gdy zacznie się odpływ.

- Tak kapitanie. Statek będzie gotowy. Marcus skinął raz jeszcze głową, a potem obaj odwrócili się i ruszyli do trapu. „Morski Jastrząb”, trójmasztowiec o pełnym ożaglowaniu i smukłym kadłubie, był szybki i doskonale nadawał się na okręt flagowy Przedsiębiorstwa Żeglugowego Hawksmoor. Marcus nie pływał dotąd na lepszym statku. Kupił go przed dwoma zaledwie laty i był z niego bardzo dumny. Podobnie jak z tego, iż odniósł sukces, który pozwolił mu zostać właścicielem tak wspaniałej jednostki.

Gdy doszli do nadbudówki, poklepał starszego mężczyznę po ramieniu.

- Lepiej trochę odpocznij, Hamish. Masz w nocy wachtę, a rano nadejdzie szybciej, niż się spodziewasz.

Hamish skinął głową, pomachał i się oddalił. Marcus patrzył przez chwilę za nim oparty o reling, uśmiechając się na widok kołyszącego się kroku marynarza i jego z lekka kabłąkowatych nóg. Może Hamish ma rację i pech wreszcie ich opuścił. Miał nadzieję, że tak właśnie jest. W zeszłym miesiącu stuknęła mu trzydziestka. Przez sześć ostatnich lat,

po tym, jak został postrzelony w ramię podczas wojny z Francją i opuścił na dobre marynarę, pracował ciężko, mając na uwadze jeden cel: przekształcić Przedsiębiorstwo Żeglugowe Hawksmoor w firmę odnoszącą sukcesy. I tak się stało.

Rok temu starszy brat Marcusa, Geoffrey, utonął w rzece, kiedy zawalił się most, a on wpadł z powozem do wody. Marcus odziedziczył tytuł i spory majątek, ale nie zawsze wiodło mu się aż tak dobrze.

Stworzył firmę od podstaw po tym, jak dostał po dziadku ze strony matki niewielki kapitał. Pieniądzy wystarczyło na początek, musiał jednak pracować po szesnaście godzin na dobę, by zmienić niewielkie przedsiębiorstwo w towarzystwo żeglugowe dysponujące kilkoma jednostkami. Odniósł sukces i zamierzał dopilnować, by tak zostało.

Stał teraz ze wzrokiem utkwionym w nabrzeże, przysłuchując się, jak fale uderzają delikatnie o kadłub, rozkoszując się słonym powietrzem, wonią wilgotnej juty i smoły, pieszczotą rozpylonej w powietrzu wody. Uwielbiał życie na morzu, życie, które dla siebie wybrał i z taką determinacją budował. Pokochał ocean, kiedy był chłopcem, mieszkającym w Hawksmoor House, rodzinnej posiadłości położonej wysoko na klifach, ponad smaganymi wiatrem wodami Kornwalii.

Nie zrezygnuje z niego dla miłości albo pieniędzy, ani nawet po to, by spełniać obowiązki lorda. Jego młodszy brat będzie musiał się tym zająć, a także zapewnić Hawksmoor dziedzica. Marcus nigdy się nie ożeni. Nie było bowiem na świecie kobiety, która mogłaby konkurować z kochanką, którą uwielbiał ponad wszystko.

Pomyślał o morzu jak o pięknej kobiecie, która podbiła bez reszty jego serce, i się uśmiechnął.

## Rozdział 2

- Co takiego zamierzasz..? Brandy się uśmiechnęła.
- Powiedziała ci: zamierzam popłynąć na Bahamy. Wyruszymy, gdy zacznie się poranny odpływ. Flo opadła na wąskie łóżko w małej sypialni Brandy.
- Oszalałaś. Wystarczy, że choć pomyślisz o tym, by uciec, a ojciec cię zabije.
- Nie uciekam. Wybieram się w podróż. Wrócę za niespełna miesiąc. Jeśli ojciec zechce mnie zabić, będzie musiał poczekać.
- Uśmiechasz się. Nie wierzę, że uważasz to za zabawne. Jak myślisz, co zrobi Wielki Jake, gdy się zorientuje, gdzie zniknęłaś?
- Może nigdy się nie dowie... a przynajmniej nie będzie miał pewności. Zostawię mu list, a w nim informację, że wybieram się z wizytą do kuzynki Myry w Savannah. Będzie, oczywiście, wściekły, ale nic mnie to nie obchodzi. Nim wrócę, będę już wiedziała, co chcę zrobić z życiem, a nie jest to urabianie sobie rąk po łokcie w tawernie przez następnych trzydzieści lat. Nie zrezygnuję z życia po to, by ojciec mógł uciąć więcej pieniędzy. Bo

że, mogłabym przysiąc, że u niego to już choroba. Nigdy nie ma dość. A ja wręcz przeciwnie. - Podeszła do przyjaciółki. - Jedynie ciebie będzie mi brakowało, Flo. - Uśmiechnęła się. - Na pewno nie chcesz wybrać się ze mną? Flo prychnęła z dezaprobatą, unosząc ciemną brew. .

- Jeśli miałabym ubrać się tak jak ty, prędzej piekło zamarznie.

Brandy spojrzała na strój chłopca okrętowego, który wyłudziła od Salty'ego Johnsona: podniszczone brązowe bryczesy i koszulę z rękawami uszytą z ręcznie tkanego płótna.

- Sądziłam, że wyglądam dość zuchowato.

- Zuchowato? Wyglądasz jak ulicznik. Gdyby nie te wielkie kocie oczy...

- Nie obchodzi mnie, jak wyglądam, bylebym zdołała dostać się na statek. - Chwyciła dłoń Flo. -

Chciałam, byś ze mną popłynęła, lecz tak naprawdę nie spodziewałam się, że to zrobisz. Modlę się tylko, aby nie zostać przyłapaną, kiedy będę przekradała się na pokład. I żeby nie znaleziono mnie na tyle wcześnie, aby kapitan mógł zawrócić i mnie wysadzić.

Flo uścisnęła dłoń przyjaciółki.

- Będzie wściekły, wiesz o tym. Za tą niewzruszoną twarzą kryje się człowiek twardszy nawet niż twój ojciec. Bóg wie, co może zrobić.

Brandy zadrżała bezwiednie. Marcus Delaine był wobec niej zawsze uprzejmy, lecz kilka razy udało jej się dostrzec, że potrafi też być bezwzględny. Był mężczyzną, który nie lubi, kiedy krzyżuje mu się szyki. A ona właśnie tak postąpi, zakradając się bez jego wiedzy na statek i ukrywając pod pokładem.

Zastanawiała się, co Marcus zrobi, gdy znajdą się na pełnym morzu, a ona wynurzy się z ładowni. Nie była to chwila, której wyczekiwałyby z niecierpliwością, mimo to przewycięży strach i nie zrezygnuje.

- Muszę to zrobić, Flo. Czekałam na taką szansę przez całe życie. Muszę się dowiedzieć, jak wygląda świat poza murami tawerny Pod Białym Koniem. Odkryć, co chcę zrobić ze swoim życiem.

- Dlaczego nie możesz po prostu wyjść za mąż, jak wszystkie dziewczęta?

- A ty? - odparła Brandy.

- Kto ci powiedział, że tego nie chcę? - Flo podniosła się z łóżka. - Niczego nie pragnę bardziej, jak mieć męża i własny dom.

- Nigdy tak nie mówiłaś... ani razu przez wszystkie te lata. I nie spodobał ci się żaden spośród mężczyzn, jacy pojawili się w tawernie. Sądziłam, że nie interesuje cię zamążpójście.

- Przeciwnie. - Flo odwróciła wzrok. - Niestety, mężczyzna, którego pragnę, jest już żonaty.

- Co takiego?

- Dobrze słyszałaś. Nie jestem z tego dumna, dlatego nic ci nie powiedziałam. Kocham Williama Brewstera od lat. To jedyny mężczyzna, którego pragnę, choćbym nigdy nie miała go dostać.

- Ale z pewnością mogłabyś znaleźć kogoś innego, kogoś, kto...

- Nie ma nikogo innego. Nie dla mnie. Niektórzy kochają tylko raz. Dla mnie istnieje jedynie Willie. Módl się, aby ten, którego pokochasz, odwzajemnił twoje uczucia.

Brandy nie powiedziała już nic więcej. Przystojna twarz Marcusa Delaine stanęła jej jak żywa przed oczami. Przeszył ją dreszcz oczekiwania. Podróż najeżona będzie niebezpieczeństwami, spo-

śród których słabość do Marcusa nie należała wcale do najmniejszych.

- Pora iść. - Chwyciła leżący na łóżku, złachma-niony wełniany płaszcz i wsunęła dłonie w rękawy. - Muszę znaleźć sposób, by przekraść się niepostrzeżenie na statek. Załoga wróci zapewne przed północą. Do tego czasu muszę już znaleźć dogodną kryjówkę.

Flo pochyliła się i uściskała przyjaciółkę.

- Na pewno nie zdołam cię przekonać, byś dała sobie spokój?

Brandy się uśmiechnęła.

- A jak myślisz?

- Myślę, że jesteś szalona, ale mówiłam ci to już przedtem.

- Życz mi szczęścia, Flo. Szczęścia i wielkiej przygody.

- Idź z Bogiem i wracaj bezpiecznie do domu. Brandy objęła ją po raz ostatni.

- Dziękuję, Flo. Do zobaczenia za miesiąc. Przy odrobinie szczęścia ojciec będzie tak uszczęśliwiony tym, iż w ogóle wróciłam, że zapomni o karze, jaką dla mnie obmyślił.

- Marne szanse. - Flo zeszła tylnymi schodami, a potem stała, machając, podczas gdy Brandy zarzucała na plecy tobołek zawierający trochę ubrań, jedzenia i wody. Uczyniwszy to, przeszła przez ulicę i ruszyła w kierunku doków.

Odwróciła się, aby popatrzeć, jak przyjaciółka znika w wejściu do gospody, a potem ruszyła dalej, stukając podeszwami mocnych skórzanych trzewików o drewnianą nawierzchnię doku. Większość załogi pozostanie na brzegu jeszcze przez kilka godzin. Kapitan jest już jednak zapewne na statku, i Hamish Bass, pierwszy oficer, także.



Jej plan był prosty. Ubrana w strój chłopca okrętowego, z włosami upchniętymi pod brązową wełnianą czapką, wejdzie na statek, jakby była jednym z ponad czterdziestu członków załogi. Potem zniknie, niezauważona, pod pokładem i poszuka sobie kryjówki.

U wejścia na trap przystanąła, naciągnęła głębiej na czoło czapkę i weszła na drewniany pomost, modląc się w duchu, aby nie usłyszano, jak głośno bije jej serce. Po przeciwnej stronie pokładu stał marynarz, był jednak do niej odwrócony plecami. Kilku innych grało przy świetle latarni w wista. Z oddali dobiegał dźwięk melodii wygrywanej przez któregoś z żeglarzy na flecie.

Brandy zignorowała wszystkich i szła śmiało dalej, kierując się ku zejściu do ładowni, umieszczonemu na środku pokładu.

Przedtem była na „Morskim Jastrzębiu” tylko raz, gdy Hamish Bass zgodził się ją oprowadzić.

Wycieczka wywarła tak niezatarte wrażenie, że bez trudu potrafiła odtworzyć w pamięci topografię statku i znaleźć właściwe przejście.

Zadanie okazało się łatwiejsze niż przypuszczała. Na pokładzie było niewielu członków załogi i żaden nie zwrócił na nią uwagi. Stopnie były strome, a przejścia słabo oświetlone. W ładowni, zastawionej niemal po sufit skrzyniami i pudłami, beczułkami i setkami worków z mąką, panował przenikliwy chłód. Znalezienie miejsca, w którym mogłaby się ukryć, nie nastęczało zatem problemu. Umościła sobie przytulne gniazdko za kilkoma drewnianymi skrzyniami i obstawiła je workami z mąką dla osłony przed chłodem.

Większość ładunku została starannie umocowana, liny i płachty brezentu zabezpieczyły skrzynie

przed przesuwaniem. Lampy, umieszczone z przodu i z tyłu pomieszczenia, ledwie były w stanie rozjaśnić nacierający mrok.

Brandy zadrżała i otuliła się ciasniej płaszczem. Po dnie kadłuba przebiegł szczur, piszcząc donośnie. Po chwili na dłoń Brandy wspiał się dziwny insekt. Wzdrygnęła się, tłumiąc obrzydzenie.

Nic, co warte zachodu, nie przychodzi łatwo, pomyślała. Była bezpiecznie ukryta i gotowa na wielką przygodę. Miała jednak nadzieję, iż me przyjdzie jej zostać w ładowni zbyt długo.

Nad ranem zerwał się wiatr i morze było wzburzone. Marcus stał przy sterze, rozstawiwszy szeroko nogi, ze wzrokiem utkwionym w horyzont. Nad pokrytymi koronką białej piany falami zawisły ciężkie szare chmury. Niebo w oddali przecięła błyskawica, lecz grzmot ledwie dało się słyszeć.

- Znosi się na paskudny sztorm - powiedział Marcus do Hamisha.

- Tak, kapitanie, rzeczywiście.

- Poślij kogoś na dół, niech sprawdzi lmy mocujące ładunek. .

- Tak, kapitanie, już się robi. - Hamish odszedł, poruszając się charakterystycznym, kołyszącym krokiem.

Siwe włosy, wystające spod wełnianej czapki, powiewały mu na wietrze. Zniknął z widoku, a Marcus zajął się na powrót obserwowaniem morza.

Jest niczym piękna kobieta, pomyślał znowu, nieposkromione, namiętne i samowolne. To dziwne, lecz ta myśl spowodowała, że nie wiedzieć czemu wspomniał słodko uśmiechniętą twarzyczkę,

gęste złotorude włosy, pełne czerwone wargi i bursztynowe, lekko skośne oczy.

Przecież to zaledwie dziewczyna, niemal dziecko, złażał się w myśli. To prawda, miała ciało kobiety: wąską talię, wysoko ułożone, krągłe piersi, zgrabne kostki i, jak podejrzewał, jędrny tyłeczek. Poza tym Brianne Winters była jednak bardzo młoda, niewinna i niewiarygodnie naiwna. Zaskoczyło go, że w ogóle o niej pomyślał, zobaczył w wyobraźni jej twarz, zamiast twarzy ciemnowłosej kobiety, z którą sypiał, kiedy zawijał do portu w Charlestonie. Pełna wigoru wdowa zaspokajała w zupełności jego potrzeby.

Może sprawił to nieustraszony duch Brandy, pomyślał, uśmiechając się na wspomnienie jej utarczki z matem z „Pomyślnego Wiatru”. Musiał przyznać, że ją podziwiał. Ogniste z niej stworzenie...

Dziewczyna, nie kobieta, napomniął się po raz kolejny.

Mimo to obraz jej twarzy tkwił nieporuszony w jego umyśle, kiedy tak stał, wpatrując się w morze.

\*\*\*

Statek zataczał się na boki, wznosił na fali, trwał przez chwilę w bezruchu, a potem opadał. Niestety, wraz z nim wznosił się i opadał żołądek Brandy. Ledwie udało jej się doczołgać do wiadra, które wyszukała, kiedy uświadomiła sobie, że będzie chorować. Było to dwa dni temu - a może trzy? Czuła się tak, jakby tych dni było co najmniej dwadzieścia. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz jadła, mimo to wymiotowała, jakby niedawno napełniła żołądek.

Drżąc, wróciła na zaimprovizowaną pryczę. Czapka gdzieś przepadła i warkocz opadał jej te-

raz swobodnie na ramię. Była tak słaba, że ledwie mogła podnieść do ust flaszkę z wodą. Upiła ostrożnie kilka łyków, poczuła, jak zimna woda wypełnia pusty żołądek, i natychmiast pożałowała, że to zrobiła. Jęknęła i pochyliła się znów nad wiadrem. Przez chwilę zdawało się jej, że coś słyszy, jakiś przybliżający się dźwięk, była jednak zbyt chora, aby się tym przejąć.

- Mario, Józefie i wszyscy święci! - Niski mężczyzna zerwał czapkę i podrapał się po głowie pokrytej rzadniejącymi i siwiejącymi brązowymi włosami. - Pasażer na gapę. Nie widziałem czegoś takiego od lat. Co ty tu, u diabła, robisz?

Brandy jęknęła znowu, tym razem zdegowana własnym brakiem ostrożności. Wiedziała, kim jest marynarz, rozpoznała jego bokobrody i rzadkie, mysio-brązowe włosy. Joshua Dobbs, jeden z częstych gości tawerny ojca.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego.

- Jak... jak długo przebywamy już na morzu? Niski mężczyzna sapnął, zaskoczony.

- Ja cię znam! Jesteś panienka Brandy... z tawerny Pod Białym Koniem!

- Ile dni, panie Dobbs? Podrapał się po głowie.

- Trzy dni, panienko.

Brandy jęknęła. Była pewna, że musiało minąć co najmniej pięć.

- Kapitan Delaine nie ucieszy się, kiedy się dowie, co panienka zrobiła.

Brandy wyciągnęła drżącą dłoń i chwyciła drobnego mężczyznę za ramię.

- Nie może pan mu powiedzieć, panie Dobbs. Proszę... Nie wolno panu nic powiedzieć. Za dwa

dni będziemy zbyt daleko, by wracać. Chcę popłynąć z wami na wyspy. Muszę. Joshua Dobbs potrząsnął tylko głową.

- Nie da rady, panienko. Kapitan byłby na mnie wściekły, gdybym nie powiedział, że panienka jest tutaj, na dole.

- Proszę, panie Dobbs, nie mógłby pan udawać, że wcale mnie nie zobaczył? Tylko przez kilka dni? -

Ścisnęła go mocniej za ramię. - Mogłabym panu zapłacić. Zaoszczędziłam trochę pieniędzy. Mogłabym...

- Nie chodzi o pieniądze, panienko, ale o to, że kapitan...

Odsunęła się raptownie i z wymiotowała do wiadra.

- Nie wygląda panienka zbyt dobrze. - Mężczyzna zostawił ją na chwilę i wrócił z cynowym kubkiem pełnym wody. Zwilżył wodą chusteczkę i podał jej.

Brandy przyjęła ją z wdzięcznością.

- Dziękuję. - Przetarła drżącą dłonią twarz i opadła z powrotem na posłanie. - Chociaż jeden dzień, panie Dobbs. Proszę... Niech pan da mi choć jeden dzień. - Statek uniósł się na fali. Powieki Brandy opadły.

Czuła się taka zmęczona... Tak niewymownie zmęczona.

Joshua Dobbs stał, spoglądając na dziewczynę. Biedactwo. Była taka mała. Taka blada. Dobrze ją pamiętał. Wiele razy obsługiwała go w gospodzie. Zawsze miała dla niego uśmiech i czas, by wysłuchać kolejnej opowieści. Pamiętał błysk, który pojawiał się w jej oczach, ilekroć opowiadał o morskich przygodach. Te oczy, zwykle jasnobrązowe, wydawały się wówczas niemal złote.

Było mu żal dziewczyny, gdyż ojciec traktował ją jak służącą. Pewnego razu nawet zbił ją pasem

za to, że została zbyt długo przed tawerną, zasłuchana w opowieści Dobbsa.

Biedactwo. Co by to szkodziło, gdyby tym razem jej pomógł?

Rozejrzył się po ładowni. Nikogo. Gdyby zdołał przemyścić trochę rosołu i parę sucharów, na pewno poczułaby się lepiej. Mogłaby wtedy stawić czoła kapitanowi i - jak powiedziała - może okazałoby się, że jest za późno, aby odstawić ją do domu. Ciekawe, czy uciekła od ojca. Jeśli tak, wcale by jej nie winił. Postanowił, że jej pomoże i będzie to robił, jak długo się da.

\*\*\*

Brandy uśmiechnęła się z wysiłkiem do mężczyzny, który pomógł jej przetrwać kolejny dzień. Sztorm przybrał na sile, lecz dzięki Dobbsowi czuła się trochę lepiej. Suchary pomogły uspokoić żołądek, choć nie ośmieliła się zjeść zbyt wiele.

Pomachał jej i umknął, bojąc się, że ktoś może go zobaczyć. Z uwagi na niego próbowała wmusić w siebie trochę rosołu, na nic się to jednak nie zdało. Z pewnością sztorm jutro zelżeje, a wtedy będzie mogła coś zjeść i odzyska nieco sił. Oparła się o burtę i przykryła kocem przyniesionym przez Dobbsa. Nie pamiętała, by kiedykolwiek było jej tak zimno.

Mimo to perspektywa stawienia czoła kapitanowi, który z pewnością wpadnie w furję, gdy ją zobaczy, wydawała się gorsza od pozostania jeszcze przez jakiś czas w ładowni.

Statek trzeszczał i jęczał. Wzniósł się na fali, a kiedy opadł, usłyszała trzask pękającego drewna. Wielce alarmujący odgłos, chwyciła się więc moc-

niej burty. Statek zakołysał się na boki, usłyszała dalsze trzaski i niepokój zamienił się w strach. Jedna z lin, utrzymujących w miejscu stos skrzyń, jęknęła. Brandy spojrzała w górę i zobaczyła, że ciężkie ładunki przesunęły się, naciągając linę tak, że zaczęła wibrować.

Słodki Jezu, coś niedobrego dzieje się ze statkiem! Choć była osłabiona i kręciło jej się w głowie, uniosła się i spojrzała w ciemność, próbując rozpoznać, na czym polega problem, i zdecydować, co powinna zrobić. Serce tłukło jej się w piersi jak oszalałe, mimo to zmusiła się, aby zachować spokój. Wierzyła, że kapitan Delaine potrafi poprowadzić statek i zapewnić im bezpieczeństwo. Nie ma się czego bać, powtarzała sobie w duchu, mimo to puls nie chciał zwolnić.

Modliła się, by Josh wrócił, tymczasem statek pochylił się znowu do przodu i usłyszała donośny trzask łamiącego się drewna. Boże, to oszalowanie utrzymujące ładunek na miejscu! Skrzynie i pudła zaczęły się przesuwac. Krzyknęła, kiedy runęły ku niej.

Próbowała uskoczyć przed ciężką paką, która stoczyła się ze stosu, była jednak zbyt słaba i zbyt niezdatna. Pudło runęło w dół, odbiło się od burty i uderzyło ją w bok głowy. Zmartwiony głos Dobbsa był ostatnim, co usłyszała.

- Kapitanie! Kapitanie Delaine, niech pan tu przyjdzie, szybko!

Marcus usłyszał przerażony głos Dobbsa i w jego głowie rozdzwoniły się dzwonki alarmowe.

- Przejmij ster, Hamish. Coś się stało. Wróć, kiedy się przekonam, co to takiego.

Podciągnął wyżej kołnierz sztormiaka i wyszedł na zalany deszczem pokład.

- O co chodzi, Dobbs? - zawołał, przekrzykując wicher. - Co się stało?

- Ładunek się uwolnił. Oszalowanie musiało być źle zrobione. Połamało się jak zapalki, kiedy ostatnia fala uderzyła w statek.

Marcus odwrócił się i jął wykrzykiwać rozkazy.

- Butler!

Młody marynarz imponującej postury wyłonił się ze słonej mgły niczym duch.

- Tak, kapitanie?

- Kłopoty na dole. Weź paru ludzi i tyle lin, ile zdołacie unieść. Idźcie za panem Dobbsem i umocujcie ładunek najszybciej, jak się da.

- Tak jest, kapitanie! - Butler odbiegł, przywołując gestem członków załogi. Przesuwający się ładunek mógł wywrócić statek, nawet tak duży jak „Morski Jastrząb”, posyłając go na dno w ciągu zaledwie kilku minut. Marcus ruszył do schodni prowadzącej w dół i uświadomił sobie, że Josh Dobbs nadal depta mu po piętach. Przeształ z nogi na nogę, próbując zwrócić na siebie uwagę.

- O co chodzi, Dobbs? Myślałem, że zszedłeś pod pokład z Butlerem.

- Jest coś jeszcze, kapitanie. Pasażerka na gapę. Ukrywała się w ładowni, a teraz leży uwięziona pomiędzy pakami, które spadły, kiedy ładunek zaczął się przemieszczać.

Marcus zatrzymał się w pół kroku.

- Pasażerka? Na statku jest kobieta?

Dobbs zaczerwienił się po cebulki rzadziejących włosów.



- Tak, kapitanie. Panienska Brandy z tawerny Pod Białym Koniem. Jest w tarapatach. Proszę... trzeba działać szybko.

W pierwszej chwili Marcus uznał, że chyba się przesłyszał. Brianne Winters miała zbyt wiele rozsądku, by ukryć się na statku. Mimo to ruszył pośpiesznie ku trapowi. To nie może być prawda. Absolutnie. Lecz kiedy zszedł na dół, a Josh go wyminął, kierując się ku ciemnemu zakamarkowi, przekonał się, że stary żeglarz nie zmyślał.

Gruby miedziany warkocz, zakrywający pobladłą twarz, mógł należeć tylko do niej, do Brandy. Strach ścisnął go za gardło.

- Panno Winters, słyszy mnie pani? To ja, kapitan Delaine.

Uchyliła drżące powieki i spojrzała na niego.

- Kapitanie...

- Nie ruszaj się, słyszysz? Zostań tam, gdzie jesteś, i ani drgnij. - Skinęła lekko głową, więc zwrócił się do Josha. - Przynies coś, czym można podeprzeć ten stos pudeł. Trzymają się na słowo honoru. Jeśli spadną, jak nic ją zabiją.

Dobbs zbladł z przerażenia. Skinął głową, odwrócił się i pobiegł ku grupce mężczyzn mocujących ładunek. Marcus spojrzał z napięciem na stos ciężkich pudeł, wznoszący się chwiejnie nad głową Brianne. Mała głupia gęś. W co ona się, do licha, bawiła? Cokolwiek to było, okazało się w najwyższym stopniu niebezpieczne.

Wyciągnął rękę i odsunął jej włosy z twarzy.

- Gdzie jesteś ranna?

Próbowała się uśmiechnąć, na próżno jednak.

- Boli mnie głowa. Coś przyciska mi nogi i nie mogę się wydostać, ale poza tym chyba nic mi nie jest.

Nie wyglądała jednak wcale dobrze. Twarz miała bladą i drżały jej wargi. Kątem oka dostrzegł stojące nieopodal wiadro, poczuł nieprzyjemny zapach i uświadomił sobie, że musiała cierpieć na chorobę morską, a także to, iż Joshua Dobbs przynajmniej od jakiegoś czasu wiedział, że mają pasażera na gapię. . . Zaklął cicho. Przyglądał się bladej twarzy dziewczyny, zmartwiony i wściekły zarazem. Chętnie by na nią krzyknął, złapał za ramiona i potrząsnął, aby wbić nieco rozsądku do tej lekkomyślnej główki. Lecz przede wszystkim należało zabrać ją w bezpieczne miejsce.

Nadbiegł Dobbs, prowadząc kilku mężczyzn. Nieśli zwój liny i mocny drąg. Zabezpieczyli pudła liną, a potem posłużyli się kijem jak dźwignią, by podnieść skrzynie przygniatające nogi dziewczyny.

- Na trzy! Unieście pudła i przytrzymajcie, bym mógł ją wyciągnąć!

- Tak jest, kapitanie! - Bng Butler i pozostali marynarze rzucili się wypełnić polecenie.

Marcus wsunął dłonie pod pachy Brandy i zaczął liczyć. Na trzy mężczyźni natarli na drąg i zaczęli unosić cal po calu przygniatające nogi pudła. Gdy tylko uznał, że unieśli je wystarczająco, pociągnął Brandy ku sobie i uwolnił. W tej samej chwili statek opadł znowu w dolinę fali i skrzynie nad ich głowami zachwiały się alarmująco.

Brandy krzyknęła i zamknęła oczy. Wziął ją na ręce i odsunął się na sekundę przed tym, jak skrzynie runęły.

- Głupia gęś - wyszeptał, kierując się ku schodni. Teraz, gdy była bezpieczna i najwidoczniej nic poważnego się nie stało, miał ochotę skrócić jej kark. Czuł, jak dziewczyna drży, ale zwiększyło to

tylko jego gniew. Byli o cztery dni od portu. Przez cztery przekłete dni ukrywała się w ładowni. Wszystko mogło się wydarzyć! Mało nie zginęła! Czy dobry Bóg poskąpił jej odrobiny rozsądku? Zanim dotarli do jego kabiny, był już tak zły, że ledwie mógł mówić. Pomaszerował prosto do koi i opuścił na nią dziewczynę, bardziej brutalnie, niż zamierzał. Zrzucił z ramion przemoknięty sztormiak i odwrócił się ku Brianne. Dopiero teraz zauważył, że ma na sobie męski strój: opinające pośladki bryczesy i koszulę podkreślającą zarys wysokich, pełnych piersi.

- Kapitanie, ja...

- Milcz! Nie jestem w nastroju, by słuchać twoich wykrętów. Powiedz mi po prostu, gdzie jesteś ranna. Zagryzła usta. Zauważył drżenie wargi przyciśniętej drobnymi, białymi zębami.

- Nic nie mam złamanego. Tylko stłuczoną nogę i pudło uderzyło mnie w głowę.

Ujął dziewczynę pod brodę, odwrócił jej głowę i przyjrzał się plamie krwi na skroni. Zobaczył guz i zaklął pod nosem.

- Masz szczęście, że nie zginęłaś. Wiesz, w jak niebezpieczną sytuację się wpakowałaś? Co cię, u diabła, opętało? - Otworzyła usta, by odpowiedzieć, lecz ją uciszył. - Nieważne. Powiesz mi później. Może, jeśli dopisze ci szczęście, będę wówczas w lepszym nastroju.

Podszedł do wbudowanej w ścianę komody, nalał wody do porcelanowej miski, zanurzył w niej ręcznik i go wyżał. Wrócił do łóżka i przemył ostrożnie ranę na skroni.

- Spójrz na mnie.

Podniosła wzrok, a on przyjrzał się uważnie jej oczom. Wszystko wydawało się w porządku. Za-

mruwała kilkakrotnie, lecz nic nie wskazywało na to, by była dezorientowana.

- Dobrze widzisz? Obraz jest wyraźny czy zamazany?

- Widzę doskonale.

- Mam nadzieję, że nic poważnego się me stało, trudno jednak stwierdzić to na pewno. Prawdopodobnie rozboli cię głowa, nie dam ci jednak lekarstwa póki się nie przekonamy, że nic me zostało uszkodzone.

Co zaś się tyczy nogi, będziesz musiała się rozebrać, bym mógł ją obejrzeć.

- Co takiego? .

- Powiedziałem, że będziesz musiała... - Zamilkł, dostrzegłszy wyraz jej twarzy. - Do licha, jesteś niemal dzieckiem. Nie zamierzam cię zniewolić. W tak krótką podróż nie zabieramy medyka. Chcę tylko opatrzyć ci nogę.

- Nie jestem dzieckiem - odparła, unosząc z uporem brodę. - Jestem kobietą. A z moją nogą wszystko w porządku, to tylko stłuczenie.

Gniew, z którym od dobrej chwili walczył, niebezpiecznie się wzmógł.

- Tutaj ja wydaję rozkazy, panienko, me ty. Ja uznaję, co jest w porządku, a co nie. - Chwycił koc, spoczywający w nogach łóżka, i rzucił jej. - A teraz zdejmij z łaski swojej te bryczesy, bo inaczej ja to zrobię. . .

Zbladła jeszcze bardziej, lecz me spuściła wzroku.

- Jak pan sobie życzy, kapitanie. Byłabym jednak wdzięczna, gdyby zechciał się pan odwrócić

Zaklął pod nosem, zrobił jednak, o co prosiła. Odwrócił się i stał na szeroko rozstawionych nogach, założywszy z tyłu dłonie. Przysłuchiwał się szelestowi opadających ubrań i odliczał w duchu sekundy, starając się o niczym me myśleć. Głuchy

stukot i towarzyszący mu jęk sprawiły, że odwrócił się i podbiegł błyskawicznie do łóżka, akurat na czas, by chwycić Brianne, zanim upadła.

- Do licha, jesteś słaba jak kociak. - Otulił ją starannie kocem, mimo woli zauważając nagie, białe udo wysuwające się spod przykrycia. Było to zdecydowanie udo kobiety, nie dziecka.

- Ile właściwie masz lat, panno Winters?

- Dziewiętnaście.

Dziewiętnaście. Boże, naprawdę dorosła.

- Powinnaś mieć zatem więcej rozumu. I pozwolić, bym ci pomógł. - Posadził ją na powrót na łóżku.

- Kiedy ostatnio jadłaś?

- Ja... nie pamiętam.

- A niech to diabli. - Pomaszerował ku drzwiom, przywołując chłopca okrętowego, Dic-keya Tabora. Niezdarny chłopak wybiegł z przyległej, malutkiej kabiny, gdzie sypiał.

- Tak, proszę pana, to znaczy kapitanie.

- Przynieś pani trochę rosołu i chleba, a skoro jesteśmy już przy temacie, przynieś też dla mnie szklaneczkę brandy. Nagle poczułem, że muszę pilnie się napić.

Dickey otworzył szeroko oczy na widok kobiety siedzącej na szerokiej koi kapitana.

- Tak, kapitanie. Już się robi, kapitanie. - I ruszył biegiem do kuchni, a Marcus odwrócił się znów do Brandy Winters.

- W porządku, spójrzmy na twoją nogę. - Uniosła ostrożnie koc, obnażając smukłą kostkę i małą, bardzo kobiecą stopę o wysokim podbiciu. Na ten widok Marcusa ścisnęło podejrzenie w dołku. Chrząknął, a potem powiedział: - No już, panno Winters. Nie mogę przeznaczyć na to całej nocy.

Jej blade policzki pokrył delikatny rumieniec.

- Oczywiście. - Uniosła koc wyżej, obnażając kształtną łydkę, i dziwne uczucie przeniosło się z żołądka Marcusa niżej, na trzewia.

Boże święty, to dziewczątko, któremu rzadko poświęcał więcej niż jedną myśl, podniecało go!

Tylko że była to niezupełnie prawda. W ciągu kilku ostatnich lat zdarzało mu się myśleć o Brianne Winters, a nie dalej jak przed kilkoma dniami wspomnienie jej twarzy wręcz go prześladowało.

Jak powiedziała, nie była już dzieckiem. To nie na dziecięcą nóżkę łakomie spoglądał, lecz na kobiecą łydkę, kolano z dołeczkiem i bardzo kobiece udo. Jego ciało zareagowało jeszcze gwałtowniej. Jak to dobrze, że mam na sobie płaszcz, pomyślał. Był ciężki, wełniany i doskonale zakrywał niepożądaną erekcję.

- Gdzie cię boli? Ach tak, już widzę. - Skrzynia uderzyła ją mocno w nogę, siniacząc skórę, lecz jej nie przecinając. Brandy zeszywniała z bólu, kiedy ucisnął palcami skraj tworzącego się zasinienia, wyglądało jednak na to, że nic nie zostało złamane.

- Mówiłam, że wszystko w porządku.

- Tak, mówiłaś, i miałaś w tym przypadku rację. Lecz chyba cię boli?

Odwróciła wzrok.

- Trochę.

Wrócił Dickey, prowadząc Hamisha Bassa. Gdy weszli, Marcus opuścił dyskretnie koc, dziwnie niechętny temu, by ktoś poza nim oglądał obnażone nogi Brandy.

- Co z nią? - zapytał Hamish.

- Paskudne rozcięcie na głowie. Kilka siniaków. Nic, czego by czas nie uleczył. Co z ładunkiem?

Dalście radę go zabezpieczyć, nim spowodował poważniejsze problemy?

- Wszystko w porządku, kapitanie. Został umocowany i ani drgnie. Nie powinniśmy mieć z nim więcej kłopotów.

- Nie powinniśmy mieć z nim w ogóle kłopotów i chciałbym się dowiedzieć, dlaczego stało się inaczej. - Marcus wziął od Dickeya tacę z rosółem i pajdą ciemnego razowego chleba. Chłopak postawił szklaneczkę z brandy na stoliku przy łóżku, nie odrywając wzroku od spoczywającej na nim kobiety.

- Będziemy musieli odstawić ją z powrotem, kapitanie? - zapytał, wyraźnie niezadowolony.

Marcus zmarszczył brwi. Gniew, który zdążył nieco już przygasnąć, rozgorzał w nim na nowo.

- Nie ma na to czasu. Nie, jeśli nie chcemy mieć opóźnienia. - Odwrócił się i utkwiał gniewne spojrzenie w dziewczynie, która przygryzła pełną dolną wargę. - Zakładam, że mimo ostatnich przeżyć nadal chcesz zobaczyć wyspy, panno Winters, gdyż teraz nie masz już wyboru: popłyniesz z nami.

Brandy nie odezwała się, westchnęła tylko z ulgą, a kapitan poczuł, że jego złość rośnie.

- To wszystko, panowie - powiedział do mężczyzn. - Muszę przedyskutować kilka spraw z panną Winters.

Mężczyźni wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- Tak jest, kapitanie - powiedzieli w końcu i wyszli. Marcus odczekał, aż zamkną się za nimi drzwi, a potem odwrócił się gwałtownie i spojrzał na dziewczynę.

- W porządku, Brianne. Najwyższy czas, byśmy porozmawiali o tym, co dokładnie robisz na moim statku. Nie wiem, jaką diabelską grę zdecydowałaś się prowadzić, kiedy zakradłaś się na pokład, ale...

- To nie była gra. Uniósł brwi.
- Nie? A więc uciekasz? Zważywszy na okoliczności, miałoby to przynajmniej trochę sensu.
- Nie uciekam.

Zacisnął szczęki, aż zadrgały mu mięśnie.

- Ośmielę się zatem spytać, jaki był cel tej małej wyprawy?

Spuściła wzrok i jęła skubać skraj wełnianego koca. Widział, że drżą jej dłonie.

- Trudno to wyjaśnić.

- Spróbuj.

Zerknęła w bok, na kubek z parującym rosołem. Woń zupy musiała widać do niej dotrzeć, oblizła bowiem bezwiednie wargi.

Marcus zmarszczył brwi, a potem wyrzucił dłonie w powietrze i powiedział:

- Na miłość boską, zjedz coś. Musisz odzyskać siły. Możemy porozmawiać, gdy skończysz. - Sięgnął po brandy, upił solidny łyk, odstawił szklankę z hukiem na stół i ruszył pospiesznie ku drzwiom. - Jedno niech będzie dla ciebie jasne, panienko - powiedział, otwierając je. - „Morski Jastrząb” to nie statek pasażerski, a ty nie jesteś tu gościem. Zakradanie się na niego było głupim, niebezpiecznym pomysłem. Do rana zadecyduję, jaką karę będziesz musiała za to ponieść.

Zatrzasnął za sobą drzwi, nadal wściekły. Wyszedł na pokład i wciągnął chciwie do płuc chłodne powietrze. Co za czort ją opętał? Ostatnie, czego mu było trzeba na pokładzie, to kobieta - zwłaszcza tak młoda i ładna jak Brianne Winters. Zaklął cicho, zastanawiając się, co, u licha, zrobić z dziewczyną.

I co za pech sprawił, że wybrała akurat jego statek.



### Rozdział 3

Brandy zadrżała, i to bynajmniej nie z zimna. Boże, wiedziała przecież, że będzie zły. Przywykł, że jego polecenia słuchano, i zawsze miał piekielny temperament. Jednakże siła tego gniewu ją zaskoczyła.

Przysiągł, że ją ukarze. Z pewnością nie miał na myśli bicia...?

Prawdę mówiąc, nie była wcale pewna. Tak właśnie postąpiłby jej ojciec. Tak postąpi, poprawiła się w myśli, gdy tylko postawię znów stopę na lądzie. Nauczyła się znosić okrutne traktowanie ze strony Wielkiego Jake'a i pogodziła się z tym, iż będzie musiała zapłacić za uczestnictwo w wielkiej przygodzie. Nie spodziewała się jednak, że Marcus Delaine może okazać się równie bezlitosny, i teraz czuła się cokolwiek rozczarowana.

To bez znaczenia, powtarzała sobie, sadowiąc się wygodniej na łóżku. Zobaczysz świat, a cokolwiek się wydarzy, będzie tego warte. Mimo to na wspomnienie zaciśniętych w grymasie gniewu ust kapitana i twardego spojrzenia jego oczu przenikało ją drżenie.

Zerknęła na kubek z rosółem, ale nie była już głodna. Niepewność sprawiała, że ścisnęło ją w żołądku. Podniosła bryczesy, które leżały złożone schludnie na krześle obok łóżka, i je włożyła, krzy-

wiąc się, gdy szorstki materiał podrażnił bolące miejsce na nodze. W głowie czuła bolesne pulsowanie, ale przynajmniej nie miała mdłości.

Spojrzała raz jeszcze na rosół. Od dawna nie zjadła nic pożywnego, a jak powiedział kapitan, musi odzyskać siły. Nie była pewna, kiedy Marcus wróci, a chciała być przygotowana. Spróbowała zupy. Zmusiła się, by przełknąć kilka razy. Oderwała kawałek chleba i udało jej się go zjeść. Najwidoczniej przywykła już do kołysania.

Uśmiechnęła się na wspomnienie drobnego mężczyzny, który pomógł jej przetrwać w ukryciu. Wiedziała, że ryzykował, i zamierzała jakoś mu to wynagrodzić. Przełknęła łyk rosółu, wracając myślami do niebezpiecznego epizodu w ładowni i tego, jak Marcus bez wahania pospieszył jej z pomocą. Czuła się tak bezpieczna, kiedy niósł ją na rękach do kabiny. Bezpieczna i chroniona. Cóż, w końcu podkochiwała się w nim, odkąd pamięta.

Na myśl o tym, że wszystko to legnie w gruzach, gdy Marcus zdecyduje się ją ukarać, zrobiło jej się smutno.

Marcus nie wrócił, aż było dobrze po północy. Burza w końcu ustała, jednak przesuwający się ładunek uszkodził ster i trzeba było go naprawić, nim statek wyruszy w dalszą drogę.

Z niedających się wyjaśnić powodów odczuwał niechęć na myśl o zejściu do kabiny. Uświadomienie sobie tego sprawiło, że jego nastrój jeszcze się pogorszył. Do licha, dziewczyna sprawiała jedynie kłopoty. Zawsze była lekkomyślna, nawet w dzieciństwie. Jednak tym razem będzie musiała po-

nieść konsekwencje swego zachowania. Już on tego dopilnuje.

Ruszył zdecydowanie ku schodni. Zapukał krótko, a potem wszedł, nie czekając na pozwolenie. Sądził, że będzie spała, jednak posiłek, prawie nietknięty, stał na tacy, Brandy zaś siedziała sztywno na krześle przy koi. Podskoczyła przestraszona, kiedy otworzył gwałtownie drzwi.

Zobaczył, że drży, i zmarszczył brwi.

- Nie jadłaś. Nadal jest ci niedobrze?

- Nie, ja... Nie byłam głodna.

- Dlaczego nie jesteś w łóżku? Miałaś odpoczywać. Sądziłem, że wyrażam się jasno. Powiadomiłem cię przez Dickeya, że spędzisz noc w mojej kabinie.

- Powiedział mi. A także to, że najpewniej opuści pan pokład dopiero po północy.

-1 oto jestem.

Wstała, ubrana na powrót w nazbyt obcisłe bryczesy. Tylko że nie było na świecie mężczyzny, który wyglądałby równie ponętnie w szorstkiej brązowej wełnie. Gruby miedziany warkocz przerzucony przez ramię ocierał się kusząco o krągłą pierś.

- Przepraszam, kapitanie. Nie za to, że tu jestem, ale za wszelkie niedogodności spowodowane tym, że ukryłam się na pańskim statku. Wiem, że nie powinnam była tak postąpić, nie mogłam jednak zmarnować okazji. Jestem gotowa ponieść karę, jaką zechce pan mi wymierzyć.

Brodę trzymała wysoko uniesioną, lecz drżały jej dłonie. Zacisnęła je więc kurczowo przed sobą, aż zbieleły knykcie.

Uświadomił sobie, że dziewczyna jest przerażona, choć rozpaczliwie stara się to ukryć. Zagroził, że ją ukarze. I nagle dotarło do niego, że dla Brianne Winters mogło to oznaczać tylko jedno.

- Boże święty, nie sądziłaś chyba, że zamierzam cię zabić?

Wyprostowała nieco bardziej ramiona.

- A nie zamierza pan? Zrobiło mu się niedobrze.

- Oczywiście, że nie. Nawet nie przyszło mi to do głowy. Twój ojciec stosował ten rodzaj kary przez lata i na nic się to nie zdało. Twoja obecność tutaj stanowi najlepszy dowód.

Wyraźnie trochę jej ulżyło, stała jednak nadal sztywno wyprostowana.

- Co zatem?

Marcus wpatrywał się w nią, rozdarty pomiędzy gniewem a litością.

- Dlaczego uciekłaś?

- Powiedziałam panu: nie uciekłam. Wybrałam się w podróż do miejsca, którego nigdy nie widziałam, nowego i ekscytującego - miejsca poza murami tawerny Pod Białym Koniem.

Trawił to przez chwilę. Prawdę mówiąc, rozumiał, co nią kierowało, był jednak nadal zły, że wybrała jego statek, przysparzając kłopotów.

- Dlaczego akurat „Morski Jastrząb”? W porcie było mnóstwo statków. Czy to jedynie pechowi zawdzięczam, że wybrałaś mój?

Zarumieniła się lekko.

- Wybrałam go, ponieważ wypływał w krótki rejs. I choć zdawałam sobie sprawę, że samotne podróżowanie jest dla kobiety niebezpieczne, wierzyłam, że zdoła pan zapewnić mi bezpieczeństwo.

- I mimo to uznałaś, że zechcę cię zabić. Wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok.

- Przypuszczam, że w głębi serca tak naprawdę w to nie wierzyłam.

Coś ścisnęło go w środku.

- Wierzyłaś, że potrafię zapewnić ci bezpieczeństwo... czy nie to właśnie powiedziałaś?

-Tak.

- I miałaś rację. Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że twoja reputacja legła w gruzach, kiedy zakradłaś się na statek z pięćdziesięcioma mężczyznami na pokładzie.

- Pracuję w tawernie, kapitanie. Nie mam reputacji. Prawda, choć nie powinno tak być, pomyślał.

- Doskonale, więc skoro zgadzamy się w tym punkcie, pozostaniesz na czas podróży w tej kajucie.

Dickey Tabor będzie musiał przenieść się do Hamisha Bassa. Zajmiesz jego kwatery. Znajduje się za tą zasłoną. - Wskazał dłonią kierunek. - To jedyne miejsce, które mogę uznać za jako tako bezpieczne. -

Odszedł od drzwi i jął przemierzać kabinę. - Warunki są tam dość spartańskie, lecz póki nie wrócimy do Charlestonu, będą musiały ci wystarczyć.

- Dziękuję, kapitanie. Jestem wdzięczna za wszystko, co pan dla mnie robi. Jeśli zaś chodzi o rejs, zaoszczędziłam trochę pieniędzy. Miałam nadzieję, że...

Zatrzymał się, a potem odwrócił.

- Powiedziałem, panno Winters, że „Morski Jastrząb” nie jest statkiem pasażerskim. Załoga pracuje na swoje utrzymanie, i ty też będziesz.

Wyprostowała jeszcze bardziej ramiona.

- Nie boję się pracy. Wolałabym nawet mieć coś do roboty.

- Zatem tak właśnie się stanie. Gdy tylko lepiej się poczujesz, będziesz pracowała z okrętowym kucharzem, panem Lambem. Czas wolny będziesz spędzała tutaj.

- Tutaj? To znaczy w kabinie?

- Właśnie to miałem na myśli. Nie wyjdiesz z tego pomieszczenia, chyba że w towarzystwie pana Bassa lub pana Lamba.

- To znaczy, że nie będę mogła wyjść na pokład?

- Dokładnie to powiedziałem i miałem na myśli.

- Ale to śmieszne. Nie zadałam sobie tyle trudu po to, by siedzieć zamknięta w kabinie.

- Ale tak właśnie będzie. Inaczej znajdziesz się na łasce pięćdziesiątki spragnionych kobiety mężczyzn. - Brandy zbladła odrobinę. - Żebyśmy dobrze się zrozumieli. Załoga „Jastrzębia” to w większości porządni ludzie, ale, jak na każdym statku, znalazłoby się tu też kilku mniej szacownych. A tam, gdzie chodzi o kobietę, trudno powiedzieć, jak mogą się zachować.

- Wychowałam się w tawernie. Potrafię zatroszczyć się o siebie.

Marcus uniósł brwi.

- Doprawdy? I jak ci się to udało podczas tej wyprawy?

Brandy splonęła rumieńcem, lecz się nie odezwała. Przez chwilę milczał także Marcus.

- Robi się późno - powiedział w końcu. - Proponuję, żebyś udała się na swoją kwaterę i nieco zdrzemnęła. Załoga spodziewa się dostać wcześniej śniadanie. Ktoś obudzi cię przed świtem. Jeśli będziesz czuła się wystarczająco dobrze, podejmiesz obowiązki.

- Jestem pewna, że będę. - Obserwował, jak odwraca się i podchodzi do zasłony, a krągły tyłeczek okryty szorstką wełną porusza się z kobiecym wdziękiem. Zalała go fala ciepła i spłynęła w dół, umiejscawiając się w kroczu.

Boże święty, będzie dzieliła z nim kwaterę, spała w maleńkiej kajucie, oddalona zaledwie o kilka

stóp. Przez lata wmawiał sobie, że jest zbyt młoda, dziecko niemal, które wyrosło dopiero co ze szkolnych lat. Obserwował, jak z dziewczęcicia zmienia się w kobietę, smukłą i ponętą. Próbował ignorować rodzący się pociąg, na próżno jednak. Ze swymi płomiennymi włosami i wysokimi, bujnymi piersiami Brianne Winters stanowiła nie lada pokusę.

Rejs na Bahamy może wydać się Brandy krótki, dla niego trwać będzie jednak całe wieki.

Brandy mościła się na wąskiej koi z lekkim uśmiechem na ustach. Marcus był zły - a właściwie wściekły - lecz nie okazał się okrutny. Nie przypominał w niczym jej ojca, ani trochę.

Zalała ją fala ciepłych uczuć, jak zwykle, kiedy myślała o Marcusie Delaine. I choć bała się kary, którą mógł jej wymierzyć, nie mogła się powstrzymać, by nie myśleć o tym, jaki jest przystojny, jak świetnie skrojony, granatowy surdut opina jego szerokie ramiona, a gęste, czarne, wijące się kosmyki opadają mu na kołnierzyk.

To prawda, bała się, nie wiedząc, jaki obrót przybiorą sprawy, lecz w końcu Marcus zachował się bardzo przyzwoicie. We wszystkich sprawach, z wyjątkiem polecenia, by przebywała przez cały czas w kabinie. Trudno, później postara się, by zmienić zdanie. Na razie czuła się szczęśliwa: przebywała na pokładzie, w ciepłym łóżku, bezpieczna i gotowa na przygodę. Rozebrała się, przywdziała pozostawioną dla niej koszulę chłopca okrętowego, po czym weszła do łóżka i naciągnęła na siebie koc. Choć w głowie nadal czuła bolesne pulsowanie, to nie ból, lecz pod-

ekscytowanie nie pozwalało jej zasnąć. Jutro rozpocznie wymarzoną podróż. Nie mogła doczekać się świtu.

\*\*\*

Marcus przykucnął w ładowni obok Hamisha. Wziął do rąk złamany fragment barierki, podniósł go i uważnie obejrzał w świetle trzymanej przez matę latarni. Przyglądał się rysie, która mogła być pozostałością po nożu lub pile, a także śladom na boku. Wyglądały, jakby zostawił je młot.

- Ten fragment został osłabiony, podobnie jak wiele innych. Gdyby Dobbs nie przebywał akurat na dole, kiedy ładunek zaczął się przemieszczać, nie skończyłoby się na uszkodzeniu steru. Przewalające się swobodnie skrzynie mogły wywrócić statek.

- Gdybym wierzył w takie bzdury, powiedziałbym, że nad tym statkiem ciąży klątwa - odparł zaniepokojony Hamish.

- To nie klątwa, lecz dzieło ludzkich rąk. Ktoś stara się przysporzyć nam kłopotów. Członek załogi albo ktoś z zewnątrz, wynajęty, aby dokonać sabotażu. Tak czy inaczej, musimy dowiedzieć się, kim jest.

- Tak właśnie zrobimy.

- Musimy też dopilnować, by coś takiego się nie powtórzyło.

Hamish podrapał się po bujnej siwej brodzie.

- To nie będzie łatwe. Nie ma powodu, by podejrzewać konkretną osobę. Wszyscy zachowują się jak zwykle. To może być ktokolwiek.

Marcus przesunął palcem po złamanym fragmencie, przyglądając się linii cięcia.

- Do licha, dlaczego to robią? Co starają się udowodnić?



- Nie mam pojęcia, kapitanie. Gdybyśmy to wiedzieli, łatwiej byłoby wykryć sprawcę. Hamish miał bez wątpienia rację. Ktoś próbował przysporzyć kłopotów Towarzystwu Żeglugowemu Hawksmoor. Ale po co? Kto stał za aktami sabotażu? I co starano się osiągnąć? Żałował, że tego nie wie.

- Chcę, by podwojono wachty. Jeśli ktokolwiek zobaczy coś, co wyda mu się podejrzane, niech powie o tym tobie lub mnie.

- Tak jest, kapitanie. Dopilnuję tego osobiście. Marcus skinął jedynie głową. Martwił się, to pewne. W końcu odpowiadał za życie blisko pięć-dziesięcioosobowej załogi, a teraz także jednej drobnej kobiety.

Brandy wreszcie zasnęła, choć wcale się tego nie spodziewała. Nie obudzono jej, jak zapowiedział Marcus, a gdy się ocknęła, był już późny ranek. Przez bulaj, jeden z szeregu znajdujących się kapitańskiej kajucie, wpadały słoneczne promienie. Usiadła gwałtownie i aż jęknęła, gdy ostry ból przeszył jej czaszkę.

Odczekała, póki pulsowanie nie osłabło. Poruszając się powoli, wstała i podeszła do stołu, na którym dostrzegła porcelanowy dzbanek. Poza łóżkiem i stojącym pod nim nocnikiem w pomieszczeniu nie było nic więcej.

Nalała wody do miski i opłukała twarz, z ulgą przekonując się, że póki nie wykonuje gwałtownych ruchów, czuje się niemal normalnie. Skończywszy pobieżną toaletę, ubrała się i wysunęła głowę zza zasłony.

Kapitan, oczywiście, dawno już wstał i przez chwilę czuła się winna, że nie pracuje od świtu, jak inni członkowie załogi. Zdecydowana odszukać Marcusa albo przynajmniej kuchnię i pana Lamba, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Plama światła na jego końcu odpowiedziała jej, gdzie znajduje się schodnia. Już miała wyjść na pokład, lecz kiedy podniosła wzrok, zobaczyła czarne, wyglansowane buty, a powyżej parę długich muskularnych nóg w obcisłych czarnych bryczesach. Wąskie biodra i talia przechodziły w barki, szerokie niemal jak otwór schodni. Marcus Delaine zmarszczył ponuro brwi i spojrzał w dół, na Brandy.

- Mogę zapytać, co robisz poza kabiną, panno Winters? - zapytał tonem mrozącym krew w żyłach. - Powiedziałem chyba, że nie wolno ci opuszczać kajuty.

- Ja... - Zeszła stopień niżej, a potem jeszcze jeden. - Prawdę mówiąc, szukałam pana. Jestem gotowa do pracy. Pomyślałam, że jeśli znajdę pana lub kuchnię, będę mogła wziąć się do roboty.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, przetrawiając nowiny.

- Chodź tutaj.

Zaczerpnęła tchu i ruszyła znów w górę. Wyszła na pokład i zatrzymała się parę kroków od niego.

Zmierzył ją od stóp do głów spojrzeniem ciemnoniebieskich oczu i Brandy poczuła, że coś poruszyło się jej w żołądku.

- Jesteś pewna, że czujesz się na tyle dobrze, aby pracować? Głowa nie boli?

- Tylko trochę. Nie ma się czym przejmować. Przepraszam, że zasnęłam. Gdyby ktoś mnie obudził...

- Spałaś jak zabita. Musiałaś być wyczerpana. Sen przywrócił ci rumieńce.

Uśmiechnęła się ciepło.

- Powiedziałam, że wszystko ze mną w porządku i jestem gotowa odpracować przewóz.

- Doskonale. Zaprowadzę cię do kuchni. Pan Lamb powie, co masz robić. - Ruszyli, idąc obok siebie, jednak po chwili Marcus zatrzymał się, odwrócił i utkwivszy w dziewczynie mroczne spojrzenie, powiedział: - Nie przypuszczam, byś miała tu inne stroje. Bryczesy to nieodpowiedni strój dla kobiety. Spojrzał wymownie na jej opięte materiałem pośladki i Brandy poczuła, że się rumieni.

- Musiałam jakoś dostać się na statek. Przebrana za mężczyznę nie zwracałam na siebie uwagi.

Marcus wydawał się zaskoczony, jakby to, iż można byłoby wziąć ją za mężczyznę, nie mieściło mu się w głowie. Powiedział jednak tylko:

- Nie możemy chyba nic na to poradzić, przynajmniej póki nie znajdziemy się w porcie.

- Prawdę mówiąc, zabrałam kilka rzeczy. Zamierzałam się przebrać, kiedy już wyjdę na pokład. Gdyby zechciał pan poprosić pana Dobbsa, żeby przyniósł z ładowni mój tobołek, byłabym bardzo wdzięczna. Wyraz twarzy Marcusa zmienił się, a rysy stwardniały.

- Dopilnuję, by przyniesiono ci ubranie, lecz to nie Dobbs je dostarczy. Przez twoją bezmyślność spędzi większą część rejsu zamknięty w ładowni.

- Co takiego?

- Dobrze słyszałaś. Zmusiłaś go, by przedłożył twoją prośbę ponad rozkazy. Na statku podobny błąd mógłby mieć poważne konsekwencje. Nieposłuszeństwo nie może pozostać bez kary. Dobbs to wie, załoga to wie, a teraz wiesz także ty.

- Ale to nie w porządku! Pan Dobbs był po prostu uprzejmy! Błagałam go, aby mi pomógł. Ja... nakłoniłam go do tego podstępem. Jeśli ktoś ponosi tu winę, to tylko ja.

- Nie będę sprzeczał się z tobą w tym względzie. Niestety, nie jesteś członkiem załogi, a Dobbs przeciwnie. Wiedział, że czeka go kara, mimo to postanowił utrzymać twoją obecność w tajemnicy. Skutki mogły okazać się katastrofalne.

-Ale...

- Temat zamknięty, panno Winters. A teraz, skoro twierdzisz, że czujesz się na siłach, ruszajmy do kuchni.

Otworzyła usta, aby powiedzieć coś jeszcze, jednak kapitan szybko się oddalił. Musiała niemal biec, by za nim nadążyć. Dogoniła go i chwyciła za ramię.

- Tam, na dole, jest zimno, wilgotno i wprost roi się od robactwa. To, że kazał pan zamknąć tam pana Dobbsa, to barbarzyństwo.

W twarzy drgnął mu mięsień.

- Ale nie uważałaś za barbarzyństwo tego, że pozwolił tam zostać tobie, i to przez ponad pół tygodnia?

- To coś innego. Sama go prosiłam.

- Tak, prosiłaś, a on wolał spełnić twoją prośbę, niż podporządkować się rozkazom.

- Jednakże... I tak uważam to za niesprawiedliwe. Odwrócił się i przewiercił ją spojrzeniem ciemnoniebieskich oczu.

- Życie rzadko bywa sprawiedliwe, panno Winters. Lecz w tym przypadku uważam, że sprawiedliwości stało się zadość. Pan Dobbs został zamknięty w ładowni za to, że nie wypełnił rozkazu. Ty zostałaś zamknięta w mojej kabynie. Może w przyszłości żadne z was nie popełni podobnego błędu.

Odwrócił się i ruszył pośpiesznie przed siebie. Brandy, choć gotowała się w środku na myśl o tym, co spotkało biednego Dobbsa, pognała za kapitanem. Było oczywiste, że nic, co zrobi lub powie, nie skłoni go do zmiany zdania.

Szli w milczeniu przez pokład, aż dotarli do nadbudówki, w której mieściła się kuchnia. Idąc, czuła na sobie spojrzenia marynarzy, słyszała rubaszny śmiech i wulgarne uwagi. Marcus też musiał je słyszeć, zeszywniał bowiem, a przed drzwiami kuchni odwrócił się i powiedział:

- Może to jednak kiepski pomysł. Może powinnaś zostać po prostu w mojej kabinie.

- Nie! - zaprotestowała żarliwie. - Ja... proszę, kapitanie. Mam w tobołku spódnicę i bluzkę. Gdy tylko go odzyskam, przebiorę się w bardziej odpowiedni strój.

Skinął sztywno głową.

- Dobrze. Może to wystarczy.

Weszli do kuchni. Mieściła się w stojącej wolno nadbudówce, co, jak wiedziała, miało na celu zmniejszenie ryzyka rozprzestrzenienia się pożaru. Marcus zwrócił się do kucharza: niskiego, baryłko-watego mężczyzny z czerwonym, kartoflowatym nosem i wielkimi, różowymi uszami.

Pomyślała, że wygląda trochę jak elf.

- Panno Winters, oto pan Lamb. Cyrusie, panna Winters będzie pomagała ci podczas rejsu w kuchni.

Chętnie zrobi wszystko, co jej powiesz.

- Proszę... Mam na imię Brandy.

- Brandy? - powtórzył mężczyzna. Mówił z irlandzkim akcentem. Wydawało jej się, że widziała go parę razy w tawernie, nie była jednak tego pewna. - A cóż to za imię dla dziewczyny?

Uśmiechnęła się do jego przyjaznej twarzy.

- Tak naprawdę nazywam się Brianne. Najwidoczniej w dzieciństwie trudno było mnie okiełznać i ojciec dawał mi kilka łyków brandy na lepszy sen. W końcu nabrałam do niej upodobania, i stąd przydomek. Mężczyzna opuścił krzaczastą brew.

- Nadal masz słabość do tego diabelskiego napitku?

Uśmiechnęła się.

- Przyznaję, że wciąż mi smakuje. Rzadko wypijam jednak więcej niż szklaneczkę sherry. Zapewniam, panie Lamb, że nie jestem pijaczką.

Roześmiał się serdecznie.

- Skoro tak, w porządku. Nie wątpię, że szybko się dogadamy.

Marcus ruszył ku drzwiom.

- Teraz, kiedy omówiliśmy już gusta panny Winters w kwestii trunków, zostawię was, byście zajęli się robotą.

- Tak jest, kapitanie. - Zażywny człowieczek mrugnął do niej i się uśmiechnął. - Biała fasola z wieprzowiną. To im zawsze smakuje. Może panienska Brandy upiecze trochę chleba.

- Chyba dam radę. - Uśmiechnęła się, a kucharz odpowiedział uśmiechem. Zerknęła ku drzwiom i zobaczyła, że Marcus przygląda się jej z dziwnym wyrazem twarzy.

Spostrzegłszy, że na niego patrzą, zmarszczył natychmiast brwi i powiedział:

- Spodziewam się, że kiedy skończycie, odstawię ją bezpiecznie do mojej kajuty.

Cyrus Lamb zacisnął z lekka wargi.

- Tak zrobię, kapitanie. Proszę się nie obawiać, trafi tam nienaruszona.

Żaden z mężczyzn nie powiedział nic więcej, podobnie Brandy. Milczała, zastanawiając się w duchu, co miała znaczyć ostatnia wymiana zdań.

Stało się tak, jak przewidział: wieść o tym, że na pokładzie znajduje się kobieta, obiegła statek z szybkością błyskawicy. Pasażerka na gapę została znaleziona w ładowni i przebywa teraz w kajucie kapitana. Choć nie sprowadzał dotąd kobiet na pokład i nie afiszował się z romansami, żaden z mężczyzn nie wydawał się zaskoczony tym, że wziął dziewczynę pod opiekę.

Założyli, że w zamian pozwoli mu korzystać ze swoich wdzięków.

Burknął pod nosem coś, czego, jak miał nadzieję, nikt nie usłyszał. Niech myślą, co chcą. Jeśli uznają, że Brandy jest jego kochanką, będzie bezpieczniejsza. Absolutnego bezpieczeństwa nie mógłby zagwarantować dziewczynie w inny sposób, jak tylko przetrzymując ją w kabinie, zamkniętą przez cały czas na klucz. „Morski Jastrząb” rzadko zawijał ostatnio do portu i marynarze nie mieli zbyt wielu okazji, by zaspokoić swoje potrzeby. A Brianne bez wątpienia stanowiła pokusę.

Wielu znało ją z tawerny. Obserwowali dziewczynę przy pracy, kiedy schylała się nad stołami, wycierając je i kręcąc bezwiednie zgrabnym tyłeczkiem. Oczarowywała ich słodkim uśmiechem, podczas gdy jej piersi napierały na materiał prostej bluzki. Pożądali jej wtedy, i pożądają teraz.

Prawdę mówiąc, trudno ich winić. Delaine westchnął i potrząsnął głową. Burcząc i przeklinając

pod nosem pecha, ruszył wzdłuż pokładu, sprawdzić, jak postępuje naprawa steru.

Brandy zamieszała ogromną chochlą w kotle zawierającym wieprzowinę z fasolą. Kociołek stał na starym żelaznym piecu. Wokół unosiła się para. W kuchni, mimo otwartych drzwi, panował wilgotny upał. Strużka potu spływała jej między piersiami. Poza tym, choć „Morski Jastrząb” stał na kotwicy, unosił się na falach, a osobie nienawykłej trudno było utrzymać równowagę.

Odsunęła z oczu nieposłuszny kosmyk, chwyciła ręcznik i sięgnęła w głąb paleniska, żeby wydostać kolejny bochen chleba. Gotowanie dla tak licznej załogi stanowiło wyzwanie nie lada, pracę równie ciężką, jak w tawernie. Wykonywała ją jednak z ochotą, gdyż w zamian dano jej szansę, by mogła zobaczyć kawałek świata.

Poza tym wesołe usposobienie Cyrusa czyniło zadanie cokolwiek lżejszym.

- Cóż, dziewczyno, co myślisz teraz o „Jastrzębiu”?

Brandy się uśmiechnęła.

- Wydaje się w porządku, chociaż słyszałam, jak kapitan mówił, że macie kłopoty ze sterem. Domyślam się, że to dlatego nie rozwinęliśmy jeszcze żagli. Jak pan myśli, ile czasu zajmie naprawa?

Wytarł ręce w ścierkę i wetknął ją w kieszeń brązowego skórzanego fartucha.

- Niezbyt długo. Wkrótce wszystko będzie znowu w porządku i poniesiemy żagle.

Postawiła blachę z chlebem na przymocowanym do stołu żelaznym trójnogu.



- Żałuję, że nie mogę obejrzeć statku dokładniej, ale kapitan upiera się, bym siedziała w zamknięciu.

Może za jakiś czas...

- Lepiej posłuchaj kapitana, dziewczyno, i trzymaj się z dala od mężczyzn. Gdyby uznali, że mają szansę cię dorwać, walczyliby o taką ślicznotkę jak psy o kość.

Zarumieniła się na samą myśl o tym, iż może to być prawda, i zmieniła pośpiesznie temat.

- Z pewnością nie mogą skarżyć się na wyżywienie. - Kuchnię wypełniał smakowity zapach mięsa, fasoli i świeżo upieczonego chleba. - Sądziłam, iż marynarze żywią się głównie zarobaczonymi sucharami i owsianką.

- Nie wtedy, kiedy kucharzem jest Cyrus Lamb. Oczywiście, podczas długich rejsów, kiedy trudno o świeże mięso, bywa i tak, że dostają jedynie owsiankę i suchary. Lecz w trakcie tej podróży wody i jedzenia mamy pod dostatkiem.

Brandy milczała przez chwilę, wyraźnie się nad czymś zastanawiając, a potem spytała:

- Skoro tak, może starczyłoby jej też na kąpiel? Z pewnością by mi się przydała.

- Zapewne. Nie powinno być z tym kłopotu, jeśli będziesz wystarczająco miła dla kapitana.

*Wystarczająco miła.* Pomyślała o Dobbsie przetrzymywanym w wilgotnej, ciemnej ładowni i poczuła gwałtowną chęć, by zdzielić Marcusa w głowę. Zamieszała znów chochlą w garnku i postukała nią o brzeg mocniej, niż zamierzała. Odłożyła chochlę i wyładowała gniew, przystępując z zapalem do sprzątania.

Cyrus wstawił do zlewu wielki gar, nalał do środka gorącej morskiej wody, dodał trochę ługu i jął szorować naczynie.

- Spochmurniałaś, skarbie. Czy praca wydaje ci się zbyt ciężka?
- Nie! Nie mam nic przeciwko pracy. - Uśmiechnęła się. - Zwłaszcza w tak miłym towarzystwie.
- Co więc cię martwi?

Odstawiła pustą blachę na ciężki drewniany stół.

- Chodzi o Joshuę Dobbsa. Kapitan kazał zamknąć go w ładowni, i to przeze mnie. To taki miły człowiek. Uważam, że potraktowano go niesprawiedliwie.

- Przeciwnie, dziewczyno. Każdy członek załogi ma obowiązek donieść, że na pokładzie przebywa ktoś nieupoważniony. Josh wiedział o tym, lecz postanowił milczeć. Kapitan musiał go ukarać, inaczej miałby kłopoty z załogą. Josh ma szczęście, że skończyło się na karcerze i ograniczonych racjach. Mogło być znacznie gorzej.

Ograniczonych racjach? Biedny pan Dobbs. Brandy nie powiedziała już nic więcej, w środku wrzała jednak z gniewu. Może Marcus rzeczywiście nie miał wyboru i do pewnego stopnia go rozumiała. Pan Dobbs cierpiał jednak z jej winy i nie mogła tak po prostu tego zignorować.

Pracowali przez cały dzień, gotując i sprzątając, a potem zaczęli wszystko od nowa. Nakarmienie załogi liczącej pięćdziesięciu mężczyzn stanowiło niekończące się zadanie. Dickey Tabor, chłopiec okrętowy, podawał posiłki. Brandy pozostała w kuchni, poza zasięgiem wzroku marynarzy. Potem usiedli w trójkę, by zjeść. Dickey przyglądał się jej przez cały czas podejrzliwie, traktując jak uzurpatorkę, która zajęła jego miejsce przy kapitanie. Próbowwała go rozruszać, miała bowiem nadzieję, że zostaną przyjaciółmi, chłopak pozostał jednak naburmuszony i w końcu dała sobie spokój.

Od czasu do czasu ktoś z załogi zaglądał pod byle pretekstem do kuchni. Hamish Bass pojawił się kilka razy. Przystojny młody marynarz o jasnych włosach, Brigham Butler, przyszedł opatrzeć rozcięcie, którego się nabawił, pracując na rejach. Cyrus opatrzył ranę i przegonił go z kuchni, nie wcześniej jednak, nim ten obdarzył Brandy bezczelnym uśmiechem i dokładnie się jej przyjrzał.

Jako następny pojawił się łysy marynarz wyglądający na twardziela, Jillian Sharpe. Przyniósł beczułkę solonych śledzi. Cyrus wymamrotał podziękowanie i szybko wyprawił mężczyznę za drzwi.

No i przybyła też inna osobistość: kotka, zwana Dandelion, Mniszek.

- Powinna wiedzieć, że nie ma co żebrać w kuchni o jedzenie - powiedział Cyrus z naganą w głosie, podnosząc rudawego zwierzaka o marmurkowym umaszczeniu, pełniącego ważną funkcję okrętowego kota. - Musi łowić myszy i zarabiać na utrzymanie jak reszta załogi.

Obchodził się jednak z kotką nader łagodnie, kiedy odnosił ją do drzwi, a potem wypychał delikatnie na pokład. Dandelion uniosła wyżej pyszczek, miauknęła z dezaprobatą i odmaszerowała.

Ogólnie biorąc, dzień okazał się równie ekscytujący, co wyczerpujący. Wieczorem Brandy była co prawda bardzo znużona, nawykła jednak do ciężkiej pracy, uznała zatem, że przywyknie i do tej.

Poza tym musiała zrobić jeszcze coś ważnego.

## Rozdział 4

Zanim kolacja została wreszcie podana i zjedzona, a naczynia i talerze pozmywane, minęły godziny. Brandy opuściła kuchnię, niosąc zawinięte w płótno i ukryte pod koszulą kawałek chleba oraz porcję mięsa. Wymyśliła też, jak dotrzeć bezpiecznie do ładowni.

Nie była w stanie zrobić nic, aby wydostać biednego pana Dobbsa z karceru, lecz mogła przynajmniej postarać się, by miał co jeść.

Gdy opuścili wreszcie nadbudówkę, było już dobrze po zmierzchu. Statek unosił się na falach, popychany mocną bryzą. Jak polecił kapitan, Cyrus Lamb odprowadził pomocnicę do kabiny.

- Kapitan pewnie wkrótce zejdzie - powiedział, wbijając wzrok w deski podłogi. Jego różowe uszy pociemniały z zażenowania. - Niewielu mężczyzn potrafiłoby trzymać się zbyt długo z dala od dziewczyny tak powabnej jak ty. Kiedy wróci, będziesz absolutnie bezpieczna. Dobranoc, panienko.

Brandy też się zaczerwieniła, zdawała sobie bowiem sprawę, że dla kucharza i reszty załogi oczywiste jest, iż sypia z kapitanem. Marcus uprzedził ją, że tak właśnie będzie, nie mogła jednak nic na to poradzić.

- Dobranoc, Cyrusie. - Zamknęła drzwi i oparła się o nie. Kapitan zejdzie wkrótce do kajuty, nie po to jednak, by rozkoszować się jej wdziękami, ale dlatego, że po prostu w niej sypia. Jeśli Cyruso-wi zdawało się, że Brandy interesuje kapitana jako kobieta, grubo się mylił. Świadomość tego dziwnie ją przygnębiała.

Westchnęła ciężko i zajęła się tym, co miała do zrobienia, a była to sprawa nieskończenie ważniejsza niż gust kapitana w kwestii kobiet. Josh Dobbs siedział sam w ładowni, ledwie mając co jeść. Uznała, że musi mu pomóc. Spostrzegła ukryty pod koją węzełek z odzieżą, wyciągnęła go zatem i rozwiązała, przysiadłszy na szerokim łóżku kapitana.

Miała nadzieję, że poza spódnicą i bluzką znajdzie tam też czapkę, którą miała na sobie, zakradając się na statek, i rzeczywiście, tak się właśnie stało. Wepchnęła pod nią błyszczący warkocz, podbiegła do drzwi i przycisnęła do nich ucho, nasłuchując oddalających się kroków Cyrusa. Kiedy zupełnie ucichły, nacisnęła klamkę i wyjrzała na korytarz. Nikogo tam nie było, wyszła zatem ostrożnie i pobiegła ku schodni, wspominając uwagę kucharza, że Marcus wkrótce powinien się pojawić. Nim przyjdzie, ona musi być z powrotem w kabinie.

Przemykała cichcem, starając się pozostać niewidoczna dla członków załogi. Na szczęście w korytarzach oświetlonych jedynie ciężkimi mosiężnymi lampami panował mrok. W pewnej chwili jej uszu dobiegł cichy odgłos jakby skradania się. Przystanęła, nasłuchując. Dreszcz przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa. Stała tak przez chwilę, lecz dźwięk się nie powtórzył.

Ruszyła więc dalej, przeszukując wzrokiem ciemności. Schodząc coraz niżej w głąb statku, odsunęła precz złe przeczucia, modląc się, by wrażenie, iż jest obserwowana, okazało się mylne.

Obudziła się, zdezorientowana przez chwilę nowym otoczeniem, a potem opadła z ulgą na poduszkę. Po burzliwym początku nocna misja przebiegła już bez zakłóceń. Dobrą chwilę zajęło jej znalezienie w labiryncie korytarzy i schodni właściwej drogi, lecz w końcu dotarła na dno statku, gdzie w małym, dusznym pomieszczeniu przetrzymywano Joshuę Dobbsa. Cela, cuchnąca smołą i pakułami, miała w drzwiach wąską szczelinę, przez którą podawano więźniowi jedzenie i wodę.

Mimo protestów Dobbsa, jakoś udało jej się wsunąć chleb i mięso, a potem wrócić do kabiny. Znalazła się tam dosłownie minutę wcześniej niż kapitan.

Nie starczyło jej czasu, by się rozebrać, wsunęła się więc w bryczesach pod pled i udawała, że śpi, przysłuchując się, jak kapitan krąży po kajucie. W pewnej chwili podszedł do kotary i serce zamarło jej piersi. Marcus zerknął jednak tylko na koję, upewnił się, że jest tam Brandy, i odszedł. Wydawało jej się, że nim się położył i zasnął, minęły godziny. Dopiero wtedy mogła wyśliznąć się spod przykrycia i bezpiecznie rozebrać.

Wstała zmęczona, choć ból głowy szczęśliwie minął. Nie żałowała jednak snu. Josh Dobbs otrzymał przyzwoity posiłek, który pomoże mu zachować siły, co znacznie ulżyło jej sumieniu. Poczła się zaś jeszcze lepiej, kiedy wyjrzawszy zza kotary,

ujrzała kapitana wskazującego Dickeyowi i jednemu z członków załogi, gdzie mają postawić pełną gorącej wody wannę.

Marcus spojrział na Brandy, zobaczył wyraz jej twarzy i się uśmiechnął.

- Po burzy zostało nam mnóstwo deszczówki. Cyrus wspomniał, że chętnie byś się wykąpała. Przepraszam, że nie pomyślałem o tym wcześniej. Tak czy inaczej, oto woda. Skorzystaj, póki nie wystygnie.

- Tak... tak, oczywiście. Dziękuję, kapitanie.

Odwrócił się, by wyjść, a ona jak zwykle odprowadziła spojrzeniem jego wysoką sylwetkę. Ledwie za kapitanem i marynarzami zamknęły się drzwi, zrzuciła pośpiesznie brudne, podarte bryczesy i zaplamioną koszulę i podeszła do wanny. Tuż obok, na małym stoliku, spoczywał węzełek z ubraniem. Rozplotła warkocz i rozczesała włosy, gratulując sobie w duchu, że pamiętała, by zabrać szczotkę. Zanurzyła się w wodzie, wzdychając z przyjemności, i oparła się o rozgrzaną ściankę miedzianej wanny. Pozostała tak przez chwilę, rozkoszując się kąpielą, a potem sięgnęła po mydło pozostawione przez Dickeya i przystąpiła do mycia włosów.

W kącie kajuty stał niały żelazny piecyk, w którym płonął wesoło ogień. Kiedy skończyła się myć, wysuszyła przy nim włosy i ubrała się pośpiesznie w prostą brązową spódnicę i bawełnianą bluzkę, wydobyte z węzełka. Drugą sukienkę, najlepszą, jaką miała - miętowozieloną z wysokim stanem - rozwiesiła w małej kabinie. Niechaj wilgotne morskie powietrze wygładzi zagniecenia, nim statek dotrze na wyspy.

Wkrótce zapukano głośno do drzwi. Zapewne ktoś - Hamish Bass lub Cyrus Lamb - przyszedł,

by zaprowadzić ją do kuchni. Kiedy szła otworzyć, pochwyciła swoje odbicie w wiszącym na ścianie, owalnym lusterku. Jej włosy, długie, gęste, świeżo umyte i związane brązową wstążką, połyskiwały niczym miedź. Bluzka, czysta, choć pozbawiona dekoltu, ładnie podkreślała kształt krągłych piersi oraz smukłej talii.

Mimo iż strój był skromny i nienowoczesny, wyglądała w nim wdzięcznie i kobieco. Nie była w stanie się powstrzymać, by się nie zastanawiać, czy Marcus zauważy zmianę i czy mu się spodoba.

Niestety, nie dane jej było spotkać się tego dnia z kapitanem. Hamish Brass odprowadził ją rankiem do kuchni, a wieczorem Cyrus dopilnował, aby dotarła bezpiecznie do kajuty. Westchnęła na myśl o tym, że po wielu godzinach ciężkiej pracy nie wygląda już tak świeżo i pociągająco jak rankiem. Była jednak młodą kobietą. Gdybyż tylko Marcus potrafił to dostrzec!

Co dzień, kiedy Brandy odprowadzano do i z kuchni, któryś z marynarzy zerkał na nią bądź to z atencją, bądź pożądliwie. Opiekunowie dali jednak jasno do zrozumienia, że pozostanie dla wszystkich niedostępna, nawet na chwilę rozmowy. Nie tak wyobrażała sobie tę podróż. Spochmurniała na myśl o tym, ile czasu spędziła już w zamknięciu, odkąd opuścili Charleston.

Przynajmniej nocne wyprawy zapewniały jej odrobinę świeżego powietrza. Wyczekiwała niecierpliwie chwili, kiedy zakradnie się nocą na pokład i będzie stała tam tak długo, jak się ośmieli, spoglądając na czarne bezkresne morze, posrebrzone blaskiem księżyca.

- Kapitan wkrótce zejdzie - pożegnał ją jak zwykle kucharz. - Dobranoc, dziewczyno.



- Dobranoc, Cyrusie. - Błysnęła olśniewającym uśmiechem, starając się nie okazać zniecierpliwienia. Ale gdy tylko za mężczyznę zamknęły się drzwi, pobiegła do swojej kabinki, chwyciła wełnianą czapkę i naciągnęła ją na głowę, by ukryć połyskujące jaskrawą barwą włosy. Serce biło jej mocno w piersi, jak każdej nocy, gdy wybierała się na niebezpieczną wyprawę.

Wreszcie była gotowa. Odetchnęła głęboko raz i drugi, by uspokoić nerwy, wyjrzała na korytarz, sprawdzając, czy jest pusty, a potem ruszyła ku ładowni.

Teraz, gdy znała już drogę, dotarcie do przypominającego celę pomieszczenia, gdzie przetrzymywano Joshuę, nie zabierało wiele czasu. Kiedy usłyszał, że nadchodzi, wyjrzał przez szczelinę w drzwiach.

- Mówiłem, panienko. Nie powinnaś tu być. Kapitan wścieknie się na nas oboje, jeśli się dowie.

- Na pewno nic takiego się nie stanie, a jeśli nawet, to przecież nie twoja wina, że wpycham ci przez szparę jedzenie.

W mdłym świetle latarni, ustawionej na podłodze z nieheblowanych desek, widziała zmarszczki uśmiechu w kącikach oczu marynarza.

- Nie mogę powiedzieć, by mi nie smakowało. Nóżki wieprzowe były przepyszne, podobnie jak plaster solonej wieprzowiny, który przyniosłaś wczoraj. A już na pewno pieczesz doskonały chleb, panienko Brandy.

- Dziś mam duszonego kurczaka. - Ze zdumieniem odkryła, że na pokładzie „Jastrzębia” znajduje się chlewik, a także kojec z kurczętami, źródłem świeżego mięsa, chociaż nie jajek. Kury przestawały się bowiem nieść, gdy tylko poczuły

pod nogami kołyszący się pokład. Nawet z takim zaopatrzeniem mięsa nie starczało zwykle na cały rejs. Na szczęście ta podróż była krótka i nie musieli się ograniczać.

- Mam nadzieję, że przyniosłaś mi więcej tego dobrego chleba.

Brandy uśmiechnęła się w ciemności.

- Prawdę mówiąc, tak.

Josh odebrał tacę, którą wsunęła przez szczelinę, i podał Brandy tę przyniesioną poprzedniego dnia i ukrywaną starannie pod siennikiem ze słomy.

- Do zobaczenia jutro. - Pomachała mu szybko na do widzenia, a potem odwróciła się i ruszyła ku schodkom prowadzącym na pokład.

Jak zwykle, trzeba było się spieszyć. Ładownia znajdowała się o trzy poziomy niżej niż pokład, a Brandy musiała przecież uważać, by jej nie dostrzeżono. Przyspieszyła nieco kroku. Niech Bóg broni, by Marcus znalazł się w kajucie przed nią.

Dotarła do drabinki prowadzącej na drugi poziom, wspięła się po niej i ruszyła korytarzem ku następnej, gdy z tyłu dobiegł ją cichy dźwięk. Zatrzymała się, nasłuchując, z sercem tłukącym się ostrzegawczo w piersi.

Powtarzała sobie, że nie ma się czego bać, że słyszy jedynie szczury buszujące w ładowni, mimo to dreszcz przebiegł jej po plecach, zaś wrażenie, iż jest obserwowana, wróciło z nową siłą, drażniąc zmysły niczym przykra woń.

Rozejrzała się, usiłując przebić wzrokiem ciemności. Nic. Mimo to przyspieszyła kroku, biegnąc ku następnej schodni.

\*\*\*

Jilly Sharpe przycisnął ciało do ściany. Był potężnym mężczyzną, o szerokich ramionach, muskularnej szyi i torsie. To był jego drugi rejs na „Morskim Jastrzębiu”. Przedtem pływał na statku handlowym zwanym „Pieśń Wiatru”, z portem macierzystym w Bostonie. Naraził się jednak kapitanowi, który twierdził, iż jest zbyt agresywny, a jego nastawienie „niegodne”.

Jilly'ego nie obchodziło, co przeklęty drań o nim rozpowiadał. Znużyło go już towarzystwo głupców z „Pieśni Wiatru”, chętnie więc zmienił statek i pracodawcę. Oczywiście, zdążył już ściąć się z kapitanem Delaine. Poszło o to, że podebrał małemu py-skaczowi, chłopcu okrętowemu, porcję solonej wie-przowiny. Przykazał tej gliście, by trzymała dziób na kłódkę, lecz chłopak nie posłuchał. Pobiegnął na skargę do kapitana i Delaine interweniował. Przydzielił Jilly'emu dodatkowe zajęcie i ostrzegł, że jeśli skargi się powtórzą, konsekwencje będą znacznie poważniejsze.

Jilly zostawił chłopaka w spokoju. Lecz nie zapomniał. Nigdy nie zapominał o tym, że ktoś pokrzyżował mu szyki.

Jeszcze policzy się z Dickeyem. Teraz miał na głowie coś znacznie ważniejszego.

Odgłos lekkich kobiecych kroków ucichł w oddali. Jilly zmrużył w ciemności oczy i się uśmiechnął.

\*\*\*

Marcus stał w sterowni obok mata o imponujących bokobrodach.

- Ster wygląda dobrze, wydaje się solidny i stabilny. Chłopcy odwalili kawa! roboty, naprawiając go.

- Tak, to prawda, kapitanie. Na pewno przyjemnie będzie im usłyszeć, że to doceniasz.

Drzwi sterowni pozostawiono otwarte, by wpuścić powiew chłodnej nocnej bryzy. Nozdrza Marcusa wypełniał słony zapach morza, na skórze czuł wilgotny dotyk mgły. Takielunek pobrzękiwał i szczekał, istna muzyka dla uszu, wibrująca i jakże znajoma. Brakowało jedynie rytmicznego przechyłu, z jakim kadłub pokonuje fale, finałowego akordu w operze morza, która dawała mu tyle zadowolenia przez dziesięć ostatnich lat.

- Naprawa została ukończona. Statek wydaje się sprawny. Pora ruszać, Hamish.

- Podnieść fok! Ciągnąć bom! Postawić żagle pomocnicze! Jeśli dopisze nam szczęście, złapiemy wiatr przy wyspach i nadrobimy trochę czasu.

- Tak jest, kapitanie. - Gdy Hamish się uśmiechał, jego usta wyglądały niczym szeroki różowy otwór w gęstej siwej brodzie. - Dobrze będzie poczuć znowu, że „Jastrząb” mknie po fali zwinnie i szybko, zamiast kolebać się na wodzie jak balia. - Marcus skinął głową i Hamish jął wydawać rozkazy.

- Chcesz, bym przejął ster, kapitanie? Marcus skinął raz jeszcze.

- To był długi dzień. Chętnie już się położę i prześpię.

Wyraz twarzy przyjaciela jasno zaświadczał, iż nie jest tego wcale taki pewny, zważywszy, iż kapitan dzieli kabinę ze ślicznym małym utrapieniem. Marcus westchnął, wspominając, jak trudno było mu zaznać ostatnio snu.

Pomodlił się w duchu, by zmęczenie sprawiło, że jej obecność nie będzie miała dla niego znaczenia.

Statek drgnął lekko, kiedy żagle złapały wiatr, a potem ruszył nowym kursem. Marcus ledwie to poczuł. Myślał o Brandy Winters, mając nadzieję, że przestrzega ustalonego planu dnia i teraz mocno śpi. Wszedł do kajuty, rozejrzał się i odetchnął z ulgą. Dziewczyna udała się już na spoczynek i był za to wdzięczny losowi.

Nasłuchiwał przez chwilę, jednak od strony kabiny nie dobiegał najłżejszy szmer. Zerknie jeszcze, by się przekonać, że Brandy spoczywa bezpiecznie w łóżku, i będzie mógł się położyć.

Uniósł kotarę i wbił wzrok w ciemność. Potrzebował chwili, by oczy nawykły do mroku, a także, by umysł przyswoił to, co podpowiadał mu wzrok. Koją była pościelona. Mały pokoik pusty. Zacisnął z furją wargi w tej samej chwili, gdy serce ścisnął mu lęk.

Brandy Winters nie spała w swoim łóżku, nie było jej też w kajucie. Marcus zaklął, zaciskając z gniewu dłonie w pięści. Kiedy ją znajdzie, może tym razem naprawdę spuści jej lanie!

\*\*\*

Brandy walczyła rozpaczliwie, wbijając paznokcie w szorstkie, grube paluchy zakrywające jej usta. Potężna pierś napierała na nią z tyłu, a muskularne ramię zaciskało się niczym imadło wokół talii, utrudniając oddychanie. Kopnęła rozpaczliwie i stopa odziana w brązowy skórzany trzewik trafiła napastnika w łydkę, jednak mężczyzna tylko się roześmiał.

- Ognista z ciebie dziewczuszka. Człowiekowi staje na samą myśl o tym, jak wiercisz się pod nim i rzucasz. Brandy zalała kolejna fala strachu. Dziewczyna pisnęła mimo woli, lecz jego dłoń stłumiła

dźwięk. I dobrze się stało, gdyż nie życzyła sobie, aby napastnik domyślił się, jak bardzo się bała. Instynktownie zdawała sobie sprawę, że tego właśnie by chciał.

Przewracała dziko oczami, przeszukując szaleńczo otoczenie w nadziei, że ujrzy coś, co mogłoby ją ocalić. Znajdowała się o poziom niżej niż otwarty pokład, w głębi ładowni, gdzie było mroczno i wilgotno, a rzędy pudeł i skrzyń stanowiły doskonałą kryjówkę. Musiał to zaplanować, gdyż zanurzał się coraz bardziej w ciemność, unosząc ją i ciągnąc za sobą z przerażającą wręcz łatwością.

Próbowała krzyczeć, na próżno jednak, gdyż zakrył jej usta ręką, twardą i pokrytą odciskami. Zacisnęła dłoń i zamachnęła się do tyłu, uderzając go w twarz, a potem przeorywując paznokciami policzek.

Syknął z bólu, odwrócił ją ku sobie i chwycił za gardło, zanim zdążyła choćby pisnąć.

- Zapłacisz mi za to, dziewucho. Ostrzegam cię: jeszcze raz spróbujesz, a potnę ci tę śliczną twarzyczkę. - Potrząsnął nią. - Słyszysz?

Skinęła głową i zamknęła oczy, by ukryć strach. W słabym świetle wiszącej na ścianie lampy ledwie mogła rozpoznać jego twarz. Widziała go już wcześniej w kuchni, donoszącego produkty. Pamiętała nawet, jak się nazywa. Jillian Sharpe. Cyrus mówił na niego Jilly.

- Widzę, że mnie poznajesz. To i tak bez znaczenia. Nie wspomnisz Delaine'owi, co tu zaszło. Rozkładasz dla niego nogi, a teraz zrobisz to dla mnie. Szepnij mu choć słówko, a wytnę ci to śliczne małe serduszko. Co powiedziawszy, rzucił Brandy na stos worków z mąką i zwałił się na nią ciężko. Był dużym mężczyzną, o szerokim barkach i muskularnej

klatce piersiowej. Przesunął szorstką dłoń wzdłuż jej uda i zaczął unosić spódnicę. Cuchnął tytoniem i potem. Brandy poczuła, że ogarnia ją panika, uniemożliwiając myślenie.

Słodki Jezu, czy nie ma tu nikogo, kto mógłby jej pomóc? Wspomniała Marcusa, modląc się gorąco, aby ukończył już swoje zajęcia, wrócił do kabiny i spostrzegł, że zniknęła. Lecz choćby tak się stało, nimby ją znalazł, mogło być już za późno.

Tymczasem Jilly ulokował się wygodniej pomiędzy nogami Brandy. Ujął nadgarstki dziewczyny w żelazny uchwyt i zarzucił jej ręce nad głowę, przyciskając wargi do jej ust, by stłumić krzyk. Poczuła, że się dusi, zdwoiła zatem wysiłki, próbując uciec przed dłońią poruszającą się w obrzydliwie intymny sposób po piersi i masującą brutalnie sutek. Puścił ją na chwilę, by rozpiąć rozporek, a potem wsunął dłoń pod jej obnażony pośladek, ścisnął go i przyciągnął dziewczynę bliżej siebie.

Łzy zakłuły ją pod powiekami. Próbowwała się uwolnić, ugryźć go, wywinąć się jakoś, by nie zdołał się w nią wcisnąć. W pewnej chwili wydało jej się, że coś słyszy, uznała jednak, że to pobożne życzenia.

A potem kilka rzeczy wydarzyło się naraz, w jednej niemal sekundzie, choć Brandy zdawało się, że każda z nich trwa wieki. Dwaj mężczyźni wyłonili się z cienia. Jeden, blondyn o jasnej cerze, przyszedł z dołu, drugi, ciemny i wysoki, nadbiegł od strony drabinki prowadzącej w górę, na pokład.

Jasnowłosa marynarz, jak sobie przypomniała, Brig Butler, dobiegł do niej pierwszy. Zacisnął dłoń na grubym ramieniu Jilly'ego. Szarpnął, odrywając go od Brandy, i rozpętała się bijatyka.

- Ty przeklęty bękarciu! Co z ciebie za zwierzę? - Wymierzył potężny cios, który rzucił Shar-

pe'a na ścianę. Ten zerwał się jednak natychmiast i odpowiedział ciosem na cios, trafiając przeciwnika w żołądek. Padło jeszcze kilka ciosów, a potem zjawili się kolejni marynarze. Rzucili się z krzykiem ku walczącym, próbując ich rozdzielić.

Głęboki głos Marcusa Delaine przeciął nagle mrok, ostry niczym dźwięk bata.

- Zostańcie tam, gdzie jesteście! Wszyscy! - Podszedł do marynarzy, rzuciwszy wpierw jedno spojrzenie na Brandy. - Zabierzcie ich stąd. Shar-pe'a zamknijcie na dole z Dobbsem. Rozprawię się z nim rano.

Odprowadźcie pana Butlera do jego kwatery. Porozmawiam z nim później.

Odwrócił się i pomaszerował ku miejscu, gdzie Brandy tuliła się do ściany, drżąc na całym ciele. Pomyślała, że nie widziała dotąd wyrazu tłumionej furii, jaki malował się w tej chwili na twarzy kapitana.

Zatrzymał się, oddalony od niej zaledwie o krok.

- Coś ci się stało? - zapytał ostro, głosem stężalym z gniewu.

- Nie, ja... Nie... - Wstała powoli, opierając się

o ścianę z obawy, że ugną się pod nią kolana. Kapitan skinął szybko głową, upewniając się, że mówi prawdę. Spostrzegł, że zdążyła uporządkować ubranie, choć wełniana czapka gdzieś przepadła, podobnie jak wstążka, którą przewiązała warkocz,

i teraz jej włosy, splątane, opadały na ramiona.

Mięsień drgnął mu w policzku. Gniew sprawiał, że jego głos wydawał się bardziej niż zwykle szorstki i głęboki.

- Powiedziałem chyba, że nie wolno ci opuszczać kajuty.

Brandy starała się nie mrugnąć ani się nie skrzywić, gdy chwycił ją za ramię i pociągnął brutalnie ku schodni.



Nie odezwał się, kiedy wchodzili po drabince, szli przez pokład, a potem długim korytarzem prowadzącym do jego kabiny. Nawet gdy drzwi zamknęły się za nimi z hukiem, nie próbował się odezwać. Serce Brandy uderzało o żebra niczym nacierający taran. Widziała, że Marcus walczy, aby nie stracić panowania nad sobą, i ze strachu ścisnęło ją w żołądku.

Zaczerpnął głęboko tchu, a potem wypuścił z wolna powietrze.

- Co tam robiłaś? - zapytał. Jego słowa wbijały się w nią niczym lodowe ostrza. Zadrżała lekko, pragnąc powiedzieć mu prawdę i wiedząc, że nie wolno jej tego uczynić.

- Ja... jestem panu wdzięczna, kapitanie, że przybył mi pan z pomocą... i pan Butler. Gdybyście zjawili się chwilę później...

Chwytał ją za ramiona i przyciągnął bliżej siebie.

- Pytałem, co robiłaś w ładowni. Żądam odpowiedzi.

- Ja... tak sobie zwiedzałam - wykrztusiła, pokonując strach. - Nie byłam na tyle zmęczona, żeby iść spać, i chciałam rozejrzeć się trochę po statku.

Potrząsnął nią, dość brutalnie.

- Kłamiesz, i to kiepsko. Chcę wiedzieć, co tam robiłaś. Co było aż tak ważne, że postanowiłaś zlekceważyć zakaz. - Wykrzywił wargi w parodii uśmiechu. - Może umówiłaś się na randkę z panem Butlerem?

- Nie! - Wyrwała mu się. - Nie spotykałam się z Butlerem. Nawet go nie znam. Widziałam go raz, w kuchni, a potem dopiero, kiedy pośpieszył mi dziś na ratunek. Z pewnością nie poszłam do ładowni, by spotkać się z nim.

Płomień w jego niebieskich oczach jakby trochę przygasł. Odwrócił się i przemierzał przez chwilę kajutę. Wreszcie zatrzymał się naprzeciw Brandy i wbił w nią nieugięte spojrzenie.

- Wiedziałaś, co może cię spotkać. Ostrzegałem cię, byś trzymała się z dala od mężczyzn. Myślałem, że zrozumiałaś.

- Byłam ostrożna... Przynajmniej tak mi się zdawało.

Uniósł czarne brwi.

- Wiedziałaś, co ci grozi, a jednak zignorowałaś zagrożenie. Zastanawiam się dlaczego? Co mogło być tak ważne... - Zamilkł w pół zdania, a w jego oczach zabłysło zrozumienie. - Dobry Boże, ze-szłaś na dół, żeby zobaczyć się z Dobbsem!

Brandy chwyciła go gwałtownie za ramię.

- To nie była jego wina. Proszę, nie może pan go obwiniać. Błagał mnie, żebym nie przychodziła, ale nie posłuchałam. To przeze mnie tam siedzi. Musiałam jakoś mu pomóc.

- Zaniósł mu jedzenie, prawda? I nie był to pierwszy raz?

- To nie jego wina! Proszę, nie może pan ukarać go znów za coś, co ja zrobiłam!

Marcus przyglądał się jej uważnie i na chwilę jego spojrzenie złagodniało.

- Dobbowski nic nie grozi. Trudno karać głodnego człowieka za to, że napełnia sobie brzuch.

Brandy odetchnęła w duchu. Marcus dostrzegł widać, że jej ulżyło, gdyż jego twarz przybrała znów twarde wyraz.

- Nie... tym razem to nie Dobbs odpowie za twoją lekkomyślność, lecz Jillian Sharpe. To już drugi członek załogi, którego będę musiał ukarać

z twojego powodu. Mam nadzieję, że jesteś usatysfakcjonowana, panno Winters. Brandy wyprostowała ramiona.

- Nie pozwolę, by obwiniano mnie za odrażające zachowanie Jilly'ego Sharpe'a. Ten człowiek zasługuje na każdą karę, jaką zechce pan mu wymierzyć.

- Cieszę się, że tak to postrzegasz, ponieważ będziesz obecna przy tym, jak zostanie mu wymierzona chłosta.

Krew odpłynęła jej z twarzy.

- Co takiego?

- Dobrze słyszałaś. Cztery tuziny razów, jutro o świcie.

Brandy nie odezwała się, chwyciła tylko oparcie krzesła i zacisnęła na nim kurczowo palce. Pomyślała o tym, jak Sharpe jej dotykał, co zamierzał zrobić, i nagle poczuła, że cieszy się, iż będzie cierpieć.

- Po tym, jak kara zostanie wymierzona - kontynuował Marcus - wrócisz do mojej kabiny i pozostaniesz tam do chwili, gdy zechcę cię wypuścić.

Brandy zeszywniała.

- Już i tak spędzam w niej zbyt wiele czasu. Co z moją pracą w kuchni? Z pewnością nie zamknie pan mnie w kajucie, gdy tyle jest do zrobienia.

- Dokładnie to zamierzam. Pan Lamb będzie robił to, za co mu płacę. Ty zostaniesz tutaj, w dzień i w nocy. Jeśli nie dla własnego bezpieczeństwa, to dla bezpieczeństwa mojej załogi.

Brandy miała ochotę protestować i klócić się, wykrzyknąć, że to nie w porządku. To nie ona zachowała się jak dzika bestia, lecz Jilly Sharpe. Milczała jednak, przygryzając wargi, by słowa nie wydostały się, nieproszone, z jej ust. Jak to możliwe, że wszystko poszło tak źle? Pan Dobbs siedział uwięziony

w ładowni. Marcus polecił, by zamknięto ją w kajucie. Pomyślała o Jillym Sharpie i o tym, co o mały włos się stało, i aż zrobiło się jej niedobrze.

- Tymczasem - mówił dalej kapitan - proponuję, byś trochę się przespała. Do świtu pozostało niewiele czasu, a chyba oboje mieliśmy jak na jeden wieczór dość wrażeń.

Zmusiła się, by skinąć głową. Nagle poczuła się zmęczona, niemal zbyt wyczerpana, aby pokonać niewielką odległość dzielącą ją od kabiny. Kiedy to jednak zrobiła, zdjęła drżącymi dłońmi ubranie, przywdziała nocną koszulę, położyła się i podciągnęła przykrycie aż pod samą brodę.

Słyszała, jak Marcus chodzi po kajucie, a potem ją opuszcza, lecz nawet kiedy została sama, nie udało jej się zasnąć.

\*\*\*

Gdy wrócił do kabiny, było już dobrze po północy. Był zmęczony. Znużony do głębi, mimo to nie mógł zasnąć. Przewracał się na koi, a za każdym razem, gdy zamknął oczy, widział Brianne Winters walczącą z napastnikiem w ładowni.

Wyobrażał sobie, jak Brandy leży na workach z mąką, z podciągniętą do pasa spódnicą, z rozłożonymi nogami, pomiędzy którymi mościł się Jilly Sharpe. Napastnik jedną ręką ścisnął nagi pośladek dziewczyny, przyciągając ją do siebie i pożerając wargami jej kuszące usta.

Jeśli myślał dotąd o Brianne Winters jako o dziecku, wyobrażenie to zostało brutalnie zniszczone, zapewne na zawsze. Ilekroć myślał o niej teraz, widział ją taką, jaką zobaczył tego wieczoru w ładowni: z unoszącymi się w ciężkim oddechu

kragłymi piersiami i chmurą włosów rozrzuconych wokół twarzy.

Próbował zasnąć, jednak nie mógł wyrzucić z myśli jej obrazu leżącej na plecach, z rozrzuconymi włosami. Lecz to nie Jilly Sharpe spoczywał pomiędzy jej kształtnymi, bladymi nogami, ale on sam. To Marcus Delaine ścisnął jej pośladki i brał ją w posiadanie, rozkoszując się dotykiem miękkich, chętnych ust.

Prawda wyglądała tak, że kiedy zobaczył ją z Sharpe'em, jego złudzenia prysły. Nie mógł się już dłużej oszukiwać: pożądał Brandy, a uparte trzymanie się przekonania, iż jest ona ledwie dzieckiem, miało pomóc mu zapanować nad pożądaniem.

Załoga sądziła, że z nią sypia. Gdybyż była to prawda, pomyślał z goryczą. Przyglądał się, jak pracuje w kuchni, słuchał, jak się śmieje, myślał o jej dojrzałym, choć drobnym ciele i wmawiał sobie, że nie jest dla niego, że jest zbyt młoda i niewinna.

Dziś zmuszony był stawić czoło prawdzie. Brian-ne Winters nie była dzieckiem, lecz kobietą, a on jej pożądał - rozpaczliwie. I to zapewne od dłuższego czasu. Prawdę mówiąc, nie był w stanie przypomnieć sobie kobiety, która opanowałaby jego myśli i wyobraźnię w takim stopniu, jak uczyniła to Brandy.

Może stało się tak dlatego, że wiedział, iż nie może jej mieć, że jest niewinna, a tym samym niedostępna, nie tak doświadczona jak wdowa, z którą widywał się, kiedy zawijał do portu, albo kochanka, którą utrzymywał w Londynie. Jakikolwiek był powód, Brandy pojawiała się co i rusz w jego myślach, a teraz także i w snach.

Odczuwał dziwną potrzebę, by się nią opiekować. Dobrze się złożyło, iż Brig Butler dopadł

Sharpe'a przed nim, bo gdyby stało się inaczej, gwałciciel mógłby nie przeżyć, tak wielki był gniew Marcusa. Odkąd tylko dowiedział się, że Brandy przebywa na pokładzie, zdecydowany był bronić jej przed swymi ludźmi.

Zerknął na kurtynę oddzielającą pomieszczenia i jął się zastanawiać, kto zdoła ochronić dziewczynę przed nim.

## Rozdział 5

Mijały długie nocne godziny. Brandy leżała bezsennie na koi. Czuła się taka zmęczona. Bardziej niż kiedykolwiek. Zanim jej znużone powieki w końcu opadły, usłyszała na granicy świadomości metaliczny dźwięk okrętowego dzwonu wybijającego godziny. Osiem uderzeń. Czwarta rano. Wydawało jej się, że zdrzemnęła się tylko na chwilę, gdy obudziło ją potrząsanie za ramię. Zamrugowała kilka razy i zobaczyła, że przez niewielkie, wąskie okienko przesącza się szare światło jutrzeńki. Uniosła z trudem głowę i ujrzała wysoką sylwetkę Marcusa. Stał tuż obok łóżka. Zauważyła, że ma na sobie czysty ciemnoniebieski mundur, starannie odprasowany, z błyszczącymi jak lustro mosiężnymi guzikami.

- Już czas - burknął. Wydał jej się jak zwykle przystojny, choć jego twarz przybrała twarde wyraz, a szczeka wyglądała, jak wykuta w kamieniu. - Ubierz się. Pan Bass zaprowadzi cię na pokład.

Natychmiast przejaśniło jej się w głowie. Jilly Sharpe. Cztery tuziny razy. Boże, jak mogła o tym zapomnieć? Odsunęła z twarzy zmierzwione włosy i usiadła na koi.

- Proszę... Nie mogłabym zostać po prostu w kabinie? Czy to konieczne, bym...

- Tak. - Odwrócił się i wyszedł, sztywno wyprostowany.

Kiedy podnosił kurtynę oddzielającą ich kabiny, Brandy wzdrygnęła się, wracając wspomnieniem do wydarzeń wieczoru: przygniatającego ją ciała Jilly'ego Sharpe'a, szorstkich dłoni na swojej skórze, ohydneho smaku ust miażdżących brutalnie jej wargi. Poczowała, że w gardle rośnie jej kula, a wraz z nią gniew.

Jakie prawo miał Jilly Sharpe, by ją niewolic? Czy, jeśli już o tym mowa, jakikolwiek mężczyzna?

Ta myśl dodała jej siły. To ona cierpiała. Będzie tam teraz, by przyglądać się, jak ten, kto ją skrzywdził, za to płaci.

Dokonawszy pośpiesznej toalety, rozczesała włosy i spięła je po bokach głowy szylkretowymi grzebieniami, które podarował jej z okazji urodzin Marcus, a potem ubrała się, wkładając swoją najlepszą, muślinową suknię. Flo pomogła jej ją uszyć, zachęcając, by ozdobiła strój pod biustem i w dole riaszką. Brandy sądziła, co prawda, że to przesada, przyjaciółka zapewniła ją jednak, że suknia wygląda doskonale.

I czuła się w niej dobrze. Ilekroć ją włożyła, wydawała się sobie atrakcyjna. Suknia dodawała jej pewności siebie, tak pożądanej w obecnej sytuacji.

Ignorując niepewność i nieprzyjemne kołatanie w piersi, odchyliła kurtynę i otworzyła drzwi prowadzące do kajuty. Jak obiecał Marcus, Hamish Bass czekał już w korytarzu z przyciętą schludnie brodą i w nienagannym mundurze. Wydawał się jednak zmęczony, a jego twarz miała równie ponury wyraz, jak twarz kapitana.

- Jesteś gotowa, panienko?

Brandy wyprostowała ramiona.



- Tak. - Zaoferował jej ramię, a ona je przyjęła, przywierając do niego bardziej, niż było trzeba. Odsunęła się tylko na krótką chwilę, konieczną, by wejść po wąskich schodkach.

Na pokładzie powitał ich silny wiatr, przenikający przez materiał sukienki i rozwiewający włosy. Brandy nie zwróciła uwagi na chłód, jedynie na szeregi marynarzy stojących wokół podstawy wysokiego masztu, przestępujących niepewnie z nogi na nogę i zerkających jeden na drugiego.

Kapitan stał nieco wyżej, obok nadbudówki, z rozsuniętymi stopami, z jedną ręką założoną za plecy, a drugą zaciśniętą w pięść. Usta także miał zaciśnięte, a oczy ciemniejsze, niż widziała u niego kiedykolwiek. Zerknął na nią przelotnie, a potem wbił spojrzenie w załogę.

Gdy Hamish prowadził ją ku miejscu, gdzie stał kapitan, pięćdziesiąt par oczu zwróciło się ku niej, przyglądając się, jak nadchodzi. Brandy starała się ignorować spojrzenia i skupiała uwagę na tym, by nie ugięły się pod nią kolana, uniemożliwiając dalszą wędrówkę przez pokład.

W końcu stanęła obok kapitana. Pierwszy oficer zajął miejsce po drugiej stronie, tak, iż stała pomiędzy nim a Marcusem. Ten nie odezwał się słowem, lecz utkwiał spojrzenie w luku prowadzącym ku niższym częściom statku. Skinął głową i na pokład weszli trzej marynarze, prowadząc Jillia-na Sharpe'a.

Podprowadzili go do masztu, gdzie zdarto z niego koszulę, obnażając potężny tors. Słońce załśniło na czubku ogolonej głowy mężczyzny, który zacisnął wargi w wąską kreskę. W jego oczach płonęła nienawiść. Odszukał Brandy spojrzeniem, a kiedy przekonał się, że stoi obok kapitana, odczytała

w jego spojrzeniu tyle zła, tyle niechęci, że się wzdrygnęła, cofając bezwiednie o krok.

Marcus, którego dłoń spoczywała teraz na jej talii, zmusił ją, aby wróciła na poprzednią pozycję, popychając delikatniej, niż byłaby skłonna się spodziewać. Skinął ponownie głową i Sharpe'a ustawiono bliżej masztu. Marynarze skrępowali mu dłonie i przywiązali je ponad głową do grubego słupa.

Prychnął z pogardą, rzucił Brandy ostatnie, pełne nienawiści spojrzenie, po czym odwrócił wzrok i wsparł czoło o maszt.

- Panie Hopkins, proszę zacząć, gdy będzie pan gotowy.

Brandy patrzyła w milczeniu, z sercem tłukącym się boleśnie o żebra. Ben Hopkins był na „Morskim Jastrzębiu” drugim oficerem. Widziała go raz czy dwa w tawernie i kilka razy w kuchni. Był sympatycznym Anglikiem po trzydziestce, o twarzy zeszpeconej śladami po ospie. Teraz potrząsnął z ponurą miną pękiem długich, skórzanych pasków z węzłami, zebranych na jednym końcu w uchwyt. Kot o dziewięciu ogonach. Tak marynarze nazywali dziewięciorzemienny bat zdolny zadać ból, jakiego nie byłaby w stanie sobie wyobrazić, gdyby nie słyszała o nim od marynarzy wyrażających się z nieskrywanym respektem o tym narzędziu tortur.

Stężała z napięcia, a muskularny żeglarz zamachnął się batem. Rzemienie przecięły ze świstem powietrze, a ich zaopatrzone w węzły końcówki uderzyły o deski pokładu. Następny cios spadł już na obnażone plecy Jilly'ego Sharpe'a, a gdy tak się stało, wszyscy na pokładzie skrzywili się, jakby odczuli go na własnej skórze.

Brandy też go poczuła, choć wcześniej wydawało jej się, że jest uodporniona na współczucie. Jil-

lian Sharpe zasłużył na każde bolesne uderzenie, mimo to, kiedy bicz spadał na plecy skazańca, musiała walczyć ze sobą, by nie odwrócić wzroku.

Padały kolejne razy, każdy głośno liczony. Na plecach Sharpe'a pojawiły się brzydkie pręgi, długie i grube. Nie zaprzestano jednak chłosty. Pręgi podeszły krwią, a skóra pękła, obnażając żywe ciało.

Brandy zakręciło się w głowie. Było jej niedobrze, a w żołądku burczało tak, iż była pewna, że jeszcze chwila i zwymiotuje, kompromitując się w obecności Marcusa i jego ludzi.

Bat nadal opadał, a ona słyszała już tylko jego świst i przeraźliwe krzyki Sharpe'a. Cztery tuziny razów. Równie dobrze mogłoby ich być cztery tysiące. Pamiętała opowieści marynarzy o ludziach, którzy otrzymali właśnie tyle. Wiedziała, że to wyrok śmierci, zadanej w szczególnie brutalny sposób. Jilly Sharpe przeżyje, choć zapłaci za swe przewiny wysoką cenę.

Przysłuchiwała się, jak jęczy. Całe jego ciało drżało, aż w końcu zawisł bezwładnie na związanych dłoniach, osunąwszy się w błogosławioną nieświadomość. Mimo to nie zaprzestano chłosty. Brandy skupiła się na liczeniu, chwytając powietrze płytkimi, szybkimi haustami, modląc się, by tortura dobiegła wreszcie końca, starając się nie odczuwać każdego uderzenia niczym razu wymierzonego jej sumieniu, oskarżającego ją, że jest powodem tego cierpienia. Gdyby nie zeszła do ładowni... Gdyby posłuchała po prostu Marcusa...

Bicz opadł po raz kolejny i Brandy się zachwiała. Obraz skazańca jął się zacierać i uświadomiła sobie, że dzieje się tak za sprawą łez, spływających jej po policzkach. Zachwiała się znowu i poczuła w talii dotyk dłoni Marcusa. Cofnął się nieco i sta-

nał za nią tak, by mogła niepostrzeżenie się na nim wesprzeć. Dodało jej to odwagi, a i liczenie dobiegło wreszcie końca.

Zanim odcięto Sharpe'a od masztu, trzęsła się cała niczym w gorączce. Marcus wsunął sobie stanowczym gestem jej dłoń pod ramię, a potem skierował się wraz z nią ku drabince prowadzącej pod pokład. Zerknęła przelotnie na mężczyzn z załogi. Zauważyli widać ślady łez na jej policzkach i bladość skóry, ponieważ tym razem w ich spojrzeniu wyczytała współczucie.

\*\*\*

Gdy tylko przestąpiła próg kapitańskiej kajuty, Marcus obrócił Brandy ku sobie i zamknął w uścisku.

- Już dobrze, Brianne. Już po wszystkim. - Objął dłonią jej głowę i przycisnął do swego ramienia. -

Sprawa zamknięta i możesz zostawić ją za sobą.

Brandy jęknęła z cicha. Wsparła się dłońmi o pierś Marcusa, czując pod policzkiem dotyk szorstkiej wełny.

- Marcusie... O Boże, Marcusie. - Zamknęła oczy i rozplakała się na dobre. Szlochała, trzęsąc się niczym liść na wietrze. - Tak mi przykro, tak bardzo przykro.

- Ciii - wyszeptał, gładząc dłonią jej włosy. - Miałaś rację, to nie była twoja wina. Jilly Sharpe zachowywał się gburowato i sprawiał kłopoty, odkąd wszedł po raz pierwszy na pokład. A wczoraj postąpił jak zwierzę. Zasłużył na to, co go spotkało, a nawet na coś gorszego.

Jego słowa podziałały jak balsam i Brandy zrobiło się lżej na sercu. Marcus odsunął się zatroskany, by

móc na nią spojrzeć. Poczuła na policzku dotyk jego palców, przesuających się delikatnie po skórze. Ujął ją pod brodę, skłonił, aby uniosła ku niemu twarz, a potem otarł chusteczką ślady łez, przyglądając się jej ze współczuciem i, być może, odrobiną żalu. Przez dłuższą chwilę żadne z nich się nie poruszyło. Brandy wpatrywała się w niego bez zmrużenia powiek. Jej serce podskoczyło gwałtownie w piersi, a potem jakby się zatrzymało.

Marcus nie spuszczał wzroku z jej twarzy. Niezdecydowanie i jakieś głębsze, bardziej mroczne uczucie zabłysło na moment w jego spojrzeniu. Wreszcie z wolna, jakby niechętnie, pochylił głowę i dotknął leciutko wargami jej ust. Och, słodki Jezu... Poczuła, że ogarniają delikatne ciepło, uczucie roztopienia się. Skupiło się w żołądku, a potem rozlało po ciele, sprawiając, że drżące członki osłabły jeszcze bardziej. Zacisnęła palce na klapach kapitańskiego surduta, odchyliła w tył głowę i przysunęła się ku niemu. Czowała żar ciała Marcusa, dotyk wełny, rytm uderzeń jego serca. Uniosła się bezwiednie na palcach, by przycisnąć usta mocniej do jego warg.

Na chwilę jego ciało stężało. Jęknął, otoczył Brandy ramionami i przyciągnął bliżej, pogłębiając pocałunek. Skłonił ją, by rozchyliła wargi, i wsunął pomiędzy nie język, by móc w pełni jej posmakować. Zalala ją fala żaru, niepowstrzymana i dzika, sprawiając, że zakręciło się jej w głowie, a zmysły wypełniła przyjemność, słodka i obezwładniająca.

Stała pomiędzy jego nogami, więziona przez długie, twarde mięśnie ud, wsparta o klatkę piersiową Marcusa niczym o solidny mur. Usta miał miękkie, doskonale dopasowane do kształtu jej

warg. Wsunął dłoń w jej włosy. Smakował delikatnie kawą, pachniał zaś słoną morską bryzą. Pocałunek trwał i trwał. Wargi Marcusa pieściły jej usta. Uświadomiła sobie mgliście, że czuje na brzuchu dotyk napierającej męskości. Wiedziała, że musi być podniecony, lecz się nie bała. Zamiast martwić się tym, do czego może doprowadzić tak gorący pocałunek, pragnęła jedynie, by trwał.

To Marcus pierwszy się odsunął.

Dyszząc ciężko, cofnął się i spojrzał na nią. Żyła na jego szyi pulsowała, w oczach nadal płonęło pożądanie. Odwrócił się i odszedł o kilka kroków, a potem przesunął dłonią po wijących się, czarnych włosach.

- To nie powinno było się wydarzyć. Chryste, nie wierzę, że jednak się stało. - Spojrzał na nią przez pokój.

- To wyłącznie moja wina. Przyjmij, proszę, przeprosiny.

Chciała powiedzieć, że cieszy się z tego, co zaszło, że od lat zastanawiała się, jak by to było, gdyby Marcus ją pocałował. Marzenia nie dorównywały rzeczywistości, niewiarygodnie wręcz cudownej. Prawdę mówiąc, nie miałyby nic przeciwko temu, by zrobił to znowu.

- Nie ma potrzeby przeproszać - powiedziała głosem drżącym i słabszym niż zazwyczaj. Modliła się, by nie zauważył, jak dalece wytrącił ją z równowagi. - Potrzebowałam pocieszenia, a pan mi je zapewnił, to wszystko. Jestem panu wdzięczna.

Ściągnął gęste czarne brwi.

- Pocieszenia? - Uśmiechnął się blado. - Więc tym to dla ciebie było? - Przyglądał się jej przez chwilę w swój mroczny, szacujący sposób, nie powiedział jednak nic więcej. Podeszedł do drzwi i szarpnął gwałtownie za klamkę. - Przykro mi, że musiałaś

przez to przejść. Lecz, jak powiedziałem, już po wszystkim. Co się tyczy twojego pozostawania w kajucie, w mojej kwaterze znajdziesz kilka książek. Mam nadzieję, że dostarczą ci rozrywki. Sięgaj śmiało po wszystko, co znajdziesz na półkach.

Zatem pocałunek niczego nie zmienił. Nadal zdecydowany był trzymać ją w zamknięciu. Uśmiechnęła się z trudem, starając się wydać równie niewzruszoną jak on.

- Dziękuję.

- Ponieważ nie miałaś czasu nic zjeść, przyślę ci Dickeya z tacą. Jeśli będziesz potrzebowała czegoś jeszcze, daj mi znać, dopilnuję, byś to dostała.

Brandy skinęła tylko głową. Przede wszystkim potrzebowała solidnej porcji świeżego powietrza, tego jednak nie zamierzano jej dać.

- Co... co stanie się z Sharpe'em? Nic mu nie będzie?

- Hamish go opatrzy - odparł Marcus. - Z czasem plecy się zagoją. Wysadzimy go na brzeg, gdy dopłyniemy do Spanish Keys. To archipelag małych wysepek tuż za Andros, miejscem naszego pierwszego postoju na Bahamach.

Patrzyła, jak podchodzi do drzwi, a potem zamyka je stanowczo za sobą, nie obdarzając jej nawet jednym spojrzeniem. Wspomniała, co wydarzyło się w kajucie przed chwilą, i z żalu zakłuło ją w piersi. Jak to możliwe, by pocałunek, który wstrząsnął nią do głębi, nie wywarł na nim wrażenia? Z drugiej strony, dlaczego czuje się aż tak zaskoczona? Marcus ignorował ją od lat. To, że zakradła się na jego statek, niczego nie zmieniło.

Pocałunek, nawet tak namiętny jak ten, nie znaczy nic dla przystojnego, żywotnego mężczyzny takiego jak Marcus. Mężczyzny, który może mieć ko-

biet, ile tylko zechce. Usiadła ciężko na koi, przeklinając w duchu niepożądane emocje i żałując, iż nie potrafi pozostać równie obojętna i niezaintere-sowana jak on. Zdawała sobie jednak doskonale sprawę, że tam, gdzie chodzi o Marcusa Delaine, nie ma na to najmniejszych szans.

\*\*\*

Marcus zacisnął dłonie na relingu, pozwalając, by wiatr rozwiewał mu włosy, wdzięczny za to, że chłodny powiew studzi rozpaloną krew. Do licha, nie powinien był jej całować.

Może zdołałby się powstrzymać, gdyby nie spędził poranka na walce o to, aby utrzymać uczucia na wodzy. Niechętnie karał swych ludzi, a chłostę uważał za szczególnie odrażającą. Nawet, gdy ktoś zasłużył na nią tak bardzo, jak Jilly Sharpe.

Wrócił myślami do sceny na pokładzie. Zamierzał dać Brianne lekcję. Niech przekona się na własne oczy, czym grozi ignorowanie jego poleceń. Może to zapewnić w przyszłości większe bezpieczeństwo nie tylko jej, ale i załodze.

Nie przewidział jedynie, że będzie stała przed załogą dumna, wrażliwa... i tak cholernie dzielna. Jej bezgłośny płacz sprawił, że poczuł się, jakby wyrwano mu kawałek serca. Stała tam, drżąc jak liść, a on zdawał sobie sprawę, ile ją to kosztuje. Nienawidził siebie za to, iż wymierzył jej tak dotkliwą karę.

A potem ją pocałował. Do licha, nie powinien był tego robić! Powinien otrzeć jej łzy i odejść, lecz bursztynowe oczy dziewczyny rzuciły na niego czar, a blade, drżące usta okazały się po prostu nazbyt kuszące. Teraz zaś, gdy poznał, jak słodko smakują, za nic nie zdoła o tym zapomnieć.



Do licha! Jeśli pragnął jej wcześniej, teraz to uczucie jeszcze się nasiliło, i choć pozwalał, by załoga sądziła, że z nią sypia, on tego nie robi. Ciekawe, czy panna Winters uzna, że to w porządku.

Hamish Bass podszedł do kapitana, wyrывая go z zamyślenia.

- Co z nim? - spytał Marcus, z trudem skupiając uwagę.

- Zabrali łobuza na dół. Cyrus opatrzy mu grzbiet. Sharpe jest silny jak byk. Za kilka dni będzie znowu na nogach.

Marcus skinął głową.

- To zły człowiek. Wysadzimy go na Spanish Keys.

- Cóż, skoro dziewczyna zostaje na pokładzie, tak będzie z pewnością najlepiej.

- Jak myślisz, czy to on stoi za kłopotami, które nam się ostatnio zdarzały?

- Trudno powiedzieć. Mógł uszkodzić listwy mocujące ładunek - choćby dla pieniędzy, gdyż taki drań jak on z pewnością by się na nie połakomił

- nie wyjaśnia to jednak problemów, jakie wynikły na innych statkach.

- Rzeczywiście. Aż do zdarzenia ze sterem i ładunkiem wmawiałem sobie, że to seria pechowych wypadków. - Podarte żagle na „Sokole” spowodowały tygodniowe opóźnienie i nieomal kosztowały przedsiębiorstwo utratę kontraktu na przewóz drewna. No i uszkodzona kotwica na „Kroku”.

- Teraz zaczynam sądzić, że są ze sobą powiązane. A skoro tak, człowiek, który za nimi stoi, musi być kimś ważnym, posiadającym dość władzy i pieniędzy, by zaaranżować sabotaż.

Hamish podrapał się po sztywnej siwej brodzie.

- No i musi mieć z tego jakąś korzyść.

-Właśnie.

- Kontrakt drzewny przeszedłby na Atlantic Limited albo na Kompanię Mórz Chińskich. A najprawdopodobniej na przedsiębiorstwo Palmera Reese.

Marcus zacisnął szczęki, aż zadrgał mu policzek. Palmer Reese. Nie wiedział zbyt dużo o Towarzystwie Atlantyckim czy Kompanii Mórz Chińskich, jedynie to, że właściciele tych firm ostro współzawodniczyli. Palmera Reese znał jednak od czasu, gdy byli dziećmi i wychowywali się na wybrzeżu Kornwalii.

Palmer, o trzy lata starszy od Marcusa, był brutalem i chwali piętą. Jego rodzice przyjaźnili się z ojcem Marcusa, lecz chłopcy jakoś nie byli w stanie się dogadać.

- Firma Reese'a to nasz największy konkurent - powiedział. - Pozbawiliśmy ich ostatnio kilku intratnych kontraktów. Mimo to jakoś trudno mi sobie wyobrazić, że Palmer mógłby posunąć się do takich działań.

- Może tak, a może nie. Z takimi jak on nigdy nic nie wiadomo.

Marcus nie powiedział nic więcej, lecz stał, wpatrując się w wodę. Podejrzane były wszystkie trzy przedsiębiorstwa. Czy w ciągu tych lat przysporzył sobie też innych wrogów? Zastanawiał się nad tym, odkąd wykryto, że liny mocujące ładunek zostały uszkodzone, lecz nie był ani trochę bliżej znalezienia odpowiedzi. Do licha, wolałby wiedzieć, co się dzieje.

- Jak dziewczyna?

- Była mocno zdenerwowana. Teraz ma się lepiej.

- Nie brak jej charakteru, to pewne. Marcus uśmiechnął się ponuro.

- Na to wychodzi.

- Pożąda jej pan. Widzę to w pańskich oczach, ilekroć pan na nią patrzy. - Hamish jako jedyny spośród załogi odgadł, że Marcus nie sypia z Brandy, choć kapitan nic mu o tym nie wspomniał.

Delaine wzruszył ramionami.

- Nie przeczę, dziewczyna stanowi pokusę. Lecz jest też młoda i niewinna. Nie ma dla nas wspólnej przyszłości, nie byłoby zatem w porządku, gdybym ją wziął, a potem odrzucił jak szczątki statku rozbitego podczas burzy.

Hamish zaśmiał się i podrapał po wełnistej brodzie.

- To jednak nie w porządku, kapitanie. Załoga wariuje z podniecenia na myśl o tym, co wyprawiacie we dwójkę w kajucie, a tymczasem prawda wygląda tak, że nawet jej pan nie tknął. Do licha, to doprawdy niesprawiedliwe.

Marcus musiał się uśmiechnąć.

- Przyznaję, stary druhu, że przemknęło mi to przez myśl, i to przy kilku okazjach.

Hamish też się uśmiechnął.

- Może, zanim wrócimy do domu, zmieni pan jeszcze zdanie.

Marcus zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział:

- Ze względu na Brandy miejmy nadzieję, że tak się nie stanie.

Jednak myśl o tym, aby uczynić z dziewczyny swoją kochankę, zagnieździła się już, niestety, w jego mózgu.

\*\*\*

Brandy pokręciła głową, próbując pozbyć się skurczu szyi. Wyciągnęła nogi i wstała z fotela,

na którym siedziała od trzech godzin, pogrążona w lekturze.

Pierwsze dwa dni spędzone w kapitańskiej kajucie nie okazały się aż tak złe. Nie wystarczało jej dotąd czasu, by czytać, a już na pewno nie miała dostępu do książek tego rodzaju, jakie stały na półce w kabinie Marcusa. Były tam tomy o zadziwiająco różnorodnej treści: poezje Williama Blake'a, Szekspira, Wordswortha i Coleridge'a, powieści przygodowe, takie jak *Robinson Crusoe* Daniela Defoe, *Tajemnica zamku Udolpho* Ann Radcliffe, a także polityczne rozprawy.

Nauczyciel, którego zatrudnił jej ojciec, otrzymał ściśle instrukcje: Brandy miała nauczyć się czytać, pisać i rachować, by mogła być bardziej użyteczna w gospodarstwie. Zdażyła poznać też nieco łacinę, lecz tylko dlatego, że pan Monroe upierał się, iż jest to niezbędne, by mogła uważać się za osobę choć trochę wykształconą.

Teraz, przesuując palcami po złoconej obwolucie oprawnej w skórę powieści Horacego Walpole'a *Zamczysko w Otranto*, dziękowała Bogu za to, że umie czytać. Po raz pierwszy odkryła, iż między stronami książek istnieją światy, które warto poznać.

Przeciągnęła się znowu, potarła dłonią kark i poruszyła kilkakrotnie ramionami. Choć buszowanie wśród książek kapitana, a potem ich lektura dostarczyły jej mnóstwo przyjemności, nie była w stanie znieść dłużej zamknięcia. Zamierzała poprosić go wieczorem, gdy wróci do kajuty, by cofnął zakaz. Czytanie byłoby o wiele przyjemniejsze, gdyby mogła pobycć choć trochę na pokładzie.

Kapitan pojawił się jednak dopiero koło północy. Spędziła ten czas zakopana w książkach, i bar-

dzo jej się to podobało. Nic nie mogło zastąpić jednak dotyku wiatru i słońca na skórze oraz widoku bezkresnego oceanu. Nic nie mogło równać się z uniesieniem, jakie odczuwała, obserwując, jak piękny statek pruje pod pełnym żaglami fale, pokonując ocean.

Gdy Marcus wrócił, była gotowa stawić mu czoło. Była gotowa błagać na kolanach, gdyby okazało się to konieczne. Usłyszawszy, że wchodzi, zeskoczyła z wąskiej koi i odchyliła dzielącą pomieszczenia kotarę. Odwrócił się i powiedział:

- Powinnaś już spać. Czy coś się stało? Brandy zebrała się w sobie.

- Prawdę mówiąc, tak. Wiem, że miał pan powód, by kazać mi siedzieć w zamknięciu, zastanawiałam się jednak... miałam nadzieję... że zdołam przekonać pana, by pozwolił mi pan wychodzić co dzień na chwilę na pokład... Przynajmniej po to, bym mogła zaczerpnąć powietrza i popatrzeć na ocean.

Marcus potrząsnął głową.

- Wiesz, co o tym sędzę. Nie zmieniłem zdania.

- Proszę, kapitanie. Spędziłam ostatnie trzy dni, czytając. Sprawilo mi to przyjemność - większą, niż się spodziewałam - nie mogę jednak pozostać w zamknięciu na zawsze.

Marcus uśmiechnął się leciutko.

- To ci z pewnością nie grozi. Mniej więcej za tydzień dotrzemy do wysp. Wtedy będziesz mogła zejść na brzeg.

- Za tydzień? Zwariuję do tego czasu.

- Trudno, gdyż pozostaniesz w zamknięciu. Idź do łóżka, panno Winters. Jeśli nam się poszczęści, złapiemy kilka godzin snu.

Brandy powściągnęła gniew. Przekląła w duchu Marcusa za to, że jest tak uparty, i siebie, ponieważ zdecydowała się na tę wyprawę. Odwróciła się i wymaszerowała z kajuty, mamrocząc pod nosem coś, czego nie miała odwagi powiedzieć głośno, choć bardzo tego żałowała.

Obudziła się wcześniej rano. Uznawszy, iż Marcus z pewnością opuścił już kajutę, ubrała się szybko i odsunęła zasłonę, a potem zamarła w przejściu.

Marcus stał bowiem po drugiej stronie pokoju, przed toaletką, z twarzą pokrytą grubą warstwą gęstej białej piany. Nie miał na sobie koszuli, czarne bryczesy, opuszczone nisko, ledwie trzymały się na smukłych biodrach, a nagą pierś porastała zwięzająca się ku dołowi i znikająca pod spodniami gęstwa czarnych włosów.

Brandy stała jak wrośnięta w ziemię, nie mogąc oderwać oczu od długiego, muskularnego torsu, niewiarygodnie szerokich barków, wyraźnie zarysowanych mięśni brzucha. Wiedziała, że jest silny i dobrze zbudowany, nie była jednak w stanie odgadnąć, jak piękne ma ciało, jak smukłe, twarde i niewiarygodnie męskie.

Dłonią o opalonych palcach przesuwając płynnym ruchem po szczęce. Nieświadom obecności dziewczyny, przyjrzał się swemu odbiciu w małym, okrągłym lusterku, po czym przechylił głowę w bok i przeciągnął błyszczącym ostrzem po smukłej szyi. Brandy zaschło w gardle. Zwilżyła bezwiednie wargi. Musiała wydać przy tym jakiś odgłos, gdyż Marcus odwrócił się, zobaczył, że dziewczyna stoi w progu, i zmarszczył brwi.

- Myślałem, że jeszcze śpisz.

Zamrugnęła z wysiłkiem i odwróciła wzrok.

- Nie jestem zmęczona. Nie robię nic poza siedzeniem i czytaniem. To cud, że mogę w ogóle spać.

Marcus roześmiał się cicho i startł resztki piany. Wziął do rąk skórzany pas, służący do ostrzenia brzytwy, przesunął po nim kilka razy ostrzem i odłożył.

- Przypuszczam, że wolałabyś spędzić następnych szesnaście godzin, harując z panem Lambem w kuchni.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Boże, tak! Gdyby tylko pozwolił mi pan wyjść i...

Marcus potrząsnął głową.

- Poleciałem, byś została na dole, i tak będzie. -Ale...

- Temat zamknięty. - Sięgnął po koszulę i naciągnął ją na gładki, brązowy tors. - Jesteś krnąbrna, lekkomyślna i zlekceważyłaś moje polecenia więcej niż raz. Tym razem zrobisz, co ci każę.

Brandy westchnęła, starając się nie widzieć, jak mięśnie napinają się i poruszają pod całą tą ciemną skórą.

Marcus odwrócił się, by wepchnąć koszulę w spodnie. Podjął decyzję i nic nie mogło go skłonić, by ją zmienił. Odwróciła się i weszła do dusznej kabinki, przygnębiona bardziej niż kiedykolwiek.

Nie widziała już tego dnia kapitana. Następnego zaś, mimo iż Hamish Bass wpadł do niej na pogawędkę i szybką partyjkę wista, była już tak niespokojna, że nie mogła usiedzieć i przemierzała nerwowo kabinę.

Zanim nadeszła północ, postanowiła, że musi skłonić Marcusa - w ten czy inny sposób - aby wypuścił ją z zamknięcia.

Marcus opuścił sterówkę, zszedł pod pokład i skierował się ku swej kajucie. Jeśli dopisze mu szczęście, Brandy będzie już spała. Nie życzył sobie jej widzieć, a już na pewno nie podobało mu się, że gdy tak się dzieje, natychmiast przeszywa go dreszcz pożądania.

Ostatniej nocy ledwie udało mu się zasnąć, a rano... rano podniecił się, gdy tylko zobaczył, że Brandy stoi w progu, wpatrując się w niego z aprobatą i nieświadomie zmysłowym uśmiechem na ustach.

Dziś będzie inaczej, postanowił. Przekonała się już, że nie ma co się z nim spierać. Tym razem będzie spała jak suseł.

Lecz oczywiście nie spała. Nie Brandy.

Przemierzała skrawek podłogi przed małym żelaznym piecykiem, zacierając nerwowo dłonie, a gdy tylko przestąpił próg, odwróciła się ku niemu. Nie odezwała się słowem, po prostu stanęła, a potem ruszyła ku toalecie w rogu. Wzięła do rąk pas do ostrzenia brzytwy, podeszła zdecydowanym krokiem do Marcusa i podała mu go.

- O co chodzi? - zapytał, unosząc brwi.

- O karę. - Odwróciła się, podeszła do stojącej w nogach łóżka komody, wsparła dłonie na blacie i spojrzała na Marcusa przez ramię.

- Śmiało. Niech mnie pan zbije. Wolę dostać solidne lanie, niż spędzić jeszcze jeden dzień w tym piekle, które nazywa pan swoją kajutą.

Wargi Marcusa drgnęły. Nie był w stanie się powstrzymać.

- Uważasz, że zamknąłem cię tu za karę?

- Oczywiście - odparła. - Inaczej po co kazałby mi pan tak cierpieć?



Podszedł do niej, podziwiając kuszący kształt wyeksponowanego w tej pozie tyłeczka i sposób, w jaki fałdy prostej brązowej spódnicy podkreślają rozkoszne krągłości. Bicie to ostatnia rzecz, jaką miałbym ochotę jej zrobić, pomyślał.

- Nie wierzysz, że mogłem uznać, iż będziesz tu po prostu bezpieczniejsza?

Potrząsnęła głową, a jej tyłeczek kusząco się za-kołysał.

- Gdyby został pan przy mnie, gdy wyjdę na pokład, byłabym równie bezpieczna jak tutaj.

Problem w tym, że nie zamierzał przy niej zostać. Musiał jednak przyznać, że dziewczyna ma trochę racji

- rzeczywiście chciał ją ukarać, przynajmniej w pewnym stopniu. Był zły, że zakradła się na jego statek, powodując problemy, a także o to, iż tak bardzo jej pożądał.

Rzucił pas na łóżko.

- Gdybyś wiedziała więcej o mężczyznach, panno Winters, miałabyś pojęcie, jak kuszący obrazek przedstawiasz, stojąc tak pochylona. Spuszczenie ci lania to ostatnia rzecz, jaka przychodzi wówczas do głowy.

Wyprostowała się, odwróciła i spojrzała na Marcusa. Musiała dostrzec żar w jego oczach, gdyż jej policzki spłonęły rumieńcem.

Wyprostowała ramiona.

- Proszę powiedzieć, że pozwoli mi pan wyjść na pokład. Będę pracować, zapłacę, oddając pieniądze, które zaoszczędziłam na podróż, zrobię wszystko, czego pan zażąda. Tylko niech pan nie każe mi siedzieć kolejny dzień tu na dole.

Wyglądała na tak zdesperowaną, że niemal się uśmiechnął. Powstrzymał się jednak i westchnął zrezygnowany.

- Zgoda, Brianne. Udało ci się sprawić, bym poczuł się winny, a to nie zdarza się często. Dopilnuję, by ktoś towarzyszył ci przez jakiś czas na pokładzie, a potem jeszcze raz, po kolacji. Czy to wystarczy? Uśmiechnęła się tak olśniewająco, że aż ścisnęło go w piersi.

- Cudownie, kapitanie. Będę panu dozgonnie wdzięczna. Obiecuję, że pan tego nie pożałuje. Tylko że on już żałował. Żałował, że Brandy przebywa w jego kajucie, tak świeża, słiczna i niewinna. I że honor nie pozwala mu wziąć jej do łóżka.

- Jest późno - stwierdził jednak tylko burkliwie. - Dawno powinnaś już spać.

- Tak... Jeszcze raz dziękuję. Nie mogę się już doczekać poranka. Może da pan radę pokazać mi statek. Marcus nie odpowiedział. Wiedział, co chciałby jej pokazać, i to tu, na dole, nie na pokładzie. Ponieważ to akurat nie miało prawa się wydarzyć, nie będzie pokazywał jej niczego. Poleci, by to Hamish lub drugi oficer, Ben Hopkins, oprowadzili ją po statku.

Ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, było spędzanie czasu z Brianne Winters. Posiadał co prawda sumienie, ale był przecież tylko człowiekiem. Im więcej będzie z nią przebywał, tym większe prawdopodobieństwo, że Brandy wyląduje w końcu w jego łóżku.

## Rozdział 6

Następnego ranka musiała bardzo się postarać, by ukryć rozczarowanie, gdy przekonała się, że to Benjamin Hopkins, nie Marcus będzie jej przewodnikiem.

W głębi serca czuła, że Marcus nie przyjdzie. Miał ważniejsze sprawy niż oprowadzanie po statku pasażerki na gapę. Tymczasem wydelegowany w tym celu Ben Hopkins, drugi oficer, przestępował nerwowo z nogi na nogę, mnąc w szorstkich, poznaczonych odciskami dłoniach wełnianą czapkę.

- Dzień dobry, panienko Brandy. Kapitan powiedział, że mam oprowadzić panienkę po statku... to znaczy... jeśli panienka sobie życzy... i jest gotowa.

Brandy uśmiechnęła się ciepło.

- Może pan być pewny, że jestem bardziej niż gotowa.

Ben odpowiedział uśmiechem, dosyć nieśmiałym, jak na mężczyznę, który trzydzieste urodziny obchodził już jakiś czas temu.

- Dobrze zatem. To z pewnością dla mnie zaszczyt.

Weszli po schodkach na pokład i Brandy wciągnęła głęboko do płuc haust świeżego morskiego powietrza.

- Nie ma pan pojęcia, panie Hopkins, jak to jest czuć na twarzy powiew wiatru i rozkoszować się świeżym powietrzem.

Ben zaśmiał się łagodnie.

- Chyba jednak mam. Nigdy nie lubiłem pracować w zamknięciu. Dlatego wybrałem życie na morzu. Wysoko nad nimi krążyło stadko mew, a takielu-nek cicho poskrzypywał. Statek wzniósł się na grzbiet fali, a potem opadł w dolinę, jakby przecinał wodę, posyłając krople na wyszorowany do białości pokład i zwilżając słonawą mgiełką twarz Brandy.

Zaczęli iść, zataczając z wolna krąg i wracając do miejsca, z którego wystartowali. Po raz pierwszy miała okazję przyjrzeć się, jak Marcus dowodzi statkiem, i ledwie wypatrzyła go w sterówce, jej puls natychmiast przyśpieszył.

Wpatrywał się w morze, uktwiwszy spojrzenie ciemnoniebieskich oczu w punkt na horyzoncie. Stał na rozstawionych szeroko nogach, opierając się kołysaniu, z założonymi z tyłu rękami. Wydawał się tak oddalony, tak samotny. Mimo to było oczywiste, że stan ten bardzo mu odpowiada.

Nie była pewna, czy ją zauważył, nie uczynił bowiem żadnego gestu, a jednak, kiedy się odwróciła, poczuła na sobie jego wzrok. Miała wrażenie, iż obserwuje ją, okrążającą wraz z Benem po raz drugi pokład.

Zatrzymali się tuż poniżej sterówki, by przyjrzeć się grupie marynarzy smołujących szczeble drabinki wantowej. Pan Hopkins wyjaśnił, iż większość z tego, co znajduje się na stałe na pokładzie, pokrywa się smołą w celu zabezpieczenia przed wodą. Ostra woń podrażniła nozdrza Brandy, uznała jednak, że jest w tym zapachu coś zaskakująco pociągającego.

Marynarze pracowali sumiennie, śpiewając żywą piosenkę, podczas gdy ich okryte rękawicami dłonie nakładały na szczeble gęstą, czarną substancję.

*I słyszę znów Starego głós:*

*Opuścić łajbę, chłopcy!*

*Niech łapie każdy z was za trzos,*

*Opuścić łajbę, chłopcy!*

*Bo rejs się włókł,*

*A sztorm dał w kość,*

*Więc skoro forsę mamy dość,*

*Na ład nam pora, chłopcy!*

Brandy przysłuchiwała się przez chwilę z przyjemnością skocznym tonem, obserwując barwną gromadkę, a potem Ben Hopkins podprowadził ją ku miejscu, gdzie Brig Butler zszywał wraz z kilkoma marynarzami żagle.

- Dzień dobry, panienko Winters. - Przystojny jasnowłosy żeglarz zdjął pospiesznie czapkę. - Wyglądasz dziś bardzo ładnie.

Po raz pierwszy któryś z niższych rangą członków załogi ośmielił się powiedzieć Brandy komplement, a nawet w ogóle do niej zagadać. Najwidoczniej Brig nie obawiał się gniewu kapitana. Wspomniała, jak rzucił się jej na ratunek w ładowni, i pomyślała, iż być może nie boi się niczego.

- Dziękuję, panie Butler.

Uśmiechnął się szelmowsko, pokazując dołeczek w policzku.

- Mam na imię Brig - powiedział. - Panie Butler brzmi okropnie poważnie.

Brandy uświadomiła sobie, że też się uśmiecha.

- Zatem... Brig. Musisz więc zwracać się do mnie...

- Będzie zwracał się do ciebie: panno Winters - oznajmił Marcus stanowczo, przystając tuż obok Brandy. -  
Jeśli w ogóle będzie miał okazję z tobą rozmawiać.

-Ale...

- Pora już chyba, byś zeszła pod pokład. Sam cię odprowadzę, mam bowiem trochę papierkowej roboty. .

\*\*\*

Już miała zaprotestować, ale ugryzła się w język. Marcus dotrzymał słowa i pozwolił jej wyjść na pokład. Lepiej nie dawać mu pretekstu, by zmienić zdanie. Ujęła zatem kapitana pod ramię i pozwoliła, by sprowadził ją na dół, a potem towarzyszył jej do kajuty.

Ledwie zamknęły się za nimi drzwi, powiedział:

- Byłoby rozsądniej, panno Winters, gdybyś nie spoufalala się zbyt z załogą. Brig Butler może wydawać się niegroźny, ale to napalony młody hul-taj, który nie zawahałby się przed tym, aby pozbawić cię dziewictwa.

- Pan Butler interesuje mnie wyłącznie jako przyjaciel. Mówiłam to panu już wcześniej.

Coś zabłysło w jego spojrzeniu, jakieś uczucie, gwałtowne i domagające się ujścia. Przez mgnienie oka miała nadzieję, że być może jest nim zazdrość. Oczywiście było to niemądre i na pewno się myliła.

Cokolwiek to było, zniknęło niemal natychmiast, ukryte za fasadą chłodu.

- Zapamiętaj po prostu moje słowa. Brandy zignorowała niepotrzebne ostrzeżenie.

- Dziękuję, że pozwolił mi pan wyjść. Dzień jest piękny i sprawiło mi to wielką przyjemność.

Marcus skinął tylko głową. Burknął pod nosem coś niezrozumiałego, po czym usiadł za biurkiem, otworzył jedną z grubych, oprawnych w skórę ksiąg

i zabrał się do pracy. Brandy ulokowała się w fotelu z gotycką powieścią pani Radcliffe. Ku swemu zdziwieniu przekonała się, że kiedy Marcus jest z nią w kabinie, fakt, iż musi przebywać w zamknięciu, już jej tak bardzo nie przeszkadza.

Prawdę mówiąc, przyjemnie było siedzieć tak we dwójkę: Marcus pogrążony w księgach, ona tuż obok, zatopiona w lekturze. Pomyślała, że tak mogłaby się czuć, będąc mężatką, oczywiście, o ile dopisze jej szczęście i spotka właściwego mężczyznę. Ta myśl, pojawiająca się nie wiedzieć skąd, wydała się Brandy zgoła nie na miejscu.

Nie pragnęła wyjść za mąż - przynajmniej w ciągu kilku najbliższych lat. Chciała sporo zobaczyć, robić różne rzeczy. Doświadczyć życia w wielu jego przejawach, zanim się ustakuje.

Nie była jednak w stanie się powstrzymać, by nie zerkać od czasu do czasu na Marcusa, nie myśleć o tym, jak dobrze się przy nim czuje. Ciekawe, co by pomyślał, gdyby się dowiedział, co też chodzi jej po głowie.

\*\*\*

Marcus podniósł wzrok znad książki, nad którą pracował. Trudno mu było się skoncentrować, gdy Brianne była tak blisko. Właściwie, jak szybko się przekonał, było to po prostu niemożliwe. Chętnie dokądś by ją odesłał, nie mógł jednak zlekceważyć polecenia, które sam wydał.

Nadal nie umiał myśleć spokojnie o tym, jak uśmiechała się do młodego Butlera. Na miłość boską, czy dziewczyna nie ma za grosz rozsądku? Butler był porządnym człowiekiem i piekielnie dobrym marynarzem. Lecz gdyby chodziło o kobietę, nie

miałby za grosz skrupułów, zwłaszcza wobec ładniutkiej dziewczki z tawerny, kochanicy kapitana, która znalazła się, bezbronna, z dala od domu i ojca.

Umieścił w księdze kilka kolejnych pozycji, a potem zerknął znowu na Brandy. Siedziała w fotelu, pogrążona w lekturze, z wyrazem spokojnego zadowolenia na twarzy. Uśmiechnął się w duchu, gdyż widok ten sprawił mu przyjemność, której istoty nie był w stanie pojąć.

Podobnie czuł się, obserwując, jak spaceruje wcześniej po pokładzie. Widać było, że wszystko, co widzi wokół siebie: morze, statek i załoga, wprawia ją w szczerzy zachwyt. Ciekawość musowała w niej niczym szampan, skłaniając do zadawania pytań.

Brianne Winters miała w sobie coś szczególnego. Wewnętrzny blask. Zapał i umiłowanie życia, jakie rzadko zdarzało mu się oglądać. Zdawała się nim przepelniona na tyle, że ów entuzjazm wylewał się z niej, oddziałując na otoczenie. Jilly Shar-pe to dostrzegł, zapragnął ją posiadać i słono za to zapłacił.

Hamish Bass i Cyrus Lamb też to widzieli i aprobowali. Członkowie załogi wyczuwali i zazdrościli mu, uważając ją jego kochankę.

Obserwował dziewczynę, siedzącą tak spokojnie w jego kabinie, żałując gorzko, iż nie jest to prawda. Zbliżali się do Bahamów i niecierpliwość Brandy rosła z każdym dniem. Marcus opowiedział jej co nieco o wyspach. W archipelagu było ich około siedmiuset, w tym zaledwie kilka zamieszkanym. „Morski Jastrząb” miał zawinąć najpierw do Black's Bay na Spanish Keys, niewielkim, rzadko zaludnio-



nym skrawku lądu w pobliżu Andros, największej z wysp, położonej na południowy zachód od New Providence, dokąd ostatecznie zmierzali.

Chociaż obecnie wyspy zasiedlali głównie Anglicy, otrzymały one nazwę po innych osadnikach: Hiszpanach, którzy zamieszkiwali tam przez jakiś czas. Po wyładowaniu części towarów statek miał skierować się na wschód, ku New Providence i rozrastającej się w szybkim tempie stolicy kolonii, Nassau.

Na samą myśl o tym, iż postawi wkrótce stopę na obcej ziemi, Brandy przenikał dreszcz. Nie odwiedziła nigdy Anglii, a Marcus był, oczywiście, Anglikiem, podobnie jak większość marynarzy na „Jastrzębiu”. Snuli wciąż opowieści o starej dobrej Anglii i Brandy uznała, że bardzo chciałaby ją zobaczyć. Może brytyjska kolonia da jej jakieś wyobrażenie o świecie, w którym żył Marcus, gdy nie przebywał akurat na morzu.

Byli zaledwie o dwa dni od portu, pokonując - gnani mocnym wiatrem - milę za milą, gdy jeden z członków załogi niespodziewanie się rozchorował.

Brandy siedziała, czytając, z kotką zwiniętą na kolanach, a Marcus zapisywał wykonane czynności w dzienniku pokładowym, gdy do kajuty zapukał pierwszy oficer, niweczając spokój popołudnia.

Ściskając w dłoniach kapelusz, zmartwiony przemierzał kajutę, ściągnąwszy krzaczaste szare brwi.

- Z początku uznałem, że to nic takiego. Marynarz Foley zachorował wczoraj rano. Pomyślałem wtedy, że zjadł coś nieświeżego. Lecz wczoraj wieczorem Alf Crandall i Krępy Jones też źle się poczuli.

Wypluwają sobie wnętrzności. - Zaczerwienił się pod bujną siwą brodą. - Przepraszam, panienko.

Chrząknął i spojrzał znów na Marcusa.

- Nie są w stanie utrzymać nic w żołądku, głowa pęka im z bólu, a co najgorsze, płoną z gorączki. Nie podoba mi się to ani trochę, kapitanie.

Marcus zmarszczył brwi.

- Mnie także.

Spojrzał na Brandy, nie polecił jednak pierwszemu oficerowi, by zamilkł.

- Poddadzą nas kwarantannie - stwierdził Ha-mish. - To pewne, jak mróz w zimie.

Marcus skinął głową i zamknął grubą księgę.

- Może nie na Spanish Keys, ale z pewnością w New Providence.

- A co pan o tym sądzi? - spytała Brandy, powściągając obawę.

Hamish podrapał się po brodzie.

- Trudno powiedzieć coś na pewno. Może nie ma się czym przejmować.

- Albo przeciwnie, sprawa jest śmiertelnie poważna - zauważyła, przeczesując palcami futro kotki.

Dandelion wyczuła widać jej zdenerwowanie, zjeżyła bowiem sierść, syknęła i zeskoczyła z kolan.

- Trzy lata temu mieliśmy w Charlestonie epidemię tyfusu - mówiła dalej dziewczyna. - Mój ojciec zachorował, a także kilkoro spośród personelu. Pomagałam się nimi opiekować. Może gdybym przyjrzała się chorym, byłabym w stanie powiedzieć, co im jest.

- Nie - stwierdził Marcus stanowczo. Odsunął krzesło i wstał zza biurka. - Cokolwiek to jest, nie chcę cię narażać.

- Lecz gdybym na nich spojrzała... Potrząsnął tylko głową.

- Nie zbliżysz się do chorych, póki nie będziemy wiedzieli, co to za choroba. - Okrążył biurko i podszedł do Hamisha. - Zwykle winna jest zakażo-

na woda, my jednak piliśmy ostatnio jedynie deszczówkę.

- To mogło być też coś w jedzeniu - wtrąciła Brandy.

- Zapewne, lecz korzystamy z tych samych zapasów, odkąd wypłynęliśmy z portu, i nikt dotąd nie zachorował.

Hamish przełożył fajkę z jednej dłoni do drugiej. Sięgnął do kieszeni, wyjął kapciuch z tytoniem i nabił cybuch.

- Może ktoś się postarał, żeby zachorowali. Dodał czegoś do picia albo jedzenia.

Marcus uniósł brwi.

- Sugerujesz, że zrobił to osobnik odpowiedzialny za tamte wypadki?

Hamish wzruszył ramionami, jakby przyznawał, że istotnie, przemknęło mu to przez myśl.

- Wypadki? - powtórzyła Brandy. - O czym wy mówicie? Nie sądzicie chyba, że ktoś mógłby zrobić coś takiego celowo?

Marcus spojrzał wprost na nią.

- Pamiętasz, jakie mieliśmy kłopoty ze sterem?

- Oczywiście.

- A już na pewno przypominasz sobie, co się wydarzyło, gdy mocowanie pękło i ładunek zaczął się przemieszczać. Uszkodził ster i omal cię nie zabił.

- Myślałam, że to...

- Wypadek? Może tak, a może nie. Ktoś mógł uszkodzić statek.

Otworzyła szerzej oczy.

- Lecz w jakim celu?

- Prawdopodobnie dla zysku. Przedsiębiorstwa ostro rywalizują z sobą o kontrakty. Hawksmoor cieszy się doskonałą opinią i ktoś mógł uznać, że dostajemy więcej, niż się nam należy.

- Ale uszkodzenie statku... podtruwanie zdrowych ludzi...
  - Nie ma co wyciągać pochopnych wniosków. Marynarze mogli złapać po prostu jakieś choróbko. To się zdarza. Teraz najważniejsze jest, by ich odizolować. Na wypadek, gdyby okazało się, że to zakaźne.
  - Kto się nimi zajmie? - spytała Brandy.
  - Pan Lamb będzie za to odpowiedzialny. Kiedy na pokładzie nie ma lekarza, opieka nad chorymi przypada jemu lub Hamishowi.
- Zacisnęła palce na okładce książki, którą właśnie czytała.
- Proszę pozwolić, bym mu pomogła. Jak powiedziałam, trochę się na tym znam. Poza tym opróżnianie wiader i przykładanie mokrych kompresów nie wymaga wielkich umiejętności.
- Marcus potrząsnął głową.
- Pokładowy szpital to nie miejsce dla niewinnej panienki. Sami o siebie zadbamy.
- Brandy już miała zacząć się spierać, zrezygnowała jednak. Na razie zachorowało tylko trzech członków załogi. Być może na tym się skończy i jej pomoc nie będzie konieczna. Miała nadzieję, że tak się stanie. Po drugiej stronie kajuty Marcus wsunął ramiona w rękawy granatowego surduta i ruszył ku drzwiom.
- Obawiam się, że będziesz musiała nam wybaczyć - powiedział. - Chciałbym przyjrzeć się chorym osobiście, Hamish.
  - Tak jest, kapitanie. - Wyszli z kajuty, zostawiając ją samą. Znowu. Matko Przenajświętsza, może powinna była jednak się kłócić. Była silna, miała potrzebne umiejętności i wprost konała z nudów. Mogłaby pomóc tym ludziom, gdyby tylko Marcus jej pozwolił.

Okazja po temu nadarzyła się trzy dni później. Zakotwiczyli w pobliżu archipelagu wysepek, zwanego Spanish Keys, nie z powodu kwarantanny, ale dlatego, że zdecydował tak Marcus. Połowa załogi leżała powalona gorączką, druga połowa drżała ze strachu na myśl o tym, że mogą zarazić się chorobą - jak sądzili, tyfusem albo cholera - i umrzeć.

Brandy, zdecydowana pomóc, przemierzała kabinę w oczekiwaniu na powrót Marcusa. Przy tak dużej liczbie chorych pracował niemal na okrągło. Gdy w końcu się pojawił, dochodziła północ. Było oczywiste, iż nie zamierza się położyć.

Zamknął drzwi i spojrzał na nią zdziwiony.

- Jeszcze na nogach? Nabrałaś zwyczaju nagabywania mnie późnym wieczorem i wcale mi się to nie podoba.

Zignorowała ponure spojrzenie, którym ją obdarzył.

- Hamish powiada, że zachorowali kolejni marynarze. Chciałabym, żeby pozwolił mi pan im pomóc. Marcus potrząsnął głową.

- Powiedziałem ci już: nie życzę sobie, byś i ty zachorowała. A tak by się bez wątpienia stało, gdybyś zeszła pod pokład i zetknęła się z chorymi.

- Przedtem nie zachorowałam. Nie ma powodu sądzić, że zachoruję teraz.

- Albo że nie zachorujesz. Nikt dotąd nie umarł, nie wiemy jednak, na ile niebezpieczna jest ta zaraza.

- Proszę zatem się zgodzić, bym pomogła opiekować się chorymi. Może zdołamy to powstrzymać i nikt więcej nie zachoruje.

Marcus przecesał falujące czarne włosy gestem odzwierciedlającym takie znużenie, że serce Bran-

dy ścisnęło się współczuciem. Twarz miał napiętą, oczy podkrążone. Zdawał się wymizerowany i, po raz pierwszy, niepewny.

- Hamish powiada, że marynarze bardzo wymiotują - naciskała Brandy. - To może być denga\* albo nawet tyfus. A skoro na pokładzie nie ma lekarza, panu Lambowi z pewnością przyda się pomoc.

Marcus potrząsnął z wolna głową.

- Siedlisko zarazy to nie miejsce dla damy.

- To bez znaczenia. Proszę pozwolić mi tam pójść, może zdołam stwierdzić, co to za choroba, i jakoś pomóc.

Przymknął powieki i wypuścił powoli powietrze z płuc.

- W porządku. Rano zejdziemy pod pokład i będziesz mogła przyjrzeć się chorym. Nie zostaniesz tam jednak, bez względu na to, co im dolega.

Brandy nie zaprotestowała. Nauczyła się już, że jeśli chodzi o Marcusa, nawet niewielkie zwycięstwo warte jest tego, by je celebrować.

W kwaterach załogi, mieszczących się nisko w trzewiach statku, panował półmrok, choć na górze słońce oświetlało pokład. Olejowe lampki, zawieszane na kołkach w ścianach i na suficie, nie wystarczały, aby rozproszyć ciemność. Kiedy znaleźli się na dole drabinki, wstrętny odór choroby uderzył ich w nozdrza. Brandy poczuła, że robi jej się niedobrze. Jeszcze chwila, i zwymiotuje.

Marcus spojrzał na nią i powiedział:

**\* Denga - groźna wirusowa choroba odzwierzęca, przenoszona przez komary. Występuje w strefie tropikalnej.**

- Wystarczy. Jesteś blada jak śmierć. Wracamy na pokład.

Brandy pospiesznie się cofnęła.

- To śmieszne. Za chwilę mi przejdzie. Muszę tylko przywyknąć.

Burknął coś na temat upartych kobiet.

- Jesteś pewna, że chcesz przez to przechodzić?

- Zeszłam tutaj, by sprawdzić, czy będę w stanie pomóc. I to właśnie zamierzam zrobić.

Zacisnął zęby, położył dłoń na talii Brandy i poprowadził ją pomiędzy rzędami ściśniętych koi, położonych jedna nad drugą. Zaczerpnęła powietrza ustami, zwalczając nudności.

Zatrzymała się przy koi pierwszego marynarza, Kulawego Jonesa, którego widywała wcześniej na pokładzie. Teraz, patrząc na zapadnięte policzki i przerażająco bladą twarz chorego, ledwie była w stanie go rozpoznać. Oczy miał zamknięte, a skórę śliską od potu. Jęczał cicho, nieprzytomny z gorączki, przewracając się niespokojnie na posłaniu. Smród uryny i wymiotów wprost zwał z nóg.

Podszedł do nich Cyrus Lamb. Wydawał się równie znużony jak Marcus. Jego masywne ramiona opadły i jakby skurczył się w sobie.

- Źle z nim - powiedział. - Nie chce nic przełknąć, nawet odrobiny rosołu.

- Co z innymi? - spytała Brandy. - Też stracili apetyt?

Kucharz skinął głową.

- Nic dziwnego, przy takim bólu brzucha.

- Rzeczywiście - przyznała dziewczyna. - Ale to zdecydowanie objaw dengi.

- Możliwe. Coś mi jednak mówi, że mamy tu do czynienia z czymś innym.

- Dlaczego tak sądzisz? - zapytał Marcus.

- Nie jestem właściwie pewien. Gdyby to była denga lub tyfus, do tej pory co najmniej kilku by już umarło. - Westchnął cicho, znużony do granic. - Cokolwiek to jest, dziewczyno, ci ludzie są ciężko chorzy i z pewnością przyda mi się pomoc.

- A ja chętnie jej udzielę.

Marcus zmarszczył brwi i przez chwilę zdawało się jej, że odmówi.

- Nie podoba mi się to - powiedział jednak tylko, obejmując spojrzeniem niekończące się morze chorych. - Gdyby tak bardzo nie brakowało nam ludzi...

- Ale brakuje, a ci tutaj rozpaczliwie potrzebują opieki. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Proszę mi pozwolić.

Spojrzał na miejsce, którego dotknęła, a potem na blade, wymizerowane twarze chorych.

- Wygląda na to, że nie mam wyboru. Brandy uśmiechnęła się i powiedziała do Cyrusa:

- Czy jest szansa, by ktoś zniósł tu, na dół, beczułkę morskiej wody? Moglibyśmy zamoczyć ubrania tych ludzi i może zbić nieco gorączkę.

- Co pan na to, kapitanie? Marcus skinął lekko głową.

- Dopilnuję, by przyniesiono wodę.

Zostawił ją pod opieką Cyrusa i ruszył ku drabinie, a Brandy zabrała się do roboty. Był to przegnębiający, ciągnący się w nieskończoność dzień, a jednak czuła ulgę, że może pomóc. Kiedy okrętowy dzwon wybił cztery razy, sygnalizując, że jest godzina druga nad ranem, pożegnała się z Benem Hopkinsem, który zszedł ją zastąpić, minęła śpiącego Cyrusa i ruszyła w górę po drabinie. Ledwie wspięła się o kilka stopni, zobaczyła nad sobą wysoką postać Marcusa.



Zatrzymał się w połowie drogi, górując nad nią.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz? Chcesz się rozchorować? Powiedziałem, że możesz pomóc. Nawet nie przyszło mi do głowy, że zostaniesz na dole przez pół nocy. Kiedy zamierzałaś się położyć?

Zadarła hardo brodę.

- Było mnóstwo do zrobienia, a ja naodpoczy-wałam się w pańskiej kabinie za wszystkie czasy. Zresztą nikt tu ostatnio zbyt wiele nie sypia, zwłaszcza pan.

- Ja jestem kapitanem, ty zaś...

- ... jedynie pasażerką na gapę, starającą się odpracować podróż.

Zacisnął szczęki, aż drgnął mu mięsień w policzku.

- Kimkolwiek jesteś, potrzebujesz odpoczynku. Wrócisz ze mną do kajuty.

Nie wypomniała mu, że właśnie się tam kierowała.

- Jak pan sobie życzy, kapitanie.

Szedł obok niej przez pokład, a potem korytarzem prowadzącym do kabiny. Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, chwycił Brandy za ramiona i obrócił ku sobie.

- I co sobie myślałaś, wychodząc bez eskorty? Wiesz już, co może się wydarzyć. Sądziłem, że dostałaś nauczki.

Westchnęła ciężko. Czasami dominujące zachowanie Marcusa zdawało jej się irytujące nie do zniesienia.

- Na wypadek, gdyby pan nie zauważył, kapitanie, brakuje ludzi do eskorty. Co jest tak naprawdę bez znaczenia, gdyż nie zostało zbyt wielu, którzy mogliby stanowić zagrożenie. Większość leży brzuchem do góry w izbie chorych, na wpół żywa z gorączki.

Zamrugnął, opuścił ramiona i znużony cicho westchnął.

- Przepraszam. Jestem bardzo wdzięczny za to, co robisz. Chyba niezbyt dobrze to okazuję.

Uniosła dłoń i dotknęła bezwiednie jego policzka. Czuła pod palcami szorstką szczecinę.

- Jest pan zmęczony i zmartwiony. Skoro znalazł pan czas, by troszczyć się jeszcze o mnie, to ja powinnam być wdzięczna.

Przesunął spojrzeniem po twarzy Brandy. Nakrył jej dłoń swoją i na moment coś zabłysło w jego oczach.

Szybko opuścił jednak rękę, odwrócił się i podszedł do biurka.

- Są jakieś oznaki, że gorączka opada?

- Niestety, jeszcze nie.

- Nadal nie jesteś pewna, co im dolega?

- Ta choroba nie przypomina żadnej, z którą się zetknęliśmy. Pan Hopkins powiedział, że w Charlestonie dostarczono na pokład świeże owoce. Może był w nich jakiś owad, który rozniósł zarazę.

- Możliwe. Ale jedliśmy je przez cały czas i nic się nie działo. Musi być inna przyczyna.

- Może coś było po prostu w powietrzu. A jeśli tak, nie będziemy wiedzieli na pewno.

Skinął głową i znużonym gestem jął rozpinać surdut, wymięty jak nigdy dotąd.

- To zresztą bez znaczenia. Liczy się tylko, by ludzie wyzdrowieli.

To jednak pozostawało nadal niepewne. Do tej pory zachorowała ponad połowa załogi, choć nikt nie umarł. Była to jedyna dobra rzecz w niekończącej się batalii.

Brandy przyklękła obok ostatniej ofiary epidemii, jasnowłosego Biga Butlera. Marynarz chwycił ją za rękę.

- Jeśli ty będziesz się mną opiekowała, może choroba nie okaże się aż tak straszna.

Czuła, jak mężczyzna drży, wiedziała, iż musi cierpieć, zmusiła się jednak do uśmiechu.

- Niektórzy przechodzą to łżej niż inni. Jesteś zdrowy i silny...

-Ach... więc zauważyłaś. Bardzo się... cieszę. Uśmiechnęła się szerzej.

- Jest pan o wiele zbyt zuchwały, panie Butler, i zanadto pewny siebie. - Cofnęła dłoń. - A teraz proszę odpoczywać. Może gorączka trochę zelżeje.

Westchnął ciężko i zamknął intensywnie niebieskie oczy. Pot przyciemnił mu faliste włosy i przykleił je do czoła. Mimo to nadal był przystojny. Przystojny i czarujący, choć ani trochę jej nie pociągał, chyba że jako przyjaciel. Nie było w tym żaru, burzliwych emocji, jakie odczuwała, gdy Marcus Delaine choćby na nią zerknął.

Otarła wilgotną szmatką czoło marynarza, a potem łokciem własne. Była zmęczona, znużona do szpiku kości. A jednak, pomimo okoliczności, za nic nie chciałaby być teraz gdzie indziej, jak tylko na pokładzie „Jastrzębia”, pomagając członkom jego załogi.

## Rozdział 7

Marcus stał u podnóża drabinki prowadzącej ku izbie chorych i przyglądał się, jak Brianne Winters krąży pomiędzy kojami, pocieszając jego ludzi, ocierając im czoło lub podtrzymując głowę, kiedy zwracali nawet odrobinę pożywienia, którą udało im się przełknąć.

Jej prosta spódnica i biała bluzka były okropnie pogniecione i wilgotne od potu. Pasma miedzianych włosów wymknęły się z warkocza i zwisały, falując, wokół twarzy. Zdawała się zupełnie tego nieświadoma. Zamiast własnemu wyglądowi, całą uwagę poświęcała kolejnemu choremu, zachowując się tak, jakby był jedynym powierzonym jej opiece.

Marcus poczuł, że serce mu się ściska na sam ten widok. Ilekroć ujęła czyjaś dłoń lub choćby tylko się uśmiechnęła, chory wydawał się podniesiony na duchu, jakby jego siła życiowa uległa nagle zwielokrotnieniu. Jak dotąd, żaden chory nie umarł. Marcus pocieszał się tym, licząc, iż cokolwiek zdziesiątkowało jego załogę, nie okaże się śmiertelne. Od dwóch dni nie było też nowych przypadków. Może sprawy zmierzają wreszcie ku lepszemu, pomyślał z nadzieją.

Przez chwilę zastanawiał się, po raz kolejny zresztą, czy zaraza nie została spowodowana przez

człowieka, kogoś, kto chciał zaszkodzić jego przedsiębiorstwu. Rozsądek podpowiadał mu jednak, iż była to prosta konsekwencja życia, jakie wybrał. Przez lata dopisywało im szczęście i nikt poważnie nie zachorował, lecz to nie mogło trwać wiecznie.

Podszedł do kobiety, która okrywała właśnie prześcieradłem śpiącego marynarza.

- Dawno powinnaś być w łóżku. Przyszedłem odprowadzić cię do kajuty.

Gdy tylko to powiedział, dwanaście par oczu natychmiast zwróciło się w jego kierunku. Dostrzegł w nich skrywaną zazdrość. Chorzy, choć bladzi i wymizierowani, nadal zdolni byli odczuwać żądzę. Sądziło, że weźmie ją do swego łóżka i będą się kochali, póki nie zaspokoi pożądanego. Gdyby była to prawda, zapewne poczułby się winny. Może nie dziś, ale przy innej okazji. Dziś, gdyby Brandy należała do niego, zanurzyłby się w niej i wziął to, czego potrzebuje. Nie zrezygnowałby z pociechy, jaką mogło dać mu jej kuszące, drobne ciało.

Odwróciła się od chorego i podeszła do Marcusa. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się zaskakująco radośnie.

- Wreszcie zaczynają czuć się lepiej. Pan Foley zachorował jako pierwszy, a teraz gorączka całkowicie ustąpiła. Kilku innych też ma się całkiem dobrze. - Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Uważam, że z tego wyjdą.

Poczuł, że zalewa go fala ulgi. On też się uśmiechnął.

- Jeśli tak się stanie, będzie w tym sporo twojej zasługi. Dziękuję, że im pomogłaś, Brianne.

- Cieszę się, że pan mi pozwolił.

- Nie powinienem był. To z pewnością nie miejsce dla ciebie.

- Oboje wiemy, że na tym statku nie ma dla mnie miejsca - odparła. Nie uśmiechała się już tak radośnie. -  
Jeśli mogłam pomóc, być może wynagrodzi to chociażby w części kłopoty, jakie spowodowałam.

Spojrzał na nią, dostrzegł znużenie, gaszące blask ładnych bursztynowych oczu, i pomyślał  
o tym, ile ostatnio przeszła.

- Uważam, że w pełni spłaciłaś swój dług. Wygięła znów wargi w delikatnym uśmiechu.

- Miło mi to słyszeć, kapitanie. Zaoferował jej ramię.

- Pójdziemy?

Położyła dłoń na rękawie jego surduta i poczuł ciepło jej palców. Gdy przemierzali pokład, powiew wiatru cisnął mu w twarz luźne pasma jej włosów. Spódnica Brandy otarła się o jego nogi i poczuł, że cały sztywnieje.

Wyobraźnia podsunęła mu obraz Brianne nagiej, z miękkimi wargami rozchylonymi do pocałunku, bladymi nogami owiniętymi wokół jego bioder, podczas gdy on wchodzi w nią głęboko. Członek mu zeszywniał, napierając nieprzyjemnie na spodnie. Zaklął w duchu, wymyślając sobie od głupców. Zatrzymała się przy relingu, oparła dłonie o poręcz i zapatrzyła się na wodę.

- Morze jest tak cudowne. Zastanawiałam się, jak to jest: wypłynąć daleko. Nie byłam jednak w stanie wyobrazić sobie tego ogromu, tego piękna. Czasami, gdy o tym myślę, żałuję, że muszę tyle spać. Wolałabym przyjść tutaj i siedzieć na pokładzie przez całą noc, po prostu je obserwując.

Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

- Morze ma wiele twarzy. Czasami jego piękno jest łagodne, a powierzchnia spokojna i gładka jak

szkło. Czasami się burzy, dzikie i niebezpieczne niczym wiedźma, która zawzięła się, by uwieść mężczyznę i wpędzić go do zimnego grobu. Zawsze jednak fascynuje.

- Mówi pan o oceanie jak o kobiecie. Wykrzywił z lekka wargi.

- Bo tak o nim myślę: jako o pięknej kobiecie, którą kocham od czasów, gdy byłem chłopcem. Morze to moja jedyna ukochana.

Coś zabłysło w jej spojrzeniu, lecz zaraz znikło.

- Można wyczytać to z pańskiej twarzy, gdy patrzy pan na wodę.

- Morze to moje życie. Jedyne, jakiego kiedykolwiek pragnąłem.

Zwróciła spojrzenie na horyzont, ku miejscu, gdzie odległe wysepki tworzyły ciemną linię na tle niekończącej się czerni. On zaś przyglądał się oświetlonej blaskiem księżycy twarzy dziewczyny, myśląc o tym, jak niewiarygodnie jest piękna, jak delikatne ma rysy, jak pełne i pięknie wykrojone są jej wargi. Odwróciła się, spojrzała na niego i czas niespodziewanie się zatrzymał. Marcus nie miał już wyboru, musiał po prostu ją pocałować. Poczuć dotyk tych miękkich ust. Pragnął tego od chwili, gdy posmakował po raz pierwszy ich słodczy. Przyciągnął Brandy do siebie i nakrył jej usta swoimi. Zesztywniała, zaskoczona, lecz zaraz uniosła ramiona, objęła go nimi delikatnie za szyję i odwzajemniła pocałunek. Czuł, jak szybko bije jej serce, czuł ciepło przywierającego doń, drobnego ciała.

-Marcusie...

Na dźwięk wypowiedzianego szeptem imienia, z ust Marcusa dobył się cichy jęk. Zacisnął wokół niej ramiona i pogłębił pocałunek, skłaniając Bran-

dy, by rozchyliła wargi, biorąc ją językiem, smakując ogień wewnątrz mrocznej, słodkiej pieczary jej ust. Wzwidziony członek pulsował boleśnie. Delaine czuł, jak dziewczyna drży w jego objęciach, czuł miękki dotyk jej piersi i to, że ich sutki sztywnieją, zmieniając się w twarde małe węzłki.

Uniósł dłoń i objął nią pierś Brandy. Przesunął kciukiem po czubku i sutek stwardniał jeszcze bardziej. Brandy pisnęła cicho i było to jak iskra zapalająca płomień. Krew pulsowała mu w skroniach i w kroczu. Pieścił kształtną pierś, żałując, iż nie może zerwać materiału osłaniającego miękkie, kremowe ciało; czuł, jak Brandy drży, i żałował, że nie wierci się pod nim naga.

- Marcusie... - Wsunęła mu palce we włosy na karku. Dotknęła językiem jego języka i Marcus poczuł kolejny przyływ żądy. Pragnął wziąć ją tu, gdzie stoi, zadrzeć spódnicę i zanurzyć się w śliskich głębinach jej ciała. Chciał kochać się z nią, zapomnieć o zmęczeniu i zatracić się w odurzającej rozkoszy. Musnął wargami bok jej szyi, posmakował małego, przypominającego muszlę ucha i pocałował ją znowu, obejmując dłońmi za pośladki i przyciskając do krocza. Zawahała się jedynie na sekundę, a potem przywarła do niego ochoczo, odwzajemniając pocałunek, napierając sutkami na jego tors i sprawiając, że zapragnął jej jeszcze mocniej. Położył znów rękę na piersi dziewczyny, ważąc ją w dłoni, rozpaczliwie pragnąc rozedrzeć broniącą dostępu bluzkę i popieścić nagie ciało.

Jakiś dźwięk na pokładzie za nimi sprawił, że Marcus trochę oprzytomniał. Jednak oderwanie ręki od miękkiej półkuli piersi Brandy, a ust od słodkiego ognia jej warg wymagało nie lada si-



ły woli. Wyprostował się i odsunął. Brandy zachwiała się, wytrącona z równowagi, jak on przed chwilą. - Spokojnie, skarbie. - Otoczył ją ramionami i podtrzymał, a potem delikatnie odsunął. - Zejdźmy lepiej na dół. Jesteś zmęczona, a to nie czas ani miejsce. Przepraszam, że skorzystałem z chwili twojej słabości. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale zobaczyła dwóch marynarzy wspinających się po wantach, spłonęła rumieńcem i przytaknęła.

Marcus zaczerpnął głęboko tchu i zwalczył płonące w nim nadal pożądanie. Zanim dotarli do kajuty, wrócił mu rozsądek. Jego ciało nadal płonęło, umysł miał jednak czysty i w pełni nad sobą panował. Do czorta! Co on sobie, u diabła, wyobrażał? Brianne Winters była dziewicą. Choćby pragnęła go tak bardzo, jak on jej, i tak postąpiłby podle, uwodząc ją. Małżeństwo nie wchodziło w grę, poza tym wcale go nie chciał. Jego świat, jego marzenia, związane były z morzem. Nie było w nich miejsca dla Brianne Winters czy jakiegokolwiek innej kobiety.

Nie mógł też tak po prostu jej wziąć, a potem porzucić. Była słodkim, niewinnym dziewczątkiem u progu kobiecości. Zaslugiwała na to, by mieć męża i rodzinę, a odbierając jej dziewictwo, odebrałby też szansę na normalne życie.

No i mogłaby przecież zajść w ciążę. A dziecko potrzebuje ojca, kogoś, kto byłby przy nim przez lata.

Marcus nie zamierzał zaś być gdzie indziej, jak tylko na morzu.

Jak jej powiedział, morze było jego życiem, jego miłością. Wszystkim, czego pragnął.

Odwrócił się ku Brianne.

- Pora się położyć - powiedział trochę szorstko. - Jesteś zmęczona i potrzebujesz snu.

Spojrzała na niego, skonsternowana.

- Jest pan zły. Przepraszam, jeśli pana rozczarowałam.

- Rozczarowałaś? - Przeciął dłonią powietrze, sfrustrowany do granic. - Do licha, czy nikt nie cię ostrzegł, co może się zdarzyć, kiedy kobieta całuje mężczyznę tak, jak ty mnie pocałowałaś?

Brandy zwilżyła usta.

- Myślałam... Myślałam, że było panu przyjemnie.

- Na miłość boską... Oczywiście, że było mi przyjemnie! Jestem mężczyzną, czyż nie? A może nadal uważasz, że cokolwiek zrobisz, będziesz przy mnie bezpieczna? Myślisz, że możesz obnosić się ze swoim delikatnym, zmysłowym ciałem, całować mnie, pozwalać, bym pieścił te śliczne piersi, a ja będę stał jak przeklęty głupiec i cię nie wezmę? Jeśli tak właśnie sądzisz, grubo się mylisz. Ostrzegam cię, Brianne: jeśli nadal będziesz kusila mnie tak jak dotąd, wylądujesz pode mną na plecach. Wezmę cię, możesz być tego pewna. Zrobię to, co reszta załogi uważa już za fakt dokonany.

Brandy wpatrywała się w Marcusa, jakby go nigdy przedtem nie widziała. W jej oczach dostrzegł niedowierzanie i może cień strachu. Ogarnął go wstyd. To przecież nie jej wina. Była dziewicą, on zaś posiadał więcej kobiet, niż życzył sobie pamiętać. Na Boga, powinien mieć więcej rozumu.

- Nie próbowałam pana skusić - powiedziała cicho. Choć głowę trzymała wysoko, widział, iż drżą jej wargi. - i to nie ja pocałowałam pana, ale pan mnie.

Wspomnienie wróciło i Marcus zdusił jęk. Jego ciało nadal pulsowało pożądaniem, a umysł podsuwał obraz miękkiej piersi pod jego dłoń.

- Idź do łóżka - powiedział łagodniej. - Lepiej, byśmy oboje udawali, że nic się nie wydarzyło.

Utkwiła stalowe spojrzenie w jego oczach.

- Zrobi pan, jak zechce. Jeśli o mnie chodzi, nie zamierzam udawać, że nic się nie wydarzyło. Przeciwnie, chcę wszystko pamiętać, i to dokładnie.

Wyprostowała ramiona, odwróciła się i weszła do kabinki, opuszczając za sobą zasłonę. Materiał falował przez chwilę, a potem znieruchomiał. Marcus westchnął znudzony. Nie był wobec niej w porządku. To, co zaszło na pokładzie, zdarzyło się z jego winy, nie z jej. Pragnął dziewczyny tak bardzo, że stracił nad sobą kontrolę. W przyszłości będzie musiał bardziej uważać.

Wspomniał wyraz oczu Brandy, kiedy zakończył pocałunek, i pomyślał, że, na Boga, nie będzie to łatwe. Brandy leżała pod kocem na wąskiej koi, wpatrując się w sufit z desek. Słuchała, jak Marcus przemierza godzinami kajutę, zamiast się położyć.

Nie była pewna, dlaczego to robi. Może po tym pocałunku czuje się równie podniecony i niespokojny jak ona, wytrącony z równowagi w sposób, którego wcześniej nie знаła. Próbowwała o tym nie myśleć, zapomnieć, jak to było, gdy czuła na piersi dotyk opalanej dłoni, przyprawiający o zawrót głowy zalew gorąca, kiedy przesuwiał palcami po sutku. Boże święty, to, na co mu pozwoliła, było bez wątpienia grzeszne. Ojciec powiedziałby, że jest rozpustna. Że jest, jak matka, ladacznica.

I być może miałby rację. Wiedziała tylko, że chce, by Marcus jej dotykał, by pocałunek trwał

i trwał, pragnęła czuć na ciele jego dłonie. Pragnęła też go dotykać, gładzić ukryte pod koszulą twarde mięśnie, wbić sobie w pamięć każdą ich wypukłość i zagłębienie. Marcus zamierzał udawać, że nic się nie wydarzyło. Brandy wolała pamiętać.

Wpatrywała się w deski nad głową. Ze szpary wyszedł pajęczek. Patrzyła, jak przemierza niepewnie sufit, myślami była jednak nadal z Marcu-sem. Wspominała jego uwielbienie dla morza i to, że mówił o oceanie, jakby był jego kochanką, jedyną prawdziwą miłością.

Morze było jego żywiołem, niedostępnym dla Brandy. Wiedziała o tym od początku i na swój sposób rozumiała. Marcus nie kochał dziewczyny z tawerny i nigdy nie pokocha. Mimo to jej pożądał. Dziś wieczorem przekonała się, jak bardzo.

Nie wiedziała zbyt wiele o pożądaniu, było jednak oczywiste, co czuje do Marcusa. Prawdę mówiąc, chciała, by się z nią kochał. By uczynił z niej kobietę w pełnym znaczeniu tego słowa. Nieważne, czy będą wtedy małżeństwem. Nie pragnęła wyjść za mąż. Chciała wiele zobaczyć, zwiedzić różne miejsca, doświadczyć życia we wszelkich jego przejawach.

I chciała też poznać, co to namiętność. Marcus mógłby jej w tym pomóc, gdyby tylko zechciał.

Westchnęła w ciemności, poddając się wreszcie znużeniu. Co robić? - pomyślała jeszcze, zapadając w sen. Gdy obudziła się rankiem, nadal nie знаła odpowiedzi.

\*\*\*

Hamish Bass stał przy relingu, strzegąc Brandy Winters. Większość marynarzy wstała już z łóża

boleści i wróciła do zwykłych zajęć, dlatego kapitan nalegał, by ktoś towarzyszył dziewczynie na pokładzie.

Hamish ssał ustnik fajki, zerkając na Brandy, wpatrującą się z podekscytowaniem w rosnący kontur wyspy, do której się właśnie zbliżali. Była ponętą dziewczuszką, bez wątpienia, o słodkim głosie, łagodnym spojrzeniu i drobnym, acz bardzo kobiecym ciele, które musiało wzburzyć krew w każdym, kto był godny miana mężczyzny. Z pewnością tak właśnie stało się z kapitanem.

Hamish znał Marcusa Delaine od czasu, gdy ten wprowadził swój pierwszy statek do portu w Bostonie. Kapitan miał dużo kobiet, lecz Hamish nie widział go dotąd tak zadurzonego, i to w dziewcząt-ku, które nie było nawet w pełni kobietą.

Nie, żeby to pożądanie było widoczne. Marcus trzymał uczucia na wodzy, jak dobry kapitan powinien. Nikt poza Hamishem nie zauważał długich, przepelnionych żądzą spojrzeń, rzucanych spod opuszczonych powiek, ani głodnego wyrazu w ciemnych oczach, ilekroć spoczęły one na dziewczynie. No i pozostawała jeszcze sama Brandy. Hamish zdawał sobie sprawę, że jest w kapitanie po uszy zakochana. Gdy była młodsza, chodziła za nim jak wierne szczenię, błagając o opowieści. Teraz, gdy dorosła, jej zainteresowanie przybrało inną postać, zmieniło się w coś, czego sama do końca nie rozumiała.

Hamishowi było jej żal. Nawet jeśli kapitan weźmie ją w końcu do łóżka, i tak niewiele to zmieni. Zostanie po prostu jedną z kobiet, które czekają na niego w kolejnych portach, może bliższą mu niż pozostałe, lecz nic poza tym.

Nawet jeśli Marcus postanowi kiedyś się ożenić - a Hamish bardzo w to wątpił - nie weźmie sobie z pewnością za żonę ładniutkiej posługaczki z tawerny bez odrobiny arystokratycznej krwi w żyłach. Marcus Delaine jest lordem, szlachcicem wysokiej rangi. Poślubi kobietę ze swojej klasy.

Sytuacja nie wyglądała dobrze, tymczasem Hamish polubił dziewczynę. Nie życzył sobie, aby cierpiała.

- Jesteś dziś jakaś cicha, panienko Brandy.

- Doprawdy? - spytała, zerkając na niego spod oka.

- Tak, dziewczyno, z pewnością.

- Pewnie dokucza mi zmęczenie, to wszystko. Cieszę się, że chorzy wyzdrowieli i mogli wrócić do swoich zajęć. Nie mogę się też doczekać jutra, żeby zejść wreszcie na ląd.

Hamish uniósł brwi.

- Nie chciałbym cię rozczarować, dziewczyno, ale podczas tego postoju zostaniesz na pokładzie.

- Co takiego? - spytała, odwracając ku niemu twarz.

- Tak. Rozkaz kapitana. Będziesz musiała poczekać, aż zawiniemy na New Providence.

- To nie może być prawda. Marcus... kapitan Delaine obiecał, że osobiście zabierze mnie na brzeg. -

Odwróciła się ku sterówce i zobaczyła, że zmierza ku nim. - Prawda, kapitanie? Zabierze mnie pan jutro do miasta?

Kapitan potrząsnął jednak głową.

- Obawiam się, że nie, Brianne. Nie zejdziesz na ląd, aż w Nassau, stolicy New Providence.

Brandy poczerwieniała z emocji.

- Ale obiecał pan, że mnie tam zabierze. Powiedział pan, że odpokutowałam za swoje winy. Odpracowałam podróż.

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Zostaniesz na pokładzie nie dlatego, że chcę cię ukarać. Miasto, gdzie zostawimy ładunek, nie jest bezpieczne dla kobiet. To bardziej wysunięta placówka niż miejscowość. Pełno tam rzezimieszków, piratów i złodziei. Niezbyt miłe towarzystwo, zapewniam.

- To dlaczego w ogóle się w nim zatrzymujemy?

- Nawet piraci muszą jeść, a ludzie, którzy rządzą miasteczkiem, dobrze płacą za towary, których im dostarczamy.

Brandy utkwiała wzrok w morzu i wyspie, rosnącej z każdą mijającą godziną.

- Nie byłam nigdy na Spanish Keys i bardzo chciałabym je zobaczyć. Gdybym przebywała przez cały czas z panem, z pewnością nic by mi nie groziło.

Kapitan uniósł palcami jej brodę.

- Obiecałem, że pozwolę ci zejść na ląd, i tak się stanie. Gdy tylko przybędziemy do stolicy.

- Tak - zgodził się z nim Hamish. - To ładne miejsce, o wiele bardziej szacowne.

Brandy zacisnęła jednak wargi, a w jej spojrzeniu malował się upór. Hamish uśmiechnął się, zaciskając zęby na fajce i zastanawiając, co dziewczyna knuje i jakich kłopotów zamierza przysporzyć znowu kapitanowi.

Tak, niezły z niej kasek, bez wątpienia. Żałował, że nie jest o dwadzieścia lat młodszy i to nie jemu

Brandy przysporzy wkrótce kłopotów.

\*\*\*

Brandy przemierzała tymczasem kajutę Marcusa. Niemal wszyscy zeszli już na brzeg, a kapitan z nimi.

Na pokładzie zostali jedynie Hamish Bass

i Ben Hopkins, jak się domyślała, po to, by jej pilnować. Siedzieli w izbie chorych, grając w karty. Zaoferowali się, że i ją nauczą grać, lecz odmówiła. Nie miała nastroju na karty - pragnęła zobaczyć wyspy, skoro przyплыnęła z tak daleka, by tego dokonać.

Uklękła przed niewielkim piecykiem i dorzuciła węgla. To nie w porządku, że Marcus ją zostawił. Od tak dawna wyczekiwała chwili, gdy zejdzie na brzeg. Teraz, kiedy załoga opuściła statek, jęła się zastanawiać, jak zaradzić sytuacji.

Był wczesny wieczór. Nadal miała chłopięce przebranie. Leżało zwinięte w tobołek pod koją. Przebrana za mężczyznę, mogłaby wysliznąć się ze statku, rozejrzeć trochę, a potem niezauważona wrócić na pokład.

Z drugiej strony, gdyby coś poszło nie tak, gdyby wpakowała się w kłopoty, Marcus byłby wściekły - i miałby po temu słuszny powód.

Rzuciła się na łóżko i spojrzała poza maleńkie okno. Zobaczyła jednak tylko ciemniejące niebo i ani kawałka wyspy. Rozsądek podpowiadał, że powinna zrobić, co jej kazano, i zostać bezpieczna na statku. Buntownicza część natury mówiła jednak co innego: skoro już posunęła się tak daleko, dotarła aż na wyspy, powinna przynajmniej je zobaczyć.

Przewróciła się na brzuch i uderzyła pięścią w poduszkę, próbując zdecydować, którego, głosu posłuchać. Mijały minuty, a ona wciąż się wahała.

Usłyszała drapanie. Dandelion miauknęła w korytarzu, domagając się, by ją wpuszczono.

Brandy ruszyła ku drzwiom, nadal niepewna, jak powinna postąpić.



Jilly Sharpe siedział z czterema kumplami przy stoliku w głębi gospody Pod Koroną i Podwiązką, położonej na brudnej ulicy nabrzeża, pośród walących się zabudowań naprzeciw małego portu o wejściu tak wąskim i płytkim, że statek wielkości „Morskiego Jastrzębia” musiał pozostać na redzie, inaczej osiadłby na mieliźnie.

Jilly przyплыł na ląd z częścią załogi. Kapitan polecił mu, by zosta! na wyspie i zaczekał na statek, na który mógłby się zaokrętować i odpracować podróż.

Sharpe spojrzał rozeźlony przez zadymioną izbę ku miejscu, gdzie rozsiedli się marynarze z „Jastrzębia”, grając w karty i popijając grog. W przyległym pomieszczeniu, za niewielkimi, otwartymi teraz drzwiami, siedział kapitan Delaine. Towarzyszyli mu Garret Stone i Red Fontaine, mężczyźni, którzy zamówili towary wyładowywane właśnie ze statku.

Jilly przyglądał się im, zaciskając pięści. Plecy nadal pokryte miał ranami, które ciągnęły, swędziały i paliły przy każdym ruchu, przypominając o chłóście i o tym, jak bardzo nienawidzi Marcusa Delaine. A także o małej dziwce, kochanicy kapitana, którą zamierzał osiąść, nim skończy się noc.

Niemal się roześmiał. Jeśli kapitan sądził, że na tym się skończy, że on, Jilly, zniknie, podkuliwszy pod siebie ogon, to czeka go nie lada niespodzianka. Marcus Delaine popełnił błąd, sprowadzając go na wyspy. Jilly miał tu bowiem przyjaciół, których znał od dawna.

A nawet gdyby było inaczej, perspektywa zgarnięcia forsy przechowywanej w kajucie kapita-

na i dostania się pod spódnicę ładnej dziewczyny z pewnością przekonałaby ich, by się do niego przyłączyli. Przygoda stanowiła dla bywalców tawerny Pod Koroną i Podwiązką nieodpartą pokusę. Pochylił się nad zniszczonym drewnianym stołem, przemawiając do Janosa, potężnego węgierskiego marynarza o pokrytym bielmem niebieskim oku, które uszkodzono mu podczas bójki na noże.

- Idź na górę. Powiedz Loli, że jest tu Delaine. Kapitan lubi ładne dziwki. Zajmie go do czasu, aż wrócimy ze statku.

Zrobi, co jej się powie, za udział w łupie. Był tego w pełni świadomy. Lola nie robiła bowiem nic, jeśli nie mogła wyciągnąć z tego dla siebie korzyści.

Janos skinął głową. Uśmiechnął się, po czym odsunął z szurgotem krzesło i ruszył ku schodom prowadzącym na piętro, gdzie znajdowały się prywatne pokoje Loli.

- Na pewno jest tam forsa? - zapytał drugi z obwiesiów, Luis Estrada, Hiszpan, który utrzymywał na wyspie kobietę.

- Całe mnóstwo. Delaine to bogaty lord z Londynu. Przeklęty arystokrata. Ma tyle forsy, że starczy dla wszystkich. I na pewno trzyma ją w kabinie. Jeśli nie, będziecie mogli zabawić się z dziewczyną, jak ja z nią skończę.

Luis skinął głową. Pozostali dwaj też wydawali się usatysfakcjonowani. Rozsiedli się wygodnie na krzesłach, popijając rum i popatrując na schody w oczekiwaniu na pojawienie się Loli. Ujrzeni ją po kilku minutach. Schodziła z szumem czerwonych jedwabnych spódnic i biustem niemal wypadającym z dekoltu.

Jilly poczuł, że jego członek twardnieje. Pomyślał o tym, co go czeka, o małych różowych sutkach

i krągłych pośladkach, idealnie mieszczących się w dłoni.

Podnieciło go to jeszcze bardziej. Już niedługo, przyjacielu, pocieszysz się. Dostaniesz, na co masz ochotę, i to niebawem. Kiedy Delaine będzie napalał się na Lolę Perez, ty zabawisz się z jego apetyczną dziewczuszką tak ostro, że nie wstanie potem z łóżka przez tydzień.

Uśmiechnął się z oczekiwaniem, obserwując, jak Lola kołysze biodrami, zmierzając ku Marcusowi Delaine, i skinął szybko głową, dając znak pozostałym. Wstali pospiesznie i wyszli.

Dotarcie na statek nie zajmie im zbyt wiele czasu. A gdy się tam znajdą, poradzenie sobie z nieliczną załogą nie będzie przedstawiać dla pary takich rzezimieszków jak Janos i Luis problemu.

Poszukają pieniędzy kapitana, wezmą je, zabawią się z dziewczyną i znikną gdzieś na wyspach.

Były tam setki miejsc nadających się na kryjówkę. Delaine ich nie znajdzie, tym bardziej że nikt nie zechce mu pomóc. Spanish Keys umiało dbać o swoich.

## Rozdział 8

Marcus przyglądał się ciemnowłosej kobiecie, zmierzającej ku nim od strony baru. Była wysoka, o posągowej sylwetce, z prostymi włosami sięgającymi poniżej bioder i gładką oliwkową skórą. Pełna wdzięku i egzotyczna, wydawała się w tawernie Pod Koroną i Podwiązką równie nie na miejscu, co francuska rajfurka w Izbie Lordów.

Przez otwarte drzwi widział, iż mężczyźni, wyciągając szyje, patrzą na kobietę wzrokiem pełnym pożądania. Wiedział, że jest właścicielką gospody, choć nie potrafił sobie wyobrazić, co kobieta taka jak ona robi w miejscu takim jak Spanish Keys. Od dawna zbierał się, aby ją poznać, i najwidoczniej miało to nastąpić właśnie tego wieczoru.

Zatrzymała się z boku stołu, tuż obok miejsca, gdzie siedział, i trzech mężczyzn wstali. Błysnęła zębami w zmysłowym uśmiechu.

- Dobry wieczór, panowie.

Red Fontanie, Francuz, pozujący na zubożalego dżentelmena, odwrócił się, aby dokonać prezentacji. Do spółki z Garretem Stone rządził wyspą, stanowiącą miejsce schronienia dla mało szacownych typów w rodzaju bywalców tawerny.

- Kapitanie, pozwól, że przedstawię: panna Lola Perez, właścicielka tawerny Pod Koroną i Podwiązką.

Marcus skinął nieznacznie głową.

- Dobry wieczór, panno Perez.

- Kapitan Delaine przyплыł na „Morskim Jastrzębiu” - wtrącił Garret Stone. - Przywiózł zaopatrzenie, którego tak nam brakowało.

Uśmiechnęła się, tym razem szerzej, wyginając kąciki pełnych czerwonych warg.

- Dobry wieczór, kapitanie. Oczywiście, słyszałam już o panu. To przyjemność móc w końcu pana poznać.

Wyraz twarzy miała nieodgadniony: daleki, a zarazem uwodzicielski. Przez cały czas mierzyła Marcusa spojrzeniem czarnych jak węgiel oczu, przesuwając je od stóp aż do głowy kapitana.

Odwzajemnił uśmiech.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Perez. - Zerknął na pozostałych. - Panowie, zakończyliśmy chyba interesy. Może panna Perez zechciałaby się do nas przysiąść?

- Niestety, musimy iść - powiedział Garret w imieniu swoim oraz współnika. - Choć jestem pewien, że kapitanowi przyda się odrobina kobiecego towarzystwa - dodał, zwracając się do Loli.

Co prawda, to prawda, pomyślał Marcus. Był ciekaw Loli Perez i - po spędzeniu wielu nocy w jednej kajucie z Brianne Winters, tak blisko, a zarazem poza zasięgiem - rozpaczliwie potrzebował kobiety. Jeśli dobrze odczytał wyraz oczu Loli, wieczór mógł okazać się całkiem udany.

Mężczyźni pożegnali się, a Lola usiadła naprzeciw Marcusa. Wpatrywał się w jej ponętne usta, zastanawiając się, ile przyjemności mogą mu dostarczyć. Pomyślał o nich, przyciśniętych do swojej skóry, i nagle, nie wiedzieć jak, z pamięci wyłoniło

się wspomnienie warg Brandy, miękkich i drżących, gdy je całował.

Przesunął spojrzeniem po biuście Loli, ciężkim i kuszącym, bladym w porównaniu z ciemnymi włosami i oczami. Piersi Brandy są jędrniejsze, bardziej krągłe, ocenił, wspominając, jak małe twarde sutki napierały na jego dłoń, kiedy je pieścił.

Pomyślał o tym, by pójść z Lolą do łóżka, i niespodziewanie poczuł się winny.

Do licha! Co za diabeł skłonił go do porównywania tych dwóch kobiet i dlaczego miałby czuć się winny?

Nie musiał być lojalny wobec Brandy. Nie należał do niej, ani ona do niego. Nie był nic winien dziewczynie. Nic absolutnie!

Uśmiechnął się do siedzącej naprzeciw smagłej, zmysłowej piękności.

- Wiem, że to nie moja sprawa, i że pytano już panią o to setki razy, ale co kobieta o tak oczywistym... uroku robi w miejscu takim, jak tawerna Pod Koroną i Podwiązką? Można by pomyśleć, że będzie pani wolała miasto - Londyn albo, na przykład, Paryż.

Lola odrzuciła głowę i parsknęła zmysłowym, lekko schrypniętym śmiechem. Ciało Marcusa stężało w oczekiwaniu.

- To chyba oczywiste, kapitanie... a może wolałby pan, abym zwracał się do niego: milordzie? Powiedziano mi, że jest pan nie tylko właścicielem „Morskiego Jastrzębia”, ale i lordem Hawksmoor. Od niedawna, jeśli moje źródła się nie mylą.

- Jest pani doskonale poinformowana, panno Perez.

- Wyspa jest mała, wieści szybko się rozchodzą. On także się uśmiechnął.

- Nie sądzę, byśmy musieli zawracać sobie głowę formalnościami. Może zatem: Marcusie?

Lola uśmiechnęła się, unosząc z wolna kąciki warg.

- Chętnie... Marcusie. A co się tyczy mojego przebywania na Spanish Keys, przyплыnęłam tu z mężem jako osadniczka osiem lat temu. Byłam wtedy młodziutką dziewczyną. Dziesięć miesięcy później Santiago zmarł na zapalenie płuc i zostałam sama. Byłam w rozpacz i prawie głodowałam. Praca tutaj była dla mnie jedynym ratunkiem.

- Utracić męża w takich okolicznościach... to musiało być okropne.

Wzruszyła ramionami, jakby nic jej to nie obchodziło, Marcus czuł jednak, że jest inaczej.

- Nie było tak źle. Z czasem zarobiłam dość pieniędzy, by kupić ten lokal. I, co dziwne, odkryłam, że lubię to, co robię. Widzi pan, zdołałam się wzbogacić. Nie jestem na niczyjej łasce. To ja wybieram mężczyzn, z którym spędzam czas. Interesujących mężczyzn, takich, którzy są w stanie mnie zaintrygować. Tylko oni dzielą ze mną łóżko.

- Uśmiechnęła się leniwym, kocim uśmiechem.

- Pan mnie intryguje, Marcusie. Uniósł brwi i odchylił się na krześle.

- Doprawdy?

Chłodne onyksowe spojrzenie przesunęło się znów po jego ciele, zatrzymując na twarzy. -Tak.

Krew pulsowała mu w żyłach. Lola była piękna, a on jej pragnął. A właściwie, potrzebował. Potrzebował kobiety, która potrafiłaby zaspokoić pożądanie, jakie wzbudzała w nim nieustająco Brianne

Winters. Nawet teraz zderzało się ono z pragnieniem, by przespać się z Lolą Perez.

- Może powinienem postawić pani drinka - powiedział.

- A może ja tobie, mój lordzie kapitanie... na górce, w moim mieszkaniu. Jestem pewna, że tam byłoby nam wygodniej.

Marcus odpowiedział uśmiechem. Wreszcie nie trzeba było się hamować ani bawić w subtelności. Wstał, odsunął krzesło Loli i pomógł jej wstać. Kiedy wsuwał sobie jej dłoń pod ramię, opanowało go znów to irracjonalne poczucie winy, zmieszane teraz z dziwną niechęcią. Choć jego ciało na gwałt potrzebowało spełnienia, coś go powstrzymywało. Lola bardzo mu się podobała, czuł jednak, że czegoś tu brakuje. Może, pomyślał, chodzi o namiętność. Brianne była jak ogień, podczas gdy Lola stanowiła uosobienie chłodnej zmysłowości. Była kobietą doświadczoną, bez wątpienia dobrą kochanką. A także niewiastą wyrachowaną i myślącą jedynie o sobie. Z pewnością potrafiła zapanować w pełni nad pożądaniem. Czuł, że to nie Loli pragnie. Choć jego ciało reagowało na ciemny, niepokojący urok Hiszpanki, to Brianne Winters chciał mieć w swym łóżku. Czuł żar jej pocałunków, jej niewinne, niehamowane pożądanie. Pragnął dać jej przyjemność i przyglądać się, jak osiąga rozkosz. Pragnął jej, a nie Loli Perez, i fakt, że kobieta, jakakolwiek kobieta, zdołała zyskać nad nim taką władzę, sprawił, że zacisnął gniewnie usta.

- Możemy iść? - zapytał nieco bardziej szorstko, niż zamierzył, podając jej ramię.



Lola przyglądała mu się przez chwilę, obdarzając kocim uśmiechem.

- Z przyjemnością, milordzie.

Przycisnęła pełny biust do jego ramienia i Marcus odczuł to aż w dole brzucha. Potrzeba zaznania wreszcie ulgi, złagodzenia palącej żądz szarpnęła go za trzewia. Wspomnił znów Brandy, całując go z tak słodkim zapamiętaniem, i zaklął cicho pod nosem.

Do licha z nią, pomyślał. Dziś zapomni o Brian-ne Winters. Zazna ulgi w ramionach Loli Perez.

\*\*\*

Brandy leżała na łóżku Marcusa, z książką na piersi i kotką rozciągniętą tuż obok i pomrukującą z zadowolenia, gdy ją głaskała.

Doczytała do końca rozdziału i z westchnieniem odłożyła książkę. Lubiła czytać. Sprawiało jej to nieoczekiwaną przyjemność. Dziś łaknęła jednak czegoś innego. Chciała być z Marcusem na Spanish Keys. Pragnęła zaznać przygody.

Wspomniała chłopięce przebranie, ukryte pod koją. Korciło ją, by je włożyć. Oczywiście, musiałyby spuścić potem na wodę kolejną łódkę i po-wiosłować sama do brzegu. Niełatwe zadanie, uznała jednak, że wykonalne.

Plasnęła dłonią w okładkę. Niemądry pomysł, choć jakże kuszący. Odrzuciła go, gdyż Marcus powiedział, że to niebezpieczne. Jej brawura miała widać jednak granice. Poza tym wołała nie wzbudzać znów jego gniewu.

Zamiast na brzeg, wybierze się więc na spacer po pokładzie, w słabym blasku księżycy, srebrzącego gładką powierzchnię wody. Skoro mężczyźni

zeszli na ląd, może poruszać się swobodnie. Postara się zaczerpnąć jak najwięcej przyjemności z nocnej przechadzki, odkładając przygody do czasu, aż Marcus zabierze ją w Nassau na brzeg.

- No dobrze, Dandy, pora się ruszyć. - Odsunęła ciężkiego zwierzaka o marmurkowej sierści, spuściła nogi z łóżka i wstała. - Zachowuj się dobrze, gdy mnie nie będzie, to przyniosę ci dodatkową miseczkę śmietanki.

Przyklękła, aby pogłaskać jeszcze raz kotkę pod brodą, a potem ruszyła ku drzwiom prowadzącym na korytarz.

Marcus i Lola weszli na piętro i przecięli korytarz. Ledwie zdążył otworzyć drzwi prowadzące do prywatnych pokoi, kiedy do baru wpadł młody Brig Butler, a za nim kilku marynarzy z „Jastrzębia”.

Hałasowali nieprzyzwoicie, głośno go nawołując.

- Jestem tu, na górze - zawołał, podchodząc do poręczy. - Co się, u diabła, dzieje?

- Chodzi o Jilly'ego Sharpe'a, kapitanie. Widziałem, jak wymyka się z tawerny, i było w jego zachowaniu coś takiego... Poszliśmy za nim na nabrzeże. Sharpe i czterej inni wsiedli do obcej szalupy i powiosłowali do „Jastrzębia”. Bóg jeden wie, co knują.

Zimny dreszcz przebiegł Marcusowi po plecach. Ruszył w dół po schodach, ledwie skinąwszy głową Loli.

- Kapitanie? - zawołała za nim, sprawiając, że się zatrzymał. - Wróci pan dziś wieczorem?

Potrząsnął głową.

- Przykro mi, panno Perez.

Ogarnęło go dziwne uczucie. Potrzebował chwili, by uświadomić sobie, że to ulga.

- Może następnym razem, gdy będę w porcie. Zbiegł po schodach i wyszedł w noc, podążając śladem Briga i pozostałych.

- Lepiej się pośpieszmy - powiedział Butler. - Na pewno zechce dobrać się do panny Winters, a Hamish i Ben raczej nie będą w stanie mu w tym przeszkodzić.

Sharpe i Brianne. Oczami wyobraźni ujrzał ją walczącą z Jillym Sharpe'em. Obraz był tak wyraźny, jak w nocy, gdy się to wydarzyło, i coś ścisnęło Marcusa boleśnie pod żebrami. Jeśli wątpił przedtem w swoje uczucia wobec dziewczyny, teraz nie był w stanie dłużej się oszukiwać. Gdy biegli do szalupy, serce biło mu jak szalone, a strach ścisnął gardło.

Boże, nie powinien był jej zostawiać. Martwił się, że na brzegu nie będzie dla niej bezpiecznie. Powinien był zostać na statku i dopilnować, by nic się jej nie stało.

- Będziemy potrzebowali broni - powiedział, gdy biegli drewnianym nabrzeżem. - Mam w kieszeni niewielki pistolet, ale to wszystko. Trzeba nam czegoś więcej, jeśli mamy poradzić sobie z tymi ludźmi.

- Mamy pistolety - powiedział Brig. - Nikt nie schodzi na ląd w takim miejscu nieuzbrojony.

Marcus uśmiechnął się ponuro.

- Dobrze z was chłopaki. - Wskoczyli do szalupy i zajęli pośpiesznie miejsca przy wiosłach.

- Przyłóżcie się, chłopcy! - Głos Marcusa niósł się daleko po wodzie. Zaczęli ostro wiosłować.

- Brianne grozi niebezpieczeństwo. Nie zamierzam dopuścić, by Sharpe znowu ją skrzywdził!  
Pochylił się, chwycił za wiosła i jął wiosłować razem ze swymi ludźmi. Szczęki mieli zaciśnięte, a na ich twarzach widać było determinację. Uświadomił sobie, że po tym, jak Brandy im pomogła, troszczyli się zapewne o jej bezpieczeństwo równie mocno, jak on. Ucisk w piersi jeszcze się pogłębił.  
Jeśli Jilly Sharpe choćby ją tknie, może uważać się za martwego.  
Brandy przywarła do ściany w kajucie Marcusa. W drzwiach stał uśmiechnięty Jilly Sharpe, a obok drugi mężczyzna.  
- Co jest, panienko? Nie cieszysz się, że mnie widzisz? - Jilly przechylił w bok błyszczącą, łysą głowę. - No już, nie patrz tak na mnie. Nie sądziłaś chyba, że pozwolę ci się wywinąć... nie po tym, co zrobiłaś. Wyciągnęła przed siebie ostrzegawczym gestem dłoń.  
- Lepiej trzymaj się ode mnie z daleka. Za to, co zrobiłaś przedtem, zostałeś wychłostany. Dotknij mnie znowu, a nie wiadomo, co zrobi z tobą kapitan.  
- Och, oczywiście, że zamierzam cię dotknąć. I nie tylko. Będę cię ujeżdżał, dopóki mi się nie znudzi, masz to jak w banku.  
Skinął w kierunku biurka, wskazując je towarzyszowi: kościstemu marynarzowi ze strzechą prostych czarnych włosów.  
- Poszukaj pieniędzy, ja zajmę się dziewczyną.

Brandy odsunęła się o krok i zaczęła wrzeszczeć, wołając o pomoc tak głośno, jak tylko była w stanie.

Jilly podbiegł do niej, przycisnął mocniej do ściany i zakrył usta dłonią.

- Przestań się drzeć, słyszysz? To i tak nic nie da. Nie ma kto ci pomóc. Nasi trzej kamraci już zajęli się Bassem i Hopkinsem.

- O Boże, nie...

Uśmiechnął się, pokazując przerwę między zębami. Blask lampy sprawiał, że jego łysa głowa świeciła niczym latarnia morska.

- O, tak - powiedział - w rzeczy samej. Nie powinnaś igrać z Jillym Sharpe'em, dziewczyno. Kto drażni byka, zostaje zraniony.

Zarechotał paskudnie, a Brandy poczuła, że robi się jej niedobrze.

Spojrzała poza napastnika, próbując znaleźć coś, co pomogłoby jej się uwolnić, i poczuła dotyk dłoni ściskającej brutalnie jej pierś. Szarpnęła się, próbując uciec.

Jilly przycisnął ją do ściany.

- Znalazłeś? - krzyknął do chudego, czarnowłosego mężczyzny z wąsem, buszującego w biurku Marcusa.

Mężczyzna otworzył dolną szufladę, wyjął ciężką sakiewkę pełną monet i uśmiechnął się szeroko.

- Jest tutaj, przyjacielu. Dokładnie tak, jak powiedziałeś.

- A nie mówiłem? Nieźle, jak na kilka minut pracy. - Zaczął się znowu śmiać. Brandy skorzystała czym prędzej z okazji, wyrwała mu się i pobiegła ku drzwiom. Sharpe natychmiast do niej doskoczył, chwycił za ramiona i wygiął je boleśnie do tyłu.

- Trzeba przyznać, że masz charakter - powiedział.

Wyciągnął z kieszeni kawał liny i związał jej dłonie w nadgarstkach, a potem nogi w kostkach. Poluzował chustkę, którą miał na szyi, zdjął ją i wcisnął Brandy w usta. Poderwał ją brutalnie z ziemi i zarzucił sobie na ramię.

Strach i knebel sprawiły, że zaschło jej w ustach. Płuca jej się ścisnęły i przez chwilę nie była w stanie oddychać. Na samą myśl o tym, co zrobi z nią Sharpe, serce zaczęło dziko tłuc się jej w piersi.

Och, Boże... Pragnęła przygody, ale przecież nie takiej! Podskakując na muskularnym ramieniu, z twarzą czerwoną od napływającej krwi, zamknęła oczy i jęła gorączkowo się modlić, błagając o ratunek dla siebie i członków załogi, z którymi Sharpe jakoś sobie „poradził”.

Gdy wyszli na pokład, przyłączyło się do nich jeszcze kilku twardzieli. Załogi „Jastrzębia” nigdzie nie było.

- Widzę, że masz dziewczkę - powiedział jeden z nich. - A co z forszą?

- Też mamy - potwierdził Sharpe, ściskając wielką łapą pośladek Brandy. Z ust dziewczyny dobyło się zasłyszane w tawernie przekleństwo. Knebel stłumił jednak jej głos i Sharpe nic nie usłyszał. - Dobrze się dziś zabawimy, chłopcy, obiecuję.

Brandy przewróciło się ze strachu w żołądku. Fala mdłości sprawiła, że jej czoło pokryło się potem.

Dotarcie na sterburtę nie zabrało napastnikom wiele czasu. Brianne zerknęła w dół, na wodę, i zobaczyła szalupę, którą przy płynęli na „Jastrzębia”.

- Luis, ty i Janos pójdzicie przodem. Podam wam dziewczynę.

Wielki marynarz skinął głową. Zauważyła, że ma tylko jedno oko. Sięgnął po zwisającą za burtą linę i już miał przekroczyć reling, gdy twardy głos zatrzymał go w pół kroku.

- Stać! - Marcus stał na rozstawionych szeroko nogach przed grupką swych marynarzy, a wiatr rozwiewał mu czarne włosy. Dźwięk odwodzonych kurków zakłócił spokój nocy. - Nie ruszać się, jeśli wam życie miłe!

Brandy zamknęła oczy. Pomyślała, że jeszcze nigdy czyjś widok nie sprawił jej aż takiej radości. Jil-ly Sharpe podrzucił ją sobie na ramieniu, poprawiając chwyt, lecz jej nie puścił.

- Jeśli chcesz dziewczynę, każ im odłożyć broń. Prawda, chłopcy?

Pozostała czwórka stała nieruchomo, z dłońmi przy zatkniętych za pas pistoletach. Żaden nie spróbował jednak sięgnąć po broń.

- Postaw dziewczynę, Sharpe - rozkazał Marcus. - Jeśli tego nie zrobisz, już po tobie.

- Dobrze to sobie wymyśliłeś, co, kapitanie? Wchodzisz na pokład i wydajesz mi rozkazy, jakbym nadal był jednym z twoich lokajów, a ja mam robić, co mi każesz. Naprawdę myślisz, że po tym, co mi zrobiłeś, tak po prostu ci ją oddam?

Brandy zerknęła ponad ramieniem Sharpe'a i dostrzegła morderczy wyraz twarzy Marcusa.

- Powiedziałem, byś ją postawił, i nie będę powtarzał.

Brandy wstrzymała oddech. Czuła, jak wielkie ciało Sharpe'a sztywnieje z napięcia. Jął wycofywać się powoli, cal po calu, w stronę relingu. Marcus wyciągnął dłoń z pistoletem. Sześciu pozostałych marynarzy z „Jastrzębia” wycelowało w napastników.

Zamiast się przestraszyć, Jilly się uśmiechnął.

- Oto jak wygląda sytuacja, kapitanie. Jeśli mnie zastrzelisz, dziewczyna poleci za burtę. Związana, pójdzie na dno jak kamień. Stanie się przekąską dla rekinów, i będzie to twoja wina.

Lodowaty dreszcz przebiegł jej po plecach. Boże święty! Dopiero teraz uświadomiła sobie, że Jilly stoi tak blisko relingu, a ona zwisa nad wodą.

- Chcesz mieć dziewczynę żywą, pozwól nam odpłynąć. Zabierzemy ją na brzeg, jako zabezpieczenie, i tam zostawimy. Będziesz mógł po nią przy płynąć i nikt nie ucierpi.

Zaschło jej w gardle tak bardzo, że nie była w stanie przełknąć śliny. Wychyliła się zza Sharpe^ i spostrzegła, że Marcus pobladł. Z pewnością nie pozwoli, by ją zabrali. Sharpe za nic by jej nie puścił - zamierzał ją ukarać. Kłamie. Boże, Marcus na pewno się domyśli, że nie ma co mu wierzyć. Rozpaczliwie pragnęła go ostrzec, lecz zawieszona nad wodą, bała się choćby drgnąć.

- Chcesz dobić targu, Sharpe? Puść dziewczynę, a pozwolę wam odejść. Jeśli się przekonam, że pozostali członkowie mojej załogi nie ucierpieli, będziecie mogli powiosłować z powrotem na wyspę i zaniechamy pościgu.

Sharpe wbił wzrok w Marcusa. Pogładził buńczuczny gestem pośladki Brandy. Spróbowała się odsunąć, klnąc po cichu.

- Chcesz, żebym ją puścił? Proszę bardzo. - Podrzucił ramieniem i usłyszała, jak Marcus krzyczy rozgniewany. A potem leciała już w powietrzu. Od strony pokładu dobiegł ją odgłos strzałów. Próbowwała stłumić rodzącą się panikę i zaczerpnąć na zapas powietrza, lecz knebel skutecznie to uniemożliwiał.



Wstrząsnął nią chłód, szczypiąc nagie ramiona, twarz i szyję, a potem woda zamknęła się nad jej głową. Matko święta, związana jak indyk na Święto Dziękczynienia z pewnością utonie! Panika sprawiła, że jęła miotać się w wodzie, próbując poluzować więzy, lecz lina trzymała mocno. Spódnice owinęły się wokół jej ciała, ciągnąc w dół niczym kotwica i zwiększając panikę.

Próbowała wypłynąć, wydostać się jakoś na powierzchnię. Długie włosy opływały ją przez chwilę niczym ciężka miedziana kurtyna, a potem uniosły się ku górze. Zaczęła opadać. W płucach czuła ogień. Walczyła, aby utrzymać oddech jak najdłużej, uchronić się przed śmiercią, zyskując cenne sekundy. Paliło ją w piersi. Boże, musi zaczerpnąć powietrza!

Próbowała dojrzeć cokolwiek w ciemnej wodzie, modląc się, by ktoś pospieszył jej na ratunek. Gdzie Marcus? Czy próbuje ją ratować?

Czy będzie pamiętał o dziewczynie z tawerny, gdy jej zabraknie?

Chciała wyobrazić sobie jego twarz, lecz obraz zamazywał się i bladł. Płuca miała niczym gorące węgle i potrzeby zaczerpnięcia oddechu nie dało się już dłużej ignorować. Poczwała, że woda dostaje się jej do ust. Umierała. Dokładnie tak, jak zapowiedział Jilly Sharpe.

Marcus zanurkował głębiej, zmuszając ciało do posłuszeństwa, wiedząc, że ryzykuje życiem i może zginąć w tych ciemnych wodach razem z Brianne. Płuca domagały się powietrza, płonąc

żywym ogniem. Mimo to płynął w dół, coraz dalej w czarną pustkę. Nurkując najszybciej, jak tylko był w stanie, torował sobie drogę w głąb zimnego, czarnego morza. Oczami wyobraźni widział Brandy: blisko, tuż poza zasięgiem jego rąk, opadającą w atramentową czerni. Jest tam - wiedział o tym - musi tylko ją znaleźć. Poruszał jak szalony dłońmi, przeszukując na oślep wodę, zdając sobie w głębi serca sprawę, że jest za późno, że Brandy odeszła i nie zdoła jej uratować. Powietrze w płucach paliło niczym ogień. Musi zaczerpnąć tchu. Wrócić na powierzchnię. Mimo to uczynił kolejny, szaleńczy wysiłek, kopiąc stopami, przesuwał dłońmi w wodzie, szukając po omacku, żywiąc rozpaczliwą nadzieję... Nagle poczuł w dłoni jedwabiste pasma. Włosy. Włosy Brianne. Chwycił pełną ich garść i pociągnął dziewczynę ku sobie. Pracując z całych sił nogami, parł ku górze, rozpaczliwie przezwyciężając opór wody i modląc się, aby oboje przeżyli. Wydawało się, że to tak daleko. Zbyt daleko. Wiedział, że za nic mu się nie uda. A potem w mrocznej głębinie zamajaczyło nagle światło bocznej latarni statku. Widok ten przywrócił Marcusowi nieco sił, a potem ktoś znalazł się niespodziewanie obok niego, popychając ich oboje ku światłu. Teraz w wodzie było kilku mężczyzn. Czyjeś dłonie ciągnęły ich ku górze. Marcus przeciął głową powierzchnię wody i chłodne, słodkie powietrze napłynęło mu do płuc, gasząc płomień. Brig Butler unosił się tuż obok, pomagając mu się utrzymać. Bezwładne ciało Brianne wynoszono właśnie z wody.

- Da pan radę, kapitanie? - spytał Brig. Marcus zobaczył, że przenoszą Brianne przez reling, i skinął z trudem głową. Z pomocą kilku marynarzy wdrapał się po sznurowej drabince i spojrzał na pokład.

To, co zobaczył, ścięło mu krew w żyłach. Trzej mężczyźni postrzeleni i krwawiący - w tym jeden z załogi „Jastrzębia”. Jilly Sharpe leżał martwy. Drugi napastnik umierał, tocząc z ust krwawą pianę. I Brianne Winters, uwolniona z więzów, lecz nieprzytomna, przewieszona twarzą w dół przez beczułkę wytoczoną pośpiesznie na pokład. Dwaj marynarze próbowali już ją ratować, naciskając na ramiona, przetaczając baryłkę tam i z powrotem i rozpaczliwie starając się przywrócić dziewczynę do przytomności.

Było jednak oczywiste, że nie oddycha.

Serce dudniło Marcusowi w piersi. Potykając się, podszedł do Brandy. Wnętrznosci miał ciężkie niczym z ołowiu, w piersi paliło go przy każdym oddechu, lecz ani mu w głowie było rezygnować.

Wyrwał Brandy z objęć śmierci i nie pozwoli, by teraz umarła.

Staął za nią, a pozostali mężczyźni odstępili, spuściwszy wzrok. Na policzkach jednego z marynarzy zobaczył ślady łez.

Marcus zignorował ich, zignorował to, co oznaczały te łzy. Brandy nie umrze. Nie pozwoli jej. Przykląkł i zabrał się do pracy: wbijając dziewczynie dłonie w plecy, przetaczał baryłkę w przód i w tył, próbując wtłoczyć powietrze do płuc. Tylko taki sposób znali. Czasami okazywał się skuteczny. Częściej, niestety, nie.

- Słyszysz mnie, Brianne? - Słowa dobyły się z jego ust szorstkie i chrapliwe. - Nie waż się umie-

rać! Jestem kapitanem tego statku, a to jest rozkaz. Do diabła, oddychaj!

Naciskał wciąż mocniej i mocniej, starając się, by zaczerpnęła ożywczy haust powietrza, ale jej ciało pozostawało wiotkie i bezwładne.

- Oddychaj, do diabła! - Napierał z całej siły, z sercem ściśniętym ze strachu, przetaczając ją po baryłce. - Będziesz żyła, do cholery! Rób, co mówię!

Nacisnął jeszcze raz, wkładając w to resztę sił, i po raz pierwszy, odkąd ją znał, Brandy po prostu posłuchała. Wykaszała olbrzymi gejzer wody i jęła chwytać łapczywie powietrze. Marcus zamknął oczy i odetchnął z ulgą. Płuca Brianne zaczęły w końcu pracować. Będzie żyła.

Gdy tylko przestała kaszleć i zaczęła w miarę równo oddychać, pochylił się i wziął ją na ręce. Oparła mu głowę na ramieniu, a wtedy ruszył z nią ku swojej kabynie.

Dotarł już niemal do drabinki, kiedy zastąpił mu drogę Hamish.

- Jak dziewczyna?

- Prawie utonęła, ale nic jej nie będzie. Co z innymi?

Hamish potrząsnął głową.

- Dranie przeszli niepostrzeżenie przez burzę. Zdjęli wachtowych jednego po drugim. W ogóle ich nie słyszeliśmy.

- Dobrze się czujesz? Potarł tył głowy.

- Mam guz wielkości jajka. Boli jak wszyscy diabli. To cud, że żyję.

- Co z innymi?

- Kilka zadrapań i siniaków, parę guzów. W sumie nic poważnego. Walczyli dobrze, lecz żaden

nie mógł równać się z Jillym Sharpe'em i zgrają rzezimieszków, którą przyprowadził.

- Zrobiliście, co było w waszej mocy. Jeden z marynarzy dostał kulkę w ramię. Cyrus właśnie się nim zajmuje.

- Co zrobimy z ludźmi Sharpe'a? Marcus zacisnął szczęki.

- Wysadzimy na brzeg, wszystkich. Gdy tylko się z tym uporamy, podniesiemy żagle i zwiniemy się stąd. Mam dość Spanish Keys.

Hamish skinął głową, ściągnąwszy siwe brwi.

- Miałem nadzieję, że to powiesz, kapitanie.

Marcus ruszył znów w stronę wjazdu. Brandy zadrżała w jego ramionach, przycisnął ją więc mocniej do siebie, zszedł po stopniach i ruszył pogrążonym w mroku korytarzem. Wtuliła mu głowę w ramię, a on pomyślał o tym, jaka jest drobna i jak blisko był tego, aby ją stracić.

Wspomniał Jilly'ego Sharpe'a miotającego się w kałuży krwi. Nie żałował ani przez chwilę, że pociągnął za spust.

Otworzył drzwi kajuty i wszedł. Krzesło było przewrócone, papiery i książki rozrzucone po podłodze.

Wszędzie widać było ślady świadczące, iż Brandy nie poddała się bez walki. Świadomość tego sprawiła mu przyjemność.

Poruszyła się, a potem zaczęła drżeć w uścisku jego ramion. Uniosła ciężkie powieki i spojrzała na Marcusa. Postawił ją ostrożnie obok łóżka, przytrzymał, by nie upadła, a potem jął zdejmować z niej mokre ubranie.

- Marcusie?

Nawet nie drgnął. Skórę miała lodowatą, a ruchy sztywne i nieskoordynowane.

- Jestem, skarbie. Trzeba cię ogrzać, lecz najpierw musimy pozbyć się tych mokrych rzeczy. Zdjął jej buty i pończochy, rozwiązał sznurówkę spódnicy i białej halki i zsunął obie sztuki garderoby z bioder.

- Ocaliłeś mi życie - powiedziała cicho, więc spojrzał jej w oczy. - Umierałam. Nie widziałam cię, wiedziałam jednak, że jesteś blisko, w wodzie. Nie sądziłam tylko, że uda ci się mnie dosięgnąć. Otoczył ją ramionami i przycisnął mocno do piersi.

- Nie zamierzałem pozwolić ci utonąć. Jestem kapitanem tego statku. Moim obowiązkiem jest cię chronić.

- Uśmiechnął się, spoglądając na jej wciąż mokre włosy. - Poza tym nie widziałaś jeszcze New Providence.

Brianne spojrzała na niego, obdarzając uśmiechem tak ciepłym i pełnym wdzięczności, że Marcus z trudem się zmusił, żeby wypuścić ją z objęć. By ukryć, jak bardzo jej pragnie, powrócił do swego zajęcia. Rozwiązał troczki bluzki i już miał zsunąć ją dziewczynie z ramion, kiedy nakryła jego dłoń swoją, spoglądając pytająco.

- Wszystko w porządku. Widywałem już nagie kobiety. Chcę tylko pomóc.

Zachwiała się i zaczęła drżeć jeszcze bardziej. Odwróciła wzrok, po czym skinęła lekko głową, oblewając się rumieńcem. Zdjął bluzkę i Brandy pozostała już tylko w koszuli. Ją także zdjął, starając się nie gapić na piersi dziewczyny. Nie mógł jednak nie zauważyć, jakie są pełne, śliczne i zwieńczone różowymi sutkami. Z najwyższym trudem oparł się pokusie, aby zanurzyć dłoń pomiędzy mokre kędziorki, połyskujące jak płomień u zbiegu jej ud.

Odwrócił jednak wzrok, wziął Brandy znowu na ręce, położył i otulił kołdrą. Odszedł od łóżka i zaczął zrywać z siebie mokrą odzież; butów pozbył się już wcześniej, w wodzie, kiedy zaczęły ciągnąć go w dół.

- Marcusie?

Nie odwrócił się ku niej, lecz sięgnął po szlafrok i go włożył.

- O co chodzi, skarbie?

- Zastanawiałam się, czy...

Zaczerpnęła drżącego oddechu i spojrzała błagalnie na Marcusa.

- Kiedy zamykam oczy, znowu go widzę. Słyszę, jak się śmieje, kiedy spadam, a woda wciąga mnie w głąb. Nie chcę o nim myśleć. Nie chcę go wspominać. Przytulisz mnie, Marcusie? Proszę...

Wiedział, że nie powinien. Nie ufał sobie, jeśli chodzi o Brandy. Wydawała się jednak tak zagubiona, tak roztrzęsiona. I nadal przerażona.

W końcu omal nie umarła.

Usiadł na skraju łóżka i przyciągnął ją do siebie. Była w jego ramionach tak mała, tak drobna, a jednak nieskończenie kobieca. Kołdra zsunęła się jej do pasa. Dotyk nagich piersi, przyciśniętych do jego boku sprawił, że męskość Marcusa zesztyniała i uniosła się pod miękkim jedwabiem granatowego szlafroka.

Do licha, jakże pragnął tej dziewczyny! Świadomość, że o mało jej nie stracił, jeszcze wzmagала pożądanie. Musi wstać i wyjść, nim będzie za późno.

Tylko że jakoś nie był w stanie tego zrobić.

## Rozdział 9

Brandy wtuliła twarz w szyję Marcusa. Pachniał morską wodą, a jego czarne, wijące się włosy zdawały się dziś szczególnie miękkie i gładkie.

Kiedy zamknęła oczy, widziała, jak stoi nagi, odwrócony do niej plecami, widziała mięśnie poruszające się pod opaloną skórą. Smukłe pręgi napinały się na ramionach i długich, muskularnych nogach. Zdarł z siebie mokre czarne bryczesy i zobaczyła jędrne, krągłe pośladki.

Boże, ależ jest piękny, pomyślała, smagły, doskonale zbudowany i tak niewiarygodnie męski! Nawet dwie blizny - jedna na udzie i druga przecinająca biodro - nie były w stanie skazić tej doskonałości.

Odczuwała przemożną chęć, aby wyciągnąć dłoń i go dotknąć, przytulić się jak teraz. Przesunęła palcami po gładkim jedwabiu granatowego szlafroka, wygładzając klapy i czując, jak mięśnie Marcusa reagują na dotyk jej palców. Na piersi, pomiędzy rozchylonymi nieco połami, widniała kępa gęstych czarnych włosów. Drażniły jej sutki nawet przez materiał.

Dziwny, niedający się opisać ból narastał. Zar ogarnął jej ciało, docierając wciąż głębiej i głębiej, do trzewi. Co zrobiłby Marcus, gdyby sięgnęła



pod szlafrok i go dotknęła, przesunęła dłoń po gładkich mięśniach na jego piersi? Lub odwróciła głowę i przycisnęła usta do miejsca, gdzie u podstawy szyi bił puls?

Gładził delikatnie jej plecy, wyraźnie po to, by ją uspokoić. Uświadomiła sobie, że kołdra zsunęła się nisko i Marcus dotyka teraz jej nagiego ciała. Gdziekolwiek jej dotknął, pojawiała się gęsia skórka. Serce tłukło się Brandy w piersi jak szalone i trudno jej było oddychać. Pokój zawirował i nagle poczuła się tak, jakby znowu tonęła.

- Brianne? - Uniósł palcem jej brodę i skłonił, by popatrzyła wprost w te ciemnoniebieskie oczy o przenikliwym spojrzeniu. - Jeśli teraz nie wyjdę, wkrótce nie będę w stanie tego zrobić.

Zwilżyła językiem drżące wargi.

- Nie idź, proszę. Chcę, żebyś ze mną został.

- Wiesz, co mówisz? - zapytał, wpatrując się w nią intensywnie. - I co się wydarzy, jeśli zostanę?

Przełknęła, odrzucając precz lęk i zdenerwowanie. Wiedziała, co się wydarzy, jeśli Marcus z nią zostanie, gdyż właśnie tego pragnęła.

- Wiem.

Jęknął cicho, a potem przycisnął wargi do jej ust w pocałunku nie tyle czułym, co namiętym i pełnym żaru, sugerującym jasno, co ma zamiar zrobić. Był to głęboki, niemal dziki pocałunek, zawłaszczający i przepelniony żądzą. Kiedy go wreszcie przerwał, oddychał ciężko, spoglądając na Brandy płonąłym wzrokiem.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? Wiesz, jakie życie prowadzę. I że nic z tego nie będzie. Nie mamy przed sobą przyszłości - jedynie kilka spędzonych razem dni.

- Wiem i nie dbam o to. Kochaj się ze mną, Marcusie. Naucz mnie, jak być kobietą.

Otoczył ją ciasniej ramionami i pocałował znowu, tym razem delikatniej, smakując wnętrze jej ust, przesuwając ustami po wargach, wtulając je w jej usta tak, by idealnie do siebie pasowały. Próbował i pieścił, jego pocałunki były delikatne, poszukujące i nieodparcie uwodzicielskie. Brał ją głęboko językiem, a Brandy czuła się tak, jakby stanęła na końcu mola i postąpiła krok w przód. Kręciło jej się w głowie, a krew dudniła dziko w uszach.

- Marcusie...

Oddała z równą żarliwością pocałunek, dotykając językiem jego języka, niepewnie z początku, a potem coraz śmieiej.

Marcus jęknął i kołdra opadła. Zerwał z siebie szlafrok i śliski jedwab zsunął się z łóżka, tworząc na podłodze ciemnoniebieską kałużę. Żadne z nich tego nie zauważyło.

Pocałował ją, a potem objął dłońmi jej piersi sprawiając, że sutki zmieniły się w twarde węzełki.

Przesunął po nich kciukami, czując, jak nabrzmiwiają mu w dłoniach. Pochylił się i wziął jeden do ust.

Brandy pisnęła cicho, zaskoczona. Czuła, że krew w niej płonie. Gładził twardymi dłońmi jej piersi i brzuch, drażniąc i pieszcząc, przesuwając ręce wzdłuż krzywizny pleców, a potem bioder. Przechylił ją w tył i położył na puchowym materacu. Poczowała na udzie jego męskość, gorącą, sztywną i większą, niż sobie wyobrażała.

Marcus pocałował ją znowu. Dzikie, palące pocałunki sprawiły wkrótce, że rozbolały ją sutki, a miejsce pomiędzy udami płonęło i pulsowało.

Pochylił ciemną głowę, dotknął językiem sutka Brandy, okrążył nim jego czubek, a potem zaczął ssać. Brandy wygięła ciało w łuk, poddając się obezwładniającej przyjemności. Wbiła palce głęboko w mięśnie jego ramion i przycisnęła wargi do smagłej, gorącej skóry.

Pieścił ją dłońmi i ustami, przesuając palce wciąż niżej i niżej, zatrzymując się na chwilę przy pępku, a potem zsuwając je w dół. Bez trudu przedarły się przez kępkę miedzianych loków u zwieńczenia ud, delikatnie rozsunęły jej nogi i wśliznęły pomiędzy wilgotne fałdki płci.

Brandy jęknęła, napierając na jego dłoń. Na chwilę zamarł w bezruchu.

- Nie bój się, nie zamierzam sprawić ci bólu.

- Wcale się... nie boję.

Jał gładzić ją, delikatnie z początku, a potem mocniej i głębiej. Przyjemność, słodka i przemożna, przeniknęła na wylot ciało Brandy, sprawiając, że zadrżała z pożądania. Sprawdzał, jak bardzo jest śliska, rozciągał ją, przygotowując na to, by przyjął go w siebie.

- Jesteś gotowa - wyszeptał wreszcie, całując bok jej szyi. - Cała drżysz. Chcesz, bym w ciebie wszedł. W rzeczy samej, chciała czegoś, czegokolwiek, co złagodziłoby słodki ból, którego do końca nie rozumiała.

- Tak... Och, Boże, tak, Marcusie, proszę.

Uniósł się i położył na niej, spoglądając pociemniałymi z żądy, niebieskimi oczami. Rysy jego twarzy, oblanej księżycowym światłem, wpadającym przez rząd wąskich okien nad koją, wydawały się teraz dziwnie ostre, surowe. Nozdrza miał rozдутe, a w oczach wyraz palącego pożądania.

- Jesteś moja - powiedział. - Zawsze byłaś mojaA potem ją wziął, wchodząc mocno i głęboko. Krzyknęła, gdy przeszył ją ból, i Marcus znieruchomiał. Czowała, jak drży, czuła napięcie w wysokim, smukłym ciele, gdy walczył, aby nie stracić nad nim kontroli. Podniósł dłoń i pogładził ją po policzku.

- Przepraszam. Próbowałem zrobić to powoli, ale... Dobrze się czujesz?

Uśmiechnęła się niepewnie. Czuła się dziwnie wypełniona i nieco obolała, lecz nadal go spragniona.

- Chyba tak - odparła.

Zaczął się poruszać, delikatnie z początku, i uświadomiła sobie, że naprawdę nic jej nie jest. Ból ustępował, a żar powrócił, iskrząc się na skórze, sprawiając, że twardniały jej sutki, a mięśnie brzucha coraz bardziej się zaciskały. Poruszał się teraz szybciej, mocniej, docierając głębiej.

- Pragnę cię - powiedział przez zaciśnięte szczęki. - Boże, muszę cię mieć.

Rozchyliła szerzej uda, przyjmując go w siebie jeszcze głębiej. Czuła się wypełniona i podniecona do granic. Chwyliła Marcusa za ramiona i uniosła ku niemu biodra, odpowiadając na każde pchnięcie. Wbijał się w nią wciąż od nowa, a z każdym jego ruchem coś zaciskało się, tężało w jej wnętrzu. Stała na skraju przepaści, rozpaczliwie pragnąc w nią skoczyć i zarazem bardzo się bojąc.

- Niech to się stanie - powiedział miękko. - Poddaj się. Zrób to dla mnie.

Coś przemożnie, nieodparcie gwałtownego wyrwało się na wolność w jej wnętrzu. Lśniło przez

chwile tuż poza zasięgiem, a potem zalało Brandy głęboką, przenikającą do najdalszych zakamarków ciała falą. Tonęła znowu, zanurzona w żarze i niewiarygodnej przyjemności. Krzyknęła, gdy słodki przyływ przetaczał się przez nią, gwałtowny i niepowstrzymany, zadziwiająco silny, niepodobny do niczego, czego doświadczyła przedtem.

- Marcusie! - krzyknęła, lecz zdawał się jej nie słyszeć. Cały jakby zeszywniał, szczęki miał zaciśnięte, głowę odrzuconą w tył, a czarne włosy opadały mu miękkimi falami na kark. Wbił się w nią jeszcze kilka razy, a potem znieruchomiał, unosząc się na rękach, i trwał tak przez chwilę, osiągając spełnienie.

Wreszcie padł na nią bezwładnie, opierając ciemną głowę na poduszce tuż obok jej policzka.

Leżała pod nim, czując się dziwnie słaba i słodko zaspokojona. W obolałym ciele nadal czuła mrowienie.

Była teraz kobietą, nie dziewczyną. Oddała się Marcusowi Delaine, całkowicie i bez reszty. Była z tego zadowolona.

No i, jak zawsze, zakochana. Nie potrafiła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek było inaczej, i wiedziała, że to się nie zmieni. Próbowwała nie myśleć, jak będzie wyglądało jej życie, gdy Marcus odstawi ją do domu. Na samą myśl o tym ogarniał ją smutek, a nie chciała teraz się smucić.

Zsunął się z niej, objął mocno ramionami i nakrył prześcieradłem.

- Przepraszam, jeśli sprawiłem ci ból. Za pierwszym razem nie da się inaczej.

Wtuliła się w niego.

- Nic mi nie jest. Dziękuję, Marcusie. Uniósł czarne brwi.

- A za cóż to?

- Za to, że wreszcie zrobiłeś ze mnie kobietę. Myślałam, że już nią jestem, lecz się myliłam. To stało się dopiero teraz, przed chwilą.

Podniósł dłoń i odsunął jej włosy z twarzy. Owinęły się, wilgotne, wokół jego palców.

- Jesteś kobietą, Brianne. Nie wolno ci w to wątpić. Zapewniam, że od tej nocy ja też będę o tym pamiętał. Zalała ją fala przyjemności, innego jednak rodzaju. Przycisnęła policzek do ramienia Marcusa, poczuła ciepło i drzemiacą w nim siłę. Utkwiła spojrzenie w kręconych czarnych włosach na piersi kochanka i jęła przesuwając z wolna palcem po zagłębieniach i wypukłościach długich, smukłych mięśni. Okrążyła płaski, miedziany sutek i poczuła, jak w ciele Marcusa budzi się drzenie.

- Teraz, gdy jestem kobietą - powiedziała ze świeżo uzyskaną pewnością siebie - powinnam chyba dowiedzieć się więcej o mężczyznach. Chciałabym ci się przyjrzeć, Marcusie. Zobaczyć cię całego.

Uniósł czarne brwi i się roześmiał. Zabrzmiało to jak pomruk, dobywający się z głębi piersi. Odrzucił prześcieradło i pozwolił, by mu się przyjrzała, przesunęła spojrzeniem po płaskim brzuchu poniżej muskularnej klatki piersiowej, linii gęstych czarnych włosów, zwężających się ku talii i otaczających ciężki członek. Spoczywał, miękki, w gniazdku wilgotnych czarnych kędziorków, lecz gdy wyciągnęła ku niemu dłoń, natychmiast poruszył się i zgrubiał.

Brandy cofnęła czym prędzej rękę i Marcus znów się roześmiał.

- Kłopot z byciem kobietą - powiedział dźwięcznym głosem - polega na tym, że działa się na mężczyzn. Zwłaszcza na tego mężczyznę.

Błyskawicznie przetoczył się i wsunął na Brandy, wciskając ją w miękki materac. Westchnęła, zaskoczona, gdy wpełznął w nią twardy członek.

- Musisz się jeszcze wiele nauczyć, skarbie - powiedział, składając drobne, lekkie pocałunki tuż obok kącika jej ust. - Noc jest nadal młoda. Do świtu zostało sporo czasu. Jeśli czujesz się na siłach, może powinniśmy kontynuować edukację.

Żar powrócił niemal od razu, a wraz z nim delikatne jak szept pulsowanie we wnętrzu jej ciała.

- Tak... - westchnęła, zaczynając się poruszać. - Tak, rzeczywiście, powinniśmy.

Objęła go za szyję i pocałowała. Jak powiedział, do świtu zostało mnóstwo godzin.

Pomyślała o jutrze i coś ścisnęło ją w piersi. Jutro zacznie ponosić konsekwencje tego, co zrobiła.

Wzdrygnęła się na samą myśl. Oddając pocałunek, przyłapała się na tym, iż pragnie, by jutro nigdy nie nadeszło.

## Rozdział 10

Palmer Reese pracował, pochylony nad rozłożoną na szerokim mahoniowym biurku księgą. Poza oprawionym w skórę, ciężkim tomem stały tam: kosztowny kryształowy kałamarz, stanowiąca z nim komplet suszka z piaskiem i okuta srebrem, szylkretowa obsadka z umieszczonym w niej śnieżnobiałym strusim piórem.

Skórzany bibularz o barwie leśnej zielni chronił wypolerowany blat, zaś mała owalna ramka mieściła wykonaną z kości słoniowej podobiznę najcenniejszej własności Palmera, flagowego statku linii, „Pomyślnego Wiatru”.

Poza wymienionymi przedmiotami na lśniącym blacie nie było nic więcej. Każdy zaś stał na swoim miejscu, jak wszystko w nieskazitelnie schludnym kantorze, położonym na londyńskim nabrzeżu, dokładnie naprzeciw doków.

Palmer wyrzął przez okno na rząd kołyszących się masztów. Przez chwilę widział tylko swoje odbicie, obraz mężczyzny o falujących ciemnobrązowych włosach, przystojnej twarzy i nadal dobrej sylwetce, choć w ciągu kilku ostatnich lat, za sprawą kosztownych potraw oraz napitków, przybrał nieco na wadze.



Jego spojrzenie przeniknęło wreszcie szkło i był w stanie dojrzeć statki. „Pomyślny Wiatr” nadal przebywał na morzu, ale „Pieśń Wiatru” stała w porcie, czekając, aż skończy się załadunek. Niestety, nie wypłynęła załadowana do pełna, jak być powinno. Stracili kontrakt ze Spółką Handlową Savannah na przewóz bawełny i ryżu. Kontrakt, który mieli od lat.

Zacisnął nerwowo szczęki. Potrzebował tego ładunku - zasłużył na niego. Zamiast tego kontrakt, jak również związane z nim profity, przeszedł na Przedsiębiorstwo Żeglugowe Hawksmoor. A wszystko przez Marcusa Delaine.

Prychnął drwiąco. Lord Hawksmoor i jego przeklęty arystokratyczny rodowód. Na samą myśl o tym czuł, że krew gotuje mu się w żyłach. To, że ktoś odziedziczył tytuł i majątek, nie znaczy wcale, że jest lepszy od innych, że zasłużył na kontrakt, który Palmer rozpaczliwie starał się zatrzymać, nie żałując sił ani środków.

To, że prowadząc firmę, popadł w niewielkie tarapaty, nie powinno mieć znaczenia. Kilka opóźnień, parę straconych baryłek czy skrzyń. Każdy armator miewa od czasu do czasu tego rodzaju kłopoty.

Uśmiechnął się ponuro. Nawet Marcus Delaine.

Zapukano do drzwi.

- Możesz wejść - zawołał. Odwrócił się akurat na czas, by zobaczyć, jak Stuart Washburn, wiceprezes Przedsiębiorstwa Żeglugowego Reese, wchodzi do gabinetu.

- Mam wieści, które zapewne cię ucieszą. - Stuart był chudy, wysoki, o wymizerowanej twarzy, ostrych rysach i z lekka ziemistej cerze.

Palmer uniósł brwi.

- A cóż to za nowiny?

- „Sokół” właśnie wchodził się do portu. - Uśmiechnął się, nieznacznie unosząc kąciki wąskich warg. - Chyba mieli problem z kotwicą. Nie dawała się wciągnąć, czy coś takiego. Przysporzyło im to nie lada kłopotów.

Palmer uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie.

- Co za szkoda.

- Prawda? Wrócili, nie dostarczywszy większej części ładunku.

- Z pewnością nie ucieszy to spedytorów.

- Jestem pewien, że wkrótce usłyszymy, jak wrzeszczą, biegnąc do doków.

- Może powinniśmy zaoferować im pomoc i podjąć się przewiezienia choć części ładunku, by nie stracili na opóźnieniu.

Stuart położył na biurku stos papierów. Były to dokumenty frachtowe, które przezornie z sobą przyniósł.

- Tak też pomyślałem. Będą potrzebowali pomocy, a my im jej udzielimy. Dopilnuję tego osobiście.

Żaden nie powiedział nic więcej, uśmiechnęli się tylko do siebie z satysfakcją.

Hamish Bass przyglądał się od dobrej chwili, jak jego przyjaciel wpatruje się w morze, oparty o reling.

Szczęki miał mocno zaciśnięte, spojrzenie zdeterminowane. Powiew wiatru rozwiał mu włosy, lecz nawet tego nie zauważył. Myślami był o wiele mil stąd i Hamish sądził, że wie, gdzie się to miejsce znajduje.

- Dzień dobry, kapitanie.

167

Marcus odwrócił się ku niemu, dopiero teraz uświadamiając sobie, że nie jest sam.

- Dzień dobry, przyjacielu.

- Wydawałeś się zatopiony w rozmyślaniach. Pewnie chodzi o dziewczynę.

- Tak, rzeczywiście.

- Wzięłeś ją do łóżka. - Marcus zmarszczył brwi, lecz Hamish wcale się tym nie przejął. - Znam cię zbyt długo i zbyt dobrze, chłopcze. Wiem, że tego nie planowałeś. Wszystko przez ten napad.

Marcus nie odpowiedział, przeczesał tylko dłonią czarne, potargane przez wiatr włosy.

- Teraz, gdy już ją sobie wzięłeś... czy twoja żądza zniknęła? Możesz zostawić dziewczynę w spokoju?

Na gładkim policzku kapitana zadrgał mięsień.

- Sądziłem, że będzie to możliwe. Prawda wygląda jednak tak, że pragnę jej bardziej niż kiedykolwiek. -

Westchnął, lecz wiatr zagłuszył westchnienie. - Zawsze byłem człowiekiem umiarkowanym, nawet gdy chodziło o kobiety. Brałem którąś do łóżka, gdy odczuwałem taką potrzebę. Nigdy nie posunąłem się dalej. Tym razem jest inaczej. Nie pamiętam, bym odczuwał kiedykolwiek tak nieodparte pożądanie.

Hamish pokiwał głową, robiąc mądrą minę.

- Założę się, że to przez ten ogień. Widać go w jej oczach, słysząc w głosie. Ma w sobie wielką pasję życia

- płonie w niej głęboko, rzucając blask na wszystko dookoła. Tego rodzaju kobiecy żar wsącza się mężczyźnie w krew.

Marcus zacisnął dłonie na relingu.

- Nie podoba mi się to. Ani trochę mi się to nie podoba.

- Wkrótce odstawisz ją do domu. Pilnuj się do tego czasu i zachowaj rozsądek, a wszystko będzie dobrze. Kapitan uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie.

- Jak to możliwe, że wiesz aż tyle o kobietach, Hamishu?

- Od pięćdziesięciu lat im się wymykam. Człowiek uczy się, jak skrywać uczucia, wie, gdzie leży niebezpieczeństwo. Trzymaj się z dala od ognia, chłopcze, bo możesz się poparzyć.

Zacisnął zęby na ustniku fajki, odwrócił się i odszedł, rozmyślając o przyjacielu i o dziewczynie, którą wziął sobie do łóżka. Dziewczyna taka jak Brandy stanowiłaby zagrożenie dla każdego mężczyzny.

Ciekawe, czy gdyby spotkał podobną, będąc w wieku kapitana, też przestraszyłby się i uciekł?

\*\*\*

Brandy nie widziała Marcusa przez cały następny dzień. Pewna była, że wróci wieczorem, weźmie ją do łóżka i będą namiętnie się kochali, przyszedł jednak tak późno, że w końcu zasnęła.

Następnego dnia sytuacja wyglądała podobnie: kilka zwykłych słów zanim wyszedł na pokład, a potem przysłuchiwanie się odgłosowi jego kroków w ciemności, gdy wrócił do kabiny i zasnął, sam w wielkim łóżu.

Wiedziała, że dzieje się coś złego, nie była tylko w stanie zgadnąć co. Nawet gdy dopłynęli do New Providence i, tak jak obiecał, zabrał ją na brzeg, pozostał nieuchwytny i daleki. Brandy martwiła się, nie wiedząc, co takiego zrobiła, że był z niej aż

tak niezadowolony. Miała ochotę o to zapytać, ale zabrakło jej odwagi.

Na szczęście, w miarę jak upływały godziny spędzane pod czystym, błękitnym niebem, na plaży o białym piasku, omiatanej ciepłą bryzą oraz falami niewiarygodnie czystego, przejrzystego morza, Marcus zaczął się rozluźniać. W takim otoczeniu nie sposób było się martwić. Obserwował jej pod-ekscytowanie, uśmiechając się pobłaźliwie i z czułością, a potem wynajął niewielki czarny powozik i obwiózł ją po wyspie.

Miasteczko było niewielkie i nader niezwykle. Większość budowli wzniesiono w stylu georgiańskim z drewna lub kamienia. Wiele miało czterospadowe dachy, śliczne werandy i okna z żaluzjowymi drewnianymi okiennicami.

Za rogatkami kilka domostw było krytych strzechą, Marcus wyjaśnił jednak Brandy, że ze względu na ryzyko pożaru w mieście zabroniono używać tak łatwopalnych materiałów. Zostawili powozik w centrum miasteczka i przespacerowali się po placu w pobliżu nabrzeża. Na głównej ulicy, Bay Street, postawiono ładne budynki użyteczności publicznej, mieszczące kramy i sklepy.

- Wszystko tu jest naprawdę czarujące i tyle się dzieje... - zauważyła Brandy.

Spojrzał na robotników pracujących na budowie po drugiej stronie ulicy.

- Zawsze miałem słabość do Nassau. Jednak przywożę na wyspę towary od sześciu lat i miasto trochę mi się już opatrzyło.

Mijali właśnie kramy stojące na początku krytego bazaru. Wewnątrz kupcy sprzedawali warzywa i owoce, skorupiaki i ryby. Brandy marszczyła co prawda nos, krzywiąc się na intensywny zapach,

ale nie przestawała przyglądać się wszystkiemu z podekscytowaniem.

Przeszli pomiędzy rzędami kramów, gdzie wystawiali swoje towary sprzedawcy plecionych koszyków, muszelek i rzeźbionych przedmiotów z drewna. Brandy zatrzymała się przy jednym ze straganów, zwabiona jaskrawymi barwami wyłożonych tam haftowanych szali. Marcus uśmiechnął się i udrapował jej na ramionach szal o barwie leśnej zieleni. Delikatne, ozdobne frędzle zwisały dziewczynie aż do pasa.

- Podoba ci się?

- Jest śliczny. -1 twój.

- Ale... na pewno? - Pogładziła drżącymi dłońmi bogato haftowany materiał. - Musi być bardzo drogi.

- To tylko mały prezent, Brianne. Byłoby mi przyjemnie, gdybyś zechciała go przyjąć.

Uczyniła to zatem... z nieukrywaną przyjemnością.

- Jest piękny, Marcusie. Nie miałam dotąd nic, co mogłoby się z nim równać.

Uśmiech znikł z twarzy Marcusa. Pochylił się, ujął Brandy pod brodę i uniósł ku sobie jej twarz.

- Powinnaś mieć dziesiątki pięknych rzeczy. I może pewnego dnia będziesz miała.

Brandy odwróciła wzrok.

- Wolałabym zwiedzić więcej nowych miejsc, dowiedzieć się czegoś o życiu, jak robimy to dzisiaj.

Ruszyli dalej ulicą, mijając miejsce zwane Ven-due House: otwartą budowlę z arkadami, gdzie odbywała się aukcja. Sprzedawano niewolników. Dreszcz przebiegł Brandy po plecach. Czarnoskórzy mężczyźni i kobiety posuwali się z wolna do przodu,

opuściwszy ciemne głowy i ramiona, jakby dźwigali na nich ciężar całego świata.

- Nie sądziłam, że Anglicy trzymają niewolników - zauważyła.

- Tylko w paru koloniach.

- Pochodzę z południa, więc nie powinnam zapewne tak mówić, lecz nigdy nie potrafiłam pogodzić się z tym, że człowiek może posiadać na własność inną istotę ludzką. - I naginać ją do swojej woli, dodała w myśli. Zbyt przypominało to życie, jakie wiodła w tawernie Pod Białym Koniem.

- Mnie też się to nie podoba, ale cóż, tak wygląda rzeczywistość, przynajmniej w tej chwili.

Brandy już się odezwała. Dzień był zbyt piękny, by psuć go rozważaniami na temat niedoskonałości ludzkiej natury. Będzie na to mnóstwo czasu, gdy wróci do domu.

- Jesteś głodna?

- Teraz, gdy o tym wspomniałeś, uświadomiłam sobie, że konam z głodu.

Urządzili sobie piknik na plaży. Pili wino i mleko kokosowe. Był to cudowny dzień, pełen śmiechu i podekscytowania, wart wszelkich trudów, jakie musiała ponieść w trakcie podróży. Nim wrócili o zachodzie słońca na statek, przepęłniała ją uczucie zadowolenia, a także świadomość, iż zebrała mnóstwo miłych wspomnień. Zatrzymała się na chwilę przy relingu i spojrzała na wyspę.

- Jest taka piękna - powiedziała, przyglądając się widocznym w oddali białym domom, otoczonym drzewami i żywopłotami. - Wygląda choć trochę jak Anglia?

- Domy w niektórych dzielnicach są takie jak w Anglii. Na angielskiej wsi dachy kryte są słomą, jak tutaj.

Uśmiechnęła się z tęsknotą.

- Bardzo chciałabym je zobaczyć. Myślałam wiele razy, by wybrać się do Anglii. Może pewnego dnia mi się uda.

Marcus odwrócił się i spojrzał na nią. Coś zmieniło się w wyrazie jego twarzy. Wyglądał, jakby zaciskał szczęki.

- Nie będzie mnie tam, jeśli to zrobisz - powiedział po chwili. - Będę najprawdopodobniej na morzu.

Radosny uśmiech znikł, jakby go nigdy nie było. Nie potrzebowała, by przypomniano jej o tym, co i tak wkrótce nastąpi.

- Jestem pewna, że tak właśnie będzie. Nie pozostawiłeś co do tego wątpliwości. - Przygłodziła długi miedziany lok, który wymknął się z upięcia na czubku głowy. - Ja mam wszakże dość ograniczeń. Jeśli będę chciała popłynąć do Anglii, to tak zrobię. A jeśli zechcę udać się w jakieś inne miejsce, znajdę sposób, by się tam dostać.

Marcus zmarszczył brwi.

- Och, te twoje głupie mrzonki. Przeznaczeniem kobiety jest wyjść za mąż i dać mężowi synów. Kiedy nadejdzie czas, to właśnie zrobisz.

Brandy uniosła brwi.

- Tak sądzisz? Myślisz, że kochałabym się z tobą, gdybym chciała pewnego dnia wyjść za mąż i się ustatkować?

Oczy Marcusa pociemniały z gniewu.

- Próbujesz mi powiedzieć mi, że nie zamierzasz wyjść za mąż... i zadowolisz się byciem utrzymanką jakiegoś mężczyzny?

Odrzuciła w tył głowę.

- Nie wiem. Może i tak. Gdybym mieszkała w Londynie...



Chwycił ją za ramię i mocno ścisnął.

- Gdybyś mieszkała w Londynie, byłabyś tylko ładnym drobiazgiem, ozdobą, uwieszoną ramienia mężczyzny. Pozostawałabyś na łasce swego protektora, absolutnie mu podporządkowana. Nie miałabyś ani trochę tej swojej cennej wolności. Prawdę mówiąc, twoje życie nie byłoby wiele lepsze od tego w tawernie.

Brandy szarpnęła się i wyrwała ramię z uścisku.

- Gdy wrócę do Charlestonu, to, jak żyję, nie będzie już twoją sprawą. Jeśli zechcę zostać kochanką jakiegoś mężczyzny...

Spojrzała mu w twarz i czym prędzej zamilkła. A potem westchnęła głośno, zaskoczona, gdy porwał ją na ręce.

- Co ty wyprawiasz?

Nie odpowiedział, przemierzył tylko pokład, zszedł po drabince, poniósł Brandy korytarzem ku swojej kajucie, wszedł do środka i zatrzasnął za nimi drzwi.

- Chcesz być czyjąś kochanką? - Puścił jej nogi i ześliznęła się po nim na podłogę. - Może o tym zapomniałaś, skarbie, lecz już nią jesteś.

Co powiedziawszy, wpił się ustami w jej wargi w brutalnym, karzącym pocałunku.

Czuła na udzie dotyk twardego członka i choć była zła, jej ciało zareagowało. Bezlitosne usta Marcusa plądrowały wewnątrz jej ust, gwałtowne i dziko zdeterminowane, wprawiając Brandy w drzenie. Brał ją językiem, obejmując z tyłu głowę, aby nie mogła się odsunąć.

Położył dłonie na jej piersiach i masował je mocno przez suknię, ściskając między palcami sutki. Pisnęła, gdy objął dłonią jej pośladki, przyciskając ją mocniej do siebie i do ściany.

A potem unosił już jej spódnice i wsuwał pod nie dłoń, gładził skórę, pieszcząc z wprawą i talentem. Musiał poczuć, że drży, rozdzielił bowiem fałdki jej płci i zaczął ją tam pieścić. Uświadomiła sobie, że jest wilgotna, a jej ciało pulsuje pożądaniem, którego słowna potyczka ani trochę nie zmniejszyła. Boże, siła jego gniewu zdawała się wręcz zaostrzać jej pragnienie.

Marcus pocałował ją i Brandy jęknęła, czując na wargach dotyk jego ust. Przez cały dzień patrzyła na niego, śmiała się z nim. I go pożądała. Co noc za nim tęskniła, brakowało jej pieszczot i pocałunków. A teraz cała płonęła.

Zacisnęła palce na klapach surduta Marcusa. Tymczasem jego dłoń poruszała się pod spódnicą, pieszcząc ją, przygotowując, by przyjęła go w siebie, podczas gdy druga zmagająca się z guzikami bryczesów. A potem poczuła, że jego męskość dotyka jej, szukając wejścia, i zanurza się głęboko w jej ciele.

Westchnęła, czując w sobie pulsującą pełnię. Ostra przyjemność przeniknęła ją do głębi. Czowała napięcie w jego ciele, gwałtowną żądzę. Tymczasem on wbił się w nią gwałtownie i znieruchomiał.

Pochylił z westchnieniem głowę i dotknął czołem jej czoła.

- Boże, przepraszam. Nie wiem, jak mogło do tego dojść. Po prostu nie potrafię się powstrzymać. Gdy jestem blisko ciebie...

Przyciągnęła ku sobie jego głowę i namiętnie go pocałowała.

- Nie przestawaj - powiedziała błagalnie. - Na miłość boską, Marcusie, nie przestawaj.

Zamrugnął, a potem jęknął. Pocałował Brandy łapczywie i zacisnął mocniej dłonie na jej pośladkach.

Uniósł jej nogi i otoczył się nimi w pasie, za-

dzierając jej zieloną muślinową suknię i wbijając się w nią wciąż od nowa. Brandy nie przestawała go całować, objawszy za szyję. Szpilki wypadły jej z włosów, które ciężkimi pasmami przykryły ramiona.

- Boże, doprowadzasz mnie do szaleństwa - wyszeptał, miażdżąc jej wargi w kolejnym chciwym pocałunku i posyłając jęczyczki płomieni ku żołądkowi.

Nie trwało to długo i osiągnęła szczyt, a Marcus tuż po niej. Przez dłuższą chwilę w kajucie słychać było jedynie ciężkie oddechy i głośne bicie serca Brandy.

Marcus zdjął delikatnie nogi dziewczyny ze swoich bioder, postawił ją ostrożnie na ziemi i odsunął się, aby uporządkować strój. Spojrzała na niego, odwrócił jednak wzrok. Zauważyła, że wydaje się zażenowany, uznała jednak, że to niemożliwe. Musiała się pomylić.

Marcus chrząknął tymczasem i wyprostował ramiona.

- Zdaję sobie sprawę, że wszystko to jest dla ciebie nowe. Mam nadzieję... - Chrząknął znowu. - Mam nadzieję, że nie sprawiłem ci bólu. - Zerknął na rząd okien. - Zapewniam, że nie jestem zazwyczaj tak... Na ogół nie...

Brandy podeszła i przycisnęła mu palec do ust.

- Podobało mi się to, co zrobiliśmy, Marcusie. Nie przepraszaaj za to, że dostarczyłeś nam obojgu tyle przyjemności.

Utkwił spojrzenie ciemnoniebieskich oczu w jej twarzy. Coś zabłysło w ich głębi, lecz znikło, nim zdążyła rozpoznać, co to takiego. Wygiął w uśmiechu kącik warg i zauważył:

- Zdziwiasz mnie, Brandy, i to już po raz kolejny. Może powrotny rejs do Charlestonu okaże się bardziej interesujący, niż się spodziewałem.

Brandy spłonęła rumieńcem.

- Oby, kapitanie Delaine. Oby.

## Rozdział 11

Słowa Marcusa okazały się prorocze. W następnych dniach pogoda dopisywała, a morze było spokojne. Kapitan nie miał już tyłu zajęć i mógł spędzać w kabinie więcej czasu.

Brandy przeniosła się do szerokiego łóża z puchowym materacem i co noc kochali się jak szaleni. Był to wspaniały czas, bardziej cudowny, niż byłaby w stanie sobie wyobrazić. Tyle że trwał zbyt krótko. Dwa tygodnie, jak się wkrótce przekonała, to stanowczo zbyt mało dla zakochanej kobiety, gdy mężczyzna, którego kocha, zamierza odpłynąć bez niej.

Nigdy o tym nie wspominali, niczego nie planowali. Wiedziała, że nie ma dla nich przyszłości, udawała zatem, że przyszłość nie istnieje.

Lecz oczywiście istniała, a kiedy trzeba było stawić jej czoło, Brandy stała przygnębiona w deszczu, wpatrując się w majaczące na horyzoncie znajome nabrzeża portu w Charlestonie i strzeliste iglice kościelnych wież, tworzące charakterystyczną panoramę miasta.

Marcus podszedł do dziewczyny i zwyczajnym gestem objął ją w pól.

- Cóż, jesteśmy prawie na miejscu.

- Tak... widzę.

- Cieszysz się, że wróciłaś? Podniosła na niego wzrok.

- Przecież wiesz, że to niemożliwe.

Nie odezwał się, lecz podążył wzrokiem za jej spojrzeniem ku eleganckim domom i budynkom Charlestonu, placykom i wspaniałym ogrodom, widocznym z tej odległości jako drobne punkty na odległej linii brzegowej.

- Nie zostanę w mieście zbyt długo. „Jastrząb” musi odpłynąć z zakontraktowanym ładunkiem do Anglii. Dłonie zaczęły jej się trząść, zacisnęła je więc na relingu.

- Jak... jak długo cię nie będzie?

- Obawiam się, że dość długo. Z Anglii popłyniemy na Wschód. Może minąć rok, nim zawiniemy znowu do Charlestonu.

Brandy poczuła, że coś ją dławi w gardle. Sądziła, że będzie na niego czekała i widywała się z nim przynajmniej raz na kilka miesięcy. Lecz rok lub więcej... Wydawało się to wiecznością. Może tak to zaplanował.

- Wygląda więc na to, że rozstajemy się na dobre.

- Mówiłem ci, jak wygląda moje życie. Oboje wiedzieliśmy, że ten dzień kiedyś nadejdzie.

-Tak...

Oczywiście, wiedziała, wolała jednak udawać, że tak się nie stanie.

Marcus rozpiął granatowy surdut i wyjął z kieszeni kamizelki niewielką skórzaną sakiewkę. Brandy usłyszała brzęk monet i zeszywniała, obawiając się tego, co za chwilę usłyszy.

- Chcę, żebyś to wzięła. - Wcisnął jej do ręki sakiewkę, a wraz z nią poskładany arkusz papieru.

- Możesz spożytkować pieniądze, aby zacząć gdzieś nowe życie, jeśli będziesz chciała. Zapisałem ci mój adres w Kornwalii. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała... czegokolwiek... napisz do mnie za pośrednictwem mojego brata Rexlanda z Hawksmoor House. Będzie wiedział, jak mnie odnaleźć.

Łzy zakłuły Brandy pod powiekami. Marcus odchodził. To naprawdę się działo, a ona nie mogła nic zrobić, by go zatrzymać. Papier zadrżał jej w dłoni. Wsunęła go do kieszeni prostej brązowej spódnicy, ale sakiewkę mu oddała.

- Nie wezmę od ciebie pieniędzy, Marcusie. To, co zdarzyło się między nami... Nie sypiałam z tobą dla pieniędzy. Nie skalam tego, przyjmując zapłatę.

Zacisnął lekko usta.

- Daję ci je jak przyjaciel, po to, by zabezpieczyć cię na przyszłość. A także na wypadek, gdyby nasza znajomość miała... konsekwencje. To możliwe, zważywszy ile czasu spędziliśmy razem. Weź pieniądze, Brianne. Mogę zrobić przynajmniej tyle.

Wyciągnął ku niej dłoń z sakiewką, Brianne potrząsnęła jednak tylko głową.

- Nie wezmę tego, Marcusie.

- Do licha, kobieto! Co zrobisz, gdy się okaże, że jesteś przy nadziei? Chcę, żebyś to wzięła i obiecała, że napiszesz do mojego brata, jeśli odkryjesz, że nosisz moje dziecko.

Brandy zwilżyła wargi, które nagle zaczęły drżeć. A jeśli Marcus ma rację i zaszła w ciążę? Zamiast strachu poczuła przyływ nadziei, co ją kompletnie zaskoczyło. Gdybyż była to prawda! Jednak w głębi serca wiedziała, że tak nie jest. Gdyby nosiła jego dziecko, nie czułaby pustki, która zmieniała jej wnętrze w ołów.

Położył jej stanowczym gestem dłoń na ramionach.

- Obiecuj, Brianne. Nie mógłbym znieść myśli, że jesteś brzemienna i nie ma kto ci pomóc.

Brandy odwróciła wzrok.

- Obiecuję, że napiszę wtedy do twego brata. Nie wezmę jednak pieniędzy. Moja miłość była darem.

Wszystkim, co mogłam ci ofiarować. Proszę, Marcusie, przyjmij go tak, jak został pomyślany.

Przez dłuższą chwilę po prostu tam stał. Potem westchnął i wepchnął sakiewkę z powrotem do kieszeni.

- Wrócisz do tawerny i będziesz musiała stawie czoło ojcu, a on potrafi być przerażający. Pójdę z tobą.

Brandy potrząsnęła głową.

- Doceniam troskę, lecz twoja obecność tylko pogorszyłaby sprawę. Mam nadzieję, że do tego czasu gniew ojca trochę się wypalił. A jeśli nie, cóż, nie jestem już tą samą osobą. Nie pozwolę mu się zastraszać.

Marcus uśmiechnął się, unosząc ledwie dostrzegalnie kącik ust.

- Miło mi to słyszeć. I nie, z pewnością nie jesteś już tą samą osobą. Jesteś teraz silniejsza. Wierzę, że potrafisz zrobić ze swoim życiem, co zechcesz.

W tej akurat chwili chciała spędzić następne pięćdziesiąt lat z Marcusem Delaine. To, że nie mogli się pobrać, nie miało znaczenia. Nie liczyło się nic poza tym, aby z nim być, to zaś okazało się, niestety, niemożliwe.

Utkwiła wzrok w falach, obmywających kadłub. Nie będzie już mogła spojrzeć na statek, by nie pomyśleć o Marcusie. Ani na morze, by nie wspominać, jak to było spoczywać w jego ramionach. Po-



kochała go, głęboko i na zawsze. Będzie go kochała, choćby dzieliły ich tysiące mil.

Kiedy statek wpływał do portu, Marcus zostawił ją i wrócił do swoich zajęć. Nie zobaczyła go, póki „Morski Jastrząb” nie przycumował przy nabrzeżu i nie spuszczoneo trapu.

Stała na pokładzie, gotowa zejść na ląd, tuląc w ramionach Dandelion. Kotka mruczała i ocierała się jej o policzek. Marcus pojawił się nagle tuż obok i spytał:

- Zegnasz starą przyjaciółkę?

- Kochaną, ale nie tak znów starą. Będę za nią tęskniła.

- Jestem pewien, że ona za tobą także. Odebrał jej zwierzaka i postawił ostrożnie na pokładzie. Dandelion miauknęła cicho na pożegnanie, a potem pobiegła ku zejściu pod pokład.

Zbliżał się ku nim inny mężczyzna. Brandy poznała przysadzistą sylwetkę Cyrusa Lamba. Kucharz ujął jej dłoń i delikatnie uściśnął.

- Dbaj o siebie, dziewczyno. Wygląda na to, że nasze ścieżki nieprędko się skrzyżują. Wszyscy będziemy jednak za tobą tęsknić.

Łzy zakłuły Brandy pod powiekami.

- Dziękuję, Cyrusie. Ja też będę za wami tęskniła. Pożegnaj ode mnie pozostałych, dobrze?

- Tak, dziewczyno, tak właśnie zrobię. Marcus uśmiechnął się do niej łagodnie.

- Chyba powinniśmy zejść już na brzeg. Brandy skinęła głową, a wtedy położył sobie jej dłoń na rękawie surduta, sprowadził ją po trapie, a potem powiódł aż na koniec nabrzeża.

- Jesteś pewna, że nie chcesz, bym poszedł z tobą do tawerny?

Brandy zmusiła się do uśmiechu.

- Dam sobie radę.

- Pozostaniemy w porcie jeszcze przez kilka dni, nie będę się więc teraz żegnał.

Kilka dni, pomyślała. Jeszcze kilka dni i jej ukochany odpłynie. Otarła ukradkiem łzy i przywołała na twarz uśmiech.

- Doskonale. Zostawmy więc pożegnania na potem. Zatrzymasz się Pod Sosnami?

Uniósł brwi.

- Czy to nie tam zwykle się zatrzymujesz, gdy jesteś w mieście?

- Owszem, zdziwiło mnie tylko, że o tym wiesz. Spojrzała mu w oczy.

- Wiem o tobie sporo, Marcusie. Na przykład o wdowie, z którą się spotykasz. Ufam, że odtąd, jeśli przebywając w Charlestonie będziesz potrzebował pociechy, nie zwrócisz się do niej, lecz do mnie.

Uśmiechnął się cokolwiek łobuzersko.

- Zapewniam cię, kochanie, że jeśli o to chodzi, nie będę potrzebował jej przez dłuższy czas. Dzięki tobie.

Brandy uśmiechnęła się, zaskoczona, że jest w stanie to zrobić, choć serce pęka jej z bólu.

- Może wstąpisz potem do tawerny.

- Będę bardzo zajęty, jest jednak szansa, że znajdę czas.

Brandy skinęła jedynie głową. Nie pocałowali się na do widzenia. Te dni się skończyły. Marcus skinął jeszcze raz głową, by dodać jej otuchy, odwróciła się więc i ruszyła ku gospodzie. W piersi czuła ołów.

Wnętrznosci miała związane w ciasny supeł, tymczasem Marcus wydawał się nieporuszony. Wiedziała, że nie znaczy dla niego zbyt wiele, ot, miła rozrywka na jeden rejs. Za kilka dni wróci na morze i o niej zapomni.

Świadomość tego sprawiała, że Brandy czuła w gardle dławienie, a w sercu ból. Musisz o nim zapomnieć, powtarzała sobie, wiedząc, że to się nigdy nie stanie. Wiedziała jednak, że nie myli się co do jednego - była teraz inną osobą, silniejszą niż przedtem, więc wcześniej czy później da sobie radę także z miłością.

Spojrzała w dół, na prostą brązową spódnicę i bluzkę. Wkrótce założy gorset, który uniesie i wypchnie do przodu jej piersi, oraz spódnicę odsłaniającą kostki - uniform pracujących w tawernie kobiet. I wróci do dawnego życia.

Znajdę sposób, by zacząć od nowa bez pieniędzy Marcusa, przyrzekła sobie. Ale jeszcze nie teraz. Teraz potrzebuje czasu, aby uleczyć złamane serce i zdecydować, co powinna zrobić. Miała nadzieję, że do tej pory będzie już to wiedziała, tak się jednak nie stało. Nadal nie знаła odpowiedzi.

Spojrzała w dal, ponad łaciatym psem gryzącym kość i dwoma małymi, obdartymi chłopcami grającymi w klasy. Tawerna była niedaleko, przez małe okienka przesączało się mętne światło. Drzwi pozostawiono otwarte, aby zachęcić przechodzących marynarzy. Skupiwszy uwagę na nieuchronnej konfrontacji z ojcem, wyprostowała ramiona i ruszyła przed siebie z niezłomnym postanowieniem, iż nie da się pokonać, nawet jeśli w tej chwili ze strachu łaskocze ją w żołądku.

Deski nabrzeża skrzypiały jej pod stopami, kiedy zbliżała się do wielkiego czerwonego godła, zwieszającego się z budowli o grubych ścianach. Gdy dotarła do ciężkich dębowych drzwi, odwróciła się i spojrzała po raz ostatni na „Morskiego Jastrzębia”.

Zaskoczona spostrzegła Marcusa, stojącego na końcu nabrzeża i spoglądającego ponuro w ślad

za nią, kiedy wchodziła do wnętrza tawerny Pod Białym Koniem.

Marcus wrócił na pokład, gdzie załoga kończyła prace związane z zabezpieczeniem statku i przygotowywała się do mającego nastąpić przeładunku. Trzeba było napełnić zbiorniki wodą, zaopatrzyć spiżarnie, załadować nowe towary i rozpocząć pomniejszych naprawy.

Tyle było do zrobienia, a on mógł myśleć jedynie

o Brianne. Odmówiła przyjęcia pieniędzy i wróciła do tawerny Pod Białym Koniem.

Co powie Wielki Jake, gdy ją zobaczy? I w co uwierzy? A najważniejsze: co zrobi?

Im dłużej o tym myślał, tym większy ogarniał go niepokój. Do licha, powinien był z nią pójść, czy sobie tego życzyła, czy nie.

Kiedy na mostku pojawił się Hamish, poruszając się charakterystycznym dla siebie, kołyszącym krokiem, Marcus powiedział:

- Muszę coś załatwić. Z pewnością nie zajmie mi to dużo czasu. Miej oko na statek.

- Tak jest, kapitanie. - Hamish wyjął z ust fajkę

i uśmiechnął się na swój wszystkowiedzący sposób. - Ja też martwię się o dziewczynę. Jake Winters to brutal i nie przebacza łatwo.

Marcus skinął jedynie głową. Hamish zawsze potrafił odgadnąć jego myśli i tym razem też się nie mylił.

Zszedł z pokładu i ruszył nabrzeżem ku tawernie Pod Białym Koniem. W barze siedziało już kilku marynarzy, nie było jednak zwykłego tłoku. Rozejrzał się po mrocznym wnętrzu, ale nie dostrzegł nigdzie Brianne.

Była tam jedynie ciemnowłosa kelnerka. Pochylała się nad stołem w kącie, podając piwo kilku na wpół pijanym żeglarzom, zerkąła jednak przez cały czas ku drzwiom prowadzącym na tyły gospody i wydawała się poważnie zmartwiona.

Dreszcz niepokoju przebiegł Marcusowi po plecach. Ruszył ku kobiecie.

- Proszę mi wybaczyć, panno... - Usilnie starał się przypomnieć sobie, jak kobieta ma na imię, na próżno jednak. Zbyt martwił się o Brianne.

- Po prostu Flo, kapitanie Delaine. Bardzo się cieszę, że pana widzę. - Zerknęła nerwowo na drzwi. - Wielki Jake wrócił przed chwilą i kiedy zobaczył Brandy, chyba trochę mu odbiło.

Marcus zeszywniał.

- Gdzie są?

Flo ujęła go pod ramię i zaprowadziła do drzwi prowadzących na tyły tawerny. Z każdym krokiem żołądek Marcusa bardziej się zaciskał.

- Zaciągnął ją do stajni, wyzywając od najgorszych i próbując dowiedzieć się, gdzie była. Nie widziałam go dotąd tak wściekłego. Musi pan pomóc Brandy, nim Jake naprawdę ją skrzywdzi.

Marcus nie czekał. Przemknął przez drzwi niczym wystrzelony z katapulty i pognął przez podwórko ku stojącym z tyłu stajniom. Już z daleka dobiegł go podniesiony głos Jake'a.

- Stłukę cię na kwaśne jabłko, dziewczyno! - wrzeszczał. - Wychłószczę, jak nigdy dotąd!

- Nie waż się mnie tknąć! - ostrzegła go Brianne. - Nie pozwolę, byś mnie znów bił. Nie jestem dzieckiem, ale kobietą, i już się ciebie nie boję.

- Lepiej, żebyś się bała! - Z piersi Jake'a dobył się głuchy pomruk. Marcus usłyszał plaśnięcie skóry uderzającej o ciało i gniew sprawił, że jeszcze

przyspieszył. Dotarł do siodłami i szarpnął gwałtownie zniszczone drewniane drzwi. W nozdrza uderzył go zapach zakurzonego siana i starej skóry. Brianne stała w kącie, zasłaniając uniesionym ramieniem twarz. Od łokcia do nadgarstka biegła czerwona pręga.

- Przestań, Jake! - Marcus chwycił pasek do ostrzenia brzytwy i wyrwał go wielkiemu mężczyźnie z rąk. - Brianne ma rację. Jest kobietą, nie dzieckiem. To, co robi, to jej sprawa, nie twoja. Pora, byś się z tym pogodził.

Brianne spojrzała na Marcusa. Dostrzegł w jej twarzy wyraz ulgi, a potem Wielki Jake wymierzył córce siarczasty policzek.

- Byłaś z nim, co? Więc to tak, uciekasz z takimi jak Delaine! Zupełnie jak to nic dobrego, twoja matka, ty mała zdziro.

Brandy pisnęła cicho z bólu, a Marcus z trudem opanował chęć, by objąć szyję Jake'a dłońmi i wycisnąć z potężnego brutala życie.

- Jesteś głupcem, Jake'u Winters - powiedział głosem ochrypłym z gniewu. - Nie zdajesz sobie sprawy, jaki skarb posiadasz.

Jake splunął na brudną podłogę.

- Skarb, tak? Lecz nie zamierzasz się z nią ożenić, co? Zostawisz ją z brzuchem, ale nie weźmiesz za żonę. Marcus zacisnął bezwiednie dłonie.

- To nie powinno cię obchodzić. To wyłącznie nasza sprawa. Lecz powiem ci jedno, Jake'u Winters. Jeśli tkniesz córkę choćby palcem, przysięgam na wszystko, co mi drogie, że wrócę i cię zabiję.

Wielki Jake wyprostował się z oczami płonącym gniewem, lecz wola walki już go odeszła. Wypuścił powietrze z płuc i burknął do Brianne:

- Wracaj i bierz się do roboty. Tak długo, jak mieszkasz pod moim dachem, będziesz robiła, co ci każe. Brianne wahała się przez moment, a potem minęła go, unosząc wysoko głowę. Przy drzwiach zatrzymała się i odwróciła.

- Będę pracowała dla ciebie, ojczy, ale nie zaharu-ję się na śmierć dla tej knajpy, jak robiłam to przedtem. Zrobię, co do mnie należy, lecz nie pozwolę się wykorzystywać. Odtąd będę żyła tak, jak zechcę, a jeśli ci się to nie podoba, chętnie stąd odejdę.

Jake nie odezwał się, zacisnął tylko szczęki. Potrzebował Brianne i oboje o tym wiedzieli. Prowadziła tawernę, odkąd skończyła dziesięć lat. Minął ją, po czym wymaszerował ze stajni i wrócił do gospody.

- Nic ci nie jest? - zapytał Marcus. Potrząsnęła głową, lecz kiedy otworzył ramiona, ukryła się w nich i poczuł, że drży.

- Stawiłaś mu czoło - wyszeptał jej cicho do ucha. - Zmusiłaś, by cię wysłuchał, i nie cofnęłaś się nawet o krok.

Spojrzała na niego i się uśmiechnęła.

- Postawiłam mu się i zwyciężyłam, prawda?

- Jestem z ciebie dumny. - Pocałował ją w czoło, trzymając mocno w ramionach. Próbował nie myśleć o tym, jaką sprawiało mu to przyjemność i jak puste wydawały się bez niej te ramiona. - Wszystko będzie dobrze, wiesz o tym. Cokolwiek postanowisz, wszystko się ułoży.

Uśmiechnęła się leciutko, ze smutkiem.

- Tak... zapewne. Prawda wygląda jednak tak, że będzie mi ciebie brakowało.

Coś ścisnęło Marcusa za gardło, i to tak mocno, że ledwie był w stanie się odezwać. A kiedy to zrobił, słowa dobyły się z niego szorstkie i chrapliwe.

- Ja też będę za tobą tęsknił, kochanie. - Aż do tej chwili, kiedy to trzymał ją w ramionach, wdychając zapach jej włosów i czując ciepło jej ciała, nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo.

Cztery dni później „Morski Jastrząb” odpłynął z Charlestonu, a jego kapitan, Marcus Delaine, lord Hawksmoor, znikł z życia Brandy.

Stała tego ranka na nabrzeżu, obserwując ostatnie przygotowania i wracających na statek marynarzy, wszystkich poza Marcusem, który stał obok niej. Ostry północny wiatr rozwiewał pasma długich miedzianych włosów, które pozostawiła rozpuszczone, tak jak lubił Marcus, i oblepiał nogi spódnicą. Miała na sobie zielony szal, który Marcus kupił jej na wyspach. Choć śliczny, nie był jednak dość ciepły. Lodowate podmuchy przenikały przez cienki materiał, wywołując gęsią skórkę i ściskając chłodem serce. A może sprawiał to wyjazd Marcusa, świadomość, że kiedy wsiądzie na statek, Brandy nigdy więcej go już nie zobaczy?

- Pora się żegnać - powiedział cicho. Słowa wdarły się w pustkę w duszy Brandy.

Podniosła wzrok i spojrzała na niego.

- Wiem.

- Nieprędko o tobie zapomnę, Brianne. Brandy z trudem pokonała dławienie w gardle.

- Kiedyś przecież wrócisz. Przybędziesz jak zwykle do Charlestonu.

Marcus potrząsnął jednak głową.

- Nie wolno ci czekać, Brianne. Musisz myśleć o sobie i swojej przyszłości. Bierz od życia wszystko, czego pragniesz. Rób to, co chcesz... jak ja.



Odwróciła wzrok. Nie będzie na nią czekał. Wyraził się jasno. A czekanie na niego nie przyniesie nic dobrego. Teraz wiedziała, jak niewiele dla niego znaczy, była pewna, że w jego życiu nie ma dla niej miejsca.

- Wiem, że masz rację. Właśnie tak będę musiała postępować.

Nie czyniło to jednak rozstania łatwiejszym. I nie sprawiało, że kochała go choć odrobinę mniej.

- Zawsze będę pamiętał nasze wspólne dni, Brianne - powiedział. - Ofiarowałeś mi dar, który jest dla mnie bardzo cenny. - Minę miał teraz poważną, niemal ponurą. - Ja też mam dla ciebie prezent. - Sięgnął do kieszeni, wyjął srebrne puzderko i podał je Brianne. - Otwórz.

Brandy posłuchała, choć drżały jej dłonie. W środku, na podściółce z ciemnoczerwonego aksamitu, leżał niewielki srebrny medalion przedniej roboty.

- Kupiłem go kilka lat temu w Hiszpanii, nie wiedząc właściwie po co. Teraz wiem, że kupiłem go dla ciebie.

Brandy zamrugła i kropla wilgoci spłynęła jej po policzku. Pochyliła głowę i pozwoliła, by Marcus zapiął jej na szyi łańcuszek. Medalion spoczął, chłodny i gładki, wysoko na dekolcie. Przesunęła palcami po pięknie grawerowanym wieczku.

- Dziękuję - wyszeptała. - Będę o niego dbała. Zastanawiała się, czy kiedy Marcus odpłynie, w ogóle zdarzy mu się o niej pomyśleć. Czy będzie wspominał z sentymentem pełne namiętności godziny spędzone na kochaniu się? Byłaby skłonna sądzić, że nie, gdyby w ostatniej chwili, kiedy już mieli się rozstać, nie dotknął czule jej policzka i nie poczuła, że drży.

- Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz - powiedział cicho, chrapliwie. - I że będziesz szczęśliwa.

Brandy przełknęła łzy.

-I ty także, Marcusie.

Skinął jedynie głową. Pochylił się i musnął wargami jej usta, lecz nawet w chwili ostatecznego pożegnania jego umysł zdawał się odpływać, jakby kapitan powrócił już na morze, do swego statku i następnej przygody. Odwrócił się i ruszył zdecydowanie przez trap. Na szczycie zatrzymał się i rzucił Brandy ostatnie, pożegnalne spojrzenie, długie, powolne i baczne. Mogło oznaczać wiele rzeczy, Brandy wolała jednak myśleć, że zapisywał w pamięci jej wizerunek, by zabrać go z sobą na zawsze.

Tak, jak ona zawsze będzie nosiła w sercu jego obraz.

Od wyjazdu Marcusa minęły dwa miesiące. Nie sądziła, że będzie jej aż tak ciężko. Nie było dnia, by o nim nie myślała. By nie tęskniła. Była rozpaczliwie zakochana i fakt, że ukochany odszedł z jej życia, wydawał się niczego nie zmieniać.

Czasami żałowała, że zakradła się na jego statek, żal mijał jednak, kiedy uświadamiała sobie, że mimo wszystko wynikło z tego coś dobrego. Trudny rozejm, jaki zawarła z ojcem, nadal trwał. Jej nadzieje spełniły się i Wielki Jake docenił wartość córki, gdy jej zabrakło. Prawda wyglądała bowiem tak, że potrzebował Brandy, aby prowadzić sprawnie tawernę.

I może obawiał się też trochę Marcusa Delaine.

Jakikolwiek był powód, od dnia powrotu traktował ją z odrobiną szacunku, zarezerwowaną dla reszty pracowników. Nie jak ojciec córkę, ale nie gorzej niż innych. Pracowała krócej niż przedtem, miała więc dla siebie trochę czasu. Czasu, który spędzała na ogół, myśląc o Marcusie Delaine.

- Boże, Flo, jak ja za nim tęsknię. - Siedziały w pokoiku na poddaszu, Brandy w nocnej koszuli, Flo w stroju kelnerki.

- Próbowałam cię ostrzec - przypomniawszy jej przyjaciółka. - Wiedziałam, że wpakujesz się w kłopoty, gdy wpadłaś na szalony pomysł, żeby ukryć się na statku.

Brandy owinęła wokół palca koniec miedzianego warkocza.

- Może i było to szalone, ale po prostu musiałam tak postąpić. - Spojrzała na przyjaciółkę. - Kocham go, Flo. I myślę, że to się nie zmieni. Będę go kochała przez resztę życia.

Ciemnowłosa kobieta westchnęła i oparła się wygodniej na krześle.

- Taki już nasz los, kochać mężczyznę, który nie odwzajemnia naszych uczuć.

- Czy tak jest też z tobą i z Williem? Kochasz go, a on ciebie nie?

- Na początku tak właśnie było. Gdy go poznałam, miałam osiemnaście lat. Był jasnowłosy i piękny.

Pomyślałam, że to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego widziałam. - Patrzyła teraz przed siebie, jakby widziała go takiego, jak w chwili poznania. - Był synem kaznodziei, a ja pracowałam już w tawernie.

Chciał się kochać, ale powiedział mi od razu, że nie będzie mógł się ze mną ożenić. Jego ojciec nigdy nie wyraził na to zgody. Lecz ja i tak go kochałam, dałam mu więc to, czego chciał.

- I co zdarzyło się później?

- Jego ojciec nalegał, aby poślubił dziewczynę ich wyznania. Willie zgodził się, a po sześciu miesiącach wrócił do mnie, przygnębiony i nieszczęśliwy. Dziewczyna okazała się rozmiłowaną w intrygach małą wiedźmą, zimną w łóżku jak sopel lodu. Ani trochę o niego nie dbała. Powiedział, że mnie potrzebuje. A ja z pewnością potrzebowałam jego. Widujemy się co jakiś czas i trwa to już od ośmiu lat. Nie spotykamy się często, i nigdy tutaj, w tawernie. Myślę jednak, że w końcu zaczął darzyć mnie uczuciem. A ja wiem, że zawsze będę go kochała.

Brandy nie powiedziała już nic więcej. Historia Flo była po prostu zbyt smutna. Sprawiała, że pomyślała znów o Marcusie i o mała się nie rozplakała. Nie zauważyła, kiedy przyjaciółka wyszła, usłyszała jedynie szcęk klamki, gdy zamykała za sobą drzwi. Jeśli ktokolwiek był w stanie zrozumieć, jak bardzo cierpi, to jedynie Flo.

Może przyjaciółka zostawiła ją samą właśnie po to, by mogła w spokoju oddać się rozpacz...

## Rozdział 12

Marcus stał przy relingu, wpatrzony w załamujące się poniżej białe grzywy fal. Zimny wiatr dął w żagle. Trzeszczały i łopotały, jakby zmagaly się z niewidzialną siłą i w pewnym sensie tak właśnie było. W końcu zwyciężały, ujarzmiając wiatr, choćby tylko na chwilę.

Wyłynęli z Anglii przed dwoma tygodniami, rozpoczynając podróż, która miała zawieść ich aż na Morze Chińskie. Marcus nie był jeszcze na tajemniczym, mistycznym Wschodzie. Od lat pragnął tam popłynąć, teraz powinien więc niecierpliwie wyglądać chwili, kiedy zawinie wreszcie do odległego portu - i tak właśnie było.

Uwielbiał życie na morzu, ponieważ dawało możliwość poznawania wciąż nowych, egzotycznych miejsc, a także ludzi. Tym razem było jednak inaczej. Nie potrafił zdefiniować, na czym polega różnica, wiedział jednak, że w ciągu kilku ostatnich tygodni urok czekających na odkrycie, dalekich krain stracił wiele ze swego blasku.

- Stoisz tu już od dobrej chwili, kapitanie, gapiąc się na wodę. Myśl o dziewczynie nie daje ci spokoju? Marcus niemal się uśmiechnął. Hamish był niesamowity.

- To dziwne, jak wślizguje się do moich myśli, i to w najdziwniejszych momentach. Nie potrafię przestać się martwić, czy u niej wszystko w porządku.

Hamish pogładził gęstą siwą brodę.

- Jeśli zostawiłeś dziewczynę z... problemem, twój brat z pewnością się nią zajmie. To dobry chłopak, można na nim polegać.

Marcus potrząsnął głową.

- Rex i tak ma za dużo obowiązków. Zarządzał w moim imieniu rodzowym majątkiem, a teraz odziedziczył jeszcze własny. Czasami zastanawiam się, jak daje sobie radę.

- Na pewno by się nią zajął, skoro go poprosiłeś.

- Tak, zapewne nie ma się czym martwić. Jeśli Brandy nosi moje dziecko, niczego jej nie zabraknie.

Jednak myśl o tym, że jest tam sama, brzemienna i bez jednej życzliwej duszy, nie dawała mu spokoju. Było to dziwne, gdyż nigdy przedtem aż tak się nie przejmował.

- Chłopcy nadal o niej mówią. Myślę, że wszyscy trochę się w dziewczynie podkochiwali.

Marcus wreszcie się uśmiechnął.

- Było w niej coś szczególnego, prawda? Jakiś rodzaj dobroci. Lubiła ludzi, a oni ją. Na pewno bardzo by się cieszyła, mogąc zobaczyć Wschód.

Hamish zerknął na niego spod oka.

- Może powinieneś był ją zabrać. Marcus potrząsnął głową.

- Statek to nie miejsce dla kobiety. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Poza tym, nawet jeśli dotąd tak się nie stało, prędzej czy później zaszłaby w ciążę.

Starszy mężczyzna zaśmiał się chrapliwie.

- O tak, z pewnością. Zważywszy na jej ognisty temperament... A nie mógłbyś przecież poślubić

dziewki z tawerny i uczynić z niej lady Hawks-moor, prawda?

Przed oczami Marcusa pojawił się, nieproszony, obraz Brandy, odzianej tak jak tamtej nocy, gdy znalazł ją na statku: w koszulę z długim rękawem i obcisłe bryczesy.

- Nie, chyba nie bardzo by się nadała. Poza tym nie życzę sobie żony. Nie chcę utknąć na lądzie i prowadzić nudnej egzystencji jak mój brat i reszta angielskiej arystokracji.

- Tak, tyle to i ja wiem. Ktoś taki jak ty nie mógłby żyć w ten sposób. Jesteś stworzony do życia na morzu i to się nie zmieni.

Była to prawda. Marcus zaakceptował ten fakt dawno temu i był szczęśliwy. Bywały jednak dni, takie jak ten, gdy brakowało mu słodkiego zapachu kobiety, miękkiej gładkości jej skóry i dotyku dłoni na ciele.

Łagodnego, lekkiego śmiechu, iskierki podekscytowania w ślicznych złotych oczach.

Tak naprawdę, brakowało mu nie tyle kobiety, co Brianne Winters. Zastanawiał się, ile czasu minie, nim zdoła o niej zapomnieć.

\*\*\*

Brandy szła wzdłuż nabrzeża, wpatrując się w wodę. Błękitne niebo wznosiło się spokojne i niezmiernie ponad masztami statków. Dalej, na horyzoncie, widać było białe żagle. W górze para mew to nurkowała ku powierzchni, to wznosiła się na wietrze.

Brandy patrzyła na ptaki z tęsknotą, wspominając dni, kiedy obserwowała je z pokładu „Morskiego Jastrzębia”, i pielęgnując w duszy wspomnienie wysokiego, ciemnowłosego żeglarza, który stał

wtedy obok niej. Nabrała nawyku chodzenia co tydzień nad morze i wpatrywania się w horyzont. Czuła się wtedy choć odrobinę bliżej mężczyzny, którego kochała i utraciła.

Wiedziała, że o niej mówią, rozprawiają o tym, że stoi i czeka, jakby kochanek miał wrócić lada dzień zza morza na wielkim statku. Jej romans z kapitanem nie był dla nikogo tajemnicą. I nie mógł być, skoro zdarzył się na statku, liczącym pięćdziesiąt osób załogi.

To dziwne, lecz zamiast ją potępić, marynarze zdawali się darzyć Brandy swego rodzaju szacunkiem i podziwiać za to, że potrafi kochać tak głęboko. Zupełnie jakby życzyli sobie mieć tyle szczęścia, by znaleźć w jakimś porcie kobietę, która pokochałaby ich równie mocno, jak Brandy kochała Marcusa Delaine.

Ojciec burczał, wypominając jej, że jest głupia. Jednak fakt, że nie nosiła dziecka kapitana, zdawał się łagodzić jego gniew. Niełatwy rozejm nadal trwał. Brandy nie zachwiała się jednak ani na chwilę w postanowieniu, by wieść niezależne życie i nawet ojciec żywił wobec niej swego rodzaju niechętny podziw.

Może dlatego szok był tym większy, kiedy pewnego dnia do baru wpadł z ulicy marynarz, krzyżąc, że Wielki Jake nie żyje.

Tymczasem „Morski Jastrząb” płynął coraz dalej na wschód. Dnie zlewały się ze sobą, a wspomnienie Brandy, miast blaknąć, pojawiało się w myślach Marcusa coraz częściej. Czasami wyglądało to tak, jakby w kabinie pozostał jej duch.



Do licha! W ciągu dnia nie mógł skupić się na obowiązkach. Widział, jak pracuje roześmiana w dusznej kuchni albo pochyla się nad którymś z chorych członków załogi. Kiedy marynarze śpiewali sprośną piosenkę, niemal słyszał jej śmiech. W nocy śnił o niej nagiej i wijącej się pod nim, gdy wbija członek w ciepłe wnętrze jej ciała. Budził się podniecony i niemal obolały z pożądania, z ciałem pokrytym warstwą potu.

Nawet kłopoty, jakie czekały na niego w Londynie, kolejne problemy z firmą - opóźnienia w dostawach czy uszkodzenie statku, które kosztowało ich stratę lukratywnego kontraktu - nawet one nie mogły wyprzeć z jego myśli Brandy.

Podobnie jak sztorm, który miotał teraz statkiem. Nadszedł nie wiadomo skąd. Wiatr szarpał żaglami, a pokład kołysał się gwałtownie pod stopami kapitana. Gdy wykrzykiwał krótkie rozkazy, a marynarze pędzili, by jak najszybciej je wykonać, Brianne zdawała się być tuż obok.

Czasami nienawidził jej za to, że rzuciła na niego czar.

Statek zapadł w dolinę fali, wręgi zatrzeszczały i wielka masa wody przelała się przez dziób.

- Zrefować marsel! - krzyknął.

Marynarze rzucili się wypełnić rozkaz, a statek zadrżał od ich wysiłków.

- Pilnujcie grota! - krzyczał. - Upewnijcie się, że jest zrefowany i dobrze zabezpieczony!

Sztorm przybierał na sile, Marcus polecił więc, aby zwinięto marsel, a w godzinę później także fok. Mimo to „Morski Jastrząb” mknął po falach, zanurzony aż po reling, a woda wlewała się do luków odpływowych, by zaraz z szumem nimi spływać.

- Nie podoba mi się to - powiedział Hamish, wchodząc na mostek. - To paskudny sztorm. Równie paskudny jak każdy, który nadciąga z północnego wschodu. Wyje, jakby narodził się w Hadesie.

- „Jastrząb” wytrzyma. Ma zdrowy, solidny kadłub i mocne żagle. Przetrwą bez problemu.

Lecz Hamish nadal wydawał się zmartwiony. Ściągnął krzaczaste siwe brwi nad niebieskimi oczami, a długa, zakrzywiona fajka spoczywała, wystygła, pomiędzy pełnymi odcisków palcami żeglarza.

Minęły cztery godziny, a burza nie słabła. „Morski Jastrząb” nurkował z jednej doliny w drugą, wspinając się na grzbiet gigantycznej fali, a potem opadając w przepaść bez dna po drugiej stronie. Przez cały ten czas znużona do granic załoga walczyła, aby utrzymać statek na kursie.

Marcus stał u stóp potężnego świerkowego masztu, okryty ciężkim płaszczem, po którym spływały strugi wody, i wpatrywał się niestrudzenie w spienioną powierzchnię. Od sterburty nadciągnęła nie wiedzieć skąd olbrzymia fala i zwała się na statek, sprawiając, że zakołysał się na boki. Poprzez wycie wichury usłyszał trzask łamiącego się drewna i po raz pierwszy ogarnął go niepokój.

- Niech pan spojrzy w górę, kapitanie! - Młody głos Briga Butlera przebił się przez ryk burzy. Marcus poderwał głowę i spojrzał w niebo. Dostrzegł nadciągające niebezpieczeństwo, lecz było już za późno. Spadająca belka zwała się na niego z siłą kowalskiego młota.

- Kapitanie! - Brig ruszył ku Marcusowi, który leżał na pokładzie, przygnieciony płataniną płótna i lin oraz solidnym kawałem mokrego, śliskiego drewna.

Ból przeszywał mu ciało, tak silny, iż Marcus omal nie zwymiotował. Czuł się tak, jakby otwarto mu czaszkę i połamano kości. Ostatnie, co zapamiętał, to była pobladła, przerażona twarz Hami-sha, pochylającego się nad nim i wykrzykującego rozkazy, a zarazem delikatnie gładzącego go po czole i wypowiadającego cicho jego imię.

Śmierć Jake'a zawisła nad tawerną niczym chmura fajkowego dymu, który unosił się zwykle nad stołami. Od wypadku, kiedy to ciężki, wyładowany po brzegi beczkami z piwem wóz przetoczył się nabrzeżem, niszcząc wszystko na swojej drodze i zabijając niemal na miejscu Wielkiego Jake'a, minęły dwa tygodnie. Dwa tygodnie. Tyle czasu potrzeba było Brandy, by oswoiła się ze świadomością, że ojciec nie żyje. Do tego czasu żyła pogrążona w mglistym otępieniu. Wmawiała sobie, że to nie smutek, bo jak mogłaby opłakiwać ojca, który jej nie kochał?

A jednak coś czuła. Ból, którego nie była w stanie nazwać, ani określić. Może był to żal za rodziną, jakiej nie stworzyli, miłością, która ich nigdy nie połączyła. Cokolwiek to było, pracowała od świtu do nocy, wykonując na wpół świadomie codzienne obowiązki.

Flo trwała przy niej niczym skała, pomagając przetrwać prostą ceremonię pochówku i przejmując część obowiązków związanych z prowadzeniem tawerny bez mężczyzny, którego tubalny głos i przytłaczająca osobowość docierały do najdalszych zakamarków.

- Przynajmniej nie grozi mi głód - powiedziała Brandy, gdy przeliczały dzienny utarg. - Ta knajpa

przynosi większy dochód, niż byłabym w stanie sobie wyobrazić. Flo ściągnęła czarne brwi.

- Na to wygląda. - Potrząsnęła głową. - I pomyśleć, że przez wszystkie te lata twój żałosny ojciec nie dał ci ani centa. Mógł przynajmniej postarać się, byś nosiła przyzwoite ubrania, ale nie - był zbyt skąpy i chciwy, żeby zatroszczyć się o córkę.

Brandy podniosła wzrok i spojrzała na przyjaciółkę.

- Wiesz, Flo, tak się zastanawiałam... Jeśli Wielki Jake zarabiał tyle pieniędzy, to co z nimi robił? Z pewnością ich nie wydawał. A jeśli wydawał, to nie wiem, doprawdy, na co.

Trzy dni później sprawa się wyjaśniła. Do tawerny zawitał bowiem prawnik ojca, niosąc skórzaną sakwę, a w niej testament.

- Ojciec sporządził testament? - spytała Brandy, skonsternowana.

- Owszem. Czy to aż takie dziwne? - James Nolan był szczupłym mężczyzną o przerzedzonych jasnych włosach i małych brązowych oczach, ukrytych za szklami binokli. - Chciałbym zapoznać panią z treścią dokumentu... Jeśli to możliwe, gdzieś na osobności.

- Oczywiście. - Brandy zerknęła ku drzwiom, gdzie stała zaskoczona Flo. - Wołałabym jednak, by była przy tym obecna moja przyjaciółka.

Mały człowieczek skinął głową i Brandy przywołała Flo. Przeszli do niewielkiego pomieszczenia za barem, służącego jako miejsce prywatnych spotkań. Pokój urządzony był spartańsko, znajdował się tu bowiem jedynie owalny stół o porysowanym blacie i dziesięć zniszczonych krzesel. Lecz ściany zostały niedawno odmalowane, a okna umyte.

Pachniało ługiem, którego używano do szorowania podłóg.

To właśnie w tym małym, trudnym do opisanego pokoju Brandy dowiedziała się, iż odziedziczyła nie tylko tawernę, ale coś znacznie ważniejszego.

- Ojciec pani inwestował bardzo rozsądnie - powiedział prawnik, kiedy zasiedli za owalnym stołem. - Oszczędzał każdy grosz z wyjątkiem sum, które pożyczał na procent. Uważał jednak bardzo, komu powierza pieniądze, i dzięki swej przenikliwości dobrze na tym zarabiał. Innymi słowy, przyszłość pani, panno Winters, została solidnie zabezpieczona. Prawdę mówiąc, jest pani bardzo bogata.

Brandy siedziała, niezdolna uwierzyć w to, co usłyszała. W głowie się jej kręciło. Bała się, że jeśli wstanie, ugną się pod nią kolana.

- Ojciec miał fortunę i zostawił ją mnie?

- Nie miał innego dziedzica, moja droga. Wyraził swą wolę całkiem jasno. Uważam, panno Winters, że na swój sposób bardzo się o panią troszczył.

Brandy nie mogła w to uwierzyć. A może rzeczywiście tak było? Wielki Jake nie potrafił wyrażać uczuć... jeśli w ogóle posiadał coś takiego. Jakakolwiek była prawda, już jej to nie obchodziło. Tego dnia, za sprawą przedwczesnej śmierci Jake'a, otrzymała pierwszy i jedyny prezent, jaki jej dał kiedykolwiek, coś, o czym marzyła niemal od dzieciństwa - możliwość uwolnienia się od harówki w tawernie Pod Białym Koniem.

- Co pani zamierza, panno Winters? - James Nolan złożył dokument, który właśnie odczytał, i wsunął go na powrót do sakwy.

Brandy siedziała wyprostowana, próbując otrząsnąć się z szoku wywołanego nagłą i jakże szczęśliwą odmianą losu. W końcu udało jej się wstać.

- Sprzedać to przekłete miejsce. Nie chcę więcej go oglądać.

To niewiarygodne, lecz była teraz bogata. Nie musiała spędzić już ani jednego dnia w tawernie, pośród wspomnień o nieszczęśliwym, pozbawionym miłości dzieciństwie.

Spojrzała na Flo, kobietę, która trwała przy niej na dobre i na złe.

- Albo lepiej, przekażę ją mojej przyjaciółce. - Uśmiechnęła się. - Od tej chwili możesz uważać się za właścicielkę tawerny Pod Białym Koniem.

Flo uniosła ku szyi drżąca dłoń.

- Nie mogę chyba przyjąć...

- Jest twoja, Flo. Przez lata byłaś dla mnie jak siostra. Weź tawernę i zrób z nią, co uznasz za stosowne.

- Ale co ty zrobisz?

- Wyjadę. Dowiem się, jak wygląda świat.

- Ale dokąd? Dokąd chcesz wyjechać?

Brandy się zamyśliła. Decyzja nie należała do łatwych. Będzie musiała starannie wszystko rozważyć. Nie musi się spieszyć. Jest wolna i może robić, co chce. Pomyślała o Marcusie, lecz odsunęła od siebie tę myśl.

Postawił sprawę jasno: w jego życiu nie ma dla niej miejsca. Pogodziła się z tym, chociaż nie było to łatwe. Marcus odszedł i nie wiedziała dokąd. A nawet gdyby wiedziała, byłoby to jedyne miejsce na ziemi, do którego nie mogłaby się udać.

Hamish Bass stał w drzwiach sypialni kapitana, mieszczącej się w wytwornej londyńskiej rezydencji, trzymając w sękatych zniszczonych dłoniach

brązowy filcowy kapelusz. Spojrzał na nie, jakby należały do innego człowieka. Zauważył, że drżą. Po drugiej stronie pokoju Marcus Delaine, kapitan „Morskiego Jastrzębia”, leżał pośrodku wielkiego łóża z czterema kolumnkami, załamany i cierpiący, niesprawnym ciałem i twarzą zwróconą ku ścianie. Hamish zamknął oczy, przytłoczony falą smutku, która zaległa mu ciężarem na piersi. Przychodził tu każdego dnia, odkąd zmuszeni byli wrócić do Londynu. Armia lekarzy przewijała się przez dom, badając Marcusa i potwierdzając, że obie nogi zostały paskudnie złamane, a kręgosłup uszkodzony. Marcus Delaine nie będzie nigdy chodził.

- Zasnął, Hamishu. - Brat kapitana, Rexland, przyjechał do miasta, gdy tylko powiadomiono go, co się stało. Był dobrym człowiekiem, lojalnym i pracowitym. Trwał przy bracie przez cały czas, lecz jakoś w niczym to nie pomagało.

- Tak - potwierdził Hamish. - Śpi. Może wypoczynek dobrze mu zrobi. - Tylko że wcale w to nie wierzył. Kapitan tak naprawdę nie spał, ale uciekał przed prawdą o tym, co się wydarzyło, niezdolny zaakceptować fakt, że stał się kaleką.

- Powiem mu, że tu byłeś - powiedział cicho Rex.

- Tak. Proszę powiedzieć, że jutro też wpadnę. Rex skinął głową; wyglądał jak młodsza, łagodniejsza wersja brata.

- Co ze statkiem, Hamishu? Na pewno zapyta, czego dowiedzieliście się na temat wypadku. A zwłaszcza, czy ktoś maczał w tym palce.

Hamish także zadawał sobie to pytanie. Codziennie, odkąd przekłeta belka spadła na pokład, przygniatając kapitana.

- Dopiero zaczęliśmy naprawę. Sztorm poczynił wiele szkód. Musieliśmy ściąć grotmaszt na linii pokładu. Kiedy się złamał, uszkodził kadłub i nabraliśmy sporo wody. Upewnienie się, czy ktoś przy nim majstrował, zajmie trochę czasu, na razie nic jednak na to nie wskazuje. Obiecuję, że bacznie się temu przyjrzymy.

Rex skinął głową.

- Dziękuję. - Żaden nie powiedział nic więcej. Nie było nic więcej do powiedzenia.

Hamish wyszedł z rezydencji i skierował się ku dkom, podnosząc kołnierz wełnianego płaszcza, aby ochronić się przed lodowatym powiewem znad Tamizy. Stawiając niepewne kroki, ruszył ku statkowi, jedynemu miejscu, gdzie czuł się jak w domu. „Morski Jastrząb” stał w suchym doku. Pozostanie tam kto wie, jak długo, lecz w końcu uszkodzenia zostaną naprawione. Statek będzie znów sprawny, gotów popłynąć ku odległym lądom.

Tylko że tym razem na pokładzie nie będzie kapitana.

Na myśl o tym ogarnął go głęboki smutek.

Marcus oparł się o pikowane skórzane siedzenie powozu Hawksmoorów, pokonującego ostatnie mile dzielące go od domu na klifach Kornwalii.

Podróżowali wzdłuż wybrzeża, ponad skalnymi urwiskami otaczającymi małą portową wioskę Tintagel: Marcus sam w powozie, a zajmujący się nim służący na koźle, szczęśliwi, iż mogą uwolnić się choćby na chwilę od niewdzięcznego obowiązku zaspokajania potrzeb chlebobawcy.



Przymknął oczy, przygnieciony ogromem bólu, jaki ogarnia! go na myśl o tym, czym stało się jego życie. Rozrywające trzewia cierpienie nie miało nic wspólnego z bólem w połamanych, bezużytecznych członkach. Zacisnął szczęki, próbując zapanować nad udręką, uzbroić serce, aby zdołało znieść świadomość, iż nie jest już mężczyzną, ale bezużytecznym kaleką.

Coś zapiekło go pod powiekami. Zamrugał, zacisnął pięści i pieczenie ustało. Od pasa w dół nie czuł nic. Gdyby tylko reszta mogła pozostać równie nieczuła! Tymczasem miał wrażenie, jakby się dusił. Ból i żal ścisnęły mu pierś tak, że ledwie był w stanie oddychać. Rozpacz sprawiała, że nie miał ochoty wybiegać myślami dalej, jak poza następną godzinę, bo już na pewno nie dzień.

No i był jeszcze gniew. Wymykał się spod kontroli, skłaniając Marcusa, by ranił ludzi dookoła siebie.

Wiedział, że powinien pogodzić się z rzeczywistością, ale był całkowicie do tego niezdolny.

Pozostawała także dręcząca wątpliwość, podejrzenie, że ktoś uszkodził maszt i spowodował wypadek, który uczynił z niego kalekę.

Podczas długiej podróży z Londynu odtwarzał w myślach fatalny dzień godzina po godzinie. Gdyby w porę dostrzegł uszkodzenie. Gdyby belka spadła dziesięć sekund później. Gdyby myślał wtedy bardziej jasno...

Nic takiego się jednak nie stało i dlatego siedział teraz w powozie, nic więcej niż pusta muszla, skorupa, pozostała po mężczyźnie, którym kiedyś był. Z niesmakiem myślał o przyszłości i tęsknił za tym, by całkowicie się od niej uwolnić. Może, jeśli znajdzie w sobie odwagę, odkryje też sposób, by zakończyć ten osobisty koszmar.

Powóz zaturkotał na podjeździe, a potem zatrzymał się przed frontem wielkiego kamiennego domu na klifach. Hawksmoor House. Pięćdziesiąt sypialni, dziesięć salonów, paradna jadalnia, biblioteki i gabinety, niekończące się przedpokoje i korytarze. Dom liczył sobie ponad trzysta lat. Za sprawą przodków Marcusa stanowił zadziwiającą mieszaną zabytkowości i ciepła, która powinna onieśmielać, lecz jakoś tak się nie działo.

Kochał to miejsce jako chłopiec, lecz potem, gdy dorósł i pogodził się z tym, że dom nigdy nie będzie należał do niego, przeniósł swą miłość na otaczające go morze, prowadząc życie, które pozwalało mu spełnić wszelkie marzenia. To życie było teraz bezpowrotnie stracone, podobnie jak władza w nogach. Drzwi powozu otwarły się szeroko i osobisty służący Marcusa, Frederick Peterbrook, potężnie zbudowany mężczyzna, który pracował od lat dla rodziny, ujął bezwładne nogi chlebobawcy, obrócił je ku drzwiczkom, wsunął barki do powozu i podniósł Marcusa, jakby brał na ręce dziecko. Marcus poczerwieniał i odwrócił wzrok. Zażenowanie i upokorzenie walczyły w nim z bólem i gniewem. Miał ochotę krzyknąć na mężczyznę, rozkazać mu, aby zostawił go w spokoju, lecz musiał jakoś dostać się do domu, a innego sposobu nie było.

Potężny służący posadził Marcusa na krzesło, a potem zanieśli go wraz z lokajem do wnętrza domu. Marcus stłumił gniew, opanował furję, grożącą wybuchem i unicestwieniem wszystkiego i wszystkich dookoła. Zamiast tego zamknął się w sobie, grzebiąc ból i gniew.

Stając się innym człowiekiem, człowiekiem, który potrafi żyć we wstydzie i ponizeniu.

\*\*\*

Tygodnie mijały jeden za drugim, a Brandy nie była w stanie podjąć decyzji. Teraz, gdy miała już swoją wolność, zwlekała, czekając na znak, który podpowie jej, co powinna zrobić.

Pojawił się kilka dni później, kiedy na progu tawerny stanął niespodziewanie Brig Butler, wysoki, jasnowłosy i przystojny. Zauważył dziewczynę, gdy tylko wszedł, i od razu skierował się ku niej. Brandy zamarła.

Brig odpłynął z Charlestonu na pokładzie „Morskiego Jastrzębia”. Przez jedną szaloną chwilę łudziła się, że Marcus wrócił. Potem zauważyła napięcie malujące się na przystojnej twarzy młodzieńca i wiedziała już, że jej nadzieja okaże się płonna.

- Brig. - Próbowała się uśmiechnąć, jednak zmartwiony wyraz oczu marynarza sprawił, że uśmiech zamarł jej na wargach. - Ja... nie spodziewałam się ciebie tutaj. Z pewnością „Jastrząb”...

Potrząsnął jedynie głową.

- Przyplłynąłem na pokładzie „Śnieżnej Gęsi”, innego statku Towarzystwa. „Morski Jastrząb” jest teraz w Anglii.

- W Anglii? Myślałam, że płynie na Wschód. Brig chrząknął. Twarz miał ściągniętą i wymizerowaną, wydawał się też zdecydowanie zakłopotany. Brandy poczuła, że budzi się w niej niepokój.

- Był sztorm - powiedział - naprawdę potężny. „Jastrząb” został poważnie uszkodzony. Wróciliśmy do Londynu, żeby dokonać napraw. - Jego oczy, zwykle błyszczące i przejrzyście niebieskie, wydawały się tego dnia dziwnie przymglone. - Zdarzył się wypadek, Brandy. Paskudny wypadek.

Brandy przełknęła ślinę.

- Wypadek? - powtórzyła, czując, że głos jej drży. - Jaki... jaki wypadek?

Brig ujął jej dłoń.

- Może usiadzimy? Minęło już sporo czasu, odkąd ostatnio rozmawialiśmy. Może powinniśmy poszukać spokojniejszego miejsca.

Teraz już trzęsa się cała. Wyraz twarzy Briga podpowiedział jej, że stało się coś strasznego.

- Powiedz mi, Brig. Powiedz, co się wydarzyło.

Jasnowłosa mężczyzna odwrócił wzrok i zaczerpnął oddechu, wyraźnie po to, by opanować emocje.

- Byliśmy od dwóch tygodni na morzu, gdy zerwał się sztorm. Nadszedł nie wiadomo skąd. Jak powiedziałem, był bardzo silny. „Jastrząb” dobrze się trzymał. Wierzyliśmy, że kapitan wyprowadzi nas z opresji, i zbytnio się nie przejmowaliśmy. A potem w burzę uderzyła potężna fala i statkiem mocno zakołysało. Maszt złamał się, poprzeczna belka odpadła i kapitan został ranny. To dlatego przyszedłem. Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć.

- Marcus... Marcus został ranny?

Kręciło jej się w głowie, dławiło w piersi. Z pewnością źle go zrozumiała. Brig podprowadził ją do krzesła i tym razem nie zaprotestowała. Usiadł tuż obok i ujął znowu jej dłoń.

- Przykro mi, Brandy. Został ranny, i to ciężko. Belka złamała mu obie nogi i uszkodziła kręgosłup. Resztką krwi odpłynęła jej z policzków.

- Kręgosłup? - Tak.

- I on... wysłał ciebie, byś mnie o tym powiadomił?

Brig potrzęsnał głową.

- Nie ma pojęcia, że tu jestem. Przyszedłem, bo wiem, co do niego czujesz... wszyscy wiemy. Widzieliśmy to w twoich oczach, ilekroć na niego spojrzełaś. A choć on nigdy nie dał tego po sobie poznać, wiedzieliśmy, że mu na tobie zależy. Kapitan ma kłopoty, Brandy. Przyszedłem, ponieważ sądzę, że możesz mu pomóc.

Brandy nie była w stanie się odezwać. Gardło miała zaciśnięte, łzy kłuły ją pod powiekami. Wezbrały w jednej chwili i spłynęły po policzkach. Przełknęła mocno i choć wargi miała jak odrętwiałe, zmusiła się, by zapytać:

- To nie wszystko, prawda?

Brig wydał z siebie przeciągłe, drżące westchnienie.

- On nie może chodzić, Brandy. Po wypadku wróciliśmy do Anglii i zabrano go do posiadłości rodzinnej w Kornwalii. Od dnia, kiedy dowiedział się, że będzie musiał opuścić statek, że nie wypłynie już jako kapitan, jest jak żywy trup. Poszedłem go odwiedzić... poszliśmy całą grupą, pan Bass i kilku marynarzy z „Jastrzębia”. Mieszka w eleganckim domu na szczycie klifu, ale w ogóle stamtąd nie wychodzi. Siedzi przez cały dzień przy oknie, gapiąc się na wodę.

- Och, Boże... - Zamknęła oczy, jakby mogła go zobaczyć, siedzącego samotnie przy oknie.

- Brat próbował mu pomóc. W Londynie zbadało go kilku lekarzy, a jeszcze więcej zjechało do Kornwalii.

-1 żaden nie był w stanie nic zrobić?

- Nie wiem na pewno. Wiem tylko, że nie mogę patrzeć, jak cierpi. Marcus był przyjacielem mojego ojca... Nie wspominał ci o tym, prawda?

- Nie... nigdy.
- Ojciec jest kupcem, i dobrze mu się wiedzie. Jestem jego jedynym synem. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, było wysłać mnie na morze. Kapitan porozmawiał z nim, wytłumaczył, jakie to dla mnie ważne. Bardzo go poważałem... wszyscy go poważaliśmy. Nie możemy więc siedzieć bezczynnie i nic nie robić. Brandy zamrugała i kolejne łzy potoczyły się jej po policzkach.
- Muszę tam pojechać. Muszę dotrzeć do niego najszybciej, jak tylko się da.
- Brig Butler uściskał jej dłoń.
- Miałem nadzieję... modliłem się, żebyś to powiedziała. Zaoszczędziłem trochę pieniędzy. Inni też chętnie się dołożyli. Wystarczy, żeby opłacić rejs.
- Sięgnął do kieszeni, lecz Brandy go powstrzymała.
- Nie potrzebuję pieniędzy, Brig... już nie. Ojciec zmarł przed kilkoma tygodniami i zostawił mnie dobrze zabezpieczoną. Mam dość pieniędzy, by zrobić, co zechcę. I tak zamierzałam stąd wyjechać. Nie wiedziałam tylko dokąd. - Starła wilgoć z policzków. - Teraz już wiem.
- To nie będzie proste - ostrzegł ją. - Zobaczył się z nami tylko raz. Teraz podobno z nikim się nie widuje. Nie dopuszcza do siebie ludzi poza bratem i służbą, która się nim opiekuje.
- Brandy wyprostowała się na krześle.
- Zapewniam, Brig, że gdy już tam dotrę, znajdę sposób, żeby się z nim zobaczyć... Nie taki, to inny.
- Brig uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd go zobaczyła. Odsunął krzesło i wstał.
- Przykro mi, że przyniosłem tak złe wieści, lecz prędzej czy później i tak byś się dowiedziała,

a cóż... pomyśleliśmy... to znaczy, załoga... że lepiej, by ktoś z nas był wtedy przy tobie.

Brandy też wstała. W piersi czuła ból. W gardle dławiło ją tak, że prawie nie była w stanie mówić.

Wspięła się na palce i wycisnęła na policzku Briga drżący pocałunek.

- Dziękuję, że przyszedłeś, Brig. Nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

Uśmiechnął się łagodnie.

- Chyba jednak wiem. Mam tylko nadzieję, że spotkam pewnego dnia kobietę, która będzie troszczyła się o mnie tak, jak ty o kapitana.

Rexland Delaine zamknął drzwi salonu, pozostawiając brata samego. Pokój, pełen luster i złocień, z widokiem na bezkresny ocean, stanowił od zawsze ulubione miejsce Marcusa. Uwielbiał go, odkąd był chłopcem.

Ciekawe, czy teraz, przykuty do krzesła, jest w stanie dostrzec niewiarygodne piękno roztaczające się za oknami.

Pomyślał o bracie, o trudnych godzinach, które z nim spędził, i zacisnął bezwiednie szczęki. Przeczesał palcami falujące czarne włosy, pozostawiając je w nieładzie.

Boże, co za poranek.

Choć on i Marcus mieli różne matki, byli do siebie fizycznie podobni. Rex był jednak nieco niższy, miał łagodniejsze rysy i oczy w jaśniejszym odcieniu błękitu. Włosy mieli jednak takie same, czarne i kręcone, a cerę smagłą, jakby spędzali co dzień na słońcu wiele godzin.

Rex, najmłodszy z trójki braci, odznaczał się też najłagodniejszym usposobieniem. Zazwyczaj bywał czarujący, chociaż ostatnio jego urok jakby zbladł. A wszystko z powodu Marcusa. Zawsze był najbardziej upartym i niezależnym z braci, aroganckim i przedsiębiorczym, zdecydowanym od

nieść samodzielny sukces, nawet wbrew woli ojca. Taka czarna owca w rodzinie.

Rex niemal się uśmiechnął. Kiedy zginął ich starszy brat, Geoffrey, to Marcus został lordem Hawksmoor. Nie pożył nigdy tytułu, i nawet teraz nie przepadał za tym, by go tytułowano. Co za ironia, lecz z całej trójki to właśnie on odziedziczył po ojcu upór i władczy charakter.

Uśmiech znikł z twarzy Reksa. Brat zawsze był człowiekiem silnym i stanowczym. I takim pozostał, tyle że teraz na dodatek był przygnębiony, nieuprzejmy i trudny do zniesienia. Rex zdawał sobie sprawę, że cierpi, sądząc, iż jego życie się skończyło.

Przypuszczał nawet, że brat wolałby nie przeżyć wypadku. Wszystko było lepsze niż pozostawanie na łasce innych w charakterze, jak mawiał, „beznadziejnego kaleki.”

Oparł się o zamknięte drzwi salonu, zbierając siły. Był zmęczony i w najwyższym stopniu znużony. Gdy nie zarządzał Hawksmoor, zajmował się własnym majątkiem, odziedziczonym niedawno po dziadku ze strony matki. A teraz musiał jeszcze doglądać działalności Towarzystwa Żeglugowego. Choćby pracował dzień i noc, i tak nie byłby w stanie wszystkim się zająć.

No i ta ciągła troska o Marcusa. Brat tonął w rozpacz, zżerany uczuciem klęski i beznadziei.

Przesiadywał godzinami przy oknie, wpatrując się w wodę, tęskniąc za dawnym życiem. Do licha, gdyby istniał sposób, żeby mu pomóc...

Wziął głęboki oddech i odepchnął się od drzwi. Zamartwianie się nic nie da. Prawdę mówiąc, nie miał nawet na to czasu. Tyle było ciągle do zrobienia.



Postanowił wziąć się do roboty i pomaszerował korytarzem, kierując się ku gabinetowi i stosom papierów na biurku. Wtem od strony wejścia dobiegły go odgłosy zamieszania, a nawet jakby kłótni. Kamerdyner, Milton Giles, stał w drzwiach, blokując wejście, i widać było, że nie jest zadowolony.

- O co chodzi, Giles? - zapytał Rex, podchodząc. - Jakiś problem?

- W rzeczy samej, *sir*.

- A jaka jest, jeśli wolno spytać, natura tego problemu?

W odpowiedzi wysoki, onieśmielający swym wyglądem lokaj odsunął się i otworzył szerzej drzwi. Rex uniósł, zaskoczony, brwi. Na szerokich stopniach przed wejściem stała bowiem drobna, rudowłosa kobieta.

- Ta dama przyszła, aby zobaczyć się z jego lor-dowską mością. Poinformowałem ją, że jego lor-dowska mość nie przyjmuje, lecz ona nie chce odejść.

Rex przesunął spojrzeniem po drobnej postaci. Kobieta miała na sobie kosztowny podróżny strój w nieco zbyt jaskrawym odcieniu zieleni. Choć suknia była dobrze skrojona i najwidoczniej droga, na staniku umieszczono za wiele falbanek, kolejne zaś zdobiły, zupełnie bez potrzeby, skraj spódnicy. Na jaskrawomiedzianych włosach damy spoczywał umieszczony pod zawadiackim kątem kapelusze ze zbyt wieloma sztucznymi kwiatami przy rondzie.

- W czym mogę pomóc? - zapytał Rex. Dopiero teraz zauważył, że pod wymyślnym strojem kryje się zgrabna figurka i śliczna dziewczęca twarz. - Panno...?

- Nazywam się Brianne Winters. Przyjechałam zobaczyć się z kapitanem Delaine. Jest też lordem Hawksmoor. Mieszka tutaj, prawda?

Natychmiast rozpoznał nazwisko i mimo woli się uśmiechnął. Wiedział, kim jest dama. Brat sporo mu o niej opowiedział, zanim wyruszył w fatalny rejs.

- Rzeczywiście. Proszę wejść, panno Winters. Jestem Rexland Delaine, brat Marcusa.

Nie starała się skryć ulgi. Najwidoczniej wiedziała, kim jest Rex.

- Bardzo mi miło pana poznać, panie... A może powinnam powiedzieć: milordzie?

- Pan w zupełności wystarczy. Uśmiechnęła się.

- Miło mi, panie Delaine. Brat dobrze się o panu wyrażał.

- O pani także, panno Winters.

- Doprawdy? - spytała, wyraźnie zaskoczona.

- Było to już jakiś czas temu... lecz tak, mówił o pani.

Wydawała się zadowolona i widać było, że jeszcze bardziej jej ulżyło.

- Przyjechałam z daleka, żeby się z nim zobaczyć, i nie odjadę, póki tego nie zrobię.

Rex uniósł brwi. Brat wspominał, że dziewczyna ma charakter, i wyglądało na to, że się nie mylił.

- Zakładam, że słyszała pani o wypadku?

- Tak. Ktoś z załogi przyniósł mi nowiny. Właśnie dlatego przyjechałam.

Przyglądał się kobiecie jeszcze przez chwilę. Początkowo zносиła to spokojnie, a potem powiodła spojrzeniem po otoczeniu, zobaczyła wysoki, kopulasty sufit z ciężkim kryształowym żyrandolem i czarno-białą marmurową posadzkę pod swoimi zielonymi skórzanymi pantoflami.

Widać było, że czuje się niepewnie, lecz wydawała się też zdeterminowana.

- Skoro podjęła pani decyzję, przejdźmy może do salonu, gdzie będziemy mogli porozmawiać bardziej prywatnie.

Duże złotobrzowe, odrobinę skośne oczy zwróciły się znów ku Reksowi.

- Jak pan sobie życzy.

Dopiero teraz uświadomił sobie, jaka jest śliczna. Nie potrzebowała wymyślnych fatałaszków i falbanek. Maskowały tylko jej urodę, choć na krótko. Piersi dziewczyny, wysokie i pełne, zakryte skromnie stanikiem sukni w kolorze zielonego groszku, wznosiły się kusząco z każdym niespokojnym oddechem. Kostki miała zgrabne, szyję smukłą i prostą, a cerę gładką niczym śmietanka. Marcus powiedział, że bardzo jej pożądał, i Rex doskonale go rozumiał.

Zaprowadził dziewczynę do białego salonu, pomieszczenia utrzymanego w tonacji złota i kości słoniowej, z wysokim sufitem, ozdobnymi gzymsami i lustrami w złoconych ramach. W każdym z kątów pokoju znajdował się kominek z różowego marmuru, a w srebrnych wazonach stały świeżo ścięte kwiaty.

Panna Winters rozglądała się przez chwilę, nie starając się ukryć zaskoczenia ani podziwu.

- Jak tu pięknie. - Rozejrzała się raz jeszcze, podziwiając jedno z ulubionych pomieszczeń Reksa. - Z zewnątrz... kiedy patrzy się na te olbrzymie kamienne bloki, z których został zbudowany, dom wydaje się zimny i niegościnnie, lecz wewnątrz... cóż, jest tu pięknie i ani trochę nie zimno.

Uśmiechnęła się znowu, łagodnie, szczerze i miękko i Rex uświadomił sobie, że brat musiał

czuć wobec dziewczyny coś więcej niż tylko pożądanie, do którego się przyznawał.

- Cieszę się - mówiła tymczasem Brianne - że Marcus miał tak cudowne miejsce, do którego mógł wrócić. Zauważył, że wymawia imię brata ze skrywaną tęsknotą, i poczuł, że budzi się w nim nadzieja.

- Ma pani świadomość, że mój brat został ciężko ranny. Jeśli przyjechała pani, spodziewając się spotkać mężczyznę, jakiego poznała na „Morskim Jastrzębiu”, czeka panią rozczarowanie.

Spojrzała na niego i mocno pobladła.

- Próbuje mi pan powiedzieć, że... że ucierpiało nie tylko jego ciało, ale i umysł?

Rex potrząsnął głową.

- Nie, oczywiście, że nie. Ma bezwładne nogi, to wszystko. Jego umysł pozostał bystry jak zwykle.

Przymknęła powieki i odetchnęła z ulgą. Spojrzała znowu na Rekxa, prostując z determinacją ramiona.

- Jest więc tym samym mężczyzną, co przedtem. Reksowi spodobało się to stwierdzenie. Nie było jednak do końca prawdziwe.

- W środku prawdopodobnie tak. Lecz zachowuje się inaczej. Uważa, iż jego życie się skończyło.

Czasami wydaje mi się, że wolałby nie żyć.

Dziewczyna odwróciła wzrok, zdążył jednak zauważyć, że jej oczy zaszkliły się od łez. Zamrugła gwałtownie, a potem otarła wilgoć z policzka. Wyprostowała drobne ramiona i spojrzała znowu na Rekxa.

- To śmieszne i zamierzam mu o tym powiedzieć. Proszę... musi pan pozwolić mi się z nim zobaczyć.

Rex uśmiechnął się kątem ust.

- Jakoś nie wydaje mi się, żebym był w stanie panią powstrzymać, nawet gdybym chciał.

Próbowała odpowiedzieć uśmiechem, widział jednak, że jest bardzo zmartwiona.

- Normalnie poinformowałbym go, że ma gościa. Lecz jeśli to zrobię...

- ...prawdopodobnie nie zechce się ze mną zobaczyć.

- Rzeczywiście.

- Zatem go zaskoczmy. Po prostu nie damy mu wyboru.

Rex się uśmiechnął.

- Jak wtedy, kiedy zakradła się pani na jego statek, panno Winters?

Policzki Brandy nabrały nieco koloru. Uniosła leciutko w kącikach pełne, pięknie wykrojone wargi i powiedziała:

- Właśnie, proszę pana. Dokładnie tak samo. Podążała za Reksiem korytarzem, stąpając po błyszczących marmurowych podłogach w rytm jego kroków. Nogi trzęsły się pod nią, a kolana uderzały przy każdym ruchu jedno o drugie.

Stanowczo nie był to jej żywioł. Wspaniałość Hawksmoor House przekraczała wyobrażenie. Musiała zebrać całą odwagę, by przejść imponującym, obsadzonym drzewami podjazdem, a potem wspiąć się na te onieśmielające, szerokie schody. Przybyła tu jednak, żeby zobaczyć się z Marcusem, i byle kupa kamieni, nieważne, jak artystycznie ułożona, jej nie powstrzyma.

Zatrzymała się przy wąskim stoliku o marmurowym blacie i zdjęła kapelusz oraz rękawiczki. Nie wiedziała zbyt wiele o tym, jak należy zachowywać się w towarzystwie, podejrzewała jednak, że dama nie postępuje tak, przychodząc z wizytą. Lecz nie

lubiła kapelusza, który wybrała dla niej Flo, poza tym chciała, by Marcus dojrzał w niej nie bogato odzianą młodą kobietę, ale dziewczynę z tawerny, którą zostawił w dokach Charlestonu.

- Gotowa? - zapytał jego brat, nie kwestionując dziwnego zachowania Brandy, a może po prostu je rozumiejąc. Już zdążyła go polubić. Był przystojny i miły: delikatniejsza, mniej władcza wersja Marcusa. Instynktownie wiedziała, że Rex kocha starszego brata i bardzo się o niego martwi.

- Bardziej gotowa już nie będę.

Oznaczało to, oczywiście, że nie jest ani trochę gotowa. Prawdę mówiąc, drżała ze zdenerwowania, z każdą sekundą bardziej niepewna i przerażona. Lecz rozpaczliwie pragnęła znów go zobaczyć. Bolało ją też, że tak cierpi.

Kiedy Rex Delaine stanął przed drzwiami kolejnego z wielu salonów, Brandy odetchnęła głęboko i zebrała się w sobie. Co powie Marcus, gdy ją zobaczy? Czy się ucieszy? Lub będzie wściekły o to, że znowu nieproszona wtrąca się w jego życie?

- Możemy wejść? - zapytał Rex.

Uzbroiła się wewnątrz i skinęła głową, gotowa wreszcie na to, by stawić czoło Marcusowi. Jednak gdy tylko otworzyły się drzwi, uświadomiła sobie, że nie była ani trochę gotowa, zwłaszcza gdy weszła do pokoju i mężczyzna siedzący na krześle z prostym oparciem odwrócił ciemną głowę i utkwiał w niej spojrzenie.

Zachwiała się na nogach i tylko subtelny dotyk dłoni Reksa na przedramieniu powstrzymał ją przed upadkiem. Zamiast wysokiego, porażająco przystojnego mężczyzny, którego kochała, zobaczyła chudego człowieka o wymizerowanej twarzy, pustym spojrzeniu i o jastrzębich rysach, ledwie

przypominającego energicznego, aroganckiego mężczyznę, jakim był kiedyś.

Kości policzkowe sterczały mu pod skórą, policzki miał blade i zapadnięte, a czarne włosy zbyt długie i zdecydowanie zaniedbane. Nie nosił surduta, a ozdobiona żabotem koszula była pognieciona w sposób, na jaki nie pozwoliłby sobie nigdy wcześniej.

A jednak był to Marcus, cierpiący i zrozpaczony.

Z trudem powstrzymała się, by doń nie podbiec, nie otoczyć ramionami i nie przytulić. Pragnęła go pocieszyć, uzdrowić zranione ciało, uleczyć udręczoną duszę.

- Marcusie... - wyszeptała. Ruszyła ku niemu, ignorując gwałtowne bicie serca i drżenie członków, przekonana, że jej nie poznał. Jednak zmrużenie ciemnoniebieskich oczu o przenikliwym spojrzeniu i mięsień drgający w policzku powiedziały jej, że Marcus doskonale wie, kto go odwiedził, i że jest na nią wściekły.

- Do diabła, Rex... Coś ty zrobił! - Szorstkie słowa dotarły do Brianne, zatrzymując ją w pół kroku. - Jeśli to ty sprowadziłeś tu tę kobietę, przysięgam, że nigdy ci nie wybaczę.

Brandy przełknęła ślinę. Przymknęła na chwilę powieki, zwalczając pokusę, aby odwrócić się i uciec.

Brig ją ostrzegał. I Rexland. Wiedziała, że to nie będzie łatwe.

Zmusiła się, by opanować drżenie.

- Twój brat nie ma z tym nic wspólnego. Dopiero co przyjechałam. Poznaliśmy się dosłownie przed chwilą.

Rumieniec gniewu zabarwił blade policzki Marcusa, upodabniając go do mężczyzny, którego znała.

- Nie wiem, po co tu jesteś i nie obchodzi mnie to. Chcę, żebyś sobie poszła.

Ostry ból, ból odrzucenia, zaprawiony smutkiem i rozpaczą, przeszył ciało Brandy. Stłumiła go bezlitośnie i powiedziała:

- Dowiedziałam się, co się stało. Przyjechałam, ponieważ mi na tobie zależy. Ponieważ martwiłam się o ciebie.

Prychnął pogardliwie.

- Nie ma powodu się martwić. Kości się zrosły, nie mogą tylko chodzić. Twoja obecność niczego nie zmieni, więc jeśli zaspokoiliś już ciekawość, możesz sobie iść.

Brandy poczuła, że wraz z litością budzi się w niej gniew.

- Tak to sobie wyobrazasz? Że przepłynęłam tysiące mil po to, by zaspokoić ciekawość? Sądzisz, że teraz, kiedy cię zobaczyłam, po prostu sobie pójdę?

- Zrobisz dokładnie to, co ci każę. Zadarła do góry brodę.

- Przykro mi, kapitanie. Nie podlegam już twoim rozkazom. Prawdę mówiąc, wynajęłam chatę przy drodze, niedaleko tej posiadłości, i przez kilka następnych miesięcy zamierzam w niej pozostać.

Twarz Marcusa poczerwieniała niebezpiecznie.

- Zwariowałaś? Nie widzisz, że nie jesteś tu mile widziana? Opuścisz natychmiast ten dom i nie zostaniesz tu wpuszczona.

Wzruszyła ramionami i zwróciła się do młodszego Delaine'a, udając pewność siebie, której nie czuła. Jeśli właściwie odczytała jego intencje, teraz jej pomoże.

- Marcus wydaje się trochę zdenerwowany. Zostawię go, by się opanował. Wrócę jutro rano, jeśli to panu odpowiada.



Rex Delaine tylko się uśmiechnął.

- Będę wyglądał pani niecierpliwie, panno Winters.

- Do licha ciężkiego! - dobiegło ich od strony okna. Serwis do herbaty, stojący obok krzesła Marcusa, wylądował z hukiem na podłodze.

Brandy uśmiechnęła się słodko.

- Mam nadzieję, że do jutra przestaniesz się już złościć, lordzie Hawksmoor. Takie zachowanie do ciebie nie pasuje.

Marcus zaklął paskudnie, uderzył pięścią w podłokietnik, po czym odwrócił się i wbił wzrok w krajobraz za oknem. Brandy potrzebowała mnóstwa odwagi, aby odwrócić się, wyjść jak gdyby nigdy nic z pokoju i poczekać, aż Rex zamknie cicho drzwi.

Trzęsła się cała, było jej niedobrze i ledwie trzymała się na nogach. Najchętniej usiadłaby po prostu i zapłakała, wiedziała jednak, że nie wolno jej tak postąpić. Zmusiła się więc, aby usztywnić siłą woli miękkie kolana, i powiedziała z uśmiechem:

- Cóż, zważywszy na okoliczności, nie było chyba tak źle.

Na twarzy Reksa wyraz ponurej rezygnacji ustąpił miejsca podszytemu podziwem zaskoczeniu. Jego wargi zadrżały, a potem wybuchnął nagle niepowstrzymanym śmiechem. A kiedy zapanował w końcu nad wesołością, otarł zółtawione oczy i powiedział:

- Sądzę, panno Winters, że doskonale potrafimy się dogadać.

Brandy także się uśmiechnęła. Wiedziała już, że oto zyskała sojusznika. A jeśli dopisze jej szczęście, może i przyjaciela.

Marcus wyprostował się na krześle i zacisnął szczęki. Zacisnął dłoń w pięść i uderzył w pozbawione uczucia, bezużyteczne kończyny. Jak śmiała wdrzeć się znów w jego życie! Jak śmiała! Gdyby był w stanie zerwać się i przemierzać gniewnie pokój, pewnie by to uczynił. Zamiast tego obolały wewnętrznie siedział na krześle, wyzywając ją w duchu od najgorszych.

Ostatnią osobą, którą chciałby teraz widzieć, była Brianne Winters. Ostatnią osobą, która powinna zobaczyć go pokonanego, ograniczonego do zewnętrznej powłoki, była Brianne Winters. Boże, jak brat mógł mu to zrobić? Jak mógł ją tu przyprowadzić?

Wspomniał znów tamtą chwilę, żałując, iż nie może udusić Reksa i zetrzeć z twarzy Brianne wyrazu litości. Pojawił się tam tylko na mgnienie oka, ale i tak go zobaczył. I nie potrafił zapomnieć.

- Wasza lordowska mość? - Zdenerwowany lokaj wsunął głowę przez drzwi.

- Czego chcesz? - burknął Marcus. - Powiedziałem, by mi nie przeszkadzano.

- Nie jadł pan przez cały dzień, milordzie. Pański brat pomyślał...

- Jeśli będę chciał coś zjeść, zadzwonię. A teraz wynoś się i zostaw mnie w spokoju.

- T-tak, milordzie. Oczywiście, milordzie. Drzwi zamknęły się szybko i został znowu sam.

Odwrócił się i utkwiał wzrok w krajobrazie za oknem. Ponieważ dom stał na szczycie klifu, z okien roztaczał się niezakłócony widok na morze. Dziś ocean był aż po horyzont jednolicie ciemnoniebieski. Na czystym dotąd niebie zaczy-

nały formować się chmury. Słońce świeciło coraz słabiej, znikając stopniowo za ścianą tworzącej się mgły. Poniżej morze pozostawało spokojne, w przeciwieństwie do Marcusa, który nadal wrzał gniewem. Większość czasu spędzał przy oknie, wpatrując się z tęsknotą w morze, wspominając dni spędzone na pokładzie statku. Szczęśliwe dni, które się już nie powtórzą.

Myślenie o tym raniło mu duszę, mimo to nie potrafił przestać. Dzień po dniu przesiadywał w salonie, zżerany poczuciem straty, tęsknotą za życiem, które tak ukochał, podróżami, których nie podejmie, i statkiem, który nie popłynie już pod jego komendą.

Tak jak wczoraj, przedwczoraj i przez wiele poprzednich dni wpatrywał się w fale, przysłuchując się ostremu krzykowi szarobiałych mew. A potem na horyzoncie zamajaczył żagiel. Zazwyczaj ten widok sprawiłby, że serce ścisnęłoby mu się z bólu. Dziś był jednak tak wściekły, że ledwie zauważył obraz, który w innym przypadku prześladowałby go przez resztę dnia.

Dziś w olbrzymiej szklanej tafli widział przede wszystkim twarz kobiety, która pojawiła się niczym widmo z przeszłości. Jedyne, co miał przed oczami, to dwoje złotobrazowych oczu i grzywa miedzianych włosów Brianne Winters.

Brandy nie mogła spać. Gdy tylko zamknęła oczy, widziała wymizerowaną twarz Marcusa, szkliste od bólu spojrzenie i rysy zniekształcone poczuciem klęski.

Pograżał się w smutku i rozpacz. Tonał w nich. Był w stanie myśleć jedynie o tym, co utracił, nie dostrzegając tego, dla czego warto było nadal żyć. A życie jest przecież cenne i potrafi być cudowne. Boże, będzie musiała jakoś mu pomóc!

Nim nadszedł ranek, była wyczerpana. Znużone mięśnie protestowały, tępy ból ścisnął skronie. Mimo to spuściła nogi z łóżka, zadzwoniła, aby przywołać pokojówkę, Sally Dunston, i zaczęła przygotowywać się na nadchodzący dzień.

- Przyniosłam panience trochę czekolady i ciastek - powiedziała Sally, stawiając tacę na małym rzeźbionym stoliku obok toaletki. Miała ciemnobrązowe włosy, była szczupłą, nieśmiałą i cokolwiek zamkniętą w sobie, lecz także pilną i o miłym usposobieniu, a Brianne potrzebowała kogoś, kto towarzyszyłby jej w podróży do Anglii, nie było bowiem przyjęte, by młoda dama podróżowała samotnie.

Z początku miała nadzieję, jak się okazało, płonną, że zdoła namówić na wspólną podróż Flo.

- Nie jestem taka jak ty, Brandy. Mój dom jest w Charlestonie i nie odczuwam potrzeby, by go opuścić. Poza tym Will mnie potrzebuje.

- To ja cię potrzebuję - argumentowała Brandy. - Ta sprawa z Willem nigdy nie wypali. Jeśli wyjedziesz, może spotkasz kogoś innego.

Flo uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Powiedziałam ci już: dla mnie inni nie istnieją.

Brandy nie próbowała dłużej jej namawiać. Zamiast tego objęła przyjaciółkę, życzyła sukcesu w prowadzeniu tawerny, nakłoniła do obietnicy, że będzie pisać, a przynajmniej znajdzie kogoś, kto zrobi to za nią, Flo była bowiem niepiśmienna. A potem zatrudniła Sally i wyruszyła w podróż.

Podróżowanie tylko we dwie, bez opieki mężczyzny, nie było zbyt przyjemne, lecz nie cierpiała przynajmniej na chorobę morską, a statek przyplłynął w końcu szczęśliwie do Londynu. Marcus dał jej adres posiadłości w Kornwalii, zanim opuścił Charleston, wiedziała zatem, dokąd się udać. Kiedy dotarła na miejsce, dopisało jej szczęście, znalazła bowiem niewielki, ale zadbane domek na działce graniczącej z włościami lorda, i go wynajęła.

Teraz, zawiązując pod brodą wstążkę kapelusika o wąskim rondku i wygładzając zdobiące go długie, fioletowe pióra, myślała o pokonanym przez los mężczyźnie, którego znalazła w salonie, i o tym, że jeśli tylko znajdzie sposób, by jakoś mu pomóc, poniesione trudy okażą się nienadaremne.

- Spodziewam się, że wróci panienska na kolację?

- Zapewne tak. Kapitan nie ucieszy się raczej na mój widok, a ja nie jestem pewna, ile wymyślań oraz wybuchów wściekłości zdołam wytrzymać za jednym razem.

Sally uśmiechnęła się słodko.

- Z pewnością uda się panience go udobruchać. Wiem, że tak będzie.

Brandy odwzajemniła uśmiech.

- Miejmy nadzieję, Sally.

Modliła się, by Sally miała rację, lecz wcale nie była tego pewna.

Marcus wiercił się w fotelu stojącym przed kominkiem olbrzymiej sypialni. Nie przepadał za tym nader reprezentacyjnym pomieszczeniem i gdyby tylko mógł, pozostałby w mniejszej, skromniej urządzonej i mieszczącej się w głębi korytarza. Zo-

stał jednak lordem Hawksmoor i służba byłaby wielce zbulwersowana na samą myśl o tym, że pan domu miałby rezydować gdzie indziej, a nie w głównej sypialni.

Kiedy sypiali tu jego rodzice, nie zawracał sobie głowy wystrojem i rzadko w ogóle go zauważał. Teraz znał na pamięć każdą zmarszczkę na kapie ze złotego brokatu, każdą fałdę osłaniających łożko aksamitnych kotar w kolorze burgunda, podobnie jak zasłon w oknie.

Pomieszczenie było eleganckie ponad wszelkie wyobrażenie, on jednak postrzegał je jako obitą aksamitem celę. Siedział w niej teraz, czekając, aż lokaj pomoże mu się ubrać, gdyż nie potrafił wykonać bez pomocy najprostszyc czynności. Na szczęście Frederick był nie tylko bardzo silny, ale też zręczny i lojalny. Uparł się, że będzie zajmował się lordem w pojedynkę i nic nie mogło odwieść go od tego postanowienia.

Marcus skrzywił się w duchu. Jestem jak dziecko, pomyślał. Zależne od ludzi dookoła, niezdolne zadbać o swoje potrzeby. Wyciągnął podświadomie dłoń i potarł bezwładne nogi. W najczarniejszych koszmarach nie spodziewał się, iż jego życie może przybrać taki obrót.

Moje życie, powtórzył w myślach z pogardą. Nie miał życia, żadnego. I nigdy nie będzie miał. Teraz czekał, aż wróci Frederick ze świeżym ubraniem. Przez ostatnie dwa dni nosił te same rzeczy z czystej przekory, a także po to, by przezwyciężyć poczucie, że jest na łasce Fredericka i reszty służby. Dziś nie był jednak w stanie znieść myśli, że ma włożyć ten sam brudny, pognieciony strój.

Spojrzał na stojący na kominku zegar z połączanego brązu. Dziesiąta. Proste czynności, takie jak

ubranie się, zajmowały mu teraz mnóstwo czasu. Nienawidził każdego nadchodzącego dnia, nie mógł znieść widoku wschodzącego słońca, nękaną świadomością, że czeka go kolejna doba bezczynności. Żałował, iż nie może położyć się wieczorem i zapaść w głęboki, niezakłócony sen, z którego się już nie obudzi. Spojrzał znowu na zegar.

Może, jeśli dopisze mu szczęście, dziewczyna nie przyjdzie.

Bardzo by tego chciał. Jeden Bóg wie, jak bardzo... A jednak... jednak... Boże, ależ wydała mu się piękna! Nawet w przesadnie ozdobnej sukni była najśliczniejszą kobietą, jaką widział kiedykolwiek. Pogardzał nią za to, a także za to, że zmusiła go, aby przypomniał sobie, jak pięknie wyglądała, leżąc naga w jego łóżku i wodząc po nim zachwyconym spojrzeniem.

Pamiętał doskonale, nawet teraz, jak to jest, całować ją, być w niej, kochać się z nią. Lecz to się już nigdy nie zdarzy. Na myśl o tym, co stracił, chciało mu się płakać. Lecz, oczywiście, powstrzyma łzy. Uzbroi się wewnętrznie i nie da nic po sobie poznać, jak wtedy w kajucie, gdy ocknął się i odkrył, że nie jest w stanie poruszać nogami.

Wówczas miał jednak nadzieję, choćby i wątplą, że to się zmieni. Dziś nie miał żadnej. Nie, kiedy nogi sprawiały wrażenie przyczepionych do tułowia ciężarów. On zaś, choćby nie wiem jak się starał, nie był w stanie poruszyć nawet jednym mięśniem.

Wszystko skończone i dobrze o tym wiedział. Pogodził się z tym.

A potem zjawiała się ona, by dręczyć go wspomnieniami i sprawić, iż żałował bardziej niż kiedy-

kolwiek, że nie jest już mężczyzną. Zacisnął dłoń w pięść. Może, zważywszy jak ją potraktował, zrezygnuje i więcej się nie zjawi.

Przypuszczenie spadło mu kamieniem na barki, cięższe od bezwładnych nóg.

Odwrócił się, burknął polecenie i Frederick wrócił pospiesznie do sypialni.

- Chcę, żebyś podciął mi włosy. Są za długie i za dużo z nimi kłopotu. Zrób to zaraz.

Frederick spojrzał na Marcusa zdumiony, lecz szybko zebrał się w sobie i powiedział:

- Tak, milordzie. Oczywiście. Powinienem był zająć się tym wcześniej.

Nie przypomniał chlebodawcy, że próbował po wielekroć skłonić go, by zadbał bardziej o wygląd, i zawsze spotykał się z odmową.

Do diabła z nim, pomyślał Marcus, świadom zaskoczenia Fredericka. To nie jego sprawa. W gruncie rzeczy przede wszystkim zaskoczył samego siebie. Nie miał powodu troszczyć się o wygląd, zatem dlaczego, u diabła... ? Pozwolił, by myśl odpłynęła, odmawiając przyjrzenia się bliżej powodom, które zadecydowały o tym, że zmienił zdanie. Zamiast tego oparł się wygodniej, czekając, aż wróci Frederick z nożyczkami!

Brandy wyszła z domku krótko przed południem i udała się pieszo do Hawksmoor House. Kiedy przybyła do posiadłości, zaskoczyło ją, iż Rexland Delaine stoi przy wejściu i wygląda prawie tak, jakby jej wyczekiwał.

Zaprosił Brandy do środka z miną wyrażającą niemal ulgę.



- Nie byłem pewny... Po tym, jak brat zachował się wczoraj... Obawiałem się, że pani nie wróci.
  - Przepłynęłam ocean, aby mu pomóc, więc parę szorstkich słów z pewnością mnie nie zniechęci.
- Rex skinął głową, nie kryjąc, że mu ulżyło.
- Powiedziała pani, że zatrzymała się w pobliżu.
  - Owszem. Wynajęłam domek Hammondów, tuż przy zachodniej granicy pańskich włości.
  - Tak, znam to miejsce. Mam nadzieję, że jest tam pani wygodnie.
  - Mam osobistą służącą, kucharkę i pokojówkę. Widok jest śliczny, a domek czarujący. Mieszka się więc całkiem wygodnie.
- Rexland chrząknął zakłopotany. Rozejrzył się, sprawdzając, czy nikt ich nie słyszy.
- Wiem, że to nie moja sprawa, lecz kiedy brat mówił o pani, odniosłem wrażenie, że... cóż, sugerował, iż może pani być w potrzebie. Jeśli pieniądze stanowią problem...
  - Doceniam pańską troskę, panie Delaine, lecz moja sytuacja uległa zmianie. Ojciec zmarł kilka miesięcy temu i zostawił mnie dobrze zabezpieczoną. Prawdę mówiąc, odziedziczyłam ogromną sumę.
- Rex uśmiechnął się szeroko.
- Nie muszę się więc niepokoić, a jeśli brat zapyta, upewnię go, że nie ma potrzeby się martwić.
- Skinęła głowę, choć jeśli wczorajszy dzień miałby stanowić jakąś wskazówkę, poważnie wątpiła, czy Marcus zainteresuje się tym, jak ona daje sobie radę. Zerknęła w kierunku drzwi salonu, który okupował dzień wcześniej.
- Co z nim?
- Rex potrząsnął głową.
- Bez zmian... Nadal zdręcza siebie i otoczenie. Ale przynajmniej zjadł porządne śniadanie.

Zwykle jada zaledwie tyle, by przeżyć. - Uśmiechnął się. - Tak bardzo go pani rozwścieczyła, że wzrósł mu apetyt. Brandy westchnęła.

- Z pewnością nie ucieszył się na mój widok.

- Pozory mogą rzeczywiście na to wskazywać. Gdy pani odeszła, wrzeszczał na mnie przez niemal godzinę, domagając się, abym zabronił pani wstępu do domu.

Brandy jęknęła.

- Może pani wierzyć lub nie, uważam jednak, że to dobry znak.

Brandy zdziwiona uniosła brwi.

- Jak to możliwe? Rex się uśmiechnął.

- Cóż, droga panno Winters, ten wybuch gniewu to najsilniejszy przejaw emocji, jakie okazał, odkąd dowiedział się, że nie będzie chodził.

Brandy nie była wcale pewna, czy zgadza się z oceną Rexlanda, lecz właściwie nie miało to znaczenia.

Przybyła do Hawksmoor House, by pomóc Marcusowi, i znajdzie sposób, by tego dokonać. Modliła się tylko, by jej pozwolił.

- To jak, panno Winters, jest pani gotowa wejść do jaskini lwa?

Uśmiechnęła się.

- Odwlekanie niczego nie załatwi.

Rex podał Brandy ramię i ruszyli korytarzem. Nawet wiedząc, jakie spotka ją przyjęcie, nie mogła doczekać się chwili, gdy znów zobaczy Marcusa.

## Rozdział 14

Marcus odczuwał przemożną chęć, by wstać i przejść się po pokoju. Był to nawyk, o którym nie myślał nigdy wcześniej. Teraz, gdy był przykuty do tego przeklętego krzesła, brakowało mu najdrobniejszych rzeczy, które mógł robić kiedyś, w ogóle się nad tym nie zastanawiając.

Spojrzał na drzwi salonu po raz zapewne setny, odkąd się tu znalazł.

Z każdą chwilą rosło w nim przekonanie, że Brianne nie przyjdzie.

Bo niby dlaczego miałyby, u licha, przyjść? Powiedział jej wprost, że nie jest mile widziana, i mówił poważnie.

Pukanie do drzwi przerwało wewnętrzną tyradę. Rex otworzył je, nie czekając na zaproszenie. Marcus zesztywniał na widok drobnej postaci o rdzawych włosach, odzianej w wymyślną lawendową suknię.

Natychmiast uznał, że jest okropna, podobnie jak niemądre piórka zdobiące kapelusz Brandy. Wolałby widzieć ją w prostej bluzce i spódnicy lub nawet w tych przeklętych bryczesach.

- Powiedziałem ci, żebyś nie przychodziła. Zadarła brodę z determinacją, którą widział u niej dziesiątki razy.

- Tak, powiedziałeś. A ja odparłam, że nie masz już prawa mi rozkazywać.

Jakbym kiedykolwiek był w stanie cokolwiek wyegzekwować, pomyślał Marcus ponuro.

- Mam coś do zrobienia w gabinecie - oznajmił Rex. - Zostawię was na chwilę samych.

Marcus odwrócił się, gotów zaprezentować bratu próbkę swego temperamentu.

- To ja jestem lordem Hawksmoor i panem tego domu. Nakazuję ci, byś usunął stąd tę kobietę.

Rex tylko się uśmiechnął.

- Mówiłeś coś, bracie? Chyba nie dosłyszałem, co mianowicie.

Wyszedł pośpiesznie i zamknął za sobą drzwi.

Marcus zacisnął gniewnie szczęki. Wpatrywał się w Brandy, przyszpilając ją tym samym mrocznym spojrzeniem, jakim się posługiwał, wydając rozkazy podwładnym. Inna kobieta skuliłaby się, onieśmielona, lecz nie Brianne Winters.

Odwzajemniła spojrzenie i powoli przesunęła wzrokiem po twarzy Marcusa. Odczuł to jak delikatną pieśczętą, ciepłą i dziwnie poruszającą.

- Nie cieszysz się ani trochę, że mnie widzisz, Marcusie? Byliśmy kiedyś przyjaciółmi. Czy twój wypadek to zmienił?

Zmierzył ją spojrzeniem, zauważając kosztowny strój. Skąd go wzięła? Zadawał sobie to pytanie w duchu, czując ukłucie zazdrości.

- To oczywiste, iż niektóre rzeczy się zmieniły. Weźmy choćby to ubranie. Nie jesteś już moją kochanką, domyślam się zatem, że inny mężczyzna zaspokaja twoje potrzeby.

Brandy oblała się rumieńcem i zadarła jeszcze wyżej brodę.

- Sama kupuję sobie stroje. Mój ojciec zmarł i, wierz lub nie, zostawił mi sporo pieniędzy. Nie jestem już zdana na łaskę żadnego mężczyzny, nawet twoją, Marcusie.

Prychnął pogardliwie.

- Nie byłaś nigdy na mojej łasce. Nie przypominam sobie nawet, żebyś choć raz posłuchała moich rozkazów.

Uśmiechnęła się, wyginając rozkosznie wargi. Boże, ależ jest śliczna!

- Zawsze słuchałam twoich rozkazów i stosowałam się do nich, kapitanie... jeśli tylko uznałam, że są sensowne.

Marcus uśmiechnął się mimo woli. Uznał, że czuje się z tym dziwnie, i natychmiast spoważniał.

- Co spodziewasz się osiągnąć, zmuszając mnie, bym się z tobą widywał, mimo iż sobie tego nie życzę? Zastanawiała się przez chwilę, marszcząc czoło. Ciekawe, czy zauważyła, że ostrzygłem włosy, pomyślał, żałując nagle, że to zrobił.

- Nie jestem pewna. Może chciałabym po prostu, byś wiedział, że nadal jesteśmy przyjaciółmi.

Coś gorzkiego zbudziło się w duszy Marcusa. Coś mrocznego i przewrotnego.

- Gdybym nie był przykuty do krzesła, skarbie, udowodniłbym ci, że jesteśmy nie tylko przyjaciółmi.

Wziąłbym cię, jak niegdyś, i ujeżdżał długo i mocno, byś dowiedziała się, czego od ciebie chcę... a nie jest to z pewnością przyjaźń.

Brandy spłonęła rumieńcem, lecz się nie wycofała.

- Gdyby rzeczywiście chodziło tylko o to, Marcusie, z radością bym ci to dała. Uważam jednak,

że potrzebujesz innej pociechy. Postaram się znaleźć sposób, żeby ci ją zapewnić.

Marcus się nie odezwał. Ledwie usłyszał, co odpowiedziała, jego umysł wypełniły bowiem obrazy nagiej Brianne. Widział ją taką, jak wtedy, kiedy ostatni raz się kochali, z ogniste rudymi włosami, rozpostartymi niczym welon na poduszce, piersiami jędrnymi i krągłymi, o twardych sutkach, napierających na wnętrze jego dłoni.

Żądza, uczucie, którego nie spodziewał się już zaznać, zalało go niczym falą.

- Chcę, żebyś wyszła - powiedział chrapliwie, z desperacją. - Jeśli naprawdę jesteś moją przyjaciółką, wyjdiesz i więcej nie wrócisz.

Brandy nie odezwała się przez dłuższą chwilę. A potem podeszła z wolna do Marcusa. Zesztywniał, gdy pochyliła się i przycisnęła usta do jego warg w delikatnym pocałunku.

- Na razie postąpię tak, jak sobie życzysz, mój panie. Lecz wrócę jutro, pojutrze i każdego dnia, póki nie wyzdrowiejesz.

- Nigdy nie wyzdrowieję, Brianne. Twoje wizyty niczego tu nie zmieniają.

Nie odpowiedziała, w jej spojrzeniu dostrzegł jednak tyle czułości, że musiał odwrócić wzrok. Przeszła w milczeniu przez pokój i zostawiła go, jak sobie życzył, samego. Mimo to nadal widział jej twarz, pochyloną ku niemu na chwilę przed pocałunkiem.

Przymknął powieki, poddając się fali bólu. Przez kilka ostatnich miesięcy jakoś udawało mu się nad nim panować. Teraz odezwał się z nową siłą, szarpiąc mu wnętrzności, dręcząc i grożąc zniszczeniem.

Proszę, modlił się w duchu, niech ona odejdzie.

Lecz nawet gdy wypowiadał te słowa, jego umysł formułował już inną, bardziej nagłą prośbę. *Proszę, Boże, niech zostanie.*

\*\*\*

Brandy szła korytarzem, ocierając z policzków łzy. Nie mogła znieść tego, że Marcus cierpi. Tak bardzo było jej go żal. Zamiast skierować się ku drzwiom prowadzącym na zewnątrz, ruszyła w przeciwnym kierunku, zdecydowana odszukać jego brata, gdziekolwiek mógłby się znajdować. To dziwne, lecz kamerdyner - Giles, przypomniała sobie - nie próbował jej od tego odwieść, lecz poprowadził długim, wykładanym marmurem korytarzem do gabinetu Reksa.

Młodszy Delaine zaprosił Brandy do środka, wyszedł zza wypolerowanego biurka z różanego drewna i stanął przed nią.

- Zatem... nadal pani tu jest. Sądziłem, że Marcusowi udało się skłonić panią do ucieczki.

- Na pewno bardzo się starał. Rex się uśmiechnął.

- I tak wytrzymała pani dłużej, niż się spodziewałem, chociaż jest pani nieco blada. Może usiądziemy?

Brandy skinęła głową.

- Dziękuję.

Rex wskazał jej ciemnobrązową skórzaną sofę i zadzwonił po herbatę. Po chwili lokaj wniósł srebrną tacę wyszukanej roboty, a na niej śliczny porcelanowy dzbanek i dwie pasujące do niego filiżanki. Brandy pomyślała, że to ona, jako kobieta, powinna zająć się napojem, nie była jednak tego pewna. Rex oszczędził jej zakłopotania, chwytając za dzbanek i napełniając filiżanki.

Podał jej herbatę, przyrządzoną na sposób angielski: z cukrem i odrobiną mleka. Brandy uznała, że bardzo jej smakuje.

- Jak poszło? - zapytał. - Sądząc po tym, jak drżą pani dłonie, powiedziałbym, że brat był dziś równie niemiły, jak poprzednim razem.

- Marcus jest bardzo dumny. Trudno mu przyjąć pomoc, wszystko jedno: ode mnie czy od kogoś innego.

- Upiła łyk herbaty i odstawiła filiżankę drżącymi rękami na spodek ze złotym szlaczkiem. - Wyglądał trochę lepiej. Lecz może po prostu wczoraj nie spodziewał się wizyty.

Rex potrząsnął głową.

- Nie sądzę. Pewnie by tego nie przyznał, myślę jednak, że poprawa w jego wyglądzie ma coś wspólnego z pojawieniem się na scenie pani.

Brandy uśmiechnęła się z czułością.

- Zauważyłam, że podciął włosy. Rex uśmiechnął się kątem ust.

- Dzięki ci, Boże. Biedny Peterbrook próbował nakłonić go do tego od tygodni.

Brandy zauważyła, że usta Rekxa wykrojone są niemal tak pięknie jak u Marcusa. Poczowała przypływ tęsknoty.

- Wydawał się mieć jaśniejsze spojrzenie - powiedziała - i nieco koloru na policzkach.

Rex zaśmiał się krótko.

- To dlatego, że był na panią zły. Gniew dobrze mu robi.

Brandy upiła jeszcze łyk herbaty, zauważywszy, że ma interesujący, obcy jej smak.

- Nie pytałam pana przedtem, lecz chciałabym wiedzieć, co na temat stanu jego zdrowia mówią lekarze.



Szerokie ramiona Reksa opadły. Potrząsnął ze znużeniem głową. Jest prawie tak zmęczony, jak brat, pomyślała. Sine kręgi pod oczami mężczyzny uświadomiły jej, że wypadek Marcusa odcisnął piętno także na nim.

- Badało go wielu lekarzy - mówił tymczasem Rex. - Kiedy przybyłem do Londynu, był już po pierwszych wizytach. A odkąd wrócił do Hawksmoor House, kilku spośród najbardziej znanych w Anglii lekarzy przyjechało tutaj, żeby go zbadać.

- I co powiedzieli?

Rex wypił łyk herbaty, a potem odstawił z wolna filiżankę na spodek.

- Większość twierdzi to samo: nastąpiło nieodwracalne uszkodzenie kręgosłupa. Na pewno nie będzie nigdy chodził.

Wnętrznosci Brandy ścisnęły się w ciasny węzeł.

- Większość, powiedział pan. Więc są też inne opinie?

- Jedna. Wydana przez lekarza z Londynu, doktora Merriweathera. Jest młodszy od pozostałych i ma mniej doświadczenia, lecz nie tak ciasny umysł. Badał Marcusa jako ostatni. Powiedział, iż jest możliwe, że obrażenia nie są nieodwracalne. Widzi pani, wypadek nie spowodował paraliżu... to znaczy, Marcus nadal jest w stanie kontrolować funkcje fizjologiczne.

Brandy spłonęła rumieńcem, lecz nie spuściła wzroku.

- Zatem jest może nadzieja.

- Doktor Merriweather sądzi, że gdyby Marcus zechciał podjąć wysiłek, mógłby pobudzić mięśnie w nogach. Dałoby to szansę, jakkolwiek znikomą,

że będzie mógł znowu chodzić. Mój brat, oczywiście, mu nie wierzy.

- Dlaczego?

- Ponieważ pięciu innych, bardzo dobrych lekarzy powiedziało, że Merriweather to idiota. Uważają, że lepiej pogodzić się z rzeczywistością i nauczyć żyć z kalectwem, niż ulec fałszywej nadziei i marnować życie na próby osiągnięcia tego, co niemożliwe.

Brandy zamyśliła się. Próbowwała zobaczyć sytuację tak, jak postrzega ją Marcus, wyobrazić sobie, jak by to było, wzbudzić w sobie nadzieję, sądzić, że uda się wrócić do życia, jakie się kochało, a potem ponieść sromotną klęskę. Uznała, że to okropne, nie była jednak w stanie zmusić się, aby odrzucić nawet tak mizerną zachętę.

- Zdaję sobie sprawę, że prawie mnie pan nie zna i nie ma powodu ufać choćby w najmniejszym stopniu mojej opinii, mimo to mam nadzieję, że przynajmniej mnie pan wysłucha.

- Marcus wysoko panią cenił. Przebyła pani tysiące mil, ponieważ się o niego troszczy. To wystarczający powód, by posłuchać tego, co ma pani do powiedzenia.

- Proszę zatem, by sprowadził pan tego młodego lekarza z powrotem do Hawksmoor. Niech zbada Marcusa jeszcze raz.

Rex potrząsnął głową.

- Bardzo bym chciał, naprawdę. I gdybym sądził, że jego diagnoza może być choć w części prawidłowa, natychmiast bym to zrobił. Nie odważę się jednak zaryzykować. Jeśli mój brat uwierzy, iż może odzyskać władzę w nogach, a potem okaże się, że nic z tego, to go naprawdę zniszczy.

Brandy odstawiła filiżankę i spodek. Wstała, przeszła po wschodnim dywanie i stanęła obok wy-

sokiego okna o szybkach dzielonych kamiennymi słupkami. Gabinet, wyłożony ciemnym drewnem, wychodził na front domu i kręty podjazd prowadzący do drogi wiodącej ku wiosce. Słońce świeciło mocno, zalewając żarem drzewa wzdłuż podjazdu i odbijając się w sadzawce fontanny przy wejściu.

- Może ma pan rację - powiedziała ze wzrokiem utkwionym w siedzącego na gałęzi, nakrapianego drozda. - Może nie warto ryzykować.

Przynajmniej jeszcze nie teraz, dodała w myśli. Nie, kiedy zdrowie Marcusa nadal jest kruche i niepewne. Najpierw trzeba go uzdrowić: nie tylko ciało, ale i duszę. Będzie musiał dostrzec piękno życia, uwierzyć, że to, czy jest w stanie chodzić, nie ma tak naprawdę znaczenia.

- Wróci pani tu jutro? - zapytał Rex, dołączając do Brandy przy oknie.

Odwróciła się ku niemu.

- Będę przychodziła, póki będzie mnie potrzebował.

Rex się uśmiechnął.

- Mój brat nie zdaje sobie z tego sprawy, ale pod niektórymi względami jest jednak szczęściarzem.

Brandy także się uśmiechnęła. Pomyślała, że coraz bardziej lubi Reksa.

Wyszła z wielkiej kamiennej rezydencji i wróciła do chaty, ale, jak obiecała, następnego dnia znowu zjawiała się w Hawksmoor. Z początku Marcus boczył się, miotając przekleństwa i mówiąc okrutne słowa, aby ją zranić.

Tego dnia miała na sobie różową satynową tunikę z wystającą spod spodu jaskrawozieloną spódnicą.

Suknia miała też krótkie, bufiaste rękaw-

wy, wysoki kołnierz z riuszką i drobne szczypanki na staniku. Marcus uznał natychmiast, że jest okropna.

- Widzę, że wróciłaś w kolejnej ze swych ohydnych sukien.

Brandy spojrzała na niego zaskoczona.

- Nie podobają ci się moje stroje? Chrząknął.

- Róż i jaskrawa zieleń? Nie sądzę. Z rudymi włosami wyglądasz jak mała pawica, która pożyczyła pióra od samca.

Z gardła Brandy dobył się cichy, mimowolny dźwięk. Kiedy odzyskała w końcu zdolność mówienia, okazało się, iż głos jej drży.

- Lecz... zapłaciłam za nie fortunę. Pochodzą z pracowni bardzo kosztownej szwaczki z Charlestonu.

Zapewniła mnie... powiedziała, że są bardzo modne.

Musiał zauważyć, że zbladła, bo gdy się odezwał, w jego głosie nie było już tyle goryczy.

- Na pewno tak jest. Może na innej kobiecie lepiej by się prezentowały. Na tobie wyglądają jednak koszmarne.

Brandy czuła, że zaraz się rozpłacze. Nic, co powiedział wcześniej, nie było w stanie aż tak jej poruszyć.

A teraz stoi tutaj, mażąc jak głupia, ponieważ Marcusowi nie spodobały się jej suknie.

- Sądziłam, że się ucieszysz - powiedziała cicho. - Będziesz zadowolony, że potrafię ubrać się jak każda inna kobieta. Myślałam...

- Myślałaś: co?

Wyprostowała z trudem ramiona.

- Miałam nadzieję, że zobaczysz we mnie nie tylko dziewczynę z tawerny, ale i damę.

Twarz Marcusa zmieniała się. Wyglądał, jakby żałował niewczesnych słów, a może chodziło o coś zupełnie innego.

- Był czas, że uważałem cię za dziecko - powiedział cicho. - Na statku dostrzegłem w tobie kobietę. Lecz zawsze postrzegałem cię jako damę.

Coś ścisnęło ją w gardle. Może i było tak, jak mówił, lecz niezupełnie o to jej chodziło. Odwróciła się, nadal czując ból.

- Będziesz musiał mi wybaczyć, milordzie. Nie najlepiej się czuję.

Ruszyła ku drzwiom, zmuszając się, by iść powoli, choć miała ochotę biec.

- Ci ludzie to głupcy - dobiegł ją burkliwy głos. - Nie potrzebujesz akrów koronki i lasu kokardek. Jesteś o wiele za ładna, aby ukrywać się za morzem falbanek. W prostym stroju posługaczki z tawerny wydałaś mi się najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem.

Brandy zatrzymała się w połowie drogi do drzwi. Serce waliło jej jak młotem, tłukąc się o żebra. Odwróciła się powoli.

- Naprawdę uważasz, że jestem... piękna? Utkwił w niej spojrzenie przenikliwych błękitnych oczu.

- Moje nogi są jak martwe, lecz reszta ma się całkiem dobrze. Potrafię rozpoznać piękno, kiedy je widzę.

Bez zastanowienia ruszyła przez pokój i rzuciła mu się w ramiona, niemal przewracając krzesło, na którym siedział. Marcus zeszywniał i uniósł dłonie, jakby chciał ją powstrzymać. Było już jednak za późno. Przywarła ustami do jego ust.

Jęknął.

- Tęskniłam za tobą - wyszeptała, wyciskając delikatne, szybkie pocałunki w kącikach jego ust.

- Tak bardzo tęskniłam.

Na chwilę czas się zatrzymał. Byli znów na „Morskim Jastrzębiu”, stojąc razem przy relingu, a słaby wietrzyk unosił jej spódnicę. Marcus objął dłońmi twarz Brandy. Czuła zapach wawrzynu z jego wody kolońskiej i dotyk szorstkiej wełny pod palcami. Przycisnął z wolna wargi do jej ust i powieki Brandy opadły. Rozchyliła usta, rozkoszując się pieśczętą jego języka. Pocałunek był słodki i namiętny, delikatny, a zarazem niezaprzeczenie zaborczy. Brandy rozkoszowała się każdą jego sekundą. Nie obchodziło jej, czy Marcus będzie mógł kiedyś chodzić. Kochała go. Chciała jedynie z nim być. Z jej gardła dobył się głęboki jęk. Musnęła językiem wnętrze jego ust, wsunęła palce pomiędzy wijące się ciemne włosy nad karkiem. Nagle coś się zmieniło. Marcus zeszywniał i odsunął ją gwałtownie.

Przeklinając paskudnie, uwolnił się z uścisku ramion Brandy, chwycił ją wpół i brutalnie odsunął.

- Na miłość boską, Brianne, co ty wyprawiasz? Nie ma w tobie ani odrobiny litości?

Twarz miał zaróżowioną, pociemniałe z gniewu oczy ciskały błyskawice. Brandy zamarła, widząc, jak bardzo jest poruszony.

- O czym... o czym ty mówisz?

Marcus potrząsnął głową, zdeglustowany swoim zachowaniem... a może jej, nie była tego pewna.

- Do licha, nie rozumiesz? Jestem bezużytecznym kaleką. Moje życie się skończyło, lecz gdy mnie całujesz, dotykasz w ten sposób... - Zaczerpnął drżącego oddechu i wypuścił powietrze z płuc.

- Kiedy dotykasz mnie w ten sposób, odkrywam,

że ta część mnie nadal żyje. Sprawia, że zaczynam cię pożądać. Masz pojęcie, jak to jest, wiedzieć, że nigdy nie będę się z tobą kochał? I że nie jestem już mężczyzną?

- To nieprawda! Tylko dlatego, że nie możesz chodzić...

- Chodzi nie tylko o nogi! - Umknął w bok spojrzeniem, zaciskając szczęki. - Jestem impotentem, na miłość boską! Wiesz, co to znaczy? To znaczy, że siedzę tutaj, drżąc z chęci, aby cię osiąść i zdając sobie sprawę, iż w żaden sposób nie będę do tego zdolny! Nigdy nie będę mógł się z tobą kochać, Brandy. Z tobą, ani z żadną inną.

Brandy przygryzła drżące wargi.

- Mówiłem, żebyś sobie poszła. Błagałem, byś zostawiła mnie w spokoju, ale ty nie słuchałaś. Teraz, kiedy znasz prawdę, może zrobisz w końcu to, o co proszę.

Brandy potrząsnęła głową. Odczuwała jego cierpienie, jakby było jej własne. Przeszywało ciało falami bólu, powodując mdłości, a ucisk w gardle stał się wręcz nie do zniesienia.

- Nie wiem. Nie zdawałam sobie sprawy, że ja... że ty...

Odsunęła się od niego i podeszła do okna, próbując myśleć, zmuszając się, aby po prostu oddychać.

Zamknęła oczy i łzy zawisły jej na rzęsach. Marcus cierpiał, i to ogromnie. Boże, musi jakoś mu pomóc.

Zegar tykał. Zaczepnęła drżącego oddechu, odzyskując panowanie nad emocjami. Podeszła z powrotem do Marcusa i zatrzymała się przed nim.

- Nie będę zbliżała się do ciebie, jeśli tak wolisz. Lecz nie odejdę. Są na świecie ważniejsze rzeczy niż fizyczna miłość, musimy tylko je znaleźć.

Marcus zacisnął bezwiednie dłoń na podłokietniku. Obrzucił Brandy ciężkim, mrocznym spojrzeniem, a potem odwrócił głowę i jął wpatrywać się znowu w krajobraz za oknem.

Brandy czuła się tak, jakby jej serce rozpadło się na dwoje. Jakby z góry posypały się na nią tysiące odłamków potłuczonego szkła. Marcus życzył sobie, aby odeszła, ale nie mogła znieść nawet myśli o tym. Pragnęła podejść do niego, powiedzieć, jak bardzo go kocha, przytulić go i pocieszyć. Napięcie, emanujące z siedzącej na krześle, wysokiej postaci sprawiło jednak, że się nie ośmieliła.

Z trudem zwalczając chęć, by się rozplakać, przeszła przez pokój i zatrzymała się przy drzwiach.

- Nie lubię tych sukien - powiedziała cicho. - Kupiłam je, gdyż nie wiedziałam, co wybrać, i pomyślałam, że spodobają się tobie. - Obróciła srebrną gałkę i otworzyła drzwi. - Do widzenia, milordzie. Zobaczymy się jutro.

Opuściła dom, czując straszliwy ból, a zarazem dziwną radość. Marcus nie był w stanie się kochać, ale całował ją z wyraźną tęsknotą i uważał, że jest piękna. Piękna. Uchwyciła się tego słowa, jakby było najcenniejszym podarkiem, jaki kiedykolwiek otrzymała.

Bo może właśnie tak jest, pomyślała, maszerując dróżką ku chacie. W każdym razie tak to odbierała.

Zbliżając się do piętrowego domku z widokiem na morze, uświadomiła sobie, że się uśmiecha.

- Sally! - zawołała, przemierzając kamienną podłogę holu i wchodząc do saloniku z belkowanym sufitem.

Podeszła do kominka z drewnianą półką, aby się ogrzać. - Sally, gdzie jesteś?

Zbliżało się lato, jednak tu, na wybrzeżu, nadal zdarzały się dni, kiedy pomiędzy grubymi szarymi



ścianami chaty panował dotkliwy chłód i ogień bardzo się przydawał. Smukłe dziewczę zbiegło po schodach.

- Tak, panienko? Cerowałam na górze bieliznę. Brandy rozpięła różową pelisę ozdobioną krezą i rzuciła ją na sofę.

- Potrzebuję twojej pomocy, Sally. Trzeba będzie dokonać pewnych przeróbek.

- W domu?

- Nie, w mojej garderobie. Przejrzemy wszystko i pozbędziemy się tych koronek i kokardek.

- Ale dlaczego, panienko?

- Chcesz powiedzieć, że ci się podobają? Sally spłonęła rumieńcem.

- Cóż, jeśli chce panienska znać prawdę, nie bardzo. Ale nie do mnie należy wydawać w tej sprawie opinię.

- Cóż, mnie też się nie podobają. Zobaczmy, co można zrobić, by suknie wyglądały lepiej.

Sally się uśmiechnęła.

- Dobrze, panienko. Myślę, że dam sobie z tym radę.

Brandy także się uśmiechnęła, wyobrażając sobie, co powie Marcus, gdy ją zobaczy. Może tym razem będzie zadowolony. W głębi duszy zastanawiała się też, choć nie powinna, czy aby nie mylił się co do tego, iż nie jest w stanie się kochać.

## Rozdział 15

Marcus usłyszał odgłos kroków brata na marmurowej posadzce. Zbliżały się ku salonowi z widokiem na ocean. Towarzyszyły im inne, lżejsze, choć także męskie. Ciekawe, kto to taki, pomyślał zirytowany. Nie życzył sobie wizyt. Rex dobrze o tym wiedział. Mimo to było oczywiste, że kogoś przyprowadził, i teraz Marcus będzie zmuszony go przyjąć. Wyprostował się na krześle, które stało się jego więzieniem, i utkwiał wzrok w drzwiach, ściągnąwszy ciemne brwi.

Zaskoczenie sprawiło, że powędrowały bezwiednie ku górze. Znał mężczyznę, który pojawił się w progu wraz z Reksem. Był to Richard Lockhart, najmłodszy syn markiza Halliday. Richard spędził sporą część dzieciństwa w Seacliff, majątku ojca leżącym po przeciwnej stronie Tintagel, i choć był od Marcusa o dwa lata młodszy, bardzo się zaprzyjaźnili.

Rex wszedł za Richardem i zamknął drzwi.

- Nasz gość właśnie przyjechał. Przebywał przez jakiś czas na kontynencie. Dopiero co wrócił do Anglii i dowiedział się o wypadku. Natychmiast ruszył, aby się z tobą zobaczyć.

Tej części wizyty Marcus nienawidził najbardziej: wyrazu zaskoczenia na widok tego, jak bar-

dzo zmizerniał i wychudł, litości, której nie byli w stanie ukryć.

Próbował się uśmiechnąć, lecz wargi, odwykłe od uśmiechu, zaledwie się wygięły.

- Ufam, że los traktował cię ostatnio lepiej niż mnie, przyjacielu.

Starał się, aby zabrzmiało to zwyczajnie, na próżno jednak. Z trudem zmusił się, by nie odwrócić wzroku.

Richard podszedł do przyjaciela.

- Nie będę zważał na słowa, Marcusie. Wiem, że byś sobie tego nie życzył. To, co cię spotkało, jest po prostu straszne. Bardzo ci współczuję, choć tego nie znosisz. Przyjechałem głównie po to, żeby się z tobą zobaczyć, gdyż bardzo się martwiłem.

Szczerłość. Rzadki rarytas w sytuacji takiej, jak ta. Przypomniał sobie, dlaczego zaprzyjaźnił się z

Richardem. Spojrzał w ciemne oczy przyjaciela, dostrzegł w nich troskę, lecz nie litość, i poczuł ulgę.

- To dziwne... lecz chyba się cieszę, że cię widzę.

Richard odprężył się, słysząc to, a nawet lekko uśmiechnął. Był mężczyzną średniego wzrostu, szczupłym, o włosach koloru piasku, delikatnych rysach i łagodnym uśmiechu. W ogóle był człowiekiem łagodnym, o miłym, przyjaznym usposobieniu. Tyle Marcus pamiętał.

- Zostanę w Seacliff przez kilka miesięcy - powiedział. - Zebrałem materiały do książki o średniowiecznej Anglii i pomyślałem, że spokojna Kornwalia to doskonałe miejsce, aby zakończyć podstawową część pracy.

Richard, wieczny badacz. Chciał być profesorem, choć rodzina krzywiła się, żądając, aby został

duchownym. W końcu, acz niechętnie, pogodzili się z tym, iż to historia, nie religia, stanowi pasję Richarda. To ją chciał badać i opisywać.

- Kornwalia się nie zmieniła - zauważył Marcus.

- To miejsce poza czasem.

- Właśnie dlatego tak je kochałeś.

Marcusa ścisnęło w piersi. Rzeczywiście, Richard miał rację, lecz było to dawno temu. Na długo zanim odkrył morze i swoje prawdziwe powołanie. Nie odpowiedział i w pokoju zapadła cisza. Rex chrząknął, przygotowując się, aby ją przerwać, powstrzymał się jednak, gdyż jego uszu dobiegł zbliżający się odgłos damskich kroków. Trzej mężczyźni odwrócili się ku drzwiom, akurat na czas, aby zobaczyć, jak kamerdyner wprowadza Brianne Winters.

- Przyprowadziłem ją, gdy tylko się zjawiała, tak jak pan sobie życzył.

- Dziękuję, Giles. - Rex odwrócił się ku dziewczynie, która stała nadal przy drzwiach, ubrana w prostą suknię z żółtego muślinu bez koronek, falbanek i riuszek. Płomienne włosy upięła na czubku głowy. Nosła białe bawełniane rękawiczki, lecz nie kapelusz i wyglądała tak ślicznie, że oddech zamarł Marcusowi w piersi.

- Dzień dobry, panno Winters - powiedział jego brat, skłaniając ją, by oderwała wzrok od Marcusa.

- Miałem nadzieję, że zjawi się pani na czas, aby poznać starego przyjaciela rodziny. Lordzie Richardzie Lockhart, pozwól, że przedstawię ci pannę Brianne Winters.

Przez chwilę Richard po prostu się gapił. A kiedy uświadomił sobie, co robi, poczerwieniał lekko, a potem uśmiechnął się tak ciepło, że Marcus poczuł przyływ irytacji.

- Panno Winters, to przyjemność poznać panią. Skłonił się nisko, a Brandy dygnęła cokolwiek niepewnie.  
-I pana, milordzie.

Marcus widział, że dziewczyna czuje się zakłopotana. Nie umiała poruszać się wśród przedstawicieli wyższych sfer i nie była pewna, co mówić i robić. Obserwując, jak rumieniec zalewa policzki Brandy, poczuł nagłą, nieodpartą potrzebę, by zaoszczędzić jej zażenowania. Nie miał pojęcia, skąd wzięła się w jego głowie tak absurdalna myśl, czym prędzej więc się jej pozbył.

W końcu niepotrzebnie się przejmował. Podobnie jak każdy mężczyzna, który się z nią zetknął, także Richard spojrzał w kocie, bursztynowe oczy Brianne i wszelka myśl o manierach wywietrzała mu z głowy. Było aż nadto widoczne, iż jest oczarowany.

Irytacja Marcusa zmieniła się w zazdrość.

- Praktycznie razem dorastaliśmy - mówił tymczasem Rex do Brianne. - Richard jest autorem kilku rozpraw na temat brytyjskiej historii. Będzie pracował tutaj, w Kornwalii, przez kilka najbliższych miesięcy.

Brandy się uśmiechnęła.

- To cudownie. Jestem pewna, że lord Hawks-moor będzie zachwycony, mając w pobliżu przyjaciela. Richard spojrzał na nią i uśmiechnął się jeszcze bardziej radośnie. A potem zerknął na Marcusa, pochwycił gniewny wzrok przyjaciela i uśmiech znikł z jego twarzy jak zdmuchnięty.

- Naprawdę się cieszę, że wróciłem - powiedział. - Zwłaszcza że będę mógł rozkoszować się do woli towarzystwem starych przyjaciół.

Wyglądało na to, że zebrał się w sobie, poskładał elementy układanki i pogodził z faktem, iż dziewczyna nie jest już wolna.

Oczywiście, nie była to prawda. Co za śmieszne przypuszczenie. W życiu Marcusa nie było miejsca dla kobiety, a nawet gdyby, teraz i tak nic nie mogłoby się wydarzyć. Spojrzał na Brandy, nie dostrzegł w jej oczach szczególnego zainteresowania Richardem i sprawiło mu to ulgę. Wiedział, że to szaleństwo. Powinien zachęcać Richarda. Przyjaciel nie był co prawda bogaty, ale i nie ubogi. Prawdę mówiąc, stanowi! doskonałą partię.

Richard uśmiechnął się znów do Brianne, ale tym razem był to inny uśmiech i Marcus poczuł kolejny przypływ niechcianej ulgi.

- Rodzice przesyłają pozdrowienia - powiedział. - Mama dołączy do mnie za kilka tygodni. Może, jeśli lord Hawksmoor będzie czuł się na siłach, urządzimy małe przyjęcie z kolacją. Moglibyśmy odnowić znajomość i powspominać stare czasy.

Proszona kolacja. Niedoczekanie, burknął Marcus w duchu. Tylko tego mu trzeba: wybrać się z wizytą do innego domu i pozwolić, by wszyscy gapili się na inwalidę, jakim się stał.

- Co o tym sądzisz, Marcusie? - zapytał Richard.

- Chyba zaczynam odczuwać zmęczenie - skłamał. - Więc jeśli mi wybaczycie...

Nie czekając na odpowiedź, obrócił się na krześle i utkwiał wzrok w bezmiarze wody za oknem. W pokoju zapadła cisza i Marcus niemal się uśmiechnął. Bycie kaleką ma jednak dobre strony. Można zachowywać się nieuprzejmie i uchodzi nam to na sucho.

Usłyszał odgłos kroków. Przyjaciele wymykali się z pokoju. Drzwi zamknęły się z cichym stuknięciem i Marcus odchylił się na powrót na krześle.

Dźwięk kobiecego głosu, drżącego z napięcia i gniewu, stał z jego twarzy pełen samozadowolenia uśmieszek.

- To było niewiarygodnie niegrzeczne i po prostu wstrętne. Nie mogę uwierzyć, że traktujesz w ten sposób przyjaciół.

Odwrócił gwałtownie głowę. Brandy stała na rozstawionych nogach, wsparłszy dłonie zdecydowanym gestem na biodrach. Do licha ciężkiego, czy ta kobieta nie zostawi go w spokoju?

- Powiedziałem, że jestem zmęczony.

- Nie jesteś zmęczony, ani trochę, jedynie uparty. Zacisnął szczęki.

- A czego się spodziewałaś? Że będę go zachęcał? Nie nadaję się do towarzyskich spotkań. Trzeba nosić mnie jak dziecko.

- Może dlatego tak się właśnie zachowujesz. Gdybym była twoją matką, przełożyłabym cię przez kolano. Stwierdzenie było tak absurdalne, że Marcus musiał się roześmiać.

- Ale nie jesteś nią, prawda, skarbie? Śliczne wargi Brandy wygięły się w uśmiechu.

- Nie, nie jestem. Jestem twoją przyjaciółką, podobnie jak Richard Lockhart przyjacielem.

Marcus uniósł brwi.

- Niezupełnie jak on. Ty jesteś kobietą. Bardzo ładną, ponętą kobietą. Gdybym nadal był mężczyzną, pokazałbym ci, jak bardzo różnisz się od Richarda Lockharta.

Brandy zaczerwieniła się uroczo.

- Jesteś mężczyzną i doprowadzasz mnie do szału.

- Ty zaś jesteś, moja słodka, po prostu nieodparta. Boże, ile bym dał, by móc zedrzeć z ciebie suknię i objąć dłońmi te śliczne piersi.

Policzki Brandy, i tak zaróżowione, przybrały kolor szkarłatu.

- Nie jestem pewna, czy podoba mi się osoba, jaką się stałeś, Marcusie Delaine. Dręczysz mnie słowami. Myślisz, że nic nie czuję, kiedy tak do mnie mówisz? Sprawia to, że cię pragnę... a oboje wiemy, że nie wolno mi nawet cię dotknąć.

Marcus spojrział na nią zaskoczony. Pragnęła go. Coś takiego w ogóle nie przyszło mu do głowy. Nie był już takim mężczyzną jak kiedyś, więc jak mogła go pożądać? Przesunął wzrokiem po jej ciele, kobiecych krągłościach, miękkiej krzywiznie piersi. Przypomniawszy sobie, jak to było, trzymać je w dłoniach i poczuł przypływ pożądania. A także nagłe i nieoczekiwane poruszenie w kroczu. Coś takiego nie było jednak możliwe. Wiedział to na pewno. Czekał, modląc się, by to coś, cokolwiek to było, powtórzyło się, a gdy tak się nie stało, uświadomił sobie, że się pomylił.

Nagły gniew zastąpił żądzę.

- Nie wiem, dlaczego upierasz się, by tu przychodzić. Nie przynosi to nic dobrego ani tobie, ani mnie. Cokolwiek było między nami wcześniej, już się skończyło. Nie jestem mężczyzną, jakim byłem kiedyś, a i ty nie jesteś tym samym niewinnym dziewczątkiem.

- Nie, nie jestem. Zrobiłeś ze mnie kobietę, Marcusie, i zawsze będę ci za to wdzięczna.

- Powiedziałaś, że jesteś bogata. Skoro tak, możesz robić wreszcie to, co zawsze chciałaś. Podróżować, zwiedzać świat. Nie ma powodu, byś tu zostawała.

- Ależ, przeciwnie, jest. Zostaję ze względu na ciebie.

Potrząsnął zirytowany głową.



- Dlaczego nie mogę cię przekonać? Brianne ruszyła ku niemu.
  - To ciebie trzeba przekonać. Musisz uwierzyć, iż życie to coś więcej niż tylko przemierzanie desek pokładu, a ty masz po co żyć.
- Podeszła tak blisko, że musnęła spódnicą buty Marcusa, dotrzymała jednak obietnicy i go nie dotknęła. Przez chwilę Marcus żałował, iż nie może cofnąć słów wypowiedzianych bez zastanowienia.
- Jesteś lordem Hawksmoor. Ludzie cię potrzebują. Mógłbyś im pomóc, gdybyś tylko chciał.
  - Powiedziałem ci: moje życie nierozłącznie związane jest z morzem. Tam przynależę. Statek i załoga - to oni mnie potrzebują.
  - Twój brat także. Gdybyś nie był tak samolubny i nie użalał się w kółko nad sobą, sam byś to zauważył.
  - O czym ty mówisz? Mój brat jest silnym, samodzielny młodym mężczyzną.
  - To prawda. Lecz przyjrzyj mu się, Marcusie, powoli i dokładnie. Nie widzisz, jak jest zmęczony? Ilekroć tu przychodzi, pogrążony jest w pracy. Rzadko wychodzi z domu. Mógłbyś pomóc mu dźwigać ten ciężar, gdybyś tylko chciał.
- Marcus potrząsnął głową.
- Nie nadaję się do administrowania. Nigdy nie chciałem być lordem.
  - Nie zawsze dostajemy to, czego byśmy sobie życzyli, mój panie. Czasami Bóg podejmuje decyzje za nas. Odwrócił wzrok, niezdolny wytrzymać spojrzenie bursztynowych oczu, które zdawały się przewiercać go na wylot. Czy naprawdę był aż tak samolubny? Użalał się nad sobą? Ogarnęło go nie

miłe uczucie, że Brandy może mieć, przynajmniej częściowo, rację.

- Czego ode mnie chcesz? Co miałbym zrobić? Uśmiechnęła się do niego. Boże, ależ jest śliczna, pomyślał.

- Nic wielkiego. Na początek moglibyśmy wyjść do ogrodu.

- O to ci chodzi? Tego właśnie chcesz?

- Na początek, tak. Potem zobaczymy.

To szaleństwo ustępować tylko dlatego, że na twarzy dziewczyny maluje się tyle czułości. Przesunął spojrzeniem po jej krągłym biuście i poczuł przyływ pożądania. Zawsze tak było. Wystarczyło, że znalazł się w pobliżu Brandy. Gdyby znajdowali się na statku, zaprowadziłby ją do kajuty i zdarł z niej tę kosztowną suknię. Wziąłby ją szybko, wbijając się w jej ciało, póki nie zaspokoiłby tego wściekłego głodu.

Zamiast tego spoglądał w lekko skośne bursztynowe oczy, rozmyślając o tym, iż ustępowanie kobiecie to szaleństwo.

Z drugiej strony, chodziło przecież o taki drobiazg...

- Doskonale - burknął w końcu. - Jeśli to cię uszczęśliwi, jutro spędzimy trochę czasu w ogrodzie.

Uśmiechnęła się tak radośnie, że poczuł, jak rośnie w nim serce.

- Dziękuję, milordzie. - W słowach, wypowiedzianych cichym, łagodnym głosem, było tyle wdzięczności, jakby obdarowano ją klejnotami koronnymi.

Marcus odwrócił wzrok, żałując, iż nie może jej ich podarować.

\*\*\*

Brandy wróciła do chaty wielce podniesiona na duchu. Co dzień zostawała w Hawksmoor House nieco dłużej, pijąc z Marcusem w ogrodzie herbatę. Po tygodniu Rex zaprosił ją, by zjadła z nimi kolację.

Marcus burczał, kiedy ją widział, lecz z każdym mijającym dniem burczał mniej.

Po czterech tygodniach od dnia, gdy zamieszkała w Tintagel, zdążył niemal powrócić do poprzedniej wagi, a jego policzki nie były już tak blade i zapadnięte. Skóra nabrała brązowego koloru, pociemniała od godzin spędzonych na słońcu. Włosy nieco mu odrosły i wijąc się miękko, opadały na kołnier. Ilekroć na niego spojrzała, uderzało ją, jak jest przystojny. Wydawał się równie żywotny i męski, jak przed wypadkiem, i równie pociągający-

- Przyłączysz się do mnie w ogrodzie? - spytała, odszukawszy go, jak zwykle, przed oknem w salonie. -

Mamy piękny dzień. Świeci słońce i ptaki śpiewają.

- Jest pochmurno, nie słyszę żadnych ptaków, a gdybym chciał siedzieć w ogrodzie, już bym tam był.

Była to gra, którą podejmowali codziennie: Marcus opryskliwy i uparty, Brandy usiłująca go przekonać.

Uśmiechnęła się słodko.

- Może zrobiłbyś to dla mnie?

Marcus spojrzał na nią ponuro, a potem westchnął demonstracyjnie.

- Straszna z ciebie jędza. Znęcasz się nad człowiekiem, który nie może się bronić.

Rozejrzała się dookoła, jakby kogoś szukała.

- Gdzie? Gdzie jest ten człowiek? Bo chyba nie masz na myśli siebie?

Marcus roześmiał się cicho.

- Może masz rację. Może jedyną osobą, przed którą muszę się bronić, jesteś ty.

I tak to szło, Marcus nabierający z każdym dniem sił i coraz bardziej pogodzony z sobą i z sytuacją.

Zaczął nawet uczestniczyć w zarządzaniu majątkiem, zdejmując Reksowi z barków sporo obowiązków.

Brandy była wdzięczna za każdy, nawet najmniejszy postęp. Serce miała pełne nadziei, a jej miłość do Marcusa rosła z każdym dniem.

Wiedziała, że to niebezpieczne. Nie będzie mogła zostać z nim na zawsze, a Marcus nie był zainteresowany małżeństwem, zwłaszcza teraz, gdy został kaleką. Poza tym nadal był lordem. Z pewnością nie mógłby wziąć sobie za żonę posługaczki z tawerny.

Była w nim też jakaś ciemność, wewnętrzny niepokój, którego nie umiała osiągnąć. Stał pomiędzy nimi i obawiała się, że zawsze tak będzie. Nocą śniła o Marcusie, lecz nawet w snach nigdy jej nie przytulał, nie całował. Noc po nocy sen kończył się tak samo: Brandy stała samotnie na nabrzeżu, obolała z tęsknoty za Marcusem, który zostawiał ją i wracał na morze.

\*\*\*

Hamish Bass wysiadł z dyliżansu pocztowego przed frontem gospody Głowa Mewy w Tintagel na wybrzeżu Kornwalii. Rozciągnął obolałe mięśnie, zmęczony długą, niewygodną podróżą z Londynu.

Do licha, najwidoczniej się starzeje.

258

W tawernie zabawił jedynie na tyle długo, by zjeść gorący posiłek i spłukać go kuflem piwa. Następnie zapłacił kilka szylingów za to, by pozwolono mu wsiąść na drewniany wóz z sianem, zmierzający w kierunku Hawksmoor. Na miejscu zeskoczył z furmanki, zarzucił na ramię marynarski worek i ruszył długim, żwirowanym podjazdem ku dworowi.

Nie lubił tego wielkiego, onieśmielającego budynku, a zadanie, którego się podjął, podobało mu się jeszcze mniej.

- Trzeba to zrobić - powiedział do siebie na głos. - Nie da się tego uniknąć. Kapitan by mi nie wybaczył. Zdeterminowany wspiął się po stopniach na szeroki kamienny ganek. Krzywe nogi sprawiały, że na łądzie poruszał się cokolwiek niepewnie. Przerzucił worek na drugie ramię, ujął błyszczącą mosiężną kołatkę w kształcie jastrzębia o rozpostartych skrzydłach i uderzył nią w wypolerowane mahoniowe drzwi.

Choć był tu przedtem tylko raz, kamerdyner najwidoczniej go rozpoznał. Skinął po prostu dłonią, zapraszając Hamisha, by wszedł.

- Przybyłem zobaczyć się z kapitanem Delaine. To ważne, inaczej by mnie tu nie było.

- Oczywiście, panie Bass. Lord Hawksmoor zapowiedział kilka lat temu, że jeśli zjawi się ktoś z załogi, mam natychmiast go przyprowadzić. Zakładam, że polecenie nadal obowiązuje. Proszę wejść.

- Wielkie dzięki.

- Powiem jego lordowskiej mości, że pan jest. Zabawia w ogrodzie gościa.

Zabawia gościa, powtórzył w myślach zdumiony Hamish. Kiedy ostatnio go widział, kapitan wygła-

dał jak żywy trup, zakopany w domu niczym kret i gapiący się ponuro na morze.

Kamerdyner, wysoki, szczupły mężczyzna o krótkich, zaczesanych do tyłu brązowych włosach, wrócił po krótkiej chwili.

- Proszę za mną, zaprowadzę pana do niego. Może pan zostawić torbę, zaniemiemy ją do pańskiego pokoju.

- Nie ma potrzeby. Mogę przespać się w gospodzie.

- Nonsens. Jego lordowska mość byłby bardzo niezadowolony, gdyby dowiedział się, że przybył pan z tak daleka i nie zaoferowano panu gościny.

Hamish nie odezwał się więcej, choć prawdę mówiąc, wolałby zatrzymać się gdzie indziej. Wszystkie te wyszukane gzymsy i marmurowe posadzki, całe to złoto i lustra... w tym domu nawet ściany sprawiały, że czuł się nieswojo. Co, u licha, zrobi, jeśli przypadkiem coś stłucze?

- Panie Bass?

- Idę, idę.

Zostawił niechętnie worek i ruszył za mężczyzną długim korytarzem wyłożonym fikuśną złotą tapetą, wychodzącym na mały ogród z widokiem na morze.

Kapitan Delaine siedział na żelaznej ławce, obłożony poduszkami. Uśmiechał się. Boże, naprawdę się uśmiechał, a obok stała przyczyna tak dobrego samopoczucia.

Mógłby nie poznać jej w ślicznej lawendowej sukni, lecz masy miedzianych włosów nie sposób było pomylić. Uśmiechnął się do Brandy Winters, a ona odpowiedziała uśmiechem.

- Dobrze cię widzieć, Hamishu - powiedział kapitan.

- Pana także, kapitanie... i panienkę Brandy.
- Dziękuję, Hamishu. Mam nadzieję, iż dobrze się miewasz.
- Zdrowy jak rydz, panienko, bez dwóch zdań.
- Brandy przebywa z wizytą w Kornwalii. Zamieszkała w domku niedaleko stąd.

Zadowolony Hamish skinął głową.

- Wyglądasz doprawdy ślicznie, panienko. Jestem pewien, że kapitan cieszy się z twojego towarzystwa. Spojrzał na Marcusa i nie był już tego taki pewny. W oczach kapitana zobaczył bowiem mrok, cierpienie i głód. Pragnął dziewczyny, było to wyraźnie widoczne, i, jak wtedy na statku, nie mógł jej osiąść.

- Mam wieści o „Jastrzębiu”, kapitanie. Nie są dobre.

Szerokie ramiona kapitana stężały z napięcia. Wyprostował się na zaimprovizowanym siedzisku.

- Dalej, Hamishu. Mów, co się stało.

- Chodzi o ten wypadek, *sir*. Bo widzi pan, to nie był wcale wypadek, ale po prostu sabotaż. - Kapitan zbladł. Było to widoczne, choć skórę miał równie opaloną jak wtedy, gdy przebywał na morzu. -

Znalezienie dowodów zajęło nam miesiące. O mało tego nie przeoczyliśmy. Dopiero kiedy zaczęliśmy prace przy dnie kadłuba... Z początku zakrywał je szlam, lecz potem jeden z robotników zobaczył to, kiedy załoga usuwała ścieki - wyjaśniał, cokolwiek nieskładnie, marynarz.

- Co takiego zobaczył? - naciskał kapitan. Jego rysy nie wydawały się już odprężone.

- Ktoś usunął kilka sworzni mocujących maszt do kadłuba. To dlatego się złamał. Od jakiegoś czasu musiał systematycznie się obłuzowywać, a kiedy

przyszedł sztorm... To celowa robota, kapitanie. Cud, że statek nie zatonął, a my razem z nim.

Kapitan zacisnął dłoń w pięść, a potem uderzył nią w bezwładne nogi.

- Wiedziałem! Próbowałem wmówić sobie, że się mylę, ale w głębi duszy przekonany byłem, że jest inaczej. Znajdę go. Przysięgam na Boga, że go znajdę. Nawet gdyby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobię na tej ziemi, znajdę tego drania, a potem go zabiję.

Panienka Brandy przyklęła i ujęła jego dłoń.

- Tak mi przykro, Marcusie. Kapitan wyrwał rękę.

- Zostawcie mnie! - krzyknął. - Oboje. Po prostu się wynieście i zostawcie mnie samego.

Hamish nie zamierzał dyskutować. I tak nie miał ochoty tu przychodzić. Zdawał sobie sprawę, że wieści, które przyniósł, otworzą bolesną ranę, która najwidoczniej zaczęła się już goić. Nie mógł jednak postąpić inaczej.

- W porządku, Hamishu - powiedziała cicho Brandy, kiedy znaleźli się z powrotem w domu. - To nie twoja wina. Musiałeś mu powiedzieć. Z czasem jakoś da sobie z tym radę.

Hamish potrząsnął jednak głową.

- Nie, panienko, nie z tym. Będzie chciał zemsty. Nie zadowoli się niczym innym. Boję się, że to go zniszczy.

Brandy zacisnęła szczęki, a potem zadarła z uporem brodę.

- Nie pozwolę na to. Znajdę ujście dla całego tego gniewu i nienawiści. I sposób, by jakoś je wykorzystać.

Hamish wyciągnął dłoń i pogłaskał Brandy po włosach, nie kryjąc podziwu.



- Powodzenia, panienko. Jeśli ktoś byłby w stanie tego dokonać, to jedynie ty. Nie żywił jednak wielkich nadziei. Nie sądził, by ktokolwiek mógł sprawić, żeby kapitan przestał odczuwać nienawiść, która wkrótce go zniszczy. Nawet Brandy Winters.

Brandy zamknęła za sobą drzwi salonu z widokiem na ocean i oparła się o nie. Zza drzwi dobiegł ją odgłos tłuczonego szkła, a potem huk, gdy coś ciężkiego rozbiło się na ścianie.

Na myśl o cierpiącym mężczyźnie po drugiej stronie aż ścisnęło ją w piersi. Marcus doszedł już tak daleko, poczynił takie postępy. Teraz znów cierpiał i trzeba było coś z tym zrobić. Zacerpnęła drżącego oddechu, ruszyła poprzez labirynt galerii i korytarzy, i niezapowiedziana pchnęła drzwi gabinetu Reksa Delaine.

- Muszę z tobą pomówić - oznajmiła. - To ważne.

Porzucili formalności i od jakiegoś czasu mówili sobie po imieniu. Byli towarzyszami, zjednoczonymi wspólnym celem; oboje o tym wiedzieli i to akceptowali. Każde doceniało troskę drugiego o Marcusa i było wdzięczne za pomoc.

Rex uniósł czarne brwi i wstał zza biurka.

- Sądząc z rumieńca na policzkach i ognia w oczach, widzę, że tak właśnie jest. Zamknij może jednak drzwi.

Nie zawahała się, zrobiła natychmiast to, co zasugerował, a potem podeszła do biurka i stanęła tuż przed nim. Rex wskazał jej gestem krzesło, lecz odmówiła.

- Nie mogę tego znieść, Reksie. Od trzech dni, odkąd odwiedził nas Hamish, twój brat zachowuje się jak szaleniak. Wszystko, co udało się nam osiągnąć, pójdzie na marne, jeśli nie zdołamy jakoś do niego dotrzeć.

Rex westchnął i przeczesał długimi palcami gęste czarne włosy.

- Tego się obawiałem. Od wypadku modliłem się, aby nie wyszło na jaw, iż było w tym coś więcej.

Wolałem nie myśleć, jak zareagowałby Marcus, gdyby się dowiedział, że ktoś dopuścił się sabotażu.

- Zachowuje się, jakby stracił rozum. Kiedy nie knuje, jak znaleźć człowieka, który za to odpowiada, miota się i wykrzykuje, co mu robi, gdy go już znajdzie. Nienawiść i żądza zemsty zżerają go żywcem.

- Z czasem te uczucia osłabną.

- Na zewnątrz może i tak, ale nie głęboko w środku. Rozmyśla tylko o zemście. To czyste szaleństwo, Rex. Zniszczy go skuteczniej niż wszystko, co przydarzyło mu się do tej pory.

- Zgadza się z tobą, nie wiem tylko, jak temu zaradzić. Przed wypadkiem brat był silnym, władcym mężczyzną. Spora część tego wróciła, głównie dzięki tobie. Pragnienie zemsty jeszcze przydaje mu sił. Teraz zamierza wykorzystać tytuł oraz pozycję, aby znaleźć człowieka, który zniszczył mu życie. Na jego miejscu postąpiłbym zapewne tak samo.

Brandy jęła przemierzać pokój, zamiatając spódnicą podłogę.

- Kiedy tak to ujmujesz, niemal cię rozumiem. Mimo to nadal uważam, że nie tędy droga.

Zatrzymała się na chwilę, a potem podeszła znowu do biurka.

- Dużo o tym myślałam, Rex. Jak powiedziałeś, Marcus jest teraz silniejszy, nie tylko fizycznie, ale i emocjonalnie. Uważam, że powinieneś sprowadzić znów tego lekarza, wiesz, tego z Londynu, który uważał, iż jest szansa, że Marcus będzie kiedyś chodził.

Rex pochylił się na krześle.

- Doktora Merriweathera? -Tak.

- Wyjaśniłem ci, dlaczego nie chcę tego robić. Nie zmieniłem zdania.

Brandy pochyliła się nad biurkiem i położyła dłonie na dłoniach Reksa.

- Musisz, Rex. Trzeba przynajmniej spróbować. Powiedziałeś, że doktor Merriweather sądzi, iż gdyby Marcus zechciał się postarać, można byłoby pobudzić jego mięśnie do pracy. Zakładam, że wymagałoby to ze strony Marcusa nie lada wysiłku?

- Tak zrozumiałem.

- Czy może być zatem lepszy sposób, aby skanalizować ten straszliwy gniew? Lepszy, niż postawić przed nim wyzwanie, dając nadzieję, że będzie znów chodził?

Rex zastanawiał się przez dłuższą chwilę. Brandy wstrzymała oddech, modląc się w duchu, pragnąc, by dano Marcusowi szansę, i wzdrygając się przed myślą, iż pragnie tej szansy także dla siebie.

Rex zamknął oczy i odchylił się na krześle. Przez jakiś czas Marcus pomagał mu zarządzać majątkiem.

Brat wyglądał wtedy młodziej, wydawał się mniej znużony. Od kiedy w Hawksmoor pojawił się

Hamish, przywożąc bulwersujące nowiny, pod oczami Reksa pojawiły się znów ciemne kręgi, a jego twarz pobladła.

- Zgoda - powiedział w końcu. - Poślę po Mer-riweathera.

Brandy pisnęła z radości, pochyliła się nad biurkiem i zarzuciła Reksowi ramiona na szyję.

- Dziękuję. Bardzo ci dziękuję.

Rex uwolnił się delikatnie i odsunął. W jego spojrzeniu dostrzegła coś, czego nie widziała tam nigdy wcześniej, nie była jednak w stanie rozpoznać, co to takiego.

- Proszę bardzo - odparł. - Lecz jeszcze mi nie dziękuj. Może zdarzyć się bowiem i tak, że Merri-weather go zbada i postawi inną diagnozę. A nawet jeśli tak się nie stanie, Marcus może odmówić.

Brandy zacisnęła zęby.

- Jeśli doktor powie, że jest szansa, choćby najmniejsza, na poprawę, nie pozwolę mu odmówić.

- A jeśli spróbuje i poniesie klęskę? Co wtedy zrobisz?

Brandy ścisnęło w piersi. Nie była w stanie znieść myśli o tym, wyobrazić sobie, jak cierpiałby Marcus, gdyby jego nadzieje obróciły się wniwecz. Zamrugła, powstrzymując niechciane łzy.

- Będę go kochała, Reksie, tak jak zawsze go kochałam. I jakoś pomogę mu przez to przejść.

Rex milczał, a w jego oczach pojawił się znów ten dziwny wyraz.

- Mój brat jest głupcem - stwierdził wreszcie. - Nie sądziłem, że kiedykolwiek to powiem, ale tak właśnie jest.

Brandy nie wiedziała, co Rex ma na myśli. Jedno spojrzenie na twarz mężczyzny przekonało ją wszakże, iż lepiej się w to nie zagłębiać.

## Rozdział 16

Marcus siedział za biurkiem z orzechowego drewna w niewielkiej bibliotece, która zastępowała mu gabinet. Przeglądał arkusz leżący na stosie dokumentów, który przed chwilą mu wręczono.

Naprzeciw siedziało dwóch detektywów z Bow Street: Mickey Reynolds i Colin Kelly. Reynolds, wysoki i postawny, miał kędzierzawe brązowe włosy i obfite bokobrody. Zatrudniono go, kiedy na statkach Przedsiębiorstwa Żeglugowego Hawks-moor zaczęły zdarzać się „wypadki”. Colin Kelly, partner Reynoldsa, szczuplejszy i bardziej elegancko ubrany, dołączył do drużyny, gdy na pokładzie „Morskiego Jastrzębia” wydarzyła się katastrofa i kapitan stracił władzę w nogach.

- Odwaliliście kawał dobrej roboty - powiedział Marcus. - Informacje na temat Atlantic Limited są bardzo dokładne. Z tego, co tu przeczytałem, wnoszę, iż praktycznie wyeliminowaliście ich jako podejrzanych.

- Taka jest właśnie nasza konkluzja, milordzie. - Reynolds przesunął się na skraj krzesła. - Kompania jest dobrze zarządzana i raczej nie ma w jej władzach nikogo, kto zechciałby posunąć się do sabotażu.

- A Kompania Mórz Chińskich?

Tym razem odpowiedział Irlandczyk Kelly:

- Przykro mi to mówić, *sir*, lecz nie jesteśmy jeszcze pewni. Człowiek na górze ma opinię bezwzględnego, zdolnego zrobić wszystko, byle uzyskać dla kompanii pieniądze. Nie wiemy tylko, czy byłby gotów posunąć się do tego, aby narazić na poważne niebezpieczeństwo statek i jego załogę.

- Mówicie o Oliverze St. Simon - wtrącił Marcus. Zetknął się przy kilku okazjach z mężczyzną, który stał na czele konkurencyjnej kompanii.

- Tak, *sir*, w rzeczy samej. St. Simon sprzedałby własną matkę, gdyby mogło mu to przynieść jakąś korzyść.

Gniew ścisnął Marcusa za gardło. Ledwie był w stanie oddychać.

- Znam St. Simona. I zgadzam się z waszą oceną. Muszę mieć jednak pewność, że jest odpowiedzialny za to, co stało się z moim statkiem.

- Pracujemy nad tym, milordzie - odparł Reynolds. - Od jakiegoś czasu próbowaliśmy wprowadzić do kompanii szpiega i właśnie nam się udało. Człowiek, o którym mowa, posiada dość władzy, aby uzyskać informacje, które pozwolą rozstrzygnąć sprawę raz na zawsze. Taką mamy przynajmniej nadzieję.

Marcus skinął głową, starając się zapanować nad gniewem i nienawiścią, które wrzały w nim, bulgocząc niczym smoła w kociołku. Nie była to odpowiedź, jakiej by sobie życzył, wiedział jednak od początku, iż będzie musiał uzbroić się w cierpliwość.

W końcu, czego jak czego, ale czasu mi nie brakuje, pomyślał z goryczą.

- Nie rozmawialiśmy jeszcze o przedsiębiorstwie Reese'a. Wspomnieliście w raporcie, że po-

za Kompanią Mórz Chińskich to Palmer Reese, działający osobiście albo za czyimś pośrednictwem, zajmuje na liście podejrzanych jedno z głównych miejsc.

- Tak, *sir* - odparł Kelly. - Pan Reese ma poważne kłopoty finansowe, i to od dłuższego czasu. Próbuje utrzymać to w sekrecie, lecz wieści już się rozeszły.

Palmer Reese. Czy byłby zdolny do tego, by zniszczyć konkurencyjne przedsiębiorstwo, nie bacząc na straty w ludziach? Znał Palmera od lat. Zawsze uważał go za słabeusza, mazgaja bez charakteru, niezdolnego zaplanować i przeprowadzić kampanię taką jak ta.

- Jesteście pewni, że plotki nie kłamią?

- Jeszcze nie, *sir*, lecz wkrótce się tego dowiemy. Marcus zastanawiał się przez chwilę i uznał, że gdyby Palmer popadł w tarapaty, z pewnością starałby się to ukryć.

- Czy istnieje możliwość, że sabotażu dokonała pojedyncza osoba, ktoś żywiący względem mnie urazę - marynarz albo rozgoryczony pracownik?

Mężczyźni potrząsnęli zgodnie głowami.

- Uszkodzenia były zbyt poważne - powiedział Reynolds. -1 nie chodziło tylko o „Morskiego Jastrzębia”. Ucierpiały także „Sokół” i „Kruk”. Taki ktoś musiałby dysponować sporym kapitałem, aby znaleźć i opłacić ludzi, którzy potrafiliby się tym zająć.

Wiedział to, oczywiście, czuł jednak, że musi zapytać.

- Jak powiedziałem, zebraliście mnóstwo interesujących informacji. Teraz pora działać. Chcę, byście się dowiedzieli, kto skorzystał na tym, że Przedsiębiorstwo Żeglugowe Hawksmoor straciło

kontrakty, zwłaszcza gdy „Jastrząb” trafił na dłużej do doku. Prawdopodobnie skorzystali do pewnego stopnia wszyscy konkurenci, dla nas interesujące okaże się jednak, kto zyskał najwięcej. Kompania, odpowiedzialna za sabotaż - zakładając, iż o to właśnie chodzi - musiała być przygotowana, by przejąć kontrakty i je wypełnić.

Reynolds oparł się wygodniej na krześle.

- Celna uwaga, milordzie. Zaczniemy, gdy tylko znajdziemy się na powrót w Londynie.

- Tak, dokładnie - wtrącił Kelly. - Jest szansa, że kiedy znów się skontaktujemy, będziemy wiedzieli, kim jest pański prześladowca.

Marcus nie odezwał się więcej. Zignorował ból pleców i potarł bezwładne nogi, żałując, iż zamiast drętwy nie czuje bólu właśnie w nich. Pomyślał znów o Palmerze Reese, gładkim i wygadany, a zarazem śliskim.

Nigdy go nie lubił, choć jego ojciec przyjaźnił się z ojcem Palmera i często zapraszał obu do Hawks-moor House.

W tamtych czasach Palmer był po prostu samolubny i denerwujący. Teraz Marcus zastanawiał się, czy to kolega z dzieciństwa stał za nieszczęściami, które przydarzyły się firmie i jemu osobiście. I czy pewnego dnia będzie musiał go zabić.

\*\*\*

Brandy stała przed drzwiami gabinetu Marcusa, przyglądając się, jak dwaj mężczyźni: jeden wysoki i postawny, drugi smukły i dobrze ubrany, opuszczają pokój. Rex powiedział jej, że to śledczy



z Bow Street, których Marcus wynajął, by dowiedzieli się, kto dokonywał sabotażu na statkach.

Wzdrygnęła się na myśl o tym, wspomniała nienawiść w oczach Marcusa, gdy mówił o sabotaży-ście, żądę zemsty, trawiącą go od środka i wypalającą wszelkie inne uczucia.

- Jesteś gotowa? - Rex Delaine stał obok niej, wysoki, ciemnowłosa i niemal równie przystojny jak brat.

Postanowili zmierzyć się z Marcusem we dwoje, niczym dwuosobowa armia, gotowa walczyć z dobrze wyćwiczonym batalionem.

- Rzadko bywam gotowa stawić czoło Marcuso-wi podczas jednej z jego tyrad, a dziś bez wątpienia możemy takiej się spodziewać. Niestety, nie mam wyboru. Nie, kiedy doktor Merriweather czeka w salonie.

Rex uśmiechnął się w ten sam ciepły, bardzo męski sposób co Marcus. Boże, ależ brakowało jej tego uśmiechu!

Pchnęli drzwi i weszli. Zastali Marcusa pochylonego nad biurkiem. Szkoda, że to nie księgi Hawks-moor przegląda z takim zaangażowaniem, pomyślała. Niestety, na biurku leżał stos innych dokumentów - notatek i obserwacji dotyczących się ewentualnych podejrzanych.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam - powiedział Rex i brat poderwał raptownie głowę. - Musimy jednak o czymś pomówić.

Marcus uniósł czarne, mocno zarysowane brwi, nadal dzierżąc w dłoni srebrną obsadkę z białym piórem. Popatrzył najpierw na Reksa, potem na Brandy, i znowu na brata.

- To znaczy...?

Rex wprowadził Brandy głębiej do pokoju i zamknął za nimi drzwi. Wyraz podejrzliwości na twa-

rzy Marcusa sprawił, że serce Brandy zaczęło szybciej bić. Kolana miała jak z waty i ledwie mogła utrzymać się na nogach. Wiedziała, jaki potrafi być uparty. Modliła się więc z całego serca, by zaryzykował i dał sobie szansę.

- Przyszliśmy porozmawiać o twoim zdrowiu - powiedział Rex.

- O moim zdrowiu? - Była to ostatnia rzecz, jaką spodziewał się usłyszeć. Wyprostował zatem plecy, poświęcając im całą uwagę. - O czym ty, u licha, mówisz?

Brandy podeszła bliżej, zatrzymując się w połowie drogi do biurka.

- Twój brat i ja przyszliśmy w sprawie kogoś, kto przyjechał na nasze życzenie aż z Londynu: doktora Winifreda Merriweathera. Pamiętasz zapewne, że widziałeś się z nim w mieście?

Marcus odłożył z przesadną ostrożnością pióro na srebrną podstawkę.

- Owszem, pamiętam go całkiem dobrze. Poprawcie mnie, jeśli się mylę, ale czy to nie ten sam człowiek, którego pięciu najlepszych lekarzy w Anglii nazwało przeklętym głupcem?

Irytacja sprawiła, że serce Brandy zaczęło mocniej bić, uderzając o żebra.

- Może to oni są głupi.

- No, dalej. Co próbujecie mi powiedzieć? Rex też zbliżył się do biurka.

- Chcemy, byś pozwolił doktorowi się zbadać. A jeśli Merriweather nadal sądzi, że jest szansa, byś mógł znowu chodzić, chcemy, żebyś spróbował.

Twarz Marcusa pociemniała.

- Chcicie, żebym spróbował? - Wyrznął pięścią w blat biurka. - Na Boga, czy naprawdę sądzicie, że nie próbowałem? Nie ma dnia, bym nie próbo-

wał sprawić, żeby te przeklęte nogi poruszyły się choć o milimetr, lecz dotąd tak się nie stało. I nigdy nie stanie! Sądziłem, że akurat wy potraficie to zrozumieć. - Spojrzał ostro na Brandy. - A może panna Winters i jej przekłety optymizm przekonały cię, że obaj się mylimy?

Brandy podeszła energicznie do biurka i oparła dłonie na blacie.

- Może i jestem optymistką, Marcusie, lecz jeśli tak, dziękuję za to Bogu. Zdaję sobie sprawę, iż sądzisz, że nigdy nie będziesz chodził, i może masz rację. Lecz jeśli jest szansa, choćby najmniejsza, powinieneś spróbować. Będzie to wymagało podjęcia ryzyka, tak. Wzbudzisz w sobie nadzieję, która może okazać się daremna. Ale mężczyzna, którego poznałam na „Morskim Jastrzębiu”, nie bał się ryzyka.

- Już nim nie jestem.

- Naprawdę? Myślę, że jesteś. Zresztą cóż to za ryzyko zobaczyć się z lekarzem i wysłuchać, co ma ci do powiedzenia?

Marcus nie odpowiedział. Brandy widziała, że zмага się z sobą, a rozpacz i lęk walczą w nim z nadzieją.

- Porozmawiaj z lekarzem, Marcusie - prosiła. - Zrób dla siebie przynajmniej tyle. Rex i ja będziemy przy tobie. Jeśli doktor zmieni zdanie, uzna, że to beznadziejne, będziesz mógł narzekać bez końca i dowodzić, że miałeś rację, a my zrobiliśmy z siebie głupców.

Marcus nadal milczał, widać było jednak, że z sobą walczy. Potarł dłonią oczy.

- Nie mogę... nie wiem, czy...

Brandy uznała, że pora rzucić na szalę ostatni argument.

- Te dokumenty, które czytałeś... Przynieśli je śledczy, prawda? Studiowałeś je, ponieważ chcesz znaleźć człowieka odpowiedzialnego za twój wypadek.

- Co to ma wspólnego z...

- Pomyśl, co bylibyś w stanie zrobić, gdybyś mógł chodzić.

Ciało Marcusa stężało. Na policzku drgał mięsień. Nienawiść, którą widziała już tyle razy, zniekształciła mu rysy, zmieniając twarz w maskę. Mimo to nadal milczał.

W końcu skinął jednak głową.

- Dobrze, zobaczę się z nim. - Z goryczą uśmiechnął się do Brandy. - Czyż mógłbym odmówić, skoro tak przekonująco mi to wyłuszczyliście?

Gorycz w jego głosie sprawiła, że Brandy aż się wzdrygnęła. Pragnęła wyciągnąć ramiona, dotknąć go, przytulić i odsunąć ból.

Powstrzymała się jednak i wkrótce dwaj lokaje ponieśli krzesło z Marcusem do saloniku w końcu korytarza. Gdy weszli, obecny tam mężczyzna odwrócił się i zobaczyła, że jest smukły, niepozorny, ma jasnobrązowe włosy i łagodne rysy.

- Miło mi pana znów widzieć, lordzie Hawks-moor. - Objął spojrzeniem postać na krześle i uśmiechnął się z aprobatą. - Wygląda pan doskonale. Morskie powietrze panu służy.

Marcus zerknął z nieodgadnioną miną na Brandy, a potem zwrócił spojrzenie znów na lekarza.

- Morze zawsze mi służyło. - Poleciał lokajom, by postawili krzesło obok sofy. - Brat i panna Winters przekonali mnie, bym poddał się znów pańskim diabelskim sztuczkom. Jeśli po to pan przybył, bierzmy się od razu do roboty. Mam ważniejsze sprawy niż zaspokajanie kaprysów moich przyjaciół.

Doktor nie odpowiedział, skinął jedynie głową. Podeszedł do niewielkiego skórzanego sakwojaza, otworzył go i jął wyjmować instrumenty.

- Przyślę Fredericka, by pomógł ci się rozebrać - powiedział Rex. - Zaczekamy w zielonym salonie. Zawiadom nas, kiedy skończycie.

Ruszyli ku drzwiom. Marcus burknął pod nosem coś, czego Brandy nie zrozumiała, i Rex zamknął za nimi drzwi. Dłonie miała spocone, a serce tłukło jej się jak szalone w piersi. Weszli do zielonego salonu. Usiadła na ciemnozielonej, obitej brokatem sofie, a potem czekała, aż Rex poleci, aby podano herbatę. Przyłączył się do niej po kilku minutach. Usiadł obok i robił, co mógł, by ją rozerwać. Na próżno jednak. Nie czuła się na siłach podtrzymać rozmowy, toteż w końcu Rex poddał się i w pokoju zapadła cisza. Próbowwała nie myśleć o Marcusie, o tym, jak musi się czuć, lecz było to niemożliwe. Boże, czy słusznie postąpiła? Skłoniła go, by poddał się badaniu, skłoniła obu braci, aby podjęli ryzyko. A jeśli lekarz zmieni zdanie? Czy pozbawi to Marcusa resztek nadziei? Może już tak się stało, choć prawdę mówiąc, nie sądziła.

Powiedział, że co dzień próbuje poruszyć nogami. Wierzyła zatem, iż nadal tli się w nim nadzieja. Lecz jeśli Merriweather uzna, że nie ma szans na wyzdrowienie, czy nie zgasi to wątłego płomyka tej nadziei? Poruszyła się na sofie. Z napięcia zaschło jej w gardle.

- Wydaje się, że trwa to w nieskończoność. Rex spojrzał na nią znad gazety, którą rzekomo czytał.

- Lepiej, by lekarz się nie spieszył, niż postawił złą diagnozę.

Żołądek Brandy skurczył się, zwiął w ciasny węzeł.

- Tak, oczywiście. Ja też tak uważam.

Nie czyniło to jednak czekania łatwiejszym. W salonie zapadła znów cisza, przerywana jedynie tykaniem zegara... nie, zegarów. Uświadomiła sobie, że jest ich tu kilka - połączony na kominku, czarny tekowy na rzeźbionym stole pod ścianą i mniejszy, o porcelanowej tarczy pomalowanej w drobne niebieskie kwiatuszki. A wszystkie tykały, grając jej na nerwach.

Minuty przeciągnęły się w godzinę. Rex przestał w końcu udawać, że czyta, i zaczął przemierzać podłogę przed oknem. Brandy poruszyła się na sofie, upiła łyk zimnej już teraz herbaty... i wtedy ktoś zapukał głośno do drzwi.

- Dzięki ci, Boże. - Rex ruszył natychmiast w tym kierunku. - Nieważne, co powie lekarz, i tak nie może to być nic gorszego niż okropne myśli, które przebiegały mi przez głowę.

Rzeczywiście, była to prawda. Przeszli ramię w ramię korytarzem do pokoju, gdzie czekał doktor, przystając tylko na chwilę, by zebrać się w sobie. A potem Rex otworzył wysokie, ozdobne drzwi.

Marcus siedział na sofie po drugiej stronie pokoju, ubrany jak wcześniej w gołębioszary bryczesy, białą batystową koszulę i granatowy żakiet. Minę miał tak nieprzystępną i ponurą, że wieści musiały być złe.

Serce zamarło Brandy w piersi. Boże, co najlepszego zrobiła? Chciała pomóc Marcusowi, a jedynym, co udało jej się osiągnąć, było przysporzenie mu cierpienia. Przełknęła ślinę tak głośno, że z pewnością było to słychać w całym poko-

ju. Nogi ugięły się pod nią, kiedy szła po orientalnym dywanie. Chociaż wiedziała, że nie powinna tego robić, przycupnęła na sofie obok Marcusa, niezdolna się powstrzymać. Zmarszczył brwi, lecz nie poprosił, by się przesiadła. Ujęła pod wpływem impulsu jego dłoń, uniosła ją do ust i delikatnie pocałowała.

Kocham cię, miała ochotę powiedzieć. To wszystko nie ma znaczenia. Tak bardzo cię kocham.

Zamiast tego oderwała z trudem wzrok od jego twarzy, napotkała zmartwione spojrzenie Reksa, dostrzegła w nim odbicie własnych obaw i zmusiła się, by spojrzeć na lekarza. Zaskoczona stwierdziła, że się uśmiecha.

- Nie zmieniłem zdania, jeśli wasze ponure miny świadczą o tym, iż tego właśnie się obawialiście. Nadal jestem przekonany, że jeśli lord Hawksmoor zechce zrobić, co należy, istnieje duża szansa, iż będzie znów w stanie chodzić.

- Skoro tak - zapytał z uporem Marcus - dlaczego żaden z kilku prominentnych lekarzy nie podziela pańskiej opinii?

Doktor schował do torby dziwny instrument przypominający młotek.

- Może się boją. Jest pan wpływowym człowiekiem, milordzie. Gdyby okazało się, że postawili złą diagnozę, nie spoglądałby pan na nich przychylnie. Prawdę mówiąc, pański gniew odczuliby naprawdę dotkliwie.

Marcus przyglądał się mu z ponurą miną.

- Ale pan się nie boi. Dlaczego, doktorze Merriweather?

Doktor schował ostatni instrument do skórzanej torby.

- To proste, milordzie. Jestem młody i moja kariera dopiero się rozwija. Dlatego mogę podjąć ryzyko, którego inni wolą unikać. I wierzę w siebie. Żywię głębokie przekonanie, iż jest szansa, że będzie pan znowu chodził, a jeśli tak się stanie, z pewnością okaże mi pan wdzięczność. Krótko mówiąc, dla mnie nagroda warta jest ryzyka.

- A czym ja będę musiał zaryzykować? - spytał Marcus.

- Nie ma pan nic do stracenia, a wszystko do zyskania. Niestety, czekał pan niemal zbyt długo.

Doświadczenie podpowiada mi, że jeśli pacjent nie rozpocznie rehabilitacji w ciągu pierwszego półrocza od wypadku, szanse na wyzdrowienie gwałtownie maleją.

Teraz przemówił Rex:

- I twierdzi pan, że nie jest za późno? Jest jeszcze czas i jeśli brat natychmiast podejmie stosowne działania, jego mięśnie zaczną znowu pracować?

- Takie jest moje zdanie.

- A o jakim działaniu mowa? - zapytał Marcus z rezerwą. Zachowywał się tak od wypadku, skrywając cierpienie i lęk za maską gburowatości. Lecz choć próbował to ukryć, Brandy czuła, że budzi się w nim nadzieja. I zamierzała, w ten czy inny sposób, skłonić go, by zaryzykował.

- Będzie pan potrzebował kogoś, kto pracowałby z panem dzień po dniu - powiedział lekarz. - Masował panu nogi, pomagał wzmocnić mięśnie. Zalecam gorące kąpiele, by je rozluźnić. Będziemy potrzebowali odpowiedniego wyposażenia, czegoś, co pomoże panu się poruszać, podpórek, których mógłby pan używać, kiedy będzie pan zmuszał mięśnie do pracy.



- Frederick jest wystarczająco silny - zauważył Rex. - I przywykł do przenoszenia cię z miejsca na miejsce. A wykonanie potrzebnego sprzętu nie powinno stanowić problemu.

Marcus zastanawiał się przez chwilę.

- Tak, jeśli okażę się dość głupi, aby spróbować, Frederick z pewnością mógłby okazać się użyteczny... w pewnej mierze. Nie czułbym się jednak dobrze, gdyby mężczyzna zajmował się mną w tak intymny sposób. - Utkwił ostre spojrzenie w twarzy Brandy. - Do tego potrzebowałbym pomocy kogoś innego.

- Kogo? - zapytał Rex.

Marcus wygiął wargi w uśmiechu, który można byłoby opisać jedynie jako złowróżbny.

- Cóż, oczywiście panny Winters. Jeśli zgodzi się mi pomagać, podejmę próbę. Jeśli nie, odmówię.

Doktor poderwał głowę, zaskoczony tak bardzo, że okulary zsunęły mu się po nosie.

- Panny Winters? Wolałby pan pomoc ze strony kobiety?

- To absurd - zaprotestował Rex. - Nie możesz oczekiwać, że dama będzie zajmowała się tobą w tak intymny sposób. Jej reputacja legnie w gruzach.

Marcus nie spuszcza! z Brandy spojrzenia ciemnoniebieskich oczu.

- Dama zapewniła mnie, i to nie raz, iż nie przywiązuje wagi do reputacji.

Rex wstał z krzesła.

- Ale z pewnością nie możesz oczekiwać...

- Oczywiście, chętnie jej zapłacę. Ile zechce. Jeśli mam c a ł k o w i c i e wyzdrowieć, pomoc panny Winters jest niezbędna.

Rex nie odczytał najwidoczniej aluzji, która sprawiła, że policzki Brandy mocno poróżwiały. Marcus chciał być znowu mężczyzną - w pełnym sensie tego słowa. I chciał ukarać ją za to, iż wzbudza w nim nadzieję, która, jak się obawiał, może okazać się daremna.

Brandy uniosła wyżej brodę. Doszła już tak daleko, tyle osiągnęła. Nie pozwoli, by wykorzystał jej odmowę i odrzucił szansę.

- Nie potrzebuję pieniędzy. Jest jednak coś, co chętnie przyjmę w zamian za pomoc.

Zmarszczył brwi zaskoczony, jakby był pewien, że Brandy odmówi, co da mu pretekst, by uciec przed nadciągającą katastrofą.

- To znaczy...?

Brandy spojrzała na lekarza przyglądającego się im z nieskrywanym zainteresowaniem.

- Posiadam solidne, ale zaledwie podstawowe wykształcenie. Umiem poprawnie się wyrażać, czytać, pisać i rachować. Nie mam jednak pojęcia o bardziej wyrafinowanych sprawach. Chciałabym nauczyć się, jak poruszać się w towarzystwie, jak się ubierać, zachowywać, może nawet tańczyć. Krótko mówiąc, chcę zostać damą. Jeśli mi w tym pomożesz, ja pomogę tobie.

W pokoju zapadła cisza. Rex zmarszczył brwi, podczas gdy oczy Marcusa błyszczały.

- Można wynająć nauczyciela, znającego się na tego typu sprawach. Natychmiast każę tu któregoś sprowadzić. Kiedy nie będziesz pracowała ze mną, możesz spędzać czas z nim.

- Zdaje sobie pani sprawę, panno Winters - wtrącił lekarz - że obowiązki pani będą wymagały bliższego kontaktu z ciałem jego lordowskiej mości.

Brandy poczerwieniała jeszcze bardziej. Rex otworzył usta, lecz powstrzymała go, nim zdążył się odezwać. Uniosła jeszcze wyżej brodę.

- Zdążyłam już zaznajomić się z ciałem jego lordowskiej mości i pozostali dwaj dżentelmeni doskonale o tym wiedzą. To, co pan sugeruje, nie będzie stanowić problemu.

Doktor uniósł brwi.

- Ja jestem zaś pewien, że pan, doktorze Merri-weather - wtrącił Marcus z nutką ostrzeżenia w głosie - stanowi istne uosobienie dyskrecji.

Doktor wydał z siebie cichy, trudny do rozpoznania dźwięk, a potem skinął sztywno głową.

- Oczywiście, milordzie.

Brandy uśmiechnęła się z przymusem. Wymagało to nie lada wysiłku, gdyż nie była wcale pewna, czego właściwie się podjęła.

- Dobiliśmy zatem targu, milordzie. Powrót do dawnego życia dla ciebie w zamian za nowe życie dla mnie.

Marcus się nie odezwał. Rex z gniewną miną potrząsnął głową. Doktor popatrzył na pacjenta i uśmiechnął się usatysfakcjonowany.

## Rozdział 17

Wiatr zawodził pomiędzy drzewami, omiatając lodowatym podmuchem skalistą glebę. Obluzowana okiennica w pokoju piętro wyżej uderzała miarowo o kamienną ścianę. Deszcz spowijał okolice szarą zasłoną, spływając strugami po szybach i bębniąc o dach.

Marcus leżał w łóżku, przysłuchując się grzmotowi fal uderzających o brzeg, a potem cofających się z sykiem w morze. Znajome odgłosy dręczyły go, przywołując bolesne wspomnienia, zmuszając, by wracał myślami do życia, jakie wiódł przed wypadkiem i do jakiego pragnął rozpaczliwie powrócić. Wystarczyło, że przymknął oczy, a był znów na pokładzie „Morskiego Jastrzębia”, walcząc z falami i wiatrem, wykrzykując rozkazy, przyglądając się, jak jego ludzie zmagają się ze sztormem, wdychając zapach morza, czując krople deszczu na twarzy.

Ból nasilał się, przygniatając kamieniem pierś. Tęsknota za przyszłością, która została mu odebrana, rosła Marcusowi w gardle, grożąc uduszeniem. Boże, ależ brakowało mu morza! Słonej mgiełki na twarzy i pokładu tańczącego pod stopami. Potrzebował ich tak, jak głodujący potrzebuje pożywienia, tonący powietrza.

Nadzieja na to, iż będzie mógł wrócić do życia, które tak ukochał, majaczyła w oddali niczym pokusa, której nie sposób się oprzeć.

Wbił wzrok w baldachim z ciężkiego złotego aksamitu, rozmyślając o bolesnej decyzji, jaką tego dnia podjął. Merriweather powiedział, że niczym nie ryzykuje, nie była to jednak prawda. Ryzykował całym sobą, stawiając na szali zdrowie psychiczne, a tym samym życie. Wiedział, że jeśli plan doktora ma się powieść, musi dopuścić możliwość, iż będzie mógł pewnego dnia chodzić. Uwierzyć w nią. Lecz kiedy to zrobi, jego nadzieje wzrosną niewyobrażalnie.

Wykorzysta każdy gram energii, każdy strzęp woli, by osiągnąć cel. Lecz jeśli mu się nie uda... Nie był wcale pewny, czy zdoła znów poddać się rezygnacji i pogodzić z tym, iż spędzi resztę życia jako inwalida.

Już po wypadku wymagało to uruchomienia całej siły woli, jaką dysponował kiedykolwiek.

I niezachwianych wysiłków Brianne, by poczuł się znowu sobą.

Oczywiście nie w pełni się to udało. Uczynił jednak znaczący krok ku pogodzeniu się z czymś, co uznał za wolę bożą i nauczeniu się, jak z tym żyć. Teraz pojawiła się kolejna szansa i życie znów wywróciło się do góry nogami.

Móc znowu chodzić. Być sobą. Mając władzę w nogach, mógłby odzyskać wszystko, co stracił, stać się na powrót tym, kim był.

No i jeszcze Brianne.

Ją także stracił, chociaż nie myślał o tym w ten sam sposób, jak o utracie życia, które uwielbiał, czy ukochanego statku. To nie to samo, powtarzał sobie. Brandy jest kobietą. Nigdy nie będzie już

tak samo. Lecz spoglądanie na nią każdego dnia bolało. Podobnie jak to, że tak bardzo pożądał dziewczyny, bojąc się choćby jej dotknąć.

Bolałoby jeszcze bardziej, gdyby wyjechała.

Myśl pojawiła się znikąd. Nie chciał przyjąć jej do wiadomości, przyznać, że uzależnił się aż tak od kobiety, że rozpaczliwie jej potrzebuje. Oczami wyobraźni widział Brandy, widział miękką krzywiznę ust, drżących, gdy je całował, delikatne rysy i ogniste sploty. Wyobraził sobie, że kocha się z nią jak wówczas na statku, i ogarnęło go poczucie winy. Wykorzystał ją wtedy. Pożądał dziewczyny, więc ją sobie wziął.

A jeśli zgodzi się podjąć wyzwanie rzucone mu przez lekarza, znów będzie ją wykorzystywał.

Zygzak błyskawicy przeciął niebo za oknem, oświetlając surowy kornwalijski krajobraz. Niski, dudniący grzmot przetoczył się nad skalistą ziemią.

Marcus przysłuchiwał się temu, rozmyślając o Brianne. Do licha, nie zamierzał jej tknąć. Zrobił wszystko, co mógł, by do tego nie doszło. Nie zdołał oprzeć się pokusie i teraz też nie potrafi. I choć bardzo nie chciał tego przyznać, wiedział, że jej potrzebuje. Dodawała mu siły, gdy sądził, że nie ma jej już ani trochę. A także odwagi, kiedy przypuszczał, że zupełnie ją stracił. Troszczyła się o niego w sposób, którego nie był sobie w stanie wcześniej wyobrazić i bez jej pomocy z pewnością mu się nie uda.

Prawdę mówiąc, podczas tych kilku tygodni, jakie spędziła z nimi w Hawksmoor, czuł się niemal zadowolony. A potem pojawił się Hamish i świat znów zachwiało się w posadach.

Zacisnął bezwiednie dłoń. Mięśnie klatki piersiowej także się zacisnęły, otaczając pierś niczym

stalowe wstęgi. Gorycz rosła kulą w gardle, a z chęci zemsty niemal kręciło mu się w głowie. Zrobi wszystko - absolutnie wszystko - by znaleźć i zniszczyć człowieka, który zrujnował mu życie. Pomyślał o tym człowieku bez twarzy i nazwiska, i poczucie winy w stosunku do Brianne zniknęło. Potrzebował jej, aby stać się znów sobą. Bez niej mu się nie uda. Stanowiła gwarancję sukcesu. Zrobi więc to, co musi.

Doktor jął wprowadzać swój plan w życie już następnego ranka, zgodziwszy się pozostać w Hawksmoor House do końca tygodnia. Dopilnuje, by wykonano, jak należy, potrzebne wyposażenie, poinstruuje Brandy, a potem będzie wracał co miesiąc, aby ocenić postępy Marcusa.

Kowal i bednarz wzięli się ostro do roboty i wkrótce sprzęt był gotowy. Składały się na niego: zestaw mocnych poręczy, na których Marcus mógł się podciągać, wielka drewniana wanna do zanurzania nóg, specjalny stół do masażu i krzesło na kołach, by łatwiej przemieszczać pacjenta.

Kiedy wyposażenie zostało skompletowane, doktor powiedział:

- Zaczniemy pracować nad mięśniami. Najpierw zanurzymy nogi, a potem pokażę pannie Winters, jak je masować.

Brandy przełknęła mocno, próbując zignorować nagły przyptyw ciepła, od którego poróżowiały jej policzki. Marcus poddawał się manipulacjom ze stoicką miną, zacisnąwszy jedynie lekko szczęki. Gdyby nie delikatny rumieniec przyciemniający jego i tak śniadą skórę, mogłaby się nie domyślić, ile

kosztuje go poddanie się bez protestu tak jaskrawemu znieważeniu jego męskości.

Podczas gdy służący napełniali gorącą wodą drewnianą wannę w pomieszczeniu, które do tego wyznaczono - w przyjemnym pokoju w tylnej części domu, z widokiem na ocean - Brandy zajęła się składaniem ręczników. Pomogła Marcusowi zdjąć szlafrok w kolorze burgunda, a Frederick zawiózł pana za malowany parawan, ustawiony w rogu pokoju, i pomógł mu rozebrać się do końca. Potem wziął go na ręce i ułożył w wannie. Brandy odwróciła się akurat na czas, aby zobaczyć, że Marcus zaciska szczęki, a jego twarz pokrywa się potem.

- Wiem, że woda jest bardzo ciepła - powiedział doktor - lecz to niezbędne, by mięśnie mogły w pełni się rozluźnić. Za chwilę przywyknie pan do temperatury.

Marcus skinął głową. Woda była najwidoczniej gorąca nie do zniesienia, nie poskarżył się jednak i Brandy poczuła ukłucie w okolicy serca. Lekarz ostrzegał ją, że rehabilitacja nie będzie łatwa, nie mogła jednak patrzeć, jak Marcus cierpi.

- Proszę spróbować się odprężyć - powiedział Merriweather. - Gdy woda nieco przestygnie, Frederick przeniesie pana na stół i zaczniemy masaż nóg.

Co powiedziawszy, ruszył ku drzwiom, a Frederick za nim. Brandy też zamierzała wyjść, lecz Marcus zawołał ją i polecił, aby została i zamknęła drzwi.

- Skoro już muszę siedzieć w tej piekielnej wannie, możesz przynajmniej dotrzymać mi towarzystwa. Próbowала się uśmiechnąć, lecz nie wypadło to przekonująco.

- Z przyjemnością, milordzie - odparła. Prawda wyglądała jednak tak, że rozmowa z Marcusem,



siedzącym w wodzie, która ledwie zakrywała intymne części jego ciała, nie była dla niej łatwa. Wystarczyło jedno spojrzenie na gładką, śniadą skórę, długie, silne mięśnie ramion i klatki piersiowej, aby zaparło jej dech w piersi. Jak mogła zapomnieć o tym, że jest aż tak pociągający?

Odzyskał już niemal zwykłą wagę i nawet miesiące braku aktywności nie były w stanie spowodować, by mięśnie jego barków skurczyły się i zwiotczały. Solidne ich pasma pokrywały brzuch poniżej żołądka i pierś porośniętą czarnymi, kręconymi włosami. Pragnęła przeczesać je palcami, poczuć na skórze dotyk sprężystych kędziorków.

- Gapisz się, skarbie.

Odwróciła czym prędzej wzrok, czerwieniejąc z zażenowania.

- Ja... przepraszam. Zapomniałam po prostu... Uniósł ciemną brew.

- O czym mianowicie..?

- Jaki... jaki jesteś piękny.

Jego oczy pociemniały i były teraz niemal czarne. Zmierzył ją od stóp do głów spojrzeniem pełnym niedającym się ukryć pożądaniem, a potem odwrócił wzrok.

- Może masz rację - burknął. - Może byłoby jednak lepiej, gdybyś zaczęła na zewnątrz.

Przez pozostałą część tygodnia Brandy zachowywała rezerwę, przysłuchując się uważnie instrukcjom, lecz się nie angażując. Dni były długie i wyczerpujące. Rankiem Marcus moczył nogi, potem doktor zajmował się nimi, rozciągając, naciągając, masując nieużywane mięśnie. Następnie Marcusa ustawiano pomiędzy poręczami i zachęcano, żeby spróbował zmusić mięśnie do ruchu.

Ani razu mu się to nie udało.

- Mówiłem już panu i jeszcze raz to powtarzam - powiedział, kiedy Frederick posadził go z powrotem na krześle. - To się na nic nie zda. Jak bym się starał, nie jestem w stanie poruszyć choćby jednym palcem. Pot zrosił mu czoło, mięśnie ramion drżały z wysiłku.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego jest pan przekonany, że kiedyś będzie to możliwe.

Doktor uniósł koszulę Marcusa i przesunął palcem wzdłuż bladej, cienkiej blizny w dole jego pleców.

- Lekarze nie wiedzą jak dotąd zbyt wiele o uszkodzeniach kręgosłupa. Ja miałem szczęście zetknąć się z kilkoma różnymi przypadkami. Pierwszym był mój brat.

- Pański brat? - powtórzyła Brandy.

- Tak. Gdy miał dwadzieścia jeden lat, zrzucił go koń. Obrażenia, których doznał, były bardzo podobne do pańskich. - Ucisnął lekko bliznę i Marcus zeszywniał. - To znaczy, znajdowały się w podobnym miejscu. To ważne, ponieważ od tego, gdzie nastąpiło uszkodzenie, zależy, jak poważne będą skutki. W przypadku mojego brata zajęło to sporo czasu i wysiłku, lecz w końcu zaczął znów chodzić.

- I w ten sposób opracował pan metodę leczenia, którą zaleca pan teraz lordowi? - spytała Brandy. Lekarz podsunął wyżej okulary.

- Prawdę mówiąc, postępowano tak już w starożytności. Dawni Grecy i Rzymianie pisali o dobroczynnym działaniu słońca i wody. Ćwiczenia i masaż były wykorzystywane zarówno przez starożytnych Chińczyków, jak Egipcjan.

Marcus nie odezwał się, spojrzał tylko na poręcze i zacisnął szczęki. Doktor zauważył to i powiedział:

- Aby osiągnąć postęp, trzeba czasu. Nie wolno się panu zniechęcać.

Brandy widziała jednak, że Marcus nie wierzy zbytnio w sukces. Może stanowi to część problemu, pomyślała.

Marcus potrząsnął głową.

- Sam nie wiem. Gdybym poczuł jakąkolwiek reakcję, otrzymał jakiś znak, choćby i najdelikatniejszy, pokładałbym w pańskich zabiegach większą nadzieję.

Doktor zastanawiał się przez chwilę, a potem podszedł do swojej torby i dobył z niej długą, prostą i dość paskudnie wyglądającą igłę.

- Kiedy badałem pana w zeszłym tygodniu, nie był pan pewien, czy w ogóle coś czuje. Pracowaliśmy ciężko przez kilka dni, próbując pobudzić mięśnie. Chce pan, byśmy spróbowali znowu?

Podszedł do krzesła, pochylił się, zdjął Marcuso-wi but, a potem skarpetkę, obnażając smukłą stopę o ładnie uformowanych palcach i krótko obciętych paznokciach. Brandy nie sądziła dotąd, że męska stopa może wydawać się atrakcyjna, ale w przypadku Marcusa tak właśnie było.

Potem lekarz wbił szpilę w pobicie stopy Marcusa i długi mięsień w łydce bezwiednie się skurczył.

- Boże święty! - Marcus wydawał się absolutnie zaskoczony. - Poczułem to. Poczułem ukłucie!

- A twoja noga się poruszyła! - Brandy podskoczyła z podekscytowania. - Widziałam to, Marcu-sie.

Naprawdę się poruszyła!

- Tak... nie zrobiłem tego świadomie, oczywiście, ale się poruszyła.

Lekarz się uśmiechnął.

- Spodziewałem się, że tak będzie. Ma pan swój znak, lordzie Hawksmoor. Wraca panu czucie. Mogłoby stać się to już wcześniej, gdyby odpowiednio pobudzał pan mięśnie. Teraz zaczynają reagować. Reszta zależy od pana.

Brandy spojrzała na Marcusa i pomyślała, że nie zapomni nigdy wyrazu, jaki malował się w tej chwili na jego twarzy. Była to czysta determinacja.

\*\*\*

Marcus siedział na stole zrobionym specjalnie do ćwiczeń. Bezwładne nogi zwisały mu z krawędzi. Po raz dziesiąty tego ranka zaczerpnął głęboko powietrza, skupił się najbardziej, jak tylko był w stanie i spróbował poruszyć stopami.

Czoło zwilgotniało mu od potu. Mięśnie ramion stężały z wysiłku. Ściągana na szyi naprężyły się, a tylne zęby zazgrzytały o siebie tak mocno, że poczuł ból w szczękach.

Nic to jednak nie dało. Nogi nie drgnęły nawet o milimetr.

Marcus wypuścił powietrze z płuc i zaklął:

- Do diabła! Gdybym nie poczuł tego przekłętego ukłucia, kazałbym wam wszystkim się wynosić!

Ale je poczuł, było to tak pewne jak fakt, że siedział tu teraz, bezskutecznie próbując poruszyć nogami. A nadzieja, iż w końcu mu się uda, sprawiała, że próbował wciąż od nowa, nie zrażając się niepowodzeniem.

Brianne wstała z krzesła. Na twarzy dziewczyny malował się wyraz determinacji zmieszanej ze współczuciem.

- Wiem, jak ciężko pracujesz, lecz jeszcze za wcześnie, by rezygnować.

Burknął coś w odpowiedzi. Nie, nie zamierzał rezygnować. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Choć wiedział, że jest zapewne głupcem, zbudziła się w nim nadzieja i musiał doprowadzić rzecz do końca.

Zresztą nawet gdyby chciał zrezygnować, było oczywiste, że Brandy mu na to nie pozwoli.

- Już prawie skończyłeś - powiedziała. - Woda w wannie jest gorąca. Spróbuj jeszcze raz, a potem będziesz mógł się pomoczyć.

Marcus niemal się uśmiechnął. Jeszcze raz. Nieważne, ile razy próbował i jaki wysiłek w to wkładał, zawsze domagała się, by zrobił to jeszcze raz. Czasami nienawidził jej za to, lecz częściej podziwiał. Była niezwykłą kobietą, nie tylko piękną, ale lojalną i zdeterminowaną. Nie spotkał dotąd niewiasty takiej jak ona i pewnie nigdy nie spotka. Zdawał sobie sprawę, jakie ma szczęście, iż może zaliczać ją do grona swoich przyjaciół.

- Ach, tak... kąpiel - powiedział. - Doktor Mer-riweather uznał chyba, iż dobrze byłoby, aby moje mięśnie pracowały zanurzone w wodzie. Zgadza się?

Policzki Brandy poróżwiały. -Tak.

Lekarz wrócił poprzedniego dnia do Londynu. Od dziś to Brandy miała się zajmować Marcusem, który odkrył, iż nie może się już tego doczekać. To, że będzie go dotykać, masować mu nogi, pilnować kąpieli miało stanowić wyrafinowaną torturę, lecz bardzo tęsknił za dotykiem jej rąk.

Do tego dnia, póki w domu przebywał lekarz, odnosiła się do Marcusa z rezerwą, a on był z tego zadowolony. Pomagało mu to zapanować nad po-

żądaniem i skupić się na ćwiczeniach, które, Bogiem a prawdą, i tak na nic się nie zdawały.

Teraz doktor wyjechał, a Marcus uznał, iż skoro już musi znosić nieprzyjemne zabiegi, może mieć z tego choć trochę przyjemności. Wiedział, że to niemądre i tylko wzmocni pożądanie, którego nie będzie mógł w żaden sposób zaspokoić. Lecz widywanie Brandy każdego dnia, pożądanie jej w każdej minucie, jaką spędzała pod jego dachem - wszystko to sprawiało, że nie potrafił odmówić sobie tego, co był w stanie przyjąć, choćby nie mógł kochać się z nią tak, jak rozpaczliwie tego pragnął.

- Dobrze więc - powiedział. - Spróbuję jeszcze raz i zobaczymy, czy moja wola jest silniejsza niż martwy ciężar przyczepiony do torsu.

Oczywiście nie była. Nieważne, jak bardzo się natężał, jakich słów używał, by niemo im rozkazywać, mięśnie w nogach nie słuchały. A z każdą nieudaną próbą ledwie się tłący płomyczek nadziei przygasał. Wypuścił z obolałych płuc kolejną porcję powietrza, odrzucił z czoła mokre od potu włosy, odwrócił się i zobaczył, że Brianne stoi tuż obok. Osuszyła mu czoło chłodnym, wilgotnym ręcznikiem. Jej palce prześliznęły się po barkach Marcusa, okrytych jedwabnym szlafrokiem. Mięśnie pod jedwabiem stężały, a wnętrzości zalało pożądanie. Pomyślał, że chyba poczuł coś w dole brzucha.

- Następnym razem pójdzie ci lepiej - zapewniła go. - Wiem, że tak.

Przytuliła policzek do pleców Marcusa, a on nie kazał jej się odsunąć. Zmusił ją, by podjęła się tego zadania, traktując to jako swego rodzaju zemstę. A także dlatego, iż w głębi serca nie wierzył, iż może coś osiągnąć bez niej.

Poza tym, choć się do tego nie przyznawał, podświadomie sądził, że jeśli lekarz ma rację i uzdrowienie jest możliwe, obecność Brandy może pobudzić też inne części jego ciała, od czasu wypadku martwe i bezużyteczne jak nogi.

Poczuł na twarzy, a po chwili także na karku, dotyk wilgotnego ręcznika i już samo to wystarczyło, by jego puls przyspieszył. Gdy wyczuł, że Brandy zamierza się odsunąć, chwycił ją za nadgarstek i przyciągnął bliżej. Spojrzał jej w oczy, złotawe i skośne. A potem ujął ją pod brodę i pocałował. Brandy zamarła. Czuł ciepło warg dziewczyny, delikatne drżenie jej ciała. A potem zamknęła oczy i opadła na niego, oddając mu się tak, jak zawsze to robiła. Jej usta smakowały rumiankową herbatą, a włosy wydzielały słabą woń róż. Zapomniał już, jak niewiarygodnie jest słodka, jak jej usta dostosowują się do kształtu jego ust. Skłonił ją, by rozchyliła wargi, stosując delikatny nacisk, a potem wsunął pomiędzy nie głęboko język. Boże, jak cudownie było ją całować.

Nawet siedząc na stole, był od niej niemal o głowę wyższy. Brianne wyciągnęła ramiona i objęła go za szyję, pojękując cichutko. Dawny, dobrze znany ogień zapłonął Marcusowi w żyłach. Tym razem nie starał się go stłumić, pozwolił, by pożądanie rosło w nim i potężniało. Czuł jej piersi, przyciśnięte do swego torsu, miękkie, pełne i niewiarygodnie podniecające. Objął jedną, zważył w dłoni, a potem jął pieścić kciukiem sutek, zmieniając go w pulsujący, twardy węzełek.

Ogarnęła go fala ciepła, osadzając się w podbrzuszu. Nie przestawał całować Brandy, smakując ją, pieszcząc językiem wewnątrz jej ust, wspominając inne pocałunki, i to, jak leżała pod nim naga,

a on zanurzał się głęboko w jej ciało. Przeszył go dreszcz, a po chwili kolejny. Jakże pragnął zerwać z niej ubranie, rzucić ją na stół i kochać się z nią jak szalony. Jego ciało miało jednak widać inne plany, członek pozostał bowiem wiotki i absolutnie bezużyteczny. Tylko umysł, poruszony ponad wszelkie wyobrażenie, wymykał się kontroli. Z bolesnym żalem oraz mięśniami stężalymi z niezaspokojonego pożądania przerwał pocałunek.

Oddychał ciężko, podobnie jak ona.

Brianne odsunęła się. Oczy miała szeroko otwarte i połyskujące niczym klejnoty.

- Przepraszam, przysięgam, że to nie miało się zdarzyć. Po prostu... po prostu nie potrafiłam się powstrzymać.

Rozbawienie stłumiło frustrację. Marcus objął dłonią brodę dziewczyny i przesunął delikatnie palcem wzdłuż linii jej szczęki.

- Ja także - powiedział cicho. Nie dodał, iż wina leżała całkowicie po jego stronie i że ma w planie kolejne próby uwiedzenia. Przyjechała do niego do Hawksmoor House, a on jej potrzebował. I w końcu zaspokoił tę palącą potrzebę.

Brandy uśmiechnęła się. Jej oczy zabłyśły.

- Zapomniałam już, jakie to cudowne, móc cię całować. Chyba mogłabym żyć samymi tylko pocałunkami.

Uniósł brwi i wygiął w uśmiechu kąciki warg.

- Bez jedzenia i wody?

Zaśmiała się, a od jej lekkiego, perlistego śmiechu aż ścisnęło go w trzewiach.

- Cóż, może trochę, aby utrzymać się przy życiu.

Rozbawienie minęło równie szybko, jak się pojawiło, zastąpione czujnością, jakiej nie spodziewał się już zaznać. Nie podobało mu się, że Brandy tak



na niego działa, nie życzył sobie odczuwać wewnętrznego ciepła, które budziło się w nim, gdy była w pobliżu. Nie chciał, by patrzyła na niego tak jak teraz.

- Ostrzegam cię, Brianne - powiedział tonem, który nawet jemu wydał się zbyt szorstki - pilnuj swego serca. Wiesz, jaki jestem, jaki zawsze będę. Statki i morze to całe moje życie. Nic nie zdoła mnie od nich oderwać. Nawet gdyby zdarzył się cud i mógłbym znów chodzić, i tak w końcu bym cię zostawił.

Usta Brianne zadrżały. Smutek wkradł się w jej rysy, a oczy, zazwyczaj błyszczące, zmatowiały.

- Znam cię dobrze, milordzie. Wiedziałam od początku, że twoim żywiołem jest morze... jedyna, prawdziwa miłość. A jeśli zdarzyło mi się na chwilę o tym zapomnieć, czym prędzej mi przypomniałeś. Była to prawda, lecz jaki miał wybór? Zawsze starał się być uczciwy, a przecież...

- I wiedząc to wszystko, nadal chcesz zostać? Spojrzała za okno na błękitny ocean w dole, przybrany koronką piany. Wysoko na niebie krążyły unoszone prądami powietrza mewy, to wznosząc się, to opadając ku wodzie. Marcus przyglądał się Brandy, jak stoi z rozsuniętymi małymi stopami i zaciśniętymi mocno dłońmi. Przyłapał się na tym, że wstrzymuje oddech, modląc się, aby odpowiedź była po jego myśli.

Powoli odwróciła ku niemu twarz.

- Od dawna jesteśmy przyjaciółmi, Marcusie. Prawdę mówiąc, więcej niż przyjaciółmi. - Spojrzała na wodę, jakby moc oceanu wpływała na jej życie równie mocno, jak na jego. A potem spojrzała mu znów w oczy. - Jeśli pragniesz wrócić na mo-

rze, to jako twoja przyjaciółka nie mam wyboru: muszę ci w tym pomóc. Zrobię, co w mojej mocy, by twoje pragnienie się spełniło.

Marcus milczał. Poczucie winy walczyło w nim z potrzebą. Wykorzystywał ją jak wtedy, na statku. Przynajmniej tym razem otrzymywała coś w zamian. Nauczyciel, którego zatrudnił, profesor Isaac Felton, kościsty mężczyzna o wydatnym nosie i siwiejących mysiobrazowych włosach, przyjechał poprzedniego popołudnia. Brianne zaczęła już z nim lekcje.

- Skoro tak, to, za twoim pozwoleniem, zadzwonię po Fredericka. Pora chyba, by przygotował wannę.

- Tak - odparła cicho. - Lecz dzisiaj, jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałabym poczekać na zewnątrz, aż skończysz i będę mogła zacząć masaż.

Marcus skinął po prostu głową. Nie tak to sobie zaplanował, lecz nagle okazało się, że on też woli, by Brianne zostawiła go samego. Na widok pełnego rezygnacji, poważnego wyrazu jej twarzy ścisnęło go w piersi. Nie chciał jej zranić. Nigdy tego nie chciał. Niestety, prawda wyglądała tak, jak wyglądała, a jego obowiązkiem było ją ostrzec.

Najdziwniejsze zaś było to, że w pewnym sensie on też czuł się zraniony.

Brandy szła wzdłuż klifu nad plażą, skopując ze ścieżki kamyki czubkiem pantofelka z miękkiej koźlęcej skóry. Robiło się późno, słońce chowało się z wolna za horyzont w powodzi bladej żółci i różu.

Zerwał się wiatr, szarpiąc jej spódnicę i utrudniając marsz po skalistym gruncie, lecz nie zwraca-

ła na to uwagi. Potrzebowała побыć tu przez jakiś czas, opłakać w samotności swe marzenia.

*Nawet jeśli zdarzy się cud, i tak cię opuszczę.*

Wiedziała o tym, oczywiście. Gdzieś tam, głęboko w duszy, gdzie nie było to aż tak bolesne, zawsze o tym wiedziała. Nie kochał jej i nigdy nie pokocha.

Przynajmniej nie kłamał.

Ból rósł, pulsował gdzieś pod sercem. Nie kochał jej, ale jej potrzebował.

I pożądał. Jego ciało nie funkcjonowało, jak należy, lecz on i tak jej pożądał. To nie wystarczało, nigdy nie wystarczy, lecz było wszystkim, co miała, co będzie kiedykolwiek miała, musi się więc tym zadowolić.

Zatrzymała się na szczycie klifu, aby popatrzeć, jak żółta kula słońca opada z wolna za wzgórza. Serce ciążyło jej w piersi. Flo ostrzegła ją, by nie poświęcała wszystkiego dla miłości. Brandy znała ryzyko, ale i tak rzuciła się głową naprzód w otchłań.

Czy powinna się wycofać? Opuścić Hawksmoor House, nim ból nieodwzajemnionej miłości stanie się nie do zniesienia? Wiedziała, że nie jest w stanie tego zrobić. Dała słowo, zostanie więc przynajmniej tak długo, jak Marcus pozostanie przykuty do krzesła. I będzie modliła się z całego serca, wykorzysta każdą cząstkę swej woli, aby uwolnić go od kalectwa.

Postąpi tak, nawet wiedząc, że Marcus odejdzie i wróci na morze.

Westchnęła i powoli ruszyła krętą ścieżką. Przynajmniej dostawała teraz coś w zamian, coś przydatnego, czego zawsze pragnęła. Po tym, jak dopełniła obowiązków wobec Marcusa, spędziła

resztę wolnego czasu w towarzystwie nowego nauczyciela, cokolwiek dziwacznie wyglądającego Isaaca Feltona, byłego wykładowcy dobrych manier w szkole dla młodych dam lady Longmantle.

- Szkoda marnować czas - powiedział wysoki, chudy mężczyzna, ledwie ich sobie przedstawiono.

- Poznają po tym odrobinę niepewnym dygnięciu, że będziemy mieli wiele do nadrobienia.

Brandy zaczerwieniła się, ale uniosła wyżej brodę. Chociaż wiedziała na ogół, jak się zachować, miała też instynkt, który często jej pomagał, nie znała się na etykiecie, zwłaszcza obowiązującej wśród najwyższych kręgów brytyjskiego towarzystwa.

- Zaczniemy od formalnych powitań - powiedział profesor, po czym przystąpił do omawiania zasad przedstawiania, wyjaśniając, iż osoba o niższej pozycji jest zawsze przedstawiana stojącej wyżej. Potem nastąpił wykład na temat tytułów.

- Wszyscy parowie z wyjątkiem książąt są tytułowani lordami - wyjaśnił, zaczynając od podstaw.

- Do książąt zwracamy się: Wasza Miłość, zaś do młodszych synów książąt czy też markizów, używając tytułu lorda połączonego z imieniem. I tak przyjaciel lorda, Richard Lockhart, jest lordem Richardem, ponieważ jego ojciec to markiz Halliday. Pod żadnym pozorem nie wolno zwrócić się do niego: lordzie Lockhart.

Boże broń, pomyślała Brandy.

- Do żony młodszego syna zwracamy się, używając imienia męża. Zatem, gdy lord Richard się ożeni, jego żona będzie lady Richard Lockhart albo po prostu lady Richard.

Lady Richard?

292

- Pierwszego imienia w połączeniu z tytułem *lady* można używać jedynie w odniesieniu do córki księcia, markiza lub earla. Gdyby była nią pani, zwracano by się do pani: lady Brianne. Najstarszy syn księcia albo markiza może otrzymać tytuł grzecznościowy, na przykład jeden z pomniejszych tytułów ojca. Może być zatem baronem lub wicehrabią. Jednak, w przeciwieństwie do naszego gospodarza, noszącego tytuł lorda Hawksmoor, osoba nosząca taki tytuł jest po prostu baronem czy hrabią takim to a takim. Czy to jasne?

Jasne? Było mętne jak wody rzeki Ashley w rodzinnym Charlestonie.

- Chyba tak - powiedziała mimo to. Pod koniec lekcji poczuła jednak, że kręci jej się w głowie. - Wielkie nieba, nie sądziłam, że trzeba będzie aż tyle zapamiętać - powiedziała.

- Nie rozpaczaj, moja droga. Z czasem wszystko sobie przyswoisz. Profesor Felton jest tu po to, by tego dopilnować.

Brandy uśmiechnęła się z przymusem, nie bardzo wiedząc, co myśleć o tym dziwnym nauczycielu, zdecydowana jednak nauczyć się wszystkiego, co zechce jej przekazać.

Myślała o nim teraz, kiedy zapadał z wolna wieczór, witany cykaniem świerszczy i dalekim pohukiwaniem sowy. Kopnęła kolejny kamyczek i skrzywiła się, gdy ostra krawędź wbiła się jej w stopę. Powinna wrócić do chaty, nim zrobi się ciemno, nie miała jednak ochoty siedzieć sama w pustym pokoju, a czuła się zbyt przygnębiona, aby gawędzić z brązowowłosą pokojówką.

Zdecydowana zapomnieć o Marcusie i bólu w sercu, zawróciła zdecydowanie i ruszyła w drogę powrotną do domku. W oddali majaczyły wieże

oraz iglice Hawksmoor House. Zza wysokich, dzielonych słupkami okien sączyła się żółtawa poświata.

Widać zapalono już lampy.

Zastanawiała się, w którym pokoju przebywa teraz Marcus, gdzie śpi i czy podczas długich, pustych godzin przed świtem wspomina - jak czyniła to ona - gorące, wypełnione napiętnością noce w kabinie na pokładzie „Morskiego Jastrzębia”.

## Rozdział 18

Blade słońce późnego lata przenikało przez korony drzew, rzucając plamy światła na żwirowany podjazd prowadzący do Hawksmoor House. Brandy z na nowo odbudowanym poczuciem misji przebiegła alejkę, a potem wkroczyła na szerokie schody, stawiając szybkie, zdecydowane kroki.

Bolesne słowa, które wypowiedział poprzedniego dnia Marcus, pozostawały ukryte bezpiecznie w głębi jej umysłu, skąd nie mogły już ranić. Cokolwiek Marcus robił ze swoim życiem, cokolwiek zdarzyło się pomiędzy nimi, była jego przyjaciółką i jej zadaniem było mu pomóc.

Rex musiał zauważyć, że nadchodzi. Czekał przy drzwiach, by ją powitać, a tuż obok stał Richard Lockhart. Obaj ubrani byli w stroje do jazdy konnej, Richard w bryczesy z nankinu i białą batystową koszulę, Rex w obcisłe czarne spodnie i wysokie czarne buty. Prosty, szary wełniany żakiet, przytrzymywany z wdziękiem dłonią, przerzucił sobie przez ramię.

- Cóż, widzę, że postanowiłaś zacząć dziś wcześniej - zauważył.

Brandy się uśmiechnęła.

- Wygląda na to, że wy także.

Rex odpowiedział uśmiechem, podobnie Richard Lockhart.

- Bardzo mi miło panią widzieć, panno Winters - powiedział uprzejmie, pochylając się nad jej dłonią. - Muszę też dodać, że wygląda pani dziś szczególnie promiennie.

- Dziękuję panu. - Dygnęła z wdziękiem, co było efektem wieczoru spędzonego na ćwiczeniach pod okiem nauczyciela.

Richard zauważył najwidoczniej postęp. Piaskowe brwi mężczyzny powędrowały bowiem ku górze, a wargi wygięły się w lekkim uśmiechu. Brandy poczuła, że rumieniec zalewa jej policzki, i niemal pożałowała, że poszło jej tak dobrze.

- Richard namówił mnie, bym zrobił sobie dzień przerwy i wybrał się na polowanie - powiedział Rex. - Właściwie, nie powinienem, mam tyle do zrobienia.

Brandy ujęła go pod ramię.

- Musisz odpocząć, Rex. Pracujesz od rana do nocy. Lord Richard ma absolutną rację. Powinieneś wybrać się na polowanie. Dobrze ci to zrobi.

Rex uśmiechnął się, jak zwykle, ciepło.

- Ufam, że przypilnujesz mojego nieznośnego brata.

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się. - Któż inny byłby aż tak odważny... albo na tyle głupi, by choć próbować?

Pogładził smukłymi palcami jej policzek.

- Tylko ty, moja droga, tylko ty.

Fala ciepła wezbrała w sercu Brandy. Rex Delaine był miłym i troskliwym człowiekiem. Innym niż Marcus, lecz na swój sposób równie silnym.

- Baw się dobrze. Naprawdę na to zasłużyłeś. Rex skinął po prostu głową. Brandy przyglądała się przez chwilę, jak odjeżdżają, a potem ruszyła



korytarzem. Jeśli lord Richard uważał samotne odwiedziny u mężczyzny za rzecz niestosowną, nie odbiło się to w żaden sposób na jego twarzy. Nie wiedział, oczywiście, co działo się za murami Hawksmoor House, nie domyślał się, że Brandy zajmuje się panem domu w skandalicznie intymny sposób. Była pewna, że Rex nic mu nie powiedział.

Weszła do salonu z widokiem na ocean i przekonała się, zaskoczona, że jest pusty.

- Dzień dobry, panno Winters - powitał ją Giles, stojąc w drzwiach. - Proszę za mną. Jego lordowska mość oczekuje pani w pokoju ćwiczeń.

Pośpieszyła za kamerdynerem i zastała Marcusa siedzącego na stole do masażu. Szlafrok w kolorze burgunda rozpięty miał niemal do pasa, a czoło zroszone potem. Było oczywiste, że intensywnie ćwiczył. Brandy złapała oddech. Jej żołądek wykonał dziwną wolte i się zacisnął.

- Wcześniej dziś wstałaś. Sądziłam, że znajdę cię w salonie, a ty już przystąpiłaś do ćwiczeń.

Burknął coś, co ledwie była w stanie usłyszeć.

- I tak na nic się to nie zdało. - Spojrzał jej w oczy. - Ty też jesteś już na nogach i muszę dodać, że wyglądasz bardzo pociągająco w tej ślicznej żółtej sukni.

- Dziękuję. Nie mogłam się doczekać, aby tu przyjść. Uznałam, że pora wprowadzić do programu ćwiczeń kilka zmian.

Uniósł brwi.

- Zmian? Jakich zmian?

Brandy podeszła i zatrzymała się tuż przed nim, starając się nie widzieć wszystkich tych smukłych mięśni i gładkiej, śliskiej od potu skóry.

- Dużo o tym myślałam, Marcusie. Ogólnie rzecz biorąc, uważam, że plan doktora jest dobry:

ćwiczenie mięśni, zmuszanie ich do pracy. Lecz jeśli chodzi o to, byś poruszał nimi sam, doktor próbuje chyba osiągnąć zbyt wiele naraz. Marcus zmarszczył brwi.

- Nie bardzo rozumiem.

- Siedzisz tu całymi dniami, próbując zmusić do posłuszeństwa nogi. A gdybyś tak spróbował poruszyć na początek stopą lub choćby palcem?

- Nie sądzę, żeby to...

- Lecz nie wiesz tego na pewno, a skoro tak, co nam szkodzi spróbować?

Nie czekając na odpowiedź, ujęła w dłonie długą, smukłą stopę Marcusa. Wyczuwając każdą kość i każde ścięgno, zaczęła ją masować, naciągając mięśnie łydek i palców, rozcierając kostki, obracając stopę to w tę stronę, to w tamtą. Pracowała z takim zaangażowaniem, że nie zorientowała się, iż Marcus wpatruje się w nią z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- O co chodzi? - spytała, gdy wreszcie to zauważyła. - Co się stało?

- Czuję twoje dłonie. Ich dotyk na skórze. Nie mogę w to uwierzyć!

- Ty... czujesz, gdy cię dotykam?

- Tak. Ledwie, ledwie, lecz jestem w stanie wyczuć, gdzie znajduje się twoja dłoń.

Przesunęła palcami wzdłuż jego łydki.

- Czujesz to? - Tak.

Ponad kolano i po zewnętrznej stronie uda pod szlafrokiem.

- A to?

- Tak. Jest niczym szept na skórze, ale zdecydowanie wyczuwalny.

Brandy się uśmiechnęła.

- Marcusie, to cudowne!

Uśmiechał się, naprawdę się uśmiechał, szczerze i szeroko.

- Prawda? I niewiarygodne.

- Dobrze, skoro czujesz dotyk mojej dłoni, skup się na tym, co robię. Zamknij oczy i postaraj się śledzić ruchy moich palców. - Przesunęła je na kolano, a potem niżej, na łydkę. - Czujesz?

-Tak.

Przesunęła dłoń jeszcze niżej, wzdłuż mięśni łydki i wokół kości pięty. Okrążyła ją, a potem przebiegła delikatnie knykciami po palcach.

- Nadażasz?

- Tak.

- Dobrze, poruszaj zatem palcami. Teraz. Nie myśl, po prostu to zrób.

Poruszyły się niemal od razu. Wszystkie palce prawej stopy.

Marcus otworzył szeroko oczy. Niedowierzenie sprawiło, że wydawały się szczególnie duże i ciemne.

- Poruszyły się! Na Boga, udało mi się nimi poruszyć!

Brandy pisnęła z radości. W sekundę znalazła się w jego ramionach, śmiejąc się, przytulając go do siebie, powstrzymując łzy.

- Dokonałeś tego, Marcusie! Dokonałeś! - Spojrzała na niego oczami błyszczącymi z podekscytowania. -

Możemy tego dokonać, Marcusie. Sprawić, by ćwiczenia poskutkowały. Zrobimy to razem.

Ścisnął ją teraz tak mocno, że niemal sprawiało jej to ból. Zadrżał, a jego serce pod dłonią Brandy zaczęło szybciej bić. Domyślała się, co czuje. Coś poruszyło się w jego twarzy, coś tak przemożnego, że zaparło jej dech. A potem już ją całował, dziko,

zapamiętał, zanurzywszy palce w jej włosy, aż wypadły z nich szpilki, odchylając jej głowę do tyłu i pożerając wargami usta.

Wszystkie odczuwane emocje znalazły ujście w tym pocałunku, w surowej intensywności jego uścisku. Przytrzymał ją zdecydowanie, a zarazem delikatnie, nie pozwalając się odsunąć. Wyczuwała w tym pożądanie, potrzebę, ale i odrobinę desperacji.

- Czasami czuję się taki samotny - powiedział z ustami tuż przy jej policzku. - Jakby na świecie nie było poza mną nikogo. A potem pojawia się ty. Ilekroć grozi mi pograżenie się w ciemności, ty się pojawiaasz.

- Marcusie...

Pocałował ją znowu, delikatnie, a zarazem nagle.

- Potrzebuję cię - wyszeptał. - Boże, tak bardzo cię potrzebuję.

Nie zawahała się ani na chwilę, po prostu rozchyliła szlafrok i zaczęła całować jego szyję oraz szerokie, muskularne ramiona, skubiąc delikatnie zębami, smakując, wyciskając wilgotne pocałunki nad obojczykiem i w dole piersi. Possała płaski miedziany sutek, okrążyła go językiem i usłyszała, że Marcus jęknął. Skórę miał wilgotną i słoną. Smakowanie jej sprawiło, że piersi Brandy nabrzmiały, pulsując boleśnie. Poczowała, że Marcus rozpina jej bluzkę, a potem ugniata dłońmi krągłe półkule, pociąga leciutko za sutki sprawiając, że robi jej się ciepło w dole brzucha.

Gorące liźnięcie ognia przeniknęło ją do głębi. Przesunęła wargi niżej, wędrując nimi po wypukłościach żeber, skubiąc delikatnie zębami skórę na płaskim brzuchu. Okrążyła językiem pępek,

rozsunęła szerzej szlafrok i ustawiła się pomiędzy nogami Marcusa. Objęła delikatnie jego członek i pochyliła głowę, by wziąć go w usta.

Marcus położył dłoń na ramieniu Brandy i ją powstrzymał. Oczy pociemniały mu z żalu, a policzki z zażenowania.

- Ja nie... Nie jestem w stanie... Choć bardzo cię pragnę, moje ciało nie reaguje. Przepraszam, kochanie. Przycisnęła mu palec do ust.

- Nie ma za co. Nie masz powodu przepraszać. - Uśmiechnęła się do niego. Policzki płonęły jej z pożądania, a serce tłukło się w piersi. - Jeden cud na dzień wystarczy. Nie spodziewaliśmy się osiągnąć aż tyle.

Zaskoczył ją, potrząsając głową.

- Niezupełnie wystarczy. - Pocałował ją znowu, głęboko, nieśpiesznie, cudownie.

Z talentem eksperta drażnił, pieścił i uwodził, aż zapłonęła z pożądania. Nie zauważyła, że wsuwa dłoń pod spódnicę, póki nie poczuła na udzie dotyku jego palców. Rozsunął jej delikatnie nogi i zaczął gładzić, leciutko z początku, potem bardziej zdecydowanie.

Wiedziała, że powinna go powstrzymać, ale przyjemność była zbyt silna, zbyt przemożna, by mogła nad czymkolwiek się zastanawiać. Zadrżała w jego ramionach. Wsunął w nią głęboko palec, potem drugi, wypełniając ją, sprawiając, że jej ciało zacisnęło się wokół nich, a serce zaczęło bić jak szalone. Przesuwał palcami rytmicznie, z wprawą, w przód i w tył. Wrażenie było tak silne, że zaczęła dygotać. Nogi miała jak z waty, a reszta ciała płonęła i drżała z napięcia, jakby zaraz miała się rozpaść.

- Marcusie... - wyszeptała, przywierając do niego i ledwie mogąc utrzymać się na nogach.

- Spokojnie, kochanie, odpręż się i pozwól, by to się stało.

Słowa, wypowiedziane głosem szorstkim od żądz, odniosły skutek, popychając Brandy ku spełnieniu. Szarpnął nią spazm rozkoszy, słodki, nieokiełznany i cudowny. Pożądanie, tęsknota i miłość splotły się w jedno, zalewając jej ciało falą niewyobrażalnej przyjemności.

Marcus podtrzymywał ją, szepcząc słowa, których nie słyszała od nocy spędzanych w jego kabinie na statku.

- Wszystko w porządku - powtarzał cicho. - Trzymam cię. Nie pozwolę ci upaść.

Otworzyła oczy i spojrzała mu w twarz.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że trzyma się go kurczowo, jakby od tego zależało jej życie. Ramiona Marcusa otaczały ją niczym stalowe taśmy. Ledwie poczuła, że zapina jej bluzkę i obciąża spódnicę.

Splonęła rumieńcem i próbowała się odsunąć.

- Nie zamierzałam... Nie powinniśmy byli...

- Zapewne nie. Lecz nie żałuję, że to zrobiliśmy. Wygiął wargi w leciutkim uśmiechu, oczy mu błyszczały. Dostrzegła w nich coś na kształt triumfu. Od dawna nie widziała już, by tak na nią patrzył. Kilka razy odetchnęła głęboko starając się odzyskać panowanie nad emocjami. Marcus pociągnął za sznur dzwonnka, umieszczony dogodnie obok stołu.

- Powiem Frederickowi, by naszykował mi kąpiel. Może trochę odpoczniesz, a potem spróbujemy tego jeszcze raz.

Rumieniec zalał policzki Brandy. Jeśli spróbuja t e g o jeszcze raz, Marcus będzie musiał polecić Frederickowi, aby pozbiarał ją z podłogi.

- To... dobry pomysł. Tymczasem może przejdę się po ogrodzie.

Marcus skinął tylko głową, mogłaby jednak przysiąc, iż na jego twarzy pojawił się znów ten przelotny, triumfalny uśmiezek.

Palmer Reese kroczył zatłoczonym londyńskim nabrzeżem, nie zważając na idących rozkołysanym krokiem marynarzy, wymalowane dziwki oraz rybaków, próbujących sprzedać poranny połów. Całą uwagę skupił na dużym trójmasztowcu z pełnym ożaglowaniem, którego kadłub uderzał lekko o nabrzeże, dumie Przedsiębiorstwa Żeglugowego Reese, jego statku flagowym „Pomyślnym Wietrze”. Jednostka, największa i najszybsza z całej floty Reese'a, wpłynęła na początku tygodnia do portu i Palmer udawał się oto na spotkanie z jej kapitanem, Cainem Daltonem. Wspiął się na trap, zszedł na pokład i ruszył przed siebie, mijając szereg tragarzy, uginających się pod ciężarem ładunku. Głowy mieli pochylone, a plecy zgięte. Dźwigali zaopatrzenie: węgiel, drewno, baryłki solonych śledzi, skrzynki brandy. Statek wypływał bowiem wkrótce do Indii.

Palmer uśmiechnął się i wszedł na mostek, szukając kapitana. Dalton pracował dla niego od blisko dekady, od czasu, kiedy udało mu się jako dwudziestoczteroletniemu młokosowi kupić pierwszy statek.

Nie taki jak ten. Nie, „Jeździec Wiatru” był ociążałą starą krypą, która przewalała się po falach niczym gruba matrona. Ani trochę nie przypominała smukłego, znakomicie zaprojektowanego „Pomyślnego Wiatru”.

Palmer spojrział w górę, na wysoki maszt pośrodku pokładu. Mocny wiatr szarpał takielunkiem, który podzwaniał i brzęczał mu nad głową. Na rejach o ciasno zwiniętych żaglach przysiadły mewy. Pachniało smołą i mokrym płótnem. Nie nawykł do takich zapachów, ani specjalnie ich nie lubił.

Dla Palmera statek i jego ładunek pachniały po prostu pieniędzmi.

- Pan Reese! - Cole Proctor, pierwszy oficer, wielki, muskularny mężczyzna, zatrzymał Palmera przed mostkiem. - Kapitan czeka w kabinie, *sirl* Rozkazał, bym przyprowadził pana do niego, gdy tylko się pan pojawi.

- Dziękuję, panie Proctor. - Krzepki mężczyzna odwrócił się i ruszył przodem, niemal wypełniając sobą wąski korytarz. Zapukał do drzwi kapitańskiej kajuty, usłyszał zaproszenie i wprowadził Reese'a. Zawahał się na chwilę, jakby oczekiwał, iż któryś z mężczyzn poprosi go, by został. Gdy nic takiego się nie wydarzyło, wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

- Miło cię widzieć, Cain. - Reese uścisnął dłoń kapitana, twardą i pokrytą odciskami. Włosy mężczyzny, niegdyś jasne, dziś posiwiały na skroniach, srebrzyły się w świetle lampy ustawionej na biurku o blacie krytym skórą. Kapitan był mężczyzną średniego wzrostu, szczupłym i sprawnym, a także twardym, z rodzaju tych, których Palmer lubił i uważał za szczególnie użytecznych. - Ufam, że podróż przebiegła bez zakłóceń.



Dalton skinął głową. Usiedli przy tekowym biurku.

- Była też wielce dochodowa. Najlepszy kurs, jaki trafił się nam od pięciu lat.

- Tak sądziłem. Z przyjemnością powiadamiam cię, że i tym razem statek popłynie z pełną ładownią.

Dalton odchylił się na krzesło.

- To dobre nowiny.

Palmer sięgnął po stojącą na biurku karafkę z brandy, nalał sobie miarkę do kryształowej szklaneczki, a potem następną dla mężczyzny po drugiej stronie biurka. Podał trunek kapitanowi.

- Zdobyliśmy też nowy kontrakt. Wyroby fabryczne, do Ameryki.

Dalton uniósł jasne brwi.

- Kolejny kontrakt Delaine'a?

Palmer się uśmiechnął. Nie był w stanie się powstrzymać.

- Prawdę mówiąc, tak. „Morski Jastrząb” pozostaje uziemiony i kompania uznała, że nie jest zadowolona z usług Hawksmoor. Następnym kandydatem był „Sokół”, ale to mniejsza jednostka i nie tak szybka jak „Pomyślny Wiatr”. W końcu właściciele postąpili, jak nakazywał rozsądek, i kontrakt jest nasz.

Dalton chrząknął.

- To niedobrze dla Hawksmoor.

- Rzeczywiście. - Palmer upił łyk brandy, rozkoszując się uczuciem ciepła, rozchodzącego się po żołądku.

- Za pół roku wygasa ich kontrakt na dostawę cukru z Barbadosu. „Jastrząb” opuści do tego czasu dok, lecz bez Delaine'a na mostku będziemy mieli dużą szansę przechwycić także ten kontrakt.

- Naprawdę go pan nie lubi, co?

Palmer poczuł, że budzi się w nim stary gniew, grożąc utratą opanowania. Od jak dawna nienawidził Delaine'ów? Nie tylko Marcusa, ale i jego brata Geoffreya, a przede wszystkim zmarłego lorda. Lecz Dalton nic o tym nie wiedział. Nikt nie wiedział. I wolał, by tak zostało.

Wzruszył więc tylko ramionami i upił łyk brandy.

- Dlaczego miałbym go nie lubić? Jestem po prostu przedsiębiorcą. Skoro Delaine wypada z rynku, to dla mnie okazja. Po prostu z niej korzystam.

Dalton prychnął.

- Okazja, którą sam pan stworzył. Okazja, dzięki której zarobi pan mnóstwo pieniędzy. Prawdę mówiąc, uczyni ona pana nieprzyzwoicie bogatym. Mnie zaś się wydaje, że jeśli człowiek wzbogaca się dzięki przyjaciółom, powinien się z nimi podzielić.

Palmer spojrział na kapitana ponad brzegiem szklaneczki i mięsień zadrgał mu w szczęce. Opanował się jednak.

- Masz pracę, Dalton, i powinieneś być mi za to wdzięczny. Zwłaszcza że odkąd Przedsiębiorstwo Hawksmoor popadło w tarapaty, stała się bardzo lukratywna.

Dalton upił łyk brandy i odstawił szklaneczkę.

- Cóż, to nie wystarczy. Pomogłem panu zaaranżować te wypadki. Teraz chcę dostać procent od dochodu, jaki dzięki nim pan osiąga. Jeśli go nie dostanę, może pan znaleźć się w podobnych tarapatach, jak teraz Delaine.

Palmer odstawił ostrożnie szklaneczkę na blat.

- Grozisz mi, Dalton?

- Możliwe.

Z gniewu niemal zabrakło mu tchu.

- Na twoim miejscu bym tego nie robił. Nie masz możliwości, by zrealizować groźbę. - A Palmer je miał i podjął właśnie decyzję. Cain Dalton to dobry kapitan, lecz Cole Proctor jest w stanie poprowadzić statek niemal równie sprawnie. Będzie wdzięczny za to, że dano mu szansę, a nie wie nic o tym, co przydarzyło się Przedsiębiorstwu Hawksmoor. Zmusił się do uśmiechu. - Z drugiej strony - powiedział - masz trochę racji. Człowiek taki jak ty bywa nader użyteczny dla kogoś takiego jak ja. Może zaszedłbyś do mojego biura jutro wieczorem... powiedzmy, o dziesiątej? Omówimy sprawę, zdecydujemy, ile powinienes dostać, i podpiszemy dokumenty.

Dalton odchylił się na krześle. Na jego osmaga-nej wiatrem twarzy malował się wyraz satysfakcji.

- Miałem nadzieję, że tak pan na to spojrzy. Palmer wzruszył ramionami, choć mięśnie barków zeszywniały mu z gniewu.

- Kiedy ktoś ma rację, to po prostu ją ma.

- Odepchnął krzesło, wstał i ruszył ku drzwiom.

- Zatem, do jutra. O dziesiątej.

- Będę tam.

Ale mnie nie będzie, pomyślał Palmer. Zamiast ze mną, spotkasz się w zaułku obok biura z paroma bardzo nieprzyjemnymi osobnikami. Spotkanie będzie krótkie, owocne, i już nigdzie potem nie pójdziesz.

Opuścił kajutę kapitana, minął pokład i zszedł na nabrzeże, poruszając się szybkim, zdecydowanym krokiem. Musi wrócić do biura, ma tam do załatwienia ważną sprawę.

Brandy pracowała z Marcusem codziennie przez trzy następne tygodnie. Czym innym było sprawić, by poruszył palcami, czym innym zaś doprowadzić do tego, by mógł poruszać nogami. Nie to, żeby nie robił postępów.

- Wiem, jakie to trudne - powiedziała, stając obok poprzeczek, na których wspierał się Marcus. - Lecz dobrze sobie radzisz. Wiedzieliśmy, że to nie będzie proste.

- Przekłete nogi ważą chyba z tonę - burknął.

- Przynajmniej je czujesz. - Weszła między poręcze, objęła kostkę Marcusa dłonią i jęła ją masować. - Spróbuj jeszcze raz.

Walczył, napinając mięśnie, aż pot lał mu się z czoła. Powoli, milimetr po milimetrze, stopa przesunęła się po wypolerowanej podłodze.

- Doskonale. Teraz druga.

Marcus zaczerpnął głęboko oddechu, zebrał się w sobie, poruszył drugą stopą i przesunął ją powoli w przód.

- W tym tempie - burknął - będę dzieciinniałym staruszkiem, kiedy w końcu uda mi się pójść na spacer.

Brandy się roześmiała.

- Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić. Robisz duże postępy, i to coraz szybciej. Doktor Merriwe-ather będzie zachwycony.

Lekarz przybył rano do Hawksmoor, choć jeszcze się z nim nie widzieli. Delikatne pukanie do drzwi oznajmiło jego przybycie. Marcus polecił, by go wpuszczono, i Giles wprowadził szczupłego, brązowowłosego mężczyznę do pokoju.

- Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać, by nie słuchać i, rzeczywiście, doktor Merriweather jest zachwycony. - Podszedł do nich, uśmiechając się radośnie. - Przybyłem, gdy tylko otrzymałem pańską wiadomość. - Przyglądał się przez chwilę Marcusowi, odnotowując pot na czole i drżenie ramion. - W liście donosił pan, iż odzyskuje władzę w nogach.

- Idzie to bardzo powoli, ale tak, z pomocą panny Winters poczyniłem znaczne postępy.

- Wspaniale! - Lekarz zatrzymał się obok Marcusa. - Może zechciałby pan mi pokazać?

Brandy zdawała sobie sprawę, że będzie to wymagało nie lada wysiłku. Marcus ćwiczył przez cały ranek. Teraz był zmęczony, wyczerpany zmuszaniem mięśni do posłuszeństwa. Mimo to chwycił za poręcz, sprężył się w sobie i poruszył najpierw lewą, a potem prawą stopą.

- Muszę powiedzieć, że to nadzwyczajne. Jestem bardzo zadowolony. A teraz proszę zrobić to jeszcze raz, tylko tym razem bardziej się postarać.

Marcus potrząsnął głową.

- Nie jestem w stanie. Nie potrafię przesunąć ich już nawet o cal.

Doktor ukląkł przed nim i zbadał nogi, uciskając i rozciągając mięśnie.

- Może na tym polega problem. Pcha pan nogi, zamiast je ciągnąć. Czuje pan moją dłoń?

- Tak. Czucie prawie wróciło.

- Dobrze. Tym razem proszę nie starać się unieść stopy, lecz ciągnąć nogę od kolana w górę. Unieść ku mnie łydkę.

Marcus zacisnął zęby. Twarz miał mokrą od potu i cały drżał ze zmęczenia. Kolano uniosło się, pociągając za sobą kostkę i łydkę. Po raz pierwszy

udało mu się wykonać tak duży ruch. Był to przełom i Marcus zdawał sobie z tego sprawę. Uśmiechnął się i spojrzał na Brandy, dzieląc z nią kolejną chwilę słodkiego triumfu.

Zanim postawił obie stopy na podłodze, nogi drżały pod nim tak mocno, iż obawiała się, że mięśnie ramion nie zdołają dłużej go utrzymać. Na szczęście doktor zauważył, na co się zanoszą, i przywołał służącego. Frederick przeniósł chlebodawcę na krzesło, a potem podjechał z Marcusem do stołu, by lekarz mógł spokojnie go zbadać. Brandy wyszła i zostawiła lekarza z pacjentem.

Po półgodzinie poproszono ją, by wróciła.

- Jego lordowska mość pracował ciężko tego ranka - powiedział lekarz, wrzucając do torby kilka instrumentów. - Fizycznie jest w dobrej kondycji, poczynił też, jak mówiłem, znaczne postępy. Leczenie trzeba jednak kontynuować. Istotne są zwłaszcza masaże, a jak pani wie, wolę, aby wykonywano je, gdy nogi zanurzone są w wodzie.

- Jak pan sobie życzy - powiedziała Brandy, nie patrząc na Marcusa. Mogła zajmować się nim w równie intymny sposób na osobności, przy lekarzu czuła się jednak podwójnie skrępowana. Ku jej uldze, kiedy Frederick napełnił wannę i posadził w niej Marcusa, doktor zostawił ich samych, udając się do swego pokoju, aby się rozpakować i odpocząć po podróży.

Brandy przyklękła na podłodze obok wanny.

- Tak się cieszę, Marcusie. Wkrótce staniesz znowu na nogi.

Zamiast się uśmiechnąć, Marcus zmarszczył brwi.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

- Oczywiście, że się nie mylę.

- Merriweather nie może tego zagwarantować. Powiada, że każdy przypadek jest inny.

- Uda ci się - powiedziała Brandy stanowczo. - Dobrze o tym wiesz.

Marcus objął jej twarz dłonią.

- A jeśli nie?

Brandy poczuła ukłucie lęku. Nie była w stanie znieść myśli, że może mu się nie powieść. Byłoby to po prostu zbyt bolesne.

- Jeśli ci się nie uda, przejdziemy przez to razem. Tymczasem skupmy się na tym, co należy zrobić, aby postawić cię na nogi.

Lecz Marcus nie potrafił przestać się martwić. Miał tyle do stracenia. Oparł głowę o brzeg wanny, zamknął oczy i pozwolił, by ciepło odpędziło precz zmęczenie. Przyzwyczaił się już nieco do gorącej wody i nawet polubił chwile spędzane w wannie. Zwłaszcza zaś dotyk małych dłoni Brandy na swoich nogach.

Gładziła je, rozciągała, ugniatała. Obracała, wyciągała, mocno masowała. Każdy jej ruch odbierał jako pieśczętę, każdy odbijał się słabym echem w jego lędźwiach. Pożądał jej, pragnął bardziej niż czegokolwiek przedtem. Ciało uparcie jednak nie reagowało.

Nienawidził się za to. Nienawidził tego, jak się z tym czuł. Kiedy musnęła niechcący dłonią jego krocze, poczuł w dole brzucha słabe poruszenie, ale nic więcej. Zażenowany i zły, chwycił ją za nadgarstek.

- Wystarczy - prychnął. - Zmęczyły mnie twoje zabiegi. Zostaw mnie na chwilę.

- Sprawiałam ci ból?

Boże, tak... Cierpiał, choć nie w ten sposób. Bolało go, iż nie może jej mieć. Bolało, że nie jest już mężczyzną.

- Nie... Chciałbym po prostu zostać na chwilę sam.

Zmarszczyła brwi, urażona cierpkim tonem, posłuchała jednak i cicho wyszła. Marcus spoglądał w ślad za nią. A kiedy zamknęła za sobą drzwi, westchnął ciężko. Bez niej pokój wydał mu się zdecydowanie bardziej mroczny, jakby słońce skryło się za chmurami. Wychodząc, zabrała z sobą część jego energii i zanim woda ostygła, pragnął już tylko, aby wróciła.

Miał ją zawołać, zadzwonił po lokaja. Obiecał, że będzie mogła spędzać czas z nauczycielem. Może nie był już takim mężczyzną jak kiedyś, lecz nadal dotrzymywał słowa.



## Rozdział 19

Delikatne, słodkie dźwięki klawikordu płynęły przez wypełniony ozdobnymi przedmiotami zielony salon.

- Doskonale - powiedział profesor, uśmiechając się do Brandy z wyżyn swego wzrostu. W obcisłych bryczesach w prążki wydawał się jeszcze wyższy, a jego nogi chudsze. - Zaczniemy od tańca ludowego. Gospodyni, pani Findlay, pulchna, schludna kobieta po pięćdziesiątce, była guwernantka, wykształcona lepiej niż większość kobiet na tym stanowisku, uśmiechnęła się do nich ze swego miejsca przy instrumencie.

Profesor uśmiechem zachęcił Brandy.

- Gotowa?

Brandy, stojąca w wąskim cieniu profesora, odkryła, że jednak się denerwuje. Przełknęła z trudem i przytaknęła.

- Proszę się odprężyć - powiedział, zauważywszy, że zaciska kurczowo palce na gorsie sukni. - Niech panienka spróbuje dobrze się bawić. Zrobiła pani ogromne postępy we wszystkim, nad czym pracowaliśmy do tej pory. Nie będzie pani miała problemu także z tym.

Uśmiechnęła się i napięcie częściowo ustąpiło. Przećwiczyła kroki kilka razy z profesorem, a potem odwróciła się i zobaczyła Reksa. Stał w otwartych drzwiach.

- Będzie wam przeszkadzało, jeśli się przyłączę?

- Ani trochę - odparł profesor. - Im więcej, tym weselej, zwłaszcza jeśli chodzi o taniec.

Rex wszedł głębiej do pokoju, spoglądając z aprobatą na Brandy.

- Panna Winters wydaje się pilną uczennicą.

- Tak. To prawda.

- Może powinna spróbować z nowym partnerem.

- Cudowny pomysł, doprawdy.

Rex podszedł bliżej, profesor odsunął się i Brandy poczuła, że znowu się denerwuje.

- Może więc kadryl? - zasugerował nauczyciel, ruszając w kierunku kobiety przy klawikordzie.

- Wolałbym walca - powiedział Rex. - Zdaję sobie sprawę, że to trochę skandalizujące, uważam jednak, że prędzej czy później taniec ten zagości na dobre na salonach.

Profesor zastanawiał się przez chwilę, ściągnąwszy krzaczaste brwi, lecz skinął w końcu głową, najwidoczniej niezbyt przekonany. Nawet Brandy słyszała, że na wzmiankę o walcu unoszono w lepszym towarzystwie brwi.

- Z dystansu będę mógł lepiej ocenić jej ruchy. - Ustawił się przy klawikordzie i Brandy zauważyła, że w przeciwieństwie do profesora, spoglądającego na nich z pochmurną miną, pani Findlay się uśmiecha.

- To taki piękny taniec - powiedziała, uderzając w klawisze. Pokój wypełniły dźwięki walca, słodkie, acz brzmiące cokolwiek metalicznie.

Rex ujął dłoń Brandy, położył ją sobie na ramieniu, a potem objął dziewczynę w talii.

- Pozwól, że będę prowadził. Dasz radę.

Skinęła głową, mając nadzieję, że się nie ośmieszy. Zaczął z lewej nogi i Brandy się potknęła, ale po kilku niepewnych krokach podchwyciła rytm i nawet się uśmiechnęła.

- To cudowne! Jak unoszenie się w powietrzu. I nie ma w tym nic niestosownego.

Rex się roześmiał.

- Ja też tak uważam.

Był doskonałym tancerzem, jego smukłe ciało poruszało się pewnie i z gracją. Brandy uświadomiła sobie, że się uśmiecha, rozkoszuje muzyką i tańcem, choć nie sądziła przedtem, że będzie to możliwe, a przynajmniej nie od razu. Patrzyła na Rekse, myślała jednak o Marcusie, tak podobnym do brata, zastanawiając się z tęsknotą, jak by to było tańczyć walca z nim.

Nagły ruch przy drzwiach przyciągnął jej spojrzenie. Zobaczyła go w progu, siedzącego na krześle, za którym stał lokaj. Wpatrywał się w nich, a jego spojrzenie było absolutnie bez wyrazu. Brandy się potknęła. Rex podtrzymał ją, ratując sytuację. Pani Findlay przestała grać.

- Nie przeszkadzajcie sobie z mojego powodu - powiedział Marcus. W jego głosie było jednak coś, jakiś chłód i rezerwa, a w oczach błysnęło przez moment cierpienie. - Mój brat zawsze świetnie tańczył, a i ty, Brianne, dobrze sobie radzisz.

- Ja... dopiero się uczę. Jego spojrzenie złagodniało.

- Przypuszczam, że nie miałaś dotąd okazji tańczyć.

Zignorowała ukłucie żalu.

- Nie w tawernie Pod Białym Koniem.  
- Zatem, proszę, nie przeszkadzajcie sobie. Lecz Brandy potrząsnęła głową.  
- Zmęczyłam się, próbując zapamiętać te wszystkie kroki. Wolałabym chyba przejść się po ogrodzie.  
Może zdołałabym cię namówić, byś mi towarzyszył?

Coś zabłysło w tych chłodnych, ciemnoniebieskich oczach.

- Obawiam się, że ja też muszę iść - wtrącił gładko Rex. - Mam mnóstwo do zrobienia.

Uśmiechnął się, mrugnął do brata i wyszedł.

- Milordzie? - naciskała Brandy.

Marcus skinął w końcu głową, a Brandy pomyślała, że w jego spojrzeniu dostrzegła chyba ulgę.

- Jak sobie życzysz.

Jadalnia Hawksmoor House - złotawe tapety, wypolerowany dębowy parkiet, stół na czterdzieści osób - połyskiwała w miękkim blasku świec umieszczonych w srebrnych kandelabrach. Rex poprosił Brianne, aby towarzyszyła im podczas kolacji. Poza nimi mieli pojawić się także doktor i Richard Lockhart, toteż stół zastawiono niezwykle obficie.

Marcus, siedzący u szczytu, przyglądał się Brianne ponad obrzeżem kielicha, rozbawiony tym, jak wzdycha z przyjemności, rozkoszując się pieczoną przepiórką, łososiem w sosie z homara, ostrygami, kandyzowaną marchewką i mnóstwem innych frykasów. Wszystko widocznie jej smakowało, maniery miała zaś nienaganne. Nie zawahała się ani na chwilę, wybierając właściwy sztuciec

spośród szeregu srebra, ułożonego po obu stronach talerza.

Nauka nie poszła w las, pomyślał, nie wiedzieć czemu niezadowolony. Jeszcze kilka tygodni pod czujnym okiem profesora i będzie w stanie zachować się jak należy w każdym towarzystwie.

Nie był tylko pewny, dlaczego czuje się tym aż tak zaniepokojony.

Upił łyk wina i odstawił ciężki kryształowy kieliszek.

- Powiedz nam zatem, proszę, lordzie Richardzie, jak idzie praca?

Richard błysnął chłopięcym, rozbajającym uśmiechem i Marcus poczuł ukłucie zazdrości, które czym prędzej zignorował.

- Projekt rozwija się wspaniale. Pracuję teraz nad rozdziałem omawiającym pozycję kobiety w średniowiecznym społeczeństwie. Badania dały nadszpiewanie interesujące wyniki.

- W jakim sensie interesujące? - zapytał doktor Merriweather, przyglądając się Richardowi bacznie przez szkła okularów w drucianych oprawkach. - Słyszałem dotąd, że kobiety były wówczas traktowane niewiele lepiej niż niewolnicy.

Richard otarł starannie usta białą lnianą serwetką.

- Pod pewnymi względami tak rzeczywiście było. Od urodzenia podporządkowane były mężczyznom z rodziny, najpierw ojcu, potem mężowi. Mogły posiadać na własność ziemię, lecz to mężowie nią dysponowali. Jeśli któryś bił żonę, ani duchowni, ani przedstawiciele prawa nie interweniowali, zakładając, iż na to zasłużyła.

Brandy odwróciła wzrok, a jej spojrzenie spo-chmurniało. Marcus podejrzewał, że wspomina okrucieństwo, jakiego zaznała od ojca, i aż ścisnęło go w piersi.

- Zatem - powiedziała, udając nonszalancję - sytuacja zbytnio się nie zmieniła.

Richard spojrział na dziewczynę, domyślając się, przynajmniej częściowo, co stoi za tym stwierdzeniem.

W jego piwnych oczach zabłysło współczucie. Chrząknął.

- A jednak zdarzało się, że kobiety miały w tamtych czasach zadziwiającą władzę. Zarządzały majątkiem, gdy mąż wyruszał na wojnę lub podróżował w interesach. Trzymały dwór, a nawet dowodziły obroną zamku, jeśli okazało się to konieczne, a mąż był akurat nieobecny.

Rex się uśmiechnął.

- Nietrudno w to uwierzyć. Gdyby panna Winters żyła w tamtych czasach, współczułbym każdemu, kto byłby na tyle głupi, żeby zaatakować jej włości.

Richard zaśmiał się, aż zabłysły mu oczy.

- Tak, sądzę, że panna Winters okazałaby się nie lada przeciwnikiem, gdyby ktoś jej bliski znalazł się w niebezpieczeństwie.

Brandy spłonęła rumieńcem i jęła bawić się nóżką kielicha. Tego wieczoru miała na sobie elegancką suknię z czarnego materiału, przetykanego srebrną nitką, pozbawioną zupełnie ozdób. Ciemny materiał kontrastował z mleczną skórą i burzą miedzianych włosów, podkreślając urodę dziewczyny, i Marcus uświadomił sobie, że spogląda na nią z dumą posiadacza.

Wiedział, że to śmieszne. I absolutnie nieuzasadnione. Nie należała do niego, a gdyby czuł inaczej, musiałby natychmiast położyć temu kres. Gdy tylko stanie na nogi, zostawi ją i wróci na morze.

Patrząc na Brianne, obserwując zmieniający się wyraz twarzy dziewczyny, słuchając jej dźwięczne-

go śmiechu, modlił się, aby ten dzień wkrótce nadszedł. Im szybciej, tym lepiej, pomyślał.

Wieczór skończył się wcześniej i Marcus polecił, by odwieziono Brandy powozem. Merriweather miał zostać w Hawksmoor jeszcze przez kilka dni. Nim wrócił wreszcie do miasta, Delaine był już w stanie unieść kolana - powoli, z bólem, ale i coraz wyżej. Za każdym razem, gdy mu się to udawało, czuł nowy przypływ nadziei.

Poruszał się coraz sprawniej, lecz jego męskość pozostawała równie martwa jak wtedy, gdy leżał całymi dniami w łóżku. Zakłócało to poczucie spełnienia, mąciło wizję przyszłości. Wierzył, że jeśli chodzi o niego, nawet gdyby mógł znowu chodzić, życie eunucha nie byłoby życiem w ogóle.

Przekonany, że nie sprostałby sytuacji, zarzucił wszelką myśl o kochaniu się z Brianne, mimo to nie potrafił choćby na chwilę o niej zapomnieć. Za każdym razem, gdy pochylała się nad nim, ukazując szczyty ślicznych białych piersi, lub przesuwiała dłońmi po jego udach z erotyczną czułością, ogarniał go gniew. Przyłapał się na tym, że na nią krzyczy, zaczął się też znowu boczyć, był stale ponury i rozdrażniony. A wszystko dlatego, że nie mógł zaspokoić pożądania. Pragnął jej. Boże, jak on jej pragnął! Śnił o niej w nocy, budząc się pokryty zimnym potem, a zarazem płonąc z pożądania. Jednak żar w jego lędźwiach nie był w stanie wywołać erekcji. Przysięgał sobie po raz kolejny, że ją odprawi, wyśle najdalej, jak się da, i położy kres nieustającej torturze.

Dwukrotnie wezwał ją do gabinetu, zamierzając zrobić właśnie to, lecz czuły uśmiech, zarezerwowany tylko dla niego, przeszywał mu serce i spra-

wiał, że wszelka myśl o odesłaniu Brandy ulatywała natychmiast przez okno.

W końcu obiecał sobie, że będzie ją ignorował. W czasie, kiedy nie będą ćwiczili, postara się zapomnieć o tym, jak kuszące i śliczne ma piersi, jak smukłe kostki. Nie będzie wspominać nocy spędzonych w jego kabinie na statku. Niestety, rzadko mu się to udawało.

Sześć dni później leżał w swoim łóżku z czterema kolumienkami, z ciałem zeszywniałym z pożądania, nie będąc w stanie oderwać myśli od Brandy. Choć bardzo starał się wyrzucić z pamięci jej obraz, nadal czuł delikatny, a przecież nie słaby dotyk jej rąk, gdy masowała mu nogi i cierpiał katusze pożądania, od których zaciskał mu się żołądek i sztywniały szczęki.

Przesunął bezwiednie dłoń ku tej części ciała, która leżała wiotka i bardziej bezużyteczna niż nogi.

Gdyby sądził, że uda mu się zaznać ulgi, zrobiłby to, co oczywiste, jednak myśl, że miałby narazić się na kolejny przyptyw niemożliwej do zaspokojenia żądzy sprawiła, że zrezygnował i jęknął na głos z rozpacz.

W końcu jakoś udało mu się zasnąć. Mijały godziny, długie, niespokojne, wypełnione erotycznymi wyobrażeniami krągłych piersi i roześmianych złotych oczu. Budził się dwukrotnie, zlany potem, przeklinając siebie, przeklinając ją.

I nadal rozpaczliwie jej pragnąc.

Sen powrócił: Brandy naga pod nim, jej drobne dłonie na jego ramionach. Wbija się w nią raz za razem, głęboko, czując przyptyw gorąca, poprzedzający zwykle spełnienie. Czaiło się tuż poza zasięgiem, pozostawiając ciało stężale z żądzy i obolałe.



Za szybami dzielonych słupkami okien wstawał z wolna świt. Słoneczne promienie wdarły się do pokoju, wciskając się pod powieki i skłaniając Marcusa, by otworzył oczy. Sen nie chciał odejść, unosząc się niczym mgła w zakamarkach jego umysłu. Zaklął paskudnie, po czym sfrustrowany uderzył pięścią w kołdrę... i trafił wprost w pulsującą zapomnianym bólem erekcję.

Zaskoczony, spojrzął na kołdrę, uniesioną z lekka w miejscu, gdzie znajdował się członek. Przez chwilę pewien był, że nadal śpi, że to jeden z jego niechcianych snów. W końcu odrzucił jednak przykrycie i zagapił się, pełen niedowierzania, na sterczącą dumnie, pulsującą żarem męskość. Był znowu sobą. Mężczyzną. Coś zakłuło go pod powiekami, zamrugął jednak pospiesznie i nieprzyjemne doznanie minęło.

Opadł z powrotem na poduszki, a na usta wyplynał mu z wolna leniwy uśmiezek. Za oknem nastał już ranek: ptaki świergotały radośnie w ogrodzie, polatując nad żywopłotami i przysiadając na bezlistnych gałęziach buka w rogu. Odgłos fal, uderzających rytmicznie o brzeg przywołał kolejny uśmiech. Ileż to czasu minęło, odkąd leżał tutaj, przysłuchując się śpiewowi ptaków lub obserwując z przyjemnością, jak słońce wynurza się z oceanu?

Dał sobie jeszcze chwilę, aby nacieszyć się porankiem, a potem zadzwonił po Fredericka, by pomógł mu wykąpać się i ubrać. Wykonywał codzienne czynności z lekkim sercem, czując się bardziej beztroski niż kiedykolwiek od czasu wypadku. Po raz pierwszy od tygodni z radością witał nadchodzący dzień.

Brandy znalazła Marcusa w niewielkiej, wyłożonej boazerią bibliotece, służącej mu za gabinet. Nie zaglądał tam od wielu dni, dziś siedział jednak za biurkiem, pochylając ciemną głowę nad stosem książek, skupiony tak bardzo, że nie usłyszał, jak weszła.

Patrzyła na niego przy pracy, czując, jak wsącza się w nią delikatny strumyk miłości. Z opadającym na czoło kosmykiem błyszczących czarnych włosów i rzeźbionymi rysami, których urodę podkreślała gra światła i cienia na twarzy, wydał jej się nie do zniesienia przystojny. Podwinął rękawy koszuli, obnażając przedramiona, bardziej muskularne niż przed wypadkiem, gdyż to na nich opierał podczas ćwiczeń ciężar ciała.

Ominęła biurko, stanęła za Marcusem i położyła mu delikatnie dłonie na ramionach. Natychmiast zesztywniał.

- Nie słyszałem, jak weszłaś - powiedział, rozluźniając się i odwracając w bok głowę, by na nią spojrzeć.

- Giles powiedział, że tu pracujesz. Nie chciałam ci przeszkadzać, ale nie mogłam się powstrzymać.

Zaczęła masować leciutko mięśnie jego barków, te zaś na powrót się napięły. Marcus westchnął.

- Miałaś rację. Mój brat dość się już wycierpiał, gdy samolubnie odmówiłem uczestniczenia w zarządzaniu majątkiem. To mój obowiązek i zamierzam go wypełniać... teraz i w przyszłości.

Brandy się uśmiechnęła.

- Miło mi to słyszeć. Prawdę mówiąc, nie sądzę, by okazało się to dla ciebie aż takim obciążeniem.

- Przesunęła dłonie po karku Marcusa, gładząc go bezwiednie, a potem wsunęła je we włosy powyżej.

- Jesteś tu już od jakiegoś czasu. Czuję, że masz napięte mięśnie. Pomóc ci je rozluźnić?

Sądziła, że zaprotestuje i powie, by sobie poszła. Tymczasem chwycił ją za nadgarstek i przycisnął jej dłoń do ust.

- Chętnie. Bardzo bym chciał...

Serce Brandy zaczęło szybciej bić. Przeszły ją ciarki, rozprzestrzeniając się od miejsca, którego dotknęły przed chwilą jego wargi. Pomogła Marcusowi odsunąć krzesło, by zrobić więcej miejsca, a potem zaczęła ugniatać mu ramiona, kark, mięśnie barków. Uwielbiała dotyk miękkich loczków na palcach, pasm mięśni, które tężały, a potem z wolna rozluźniały się, kiedy je masowała.

Tyle że dziś jest inaczej, pomyślała z zainteresowaniem. Prawdę mówiąc, im dłużej go dotykała, tym bardziej wydawał się spięty. Wspomniała, w jak zmysłowy sposób dotykał wargami jej skóry, przesunęła się tak, by stać z boku krzesła, i z rozmysłem naparła na niego ciałem. Marcus może i uznał, że nie jest w stanie się kochać, lecz Brandy nadal wierzyła, że kiedyś będzie to możliwe. Nie zrezygnowała i nie zamierzała tego zrobić.

Jej bladoniebieska suknia miała co prawda skromny krój, lecz dekolt ukazywał szczyty piersi i szczelinę pomiędzy nimi. Marcus utkwiał w niej wzrok. Brandy pochwyciła szybki, głodny błysk jego źrenic i jej puls jeszcze przyspieszył.

- Będzie mi wygodniej, jeśli pozwolisz, bym rozpięła ci koszulę. - Z pewnością zorientuje się, o co jej chodzi, powstrzyma ją i wyprosi. Lecz Marcus skinął jedynie głową.

Zaczęła rozpinąć drżącym palcami guziki, nucąc pod nosem i na pozór bezwiednie opierając się o niego biustem. Wyciągnęła poły koszuli z bryczesów i wsunęła pod nią dłonie. Pasma mięśni natchmiast stężały. Czarne kędziory owinięły się wokół jej palców.

Masowała mu ramiona, próbując się skupić, opanować pożądanie, które miał odczuwać Marcus, nie ona, zignorować żenującą wilgoć pomiędzy nogami.

- Zamknij drzwi.

- C-co takiego? - Była tak zaabsorbowana tym, co robi, oszołomiona przyjemnością dotykania ciepłej, gładkiej skóry, że prawie go nie usłyszała.

- Prosiłem, byś zamknęła drzwi.

Nie kwestionowała polecenia. Masaż tego rodzaju wykraczał poza jej obowiązki i gdyby do pokoju wszedł ktoś ze służby, byłoby to dla obu stron krępujące.

Podeszła do drzwi i przesunęła ciężką mosiężną zasuwkę, wdzięczna za to, że zyskała chwilę, by się opanować. Odwróciła się i zobaczyła, że Marcus <sup>si?</sup> jej przygląda. Przesunął z wolna spojrzeniem od twarzy w dół i Brandy zrobiło się gorąco. Rozchylone poły białej koszuli kontrastowały z opaloną skórą i ciemnymi włosami na jego piersi.

- Chodź tutaj, Brianne. - To był głos, który pamiętała ze statku.

Podeszła na uginających się nogach, z wyschniętym gardłem, i zatrzymała się obok krzesła. Oczy miał teraz niczym jeziora ciemnego błękitu, spojrzenie zdecydowane i rozkazujące. Zawładnęły nią i nie była w stanie odwrócić wzroku.

Pochwyił jej dłoń, ucałował, a potem pociągnął w dół. Brandy dostrzegła wybrzuszenie w spodniach,

zanim poczuła członek dotykem, i zaskoczona otworzyła szeroko oczy.

- Ty... ty jesteś...

- Twardy? A może wolisz: podniecony? Każde określenie się nada i oba są z pewnością prawdziwe. - W niemal czarnych oczach Marcusa pojawił się błysk. - Najwidoczniej się myliłem. Moje nogi pozostają niemal bezużyteczne, lecz reszta wydaje się nietknięta.

Brandy przełknęła i oblizała wyschnięte nagle wargi.

- Marcusie, to... cudowne. Skoro tak, powinniśmy...

- Skoro tak, zamierzam wziąć wreszcie to, co oferowałaś mi tak wspaniałomyślnie przez kilka minionych tygodni.

Objął dłonią policzek Brandy, przesunął dłoń na kark, pociągnął dziewczynę ku sobie i zanim zorientowała się, co Marcus zamierza, zaczął namiętnie ją całować. Wsunął język w jej usta, próbując i smakując. Doznanie było nieskończenie zmysłowe i Brandy cicho jęknęła.

Trzęsły jej się dłonie. Oparła je więc na ramionach Marcusa, pochyliła się ku niemu i poczuła, że obejmuje palcami jej pierś. Nie przestawał jej całować, pieszcząc wewnątrz jej ust, skubiąc wargami ich kąciki, kochając się z nią językiem. Nie całował jej tak, odkąd zeszli ze statku. Boże, jak mogła zapomnieć, że to aż tak cudowne?

Oddała gorliwie pocałunek, a potem całowała go, dokonując błyskawicznych wypadów językiem, to wsuwając go, to wysuwając. Nie zauważyła, kiedy rozpiął guziki z tyłu sukni, czuła jedynie palący dotyk jego rąk na skórze, szorstkość dłoni. Pożądanie zaległo jej ciężarem w brzuchu. Żar zalewał członki.

Jęknęła znów cicho, gdy objął dłońmi jej piersi, szacując ich wagę i gładkość. Pieścił palcami sutki, sprawiając, że stały się obrzmiałe i tkliwe.

Drżąc na całym ciele, przygryzła leciutko zębami bok szyi Marcusa. Wciągnął z sykiem powietrze i wsunął jej dłonie pod spódnicę. Poczowała ich dotyk na nagiej skórze powyżej podwiązek i niemal ugięły się pod nią kolana. Gładził przez chwilę jej uda, a potem rozchylił wilgotne fałdki płci i jął ją tam pieścić. - Boże, jak cudownie jest kochać się z tobą - wyszeptał jej do ucha. - Nie wiesz, jak bardzo cię pragnąłem. - Zaczął rozpinać pośpiesznie guziki bryczesów, a kiedy skończył, obrócił ją plecami do siebie, podniósł i posadził wprost na sterczący członek.

Brandy westchnęła, czując, jak ją wypełnia. W chwili, gdy znalazł się cały w niej, część napięcia ustąpiła i oparł, nieco rozluźniony, podbródek na czubku jej głowy.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa - powiedział cicho. - Nie znam człowieka, jakim się staję, kiedy się z tobą Kocham.

Przytulona plecami do jego piersi, wyczuwała każdy ciężki oddech, każde uderzenie serca.

- Jesteś taki sam jak zawsze, Marcusie. Silny i pełen pasji. - Poruszyła się, wciągając go głębiej w siebie. - Ja także cię pragnę.

Z gardła Marcusa dobyło się coś jakby cichy charkot. Przytulił ją mocniej, a potem bez wysiłku uniósł i opuścił, ustanawiając rytm, który szybko sprawił, że ciało Brandy wibrowało z pożądania, to zaciskając się na wypełniającym je członku, to rozkurczając, zawisając w powietrzu, jakby zrywało się do lotu.

- Nie mogę już czekać - ostrzegł ją. - Minęło zbyt dużo czasu, a ja za bardzo cię pragnę.

Słowa, wypowiedziane chrapliwym, zdyszczanym głosem, przepelnionym żądzą, sprawiły, że tama puściła. Nie minęły sekundy, a ciało Brandy przeszło spazm. Słodki ogień ogarnął je niczym rozprzestrzeniający się płomień. Drżąc przemożnie, wykrzyknęła jego imię i odrzuciła bezwiednie w tył głowę, aż spoczęła na jego piersi.

Także i on osiągnął szybko spełnienie. Jego szczytowanie było tak gwałtowne, wbijał się w nią z tak niepowstrzymaną furją, że Brandy zaznała rozkoszy po raz drugi. Nawet gdy było po wszystkim, trzymał ją mocno w objęciach, przytulając twarz do jej policzka, gdy opierała mu głowę na ramieniu.

- Wszystko w porządku? - zapytał łagodnie. Uśmiechnęła się.

- Absolutnie. - Zsunęła mu się z kolan i zaczęła wygładzać spódnice, podczas gdy on zapinał guziki z tyłu jej sukni. - I najwidoczniej u ciebie także.

Uśmiechnął się szelmowsko.

- Tak by się wydawało.

Odwróciła się i objęła dłonią gładko wygolony policzek kochanka.

- To znaczy, że zdrowiejesz. Już prawie ci się udało. Wkrótce będziesz w pełni sobą.

Marcus nie odpowiedział, a Brandy także zamilkła. Wkrótce będzie znów zdrowym, sprawnym mężczyzną, tym, kim był przedtem - kapitanem Marcusem Delaine.

I wtedy ją opuści.

Łagodny ból zakłócił leniwe zadowolenie. Nieważne, co zrobi, jak bardzo będzie go kochała - i tak ją zostawi. Wkrótce straci go po raz kolejny. Teraz, podobnie jak przedtem, znowu go straci.

## Rozdział 20

Rex Delaine wszedł do małej, wyłożonej boazerią biblioteki, służącej jego bratu za gabinet. Marcus siedział pochylony nad stosem rachunków frachtowych Przedsiębiorstwa Żeglugowego Hawksmoor. W ciągu kilku dni przejął większość obowiązków związanych z tytułem lorda, takich jak rozmowy z dzierżawcami, zarządzanie Hawksmoor House, ziemią oraz innymi rodowymi dobrami.

Rex był mu bardzo wdzięczny. Pomijając wszystko inne, Marcusowi dobrze robiło, gdy mógł zająć się czymś pożytecznym, czymś, co stanowiło dla niego wyzwanie, takie jak kiedyś dowodzenie statkiem. I był w tym dobry. Wyczuwał w naturalny sposób, co powinno zostać zrobione. Był wyczulony na detale, a doświadczenie wyniesione ze statku sprawiało, że łatwiej mu było egzekwować polecenia.

Rex uśmiechnął się, idąc przez pokój. Po raz pierwszy od lat mógł zająć się spokojnie swoimi sprawami i zostawało mu nawet trochę czasu dla siebie.

Marcus podniósł głowę znad ksiąg. Marszczył czarne brwi i nie wyglądał na zadowolonego. Najwidoczniej przyczyną tego stanu rzeczy było coś znajdującego się w dokumentach, które właśnie przeglądał.



- I jak to wygląda? - zapytał Rex, siadając na wygodnym skórzanym krześle po drugiej stronie biurka. Marcus potrząsnął głową.

- Obawiam się, że niezbyt dobrze. Ktokolwiek zawziął się na „Jastrzębia” i resztę naszych statków, zrobił to w określonym celu. Od jakiegoś czasu traciliśmy kontrakty, jeden po drugim, odkąd pierwszy uszkodzony statek przywłókł się do portu.

- Wiesz już, kto za tym stoi?

Twarz Marcusa przybrała lodowaty, twardy wyraz, tak nieprzejednany, że Rex pożałował, iż o to zapytał.

- Nie mogę niczego udowodnić. Rano otrzymałem wieści od Reynoldsa i Kelly'ego, śledczych z Bow Street, których zatrudniłem. Na tym, że straciliśmy kontrakty, skorzystało kilka firm: Atlantic Limited i Kompania Mórz Chińskich. - Zacisnął mocno szczęki. - Ale najbardziej skorzystał Palmer Reese. Rex westchnął przeciągle.

- Czułem, iż może chodzić o niego.

- Ja także.

- Nie oznacza to jeszcze, że Palmer jest winny lub był zaangażowany w sabotaż.

- Niestety, nie mogę niczego dowieść. - Marcus zacisnął pięści. - Lecz jestem coraz bardziej pewien, że to on zaaranżował tak zwane wypadki, które prześladowały nas przez cały zeszły rok.

- Może i tak, choć nie potrafię doszukać się motywu. Ojciec Palmera był długoletnim przyjacielem rodziny. Odwiedzali nas kilka razy w roku. Na miłość boską, bawiliśmy się razem jako dzieci!

- Owszem. I jeśli pamiętasz, Palmer był już wtedy podstępny, małą glistą. Biegał do rodziców, do-

nosił, skarżył, a wszystko za naszymi plecami. Przypomnij sobie, jakie lanie spuścił nam ojciec, gdy Palmer doniósł, że pływamy przed jaskiniami poniżej klifu. Ojciec zabronił nam tego...

- Tak, i miał świętą rację, bo było to cholernie niebezpieczne, zwłaszcza podczas przyływu.

- Rzeczywiście, chodzi mi jednak o to, że Palmer sprawiał kłopoty już jako dziecko. A teraz wszystko wskazuje, że to on jest odpowiedzialny za ataki na firmę.

- Chcesz powiedzieć, że motywem może być po prostu chęć zysku.

- Właśnie. Gdyby jego finanse nie wyglądały, jak powinny, a on potrzebował pieniędzy, na pewno potrafiłby wymyślić plan unieszkodliwienia największego konkurenta. I byłby zdolny go przeprowadzić. Reynolds i Kelly właśnie to sprawdzają.

Rex się nie odezwał. Nie wiedział, jak było naprawdę, i Marcus także nie, nie na pewno. Modlił się o to, by jego brat się mylił. Palmer był w pewnym sensie przyjacielem rodziny, lecz jakakolwiek byłaby prawda, Marcus prędzej czy później ją odkryje. Wzdrygnął się na myśl o tym, co się wówczas stanie. Marcus wpatrywał się znów godzinami w morze, przesiadując przed oknami salonu albo w ogrodzie nad klifem ze wzrokiem utkwionym w horyzont.

Brandy wiedziała, o czym myśli, wiedziała, że postępy w rehabilitacji pozwalają mu znów marzyć, zastanawiać się nad powrotem na morze.

Odkąd przekonał się, że jest w pełni mężczyzną, czynił gwałtowne postępy. Poprawa następowała

teraz nie krok po kroku, ale skokami. Nie tknął jej od tego czasu i Brandy wiedziała dlaczego. Obawiał się, że zostawi ją z dzieckiem, a nie chciał brać na siebie takiej odpowiedzialności, skoro planował powrót na morze.

Poczuła ukłucie bólu. Co dzień Marcus ćwiczył zawzięcie, dokonując nadludzkich wyczynów i teraz był już zdolny poruszać w miarę sprawnie nogami, choć nadal musiał wspierać się na poręczach, a jego chód był chwiejny i niezdarny. Z każdym nowym przełomem Brandy wpadała w coraz większą rozpacz, zdając sobie sprawę, że im prędzej Marcus wyzdrowieje, tym prędzej ją opuści.

Po raz pierwszy od przyjazdu próbowała go powstrzymać, spowolnić postępy, proponując, by posiedzieli dłużej w ogrodzie, jakby nie nadciągała właśnie zima i nie było na to zbyt chłodno. Albo by wybrał się wraz z nią na spacer ścieżką wzdłuż klifu, na krześle z kółkami popychanym przez lokaja. Lecz Marcus zawsze odmawiał.

- Nie mam czasu na takie nonsensy i ty także. Muszę ćwiczyć nogi, a ty uczyć się od profesora Feltona. Nalegał, aby uczyła się jak najwięcej, pracowała równie ciężko jak on. Wiedziała, że postępuje tak dlatego, iż chce dla niej jak najlepiej, pragnie upewnić się, że kiedy wypłynie znowu na morze, Brandy zolna będzie zapewnić sobie przyszłość.

Siedziała w bawialni swego domku, czując, że ściska ją w piersi. Świadomość tego, iż Marcus się o nią troszczy, nie zmniejszała bólu. Wiedziała, że kiedyś odejdzie - nie robił przecież z tego tajemnicy. Cierpiała na samą myśl o dniu, kiedy to nastąpi - była jednak bezradna.

Czas mijał. W końcu listopada „Morski Jastrząb” był już od miesiąca na morzu... a Marcus Delaine na nogach. Jego chód pozostał co prawda odrobinę sztywny i niezdarny, musiał też posługiwać się laską, lecz przecież chodził i coraz bardziej śpieszyło mu się, by odejść.

Rex musiał to dostrzec. Tęsknota za morzem uwidaczniała się w każdym spojrzeniu Marcusa skierowanym na wodę. A ponieważ było dla wszystkich oczywiste, co czuje Brandy, ilekroć na nią spojrzał, w jego oczach widać było współczucie.

- Wiesz, że on zamierza nas opuścić - powiedział do niej pewnego ranka, kiedy spacerowali we dwójkę po ogrodzie. W powietrzu unosiła się wilgoć i było przenikliwie zimno. Z dołu dobiegał szum fal rozbijających się o skalisty brzeg.

- Nie będzie szczęśliwy, póki nie wróci na morze. Ból pojawił się znowu, ostry i szybki niczym cios nożem.

- Wiem.

- Wrócisz do Charlestonu? Potrząsnęła głową.

- Nie chcę tam wracać. Nigdy więcej.

- Co więc zamierzasz?

Spojrzała w dal, ku małemu domkowi na szczycie klifu. Jego spadzisty dach zakrywały niemal zupełnie drzewa.

- Podoba mi się w Kornwalii. To pierwsze miejsce, gdzie czuję się jak w domu.

Rex uniósł brwi.

- Zostaniesz w Tintagel? Nie mógłbym życzyć sobie niczego lepszego, ale czy jesteś pewna, że to dobry pomysł? Czy to, że będziesz blisko Hawks-moor House, gdzie spędziłaś z Marcusem tyle czasu, nie okaże się dla ciebie zbyt bolesne?

Uśmiechnęła się trochę smutno.

- Być może, chociaż nie sądzę, by tak się stało. Lubię czuć, że jestem blisko Marcusa. Skoro to niemożliwe, będzie musiało mi wystarczyć pozostanie tutaj, w pobliżu jego domu, przynajmniej na jakiś czas. Nie jestem jeszcze pewna, co zrobię później.

Rex dotknął jej policzka dłonią tak podobną do dłoni Marcusa.

- Mój brat popełnia straszny błąd. Niestety, nie uświadomi sobie tego, nim będzie za późno.

Brandy zawróciła. Ruszyli przez ogród ku domowi. Kiedy szła obok Reksa żwirową alejką, skraj jej ciemnozielonej spódnicy z bombazyny musnął krzew, przycięty ozdobnie w kształt niedźwiedzia.

Bluszcz został już starannie zabezpieczony, a zimowy ogród przygotowany na długie miesiące chłodu.

Na horyzoncie gromadziły się deszczowe chmury. Zima była tuż, tuż. Niebo przecięła błyskawica, zbyt daleka jednak, by dało się usłyszeć grzmot.

- Kucharz przygotowuje na dziś nerkówkę - powiedział Rex - i mój ulubiony deser, placek z agrestem.

Może zostałabyś na kolacji?

Spojrzała na niego. Zapraszał ją coraz częściej. Pomyślała, że to dlatego, by mogła spędzić więcej czasu z Marcusem, skoro wkrótce mieli się rozstać. A może miał po prostu nadzieję, że brat zmieni jednak zdanie i nie wyjedzie.

Było to próżne życzenie i w głębi duszy oboje o tym wiedzieli.

- Marcus może mieć inne plany.

- Marcus może nie przyzna tego na głos, lecz lubi, kiedy zostajesz.

Spojrzała na niego.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Ja to wiem. Zawsze je wtedy więcej i czasami nawet się uśmiecha. Rzadko to robi, gdy nie ma cię w pobliżu.

- Martwi się o statki. O to, że zdarzą się kolejne wypadki i ktoś ucierpi.

- Nic się nie wydarzyło, odkąd został ranny. Myślę, że ktokolwiek stał za tymi wypadkami, uznał, iż osiągnął cel i wyeliminował mojego brata z gry na dobre.

Zatrzymała się i spojrzała na Reksa.

- Lecz jeśli wróci na „Jastrzębia”...

- Jeśli wróci, problemy mogą zacząć się od nowa. Marcus o tym wie. Zamierza rozprawić się do tego czasu z winowajcą.

- A jeśli mu się nie uda?

- Będzie musiał po prostu bardziej uważać.

Ze zmartwienia zaschło jej w gardle. Przygryzła bezwiednie dolną wargę.

- Nie wolno ci się zamartwiać - powiedział Rex, ujmując jej dłoń i wsuwając sobie pod ramię. Ruszyli dalej. - Mój brat jest bystrzejszy, niż sądzi jego przeciwnik. A kiedy musi, potrafi być też twardy jak kamień. Nie wyprzedzą go znowu.

Może i nie, pomyślała Brandy, lecz jakoś jej nie ulżyło. Raz już o mało nie zginął. Nie mogła znieść myśli o tym, że znowu mogłoby mu się coś stać.

- Chyba powinnam już wracać. Profesor Felton będzie na mnie czekał. Mamy omawiać najnowszą literaturę. Profesor twierdzi, że to temat niemal równie przydatny w konwersacji jak pogoda.

Rex prychnął.

- I bez wątpienia równie nudny. Dlaczego tak się dzieje, że najmniej interesujące rzeczy są zwykle uważane za najbardziej wartościowe?

Brandy się roześmiała.

- Nie mam pojęcia. Może dlatego Marcusowi tak spieszo wrócić na statek. Bo zapewniam, iż życie na pokładzie „Morskiego Jastrzębia” rzadko bywa nudne.

Rex uśmiechnął się ciepło.

- Jego życie tutaj też nie byłoby nudne... gdyby spędzał je z tobą. Co za szkoda, że jest tak zaślepiiony przeszłością i żądzą zemsty, iż tego nie widzi.

Brandy nie odpowiedziała. Z żalu znowu ścisnęło ją w piersi. Zaślepiiony przeszłością i żądzą zemsty. A także miłością do morza, większą, aniżeli uczucie, które mógłby żywić wobec jakiegokolwiek kobiety.

Wiedziała, że tak jest i się z tym pogodziła. Nie zmniejszało to jednak bólu. Ani odrobinę.

\*\*\*

Wieczorne niebo ciemniało coraz bardziej. Przetaczały się po nim gęste, wiszące nisko i ciężkie od deszczu chmury. Od morza wiał ostry wiatr, uderzając ociekającymi deszczem gałęziami w ściany domu, tłukąc nimi rytmicznie o dzielone kamiennymi słupkami okna.

Brandy pracowała do późna z profesorem, potem zaś, ulegając naleganiom Reksa - a nawet Marcusa - została w Hawksmoor na kolacji. Zaproszono także profesora i okazało się, że jest przyjemnym towarzyszem.

Tymczasem burza przybrała na sile.

- Zrobiło się późno - powiedział Marcus, kiedy wypili już kawę i uraczyli się obiecany plackiem z agrestem. Jak zawsze, gdy zostawała na kolacji, panowie odmówili wypicia tradycyjnej szklaneczki brandy i wypalenia cygara, co pozwoliło Brianne

pozostać w jadalni. Skoro była jedyną obecną kobietą, nie byłoby grzeczne, gdyby musiała wyjść, zostawiając panów ich rozrywkom. - Miałem nadzieję, że burza zelżeje, tak się jednak nie stało. Droga będzie zalana błotem po osie, a panna Winters nie może wracać przy takiej pogodzie na piechotę. Polecę pani Findlay, aby przygotowała pokój gościnny. Brandy odstawiła filiżankę.

- Nie mogę zostać. Ja...

- Nonsens. - Marcus odsunął krzesło i wstał, opierając się ciężko na lasce ze srebrną główką w kształcie jastrzębia, którą podarował mu brat. - Pracowałaś tutaj przez cały prawie dzień. Kilka godzin więcej niczego nie zmieni. Rankiem powóz odwiezie cię do domu.

Rex i profesor także wstali. Rex uśmiechnął się delikatnie, zadowolony, iż Marcus troszczy się o Brandy.

- Brat ma rację - powiedział. - Musisz zostać na noc. Wyślę do chaty lokaja, powiadomi pokojówkę, żeby się nie martwiła.

Brandy skinęła głową.

- Dziękuję. - Jedno spojrzenie na Marcusa wystarczyło, aby uświadomiła sobie, że nie wyjedzie tego wieczoru z posiadłości. Zostanie, choćby miał zanieść ją na górę i przywiązać do łóżka. Na samą myśl o tym poróżwiały jej policzki i musiała odwrócić wzrok.

- Nim udasz się na spoczynek - powiedział - chciałbym zamienić z tobą słówko na osobności, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Przyglądała mu się przez chwilę spod opuszczonych rzęs, zastanawiając się, co takiego zamierza jej powiedzieć.



- Oczywiście.

Profesor skłonił się elegancko, ale ponieważ był tak wysoki i kościsty, wyglądało to niemal komicznie.

- Dziękuję za przemiły wieczór. Zobaczymy się rano, panno Winters, i porozmawiamy o technice malowania akwarelami. Po południu popracujemy zaś nad francuskim.

Marcus uniósł brwi.

- Uczysz się francuskiego? Brandy uśmiechnęła się szelmowsko.

- *Oui, m'sieur le comte. Je parier Francais un petit. Yvous?*

- Dobry Boże! - Przerażony Marcus spojrział z gniewem na profesora. - Gdybym wiedział, że zamierza pan zmienić ją w jedną z tych sztucznych, wdzięczących się...

- Nie jestem nikim takim - wtrąciła gwałtownie Brandy, zadzierając dumnie brodę. - To, że uczę się obcego języka, nie ma nic wspólnego ze sztuczością. Poszerzam po prostu swoje horyzonty... na twój koszt, pozwolę sobie dodać. I wcale się nie wstydzę, że wykorzystałam twoją szczodrość najbardziej, jak było to możliwe

Marcus się roześmiał. Dobrze było słyszeć znów ten głęboki, niepowstrzymany śmiech.

- Przyjmij moje przeprosiny. To oczywiste, że nigdy nie staniesz się tego rodzaju kobietą. Po prostu mnie zaskoczyłaś.

Brandy się nie odezwała, poprzestając na lekkim uśmiechu. Rex wyszedł, a wkrótce potem pożegnał się i profesor. Brandy ruszyła z wolna za Marcu-sem. Zaprowadził ją do niewielkiego salonu w głębi domu.

- Może byśmy usiedli?

337

W jego głosie było coś dziwnego, jakaś rezygnacja. Zauważyła to już podczas kolacji, w mówiła sobie jednak, że się myli. Teraz to coś było tam znowu i tym razem nie mogło być mowy o pomyłce.

- Dobrze. - Spostrzegła, że spoważniał, i serce zaczęło bić jej gwałtownie, nierówno. Marcus posadził ją na niewielkiej, obitej brokatem sofie przed kominkiem, w którym płonął ogień. Oparł laseczkę o bok mebla i usiadł przy Brandy.

- Odkładałem tę rozmowę, sam nie wiem dlaczego. Zapewne nie wiedziałem po prostu, co powiedzieć. Poczula ucisk w piersi.

- Cokolwiek to jest, lepiej powiedz i miejmy to już za sobą.

- Zapewne masz rację. - Przez chwilę wpatrywał się w nią tak intensywnie, jak nigdy dotąd. - Poprosiłem cię tutaj, bo chcę ci podziękować. Wiem, że słowa nie wystarczą. Jak człowiek może podziękować za to, że stał się znów sobą? Że zwrócono mu jego życie? - Ujął jej dłoń i podniósł do ust. - Żadne słowa nie oddadzą tego, jak bardzo jestem ci wdzięczny za wszystko, czym tak bezinteresownie mnie obdarowałaś.

- Marcusie... - Oczy Brandy wypełniły się łzami. Wiedziała, ile kosztuje mężczyznę takiego jak on mówienie z podobną pokorą. - Nie musisz mi dziękować. Każdy dzień spędzony z tobą stanowił dla mnie wystarczającą nagrodę. Jesteśmy przyjaciółmi... kochankami. Byłam szczęśliwa, mogąc odwdziżyć ci się za to, co mi dałeś.

- Co ja ci dałem? Przed wypadkiem byłem arogancki i wymagający. Potem wiecznie naburmuszony, drażliwy i uzalający się nad sobą. Tymczasem ty byłaś wobec mnie niezachwianie lojalna.

Królestwo nie wystarczyłoby, aby odpłacić ci za to, co dla mnie zrobiłaś, klejnoty warte fortunę nie spłaciłyby nawet w części tego długu. Potrząsnęła jedynie głową.

- Dałeś mi więcej niż królestwo, więcej niż klejnoty. Traktowałeś mnie jak damę, choć byłam tylko dziewczyną z tawerny. Broniłeś przed mężczyznami takimi jak Cole Proctor i Jilly Sharpe, sprawiając, że czułam się, jakbym była coś warta. Pozwoliłeś mi posmakować po raz pierwszy wolności, zerknąć poza granice mojego nędznego świata. Ceniłeś mnie jako przyjaciółkę i dzięki temu zdobyłam się na odwagę, by przeciwstawić się ojcu. Uczyniłeś ze mnie kobietę, Marcusie. Nauczyłeś przyjmować i dawać rozkosz. Podzieliłeś się swoją siłą, gdy tego potrzebowałam, i dałeś nadzieję na przyszłość. Oto twoje dary, Marcusie. Nigdy nie zdołam się za nie odwdziżyć.

Marcus siedział, wpatrując się w nią jak urzeczony. Coś zamigotało w jego spojrzeniu, mrocznym skądinąd i przenikliwym. Przytulił dłoń do jej policzka.

- Nigdy cię nie zapomnę, Brianne Winters. Nigdy-

Łzy zakłuły ją pod powiekami. Ostry ból przeszył klatkę piersiową.

- Wyjeżdżasz, prawda?

Dłoń Marcusa opadła. Skinął głową.

- Pierwszy rejs „Jastrzębia” był bardzo krótki. Dołączę do załogi pod koniec tygodnia.

Ból był tak ostry, jakby ktoś wbił w nią nóż, przecinając ciało i kość. Po policzkach płynęły łzy.

- Wiedziałam, że odejdziesz. Miałam tylko nadzieję... modliłam się, by nie nastąpiło to zbyt szybko.

- Brianne... kochanie... - Wyciągnął ramiona i przytulił ją do siebie. Jego smukłe ciało przeszył dreszcz. - Gdybym mógł zostać, zrobiłbym to. Lecz moje miejsce jest na morzu. To całe moje życie. Zawsze było. Nie potrafię tego zmienić.

Łzy zawisły jej na rzesach. Marcus starł je czubkami palców.

- Wiedziałam, że odejdziesz - powtórzyła. - Zawsze o tym wiedziałam. To nie twoja wina. Chodzi tylko o to... - Głos się jej załamał i rozpląkała się z twarzą wtuloną w jego ramię.

- Nie płacz, kochanie. Proszę. Nie mogę znieść, kiedy płaczesz.

Wzdrygnęła się, próbując zapanować nad rozpaczą. Bolało ją gardło, w piersi płonął ogień. Nawet powietrze, które wciągała do płuc, wydawało się gorące.

- Nie zamierzałem cię skrzywdzić - wyszeptał z twarzą wtuloną w jej włosy. - Wybacz mi, proszę.

Zacisnęła powieki, opierając się nowej fali bólu. Czuła, że zaraz się załamie.

- Nie ma czego wybaczać. Nigdy mnie nie okłamałeś. Wiedziałam, że odejdziesz.

- Czasami żałuję, że nie mogę zostać... właściwie, często. W głębi serca zdaję sobie jednak sprawę, że nic by z tego nie wyszło. Zawsze miałbym poczucie straty, tęskniłbym za życiem, do jakiego zostałem stworzony.

- Wiedziałam od początku, jaki jesteś. Może właśnie to poczucie wolności tak mnie ku tobie przyciągnęło.

- Zawsze rozumiałaś. Widziałem to w twoich oczach, gdy na mnie patrzyłaś. Czasem nawet ja sam nie rozumiem, dlaczego jestem właśnie taki.

Spojrzała w te niebieskie, jakże niebieskie oczy i aż ścisnęło ją za serce.

- Czasami ścieżki, jakie obieramy w życiu, zdają się wyznaczone przez kogoś innego. Może to Bóg o tym decyduje.

- Tak... prawdopodobnie.

- Będę za tobą tęskniła, Marcusie. Przycisnął ją znowu do siebie.

- Zawdzięczam ci życie, Brianne. Zawdzięczam ci o wiele więcej.

Potrząsnęła głową.

- Nie jesteś mi nic winien. Mężczyzna nie jest nic winien swojej kochance.

Marcus chwycił Brandy za ramiona i spojrzał jej w twarz.

- Zawdzięczam ci wszystko! Wszystko! Nie waż się więcej tak do mnie mówić! - Przyciągnął ją znowu do siebie, a ona przywarła do niego, próbując przestać płakać. Nie była jednak w stanie się powstrzymać.

Zbyt go kochała.

Trwali tak przez dłuższą chwilę, wreszcie zaczerpnęła drżącego oddechu i się odsunęła.

- Muszę iść do mojego pokoju. Jestem zmęczona i muszę, muszę... Proszę, nie żądaj, bym została tu dłużej.

Ucałował jej czoło, nos, powieki.

- Chciałbym, żeby było inaczej. Żebym ja był inny. Brandy dotknęła jego policzka, poczuła szorstkość zarostu.

- Nie chciałabym, żebyś był inny. Nie zmieniałabym w tobie ani jednej rzeczy.

Zmusiła się, by wstać i ruszyła z trudem ku drzwiom. Nogi miała niczym z ołowiu, serce ciążyło w piersi jak martwe. Gdy doszła do drzwi, usłyszała głos Marcusa.

- Wiedziałaś, że wrócę na morze. Zawsze to wiedziałaś. Dlaczego więc przyjechałaś? Dlaczego mi pomagałaś, wiedząc, że jeśli wyzdrowieję, odejdę?

Brandy odwróciła się i zobaczyła jego twarz, ciemną i ściągniętą w blasku świec. Jej własna mokra była od łez.

- Ponieważ cię kocham, Marcusie. Z pewnością o tym wiesz. Zawsze cię kochałam. I pewnie zawsze będę.

Marcus nie odezwał się, zacisnął tylko szczęki, aż mięsień zadrgał mu na policzku, a twarz przybrała wyraz głębokiego żalu. Brandy odwróciła się i wyszła, zamykając za sobą cicho drzwi.

Marcus leżał w olbrzymim łożu, gapiąc się w sufit, niespokojny i niezdolny zasnąć. Zamierzał odejść, zostawić znów Brianne. Już wtedy było to bolesne. Teraz ból zjadał go żywcem, a przecież nie opuścił jeszcze domu.

*Ponieważ cię kocham, Marcusie. Zawsze cię kochałam.* Nikt nie powiedział mu przedtem nic takiego, nawet rodzice. Wiedział, że go kochają, troszczą się o niego i zamartwiają. Było to jednak coś innego, niż usłyszeć miłosne wyznanie od kobiety, która zaczęła tyle dla niego znaczyć.

Kobiety, którą nauczył się podziwiać i głęboko szanować. Mówił przedtem poważnie. Nie zdoła nigdy odwdzińczyć się Brandy za to, że uczyniła go znów w pełni mężczyzną. Wolał nie myśleć, co by się z nim stało, gdyby nie przyjechała do Kornwalii i mu nie pomogła. Nawet gdyby nie udało mu się odzyskać władzy w nogach, i tak by przetrwał - dzięki niej. To ona pokazała mu inną stronę życia. Zmusiła, by zaczął znów żyć.

A on sprawił jej ból. Pomagała mu, chociaż wiedziała, że w końcu ją opuści.

*Kocham cię, Marcusie. Zawsze cię kochałam.* Te słowa wbijały mu się w serce niczym ostrze lancy. Tyle jej zawdzięczał... a przecież nie mógł zostać.

Pokój wydał mu się nagle przegrzany, ogień w kominku zbyt gorący. Zdjął nocną koszulę, którą i tak rzadko nosił, i rzucił ją w nogi łóżka. Leżąc nago pod prześcieradłem, westchnął w ciemności, wiedząc, że nie jest w stanie nic zmienić. I że tak naprawdę wcale tego nie chce. Był człowiekiem morza. Od zawsze. I to się nie zmieni. Jego statki były zagrożone, ukradziono mu część życia. Teraz zamierzał wrócić do tego, co kochał najbardziej, naprawić wszystko, co zostało zniszczone. Dopilnować, by odpowiedzialny za to człowiek poniósł karę.

Lecz jakże będzie mu jej brakowało!

Jakiś dźwięk zakłócił nocną ciszę. Klamka przy drzwiach poruszyła się powoli, ostrożnie i Brianne wśliznęła się do pokoju. Pierś Marcusa nabrzmiała bólem.

- Musiałam przyjść, Marcusie, być z tobą... jeszcze ten jeden, ostatni raz.

Gardło mu się ścisnęło. Boże, on też tego potrzebował. Nie wiedział, jak bardzo, póki nie zjawiała się w pokoju. Przyglądał się, jak idzie ku niemu, a potem odchylił po prostu przykrycie, bojąc się odezwać, by nie zdradził go chrapliwy ton głosu.

Może z jego twarzy, oświetlonej księżycowym blaskiem wpadającym przez dzielone szybki, wyczytała, jak bardzo jej potrzebuje. Na zewnątrz nadal szalała burza. Błyskawice rozdzierały nocne niebo, a od huku grzmotów dźwięczały szyby

w oknach. Wiatr hulał wśród drzew, a pozbawione liści konary drżały, z trudem opierając się wicherze. - Cieszę się, że przyszłaś - powiedział cicho. - Gdybyś tego nie zrobiła, ja przyszedłbym do ciebie. - Uświadomił sobie, że to prawda, tak właśnie by postąpił. - Nie mogłem wyjechać, nie mówiąc ci... nie okazując, jak bardzo mi na tobie zależy.

Rozchylił poły jej miękkiego bawełnianego szlafroka i rozpiął guziki skromnej, białej koszuli. Włosy opadały Brandy na plecy, długie i błyszczące jak ogień. Nie widział ich rozpuszczonych od czasu, kiedy spędzali noce razem na statku.

Z bólu, podszytego tęsknotą, aż ścisnęło go w piersi. Wyglądała tak pięknie, tak rozkosznie kobieco, tak niewiarygodnie uwodzicielsko. Nie spotkał przedtem kobiety potrafiącej sprawić, by czuł to, co teraz: pożądanie, radość z tego, że jest tuż obok. Nieodpartą potrzebę, by pojąć ją, przywiązać do siebie na zawsze.

A także inne, głębsze emocje, których wolał nie analizować.

Zsunął drżącą dłonią koszulę z ramion Brandy i patrzył, jak opada na podłogę, tworząc wokół kostek dziewczyny białą kałużę. Stała teraz obok łóżka naga, bezbronna, oddając mu się tak, jak robiła to, odkąd po raz pierwszy się kochali.

Wyciągnął ku niej ramiona, przytulił ją, a potem pocałował głęboko, czule. Delikatnie. Namiętnie.

- Marcusie...

Dźwięk jego imienia, wypowiedzianego jej ustami, sprawił, że zakłuło go pod powiekami. Co on bez niej zrobi?

Podniósł Brandy i posadził na łóżku. Przyglądał się zafascynowany, jak włosy przesuwają się jej z pleców na ramiona, a potem piersi, okrywając je



pasmami miedzianego jedwabiu. Sutki wyglądały spoza nich, twarde i drżące, wraz z każdym jej oddechem.

Wyciągnął rękę i objął pierś dłonią, pogładził sutek kciukiem, przyglądając się, jak nabrzmiewa i twardnieje. Zaschło mu w ustach. Serce biło gwałtownie. Spojrzał jej w oczy, dostrzegł w nich pożądanie i miłość, i poruszyło go to jak nic przedtem.

- Brianne... - Objął jej twarz dłońmi, pociągnął ku sobie i pocałował. Rozkoszował się smakiem jej ust, oddechem, gładkością skóry. Wdychał jej zapach, wchłaniając go, jakby chciał zabrać ze sobą choć cząstkę jej istoty.

Pieścił jej piersi, podziwiał ich piękno, ważył je z szacunkiem w dłoniach. Smakował, wypełniając nimi usta, gładząc delikatnie językiem, pragnąc dać jej przyjemność, a właściwie rozpaczliwie tego potrzebując.

Pocałował ją znowu, głęboko, zaborczo, a potem położył dłonie na jej talii, uniósł ją i posadził sobie delikatnie na biodrach, wsuwając się w nią. Załka-ła cichutko, czując go w sobie, i ten dźwięk, w połączeniu z uczuciem, iż obejmuje go swym wnętrzem ciasno niczym rękawiczka, sprawił, że Marcus jęknął.

Włosy opadły jej na piersi, kiedy zaczęła się poruszać - wolno z początku i niepewnie, przyglądając mu się spod opuszczonych rzęs. Stopniowo zwiększała jednak tempo, poruszając się coraz szybciej, czerpiąc z tego przyjemność i dając mu więcej, niż mogła przypuszczać. Skórę miała gładką jak płatki róży, bladą i nieskazitelną w świetle księżyca wpadającym przez okno. Z gracją kołysała się w przód i w tył, poddając się rytmowi, od-

dychając wciąż szybciej i szybciej, unosząc go wraz z sobą ku miejscu pełnemu rozkoszy i światła. Objął dłońmi jej biodra, pomagając czerpać przyjemność, pochwycić to, czego szukała.

Napięła mięśnie, a jej ruchy stały się jeszcze szybsze. Odpowiadał na nie, wypychając mocno ku górze biodra, dając jej to, czego potrzebowała, zdecydowany dopilnować, aby zaznała spełnienia.

Głowa opadła jej do tyłu, piersi sterczały, wypięte dumnie ku niemu. Z trudem wstrzymywał rozkosz, wbijając się w nią, obserwując, jak rodzi się w niej przyjemność, czując każdy jej ruch, dając, dając, póki jej wewnątrz nie zacisnęło się wokół niego, pulsując słodkimi niemal nie do zniesienia falami.

Jej spełnienie nadeszło szybko, zaskakując go intensywnością, doprowadzając błyskawicznie na szczyt. Zaznała rozkoszy po raz drugi, razem z nim, a potem opadła mu bezwładnie na pierś.

Gładził jej włosy i przytulał ją, nadal twardy i podniecony. Gdy się uniosła i chciała odsunąć, pokręcił po prostu głową. Ułożył ją obok siebie i zamknął w bezpiecznym uścisku ramion, wiedząc, że będzie kochał się z nią znowu.

Rankiem Brandy go opuści, a on jej na to pozwoli.

Nagle uświadomił sobie - po raz pierwszy, odkąd się znali - że tym razem, gdy się rozstaną, to on będzie cierpiał bardziej.

## Rozdział 21

Brandy nie widziała Marcusa przez trzy następne dni. Choć kontynuowała lekcje z profesorem, Delaine się nie zjawił. Wiedziała, że się pakuje, przygotowując do wyjazdu. Za każdym razem, gdy o tym myślała, serce pękało jej od nowa.

Czwartego dnia profesor oznajmił, że jej znajomość zasad etykiety zasługuje na najwyższą ocenę, w związku z czym nauka dobiegła końca i on wraca do Londynu.

- Była pani cudowną uczennicą, panno Winters. Nie przypominam sobie ucznia, który bardziej przykładaby się do nauki. - Uśmiechnął się, wyginając z satysfakcją wargi pod długim, wydatnym nosem. - Potrafi pani zachować się właściwie i z godnością. Przysięgam, że gdyby nadarzyła się okazja, mogłaby pani konwersować w salonie królowej.

Zarumieniła się, zakłopotana komplementem.

- Dziękuję, profesorze. To pan był cudowny. Nie zapomnę, co pan dla mnie zrobił.

Wspięła się na palce i pocałowała go w zapadły policzek, czując się podejrzenie bliska łez. Profesor spakował się i wyjechał kilka minut później, a Brandy wróciła do swego domku.

Nadszedł koniec tygodnia. Marcus miał wkrótce wyjechać - nie chciała uwierzyć, że mógł już to

zrobić - a ona nadal się z nim nie widziała. Z pewnością nie opuści Tintagel bez pożegnania? A jednak było to możliwe. Pożegnali się przecież tamtej nocy, kiedy kochali się w jego sypialni. Nocy, której nigdy nie zapomni.

Marcus był dla niej boleśnie czuły. Dawał jej rozkosz wciąż od nowa, odsłaniając cząstkę siebie, której istnienia nie podejrzewała. Szlochała w jego ramionach, a on tulił ją, uspokajał, a potem znów się z nią kochał. Wróciła do swego pokoju, nim się obudził, i więcej go nie widziała.

Teraz, siedząc z robótką przed kominkiem, próbowała wmówić sobie, że lepiej będzie, jeśli Marcus wyjedzie bez słowa, nie zmuszając jej, by patrzyła, jak się oddala i ją opuszcza.

Próbowała skupić uwagę na szyciu, zmusić ciemnozieloną nić, by podążała za linią wzoru, ale jej wzrok kierował się nieustająco ku oknu i widocznym poza nim odległym wieżom Hawksmoor House.

W końcu westchnęła sfrustrowana i odłożyła robótkę. Nagle ktoś zapukał cicho do drzwi. Serce zabiło jej mocniej w piersi. Wyjrzała przez okno i zobaczyła powóz z Hawksmoor. Chwila, której tak się obawiała, nadeszła.

Zaczerpnęła drżącego oddechu i uzbroiła się przeciwko bólowi, który - jak wiedziała - wkrótce się pojawi. Przeszła przez pokój, otworzyła drzwi i zobaczyła Marcusa stojącego na ganku w obcisłych czarnych bryczesach i gołębioszarym surducie, z dłonią na gałce laski. Delikatny wietrzyk rozwiewał mu kręcone czarne włosy, a oczy wydawały się bardziej niebieskie, niż je zapamiętała.

- Marcusie...

- Nie mogłem po prostu wyjechać. Sądziłem, że tak byłoby lepiej, ale...

Z gardła Brandy dobył się cichy szloch. Natychmiast znalazła się w jego ramionach, wtulając się w jego pierś, unosząc ku niemu twarz.

- Modliłam się, byś przyszedł. I tak samo gorąco, byś tego nie zrobił.

- Wiem. Czuję to samo. - Przytulił ją mocniej i zanurzył twarz w jej włosy. - Żałuję, że nie może być inaczej, że nie mam dość odwagi, by zostać.

Brandy spojrzała na niego, spostrzegła cienie pod oczami i ściągnięte rysy. Poglądził pieszczotliwie jej policzek.

- Chcę, żebyś wiedziała, iż nie czuję dotąd czegoś takiego w stosunku do żadnej kobiety. To, że muszę cię opuścić, boli jak diabli. Miałem szczęście, że cię poznałem, Brianne.

Oczy zapiekły ją od łez. Spojrzała na przystojną, kochaną twarz.

- Pojechałabym z tobą - powiedziała, wiedząc, że nie powinna, że on nie tego oczekuje. - Pojechałabym, dokądkolwiek byś się udał.

Potrząsnął tylko głową.

- Wiem, ale to nie byłoby słuszne, Brianne. Ani dla mnie, ani dla ciebie.

Ależ byłoby, pomyślała. Moglibyśmy być szczęśliwi. Nieważne gdzie, byle razem. Nie powiedziała tego jednak, gdyż niczego by to nie zmieniło.

- Będziesz... będziesz do mnie pisał? Podniósł wzrok i utkwiał go w ścianie, ponad głową Brandy.

- Trudno jest wysyłać listy. Spróbuję przekazać ci wiadomość, jeśli tego właśnie chcesz.

- Oczywiście, że chcę. Muszę wiedzieć, że jesteś bezpieczny.

Spojrzał na nią i dostrzegła w jego oczach ból, którego nie spodziewała się tam zobaczyć.

- A ty, Brianne? Co stanie się z tobą? Powiedziałem ci już, że powinnaś zrobić to, co będzie dla ciebie najlepsze.

W oczach Brandy wezbrały łzy, zakłócając widzenie. Zamrugła i łzy spłynęły po policzkach.

- Potrzebuję tylko trochę czasu. Na razie zostanę tutaj.

Blisko miejsca, gdzie był. Przymknął na chwilę oczy. Pochylił się ku niej i musnął wargami jej czoło.

- Muszę iść. Dawno powinienem być w drodze. Nie poruszył się jednak i Brandy przyłgnęła do niego jeszcze mocniej. Paliło ją gardło. W sercu czuła nieznośny ból.

- Jak długo... jak długo cię nie będzie?

- Nie jestem pewien. Przez większość roku, może dłużej.

Rok, może dłużej. Boże, to było prawdziwe pożegnanie.

Wpatrywał się w nią, a w jego spojrzeniu dostrzegła czułość i niepokój.

- Może się okazać, że nosisz moje dziecko. Jeśli odkryjesz, że tak jest, jeśli będziesz czegokolwiek potrzebowała...

Potrząsnęła głową. Potrzebowała tylko jego. I właśnie tego mieć nie mogła.

- Nic mi nie będzie. Potrafię o siebie zadbać. Coś zadrgało mu w twarzy.

- Zapewne. Chciałbym tylko... - Potrząsnął głową. - Nic takiego. Moje życie jest na morzu. Zawsze było. Dawno powinienem był tam wrócić.

Żal ścisnął ją za gardło. Uniosła twarz do ostatniego pocałunku, nie spodziewając się, że będzie to aż tak bolesne. Gdyby wiedziała, że poczuje taki ból, pewnie nie utrzymałaby się na nogach.

Wycisnął na jej czole ostatni, pożegnalny pocałunek.

- Dbaj o siebie, kochanie.

- Ty także - wyszeptała, opierając się o drzwi, by nie upaść. Odwrócił się i ruszył ze ściągniętą twarzą ku powozowi, podpierając się laseczką. Uniosła ku szyi drżącą dłoń i zacisnęła palce na srebrnym medalionie, który podarował jej, kiedy rozstawali się poprzednim razem.

Marcus wsiadł do powozu i zamknął drzwi. Dał znak woźnicy i konie ruszyły. Jeszcze przez chwilę nie spuszczał z Brandy spojrzenia, wpatrując się w nią z twarzą zastygłą w maskę samokontroli. Spoglądała w ślad za nim, dopóki powóz nie zniknął z widoku, a stukot kopyt nie ucichł w oddali.

Czuła się jak połamana lalka. Ból i poczucie straty wypełniały ją, wsączając się pod skórę, póki nie zostało już nic poza niekończącym się strumieniem udręki.

Potykając się, weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi, wdzięczna za to, że jest sama i nikt nie może jej zobaczyć. Łzy dławily ją w gardle, a ból rozrywał serce. Opadła na sofę i rozszlochała się gwałtownie.

Płakała, póki nie spuchły jej oczy, nie poczerwieniał nos i nie zabrakło łez.

Nocą płakała znowu, a także każdego dnia i każdej nocy przez cały następny tydzień. Rex przyszedł się z nią zobaczyć, lecz wymówiła się migreną i szybko go odprawiła. Był tak podobny do brata, że widok jego twarzy otwierał ranę na nowo, czyniąc ból niemożliwym do zniesienia.

Richard Lockhart wpadł w następnym tygodniu z wizytą i posiedziała z nim przez chwilę. Przyszedł kolejnego dnia, potem następnego i ból zaczął z wolna ustępować.

Marcus odszedł. Kochała go ponad wszelkie wyobrażenie. Nigdy już tak nikogo nie pokocha. Przetrwaj jednak, bo taką już ma naturę.

Pozornie prowadziła normalne życie: wykonywała codzienne obowiązki, robiła zakupy, szyła, czytała, pracowała w ogrodzie, jeśli pozwalała na to pogoda, wewnątrz czuła się jednak tak, jakby jakaś jej część umarła tego dnia, gdy Marcus ją opuścił. Iskierka życia, płomień, który w niej płonął, sama esencja jej istoty zniknęły, jak sądziła, bezpowrotnie.

\*\*\*

Rex siedział naprzeciw Richarda w czarnym, lśniącym powozie Lockhartów. Przyjaciel wrócił przed tygodniem, spędziwszy zimę w mieście z rodziną. Natychmiast po przyjeździe wybrał się z wizytą do Brianne, a potem ruszył prosto do Hawks-moor. Martwił się o dziewczynę, i Rex, prawdę mówiąc, także.

- Od wyjazdu Marcusa minęły miesiące - powiedział - a ona nadal rozpacza.

Rex skinął głową, opierając się o czerwone poduszki powozu.

- Nie jest już sobą. Uśmiecha się, przytakuje i mówi, co trzeba, lecz prawdę powiedziawszy, wydaje się raczej marionetką niż kobietą, jaką znaleźliśmy. Tak jakby wykonywała ruchy, ale ktoś inny pociągał za sznurki.

- Twój brat jest głupcem, że ją opuścił - stwierdził Richard ponuro.

- Jest stworzony do życia na morzu. Zawsze tak było.

- Mógł zabrać ją na statek.



Rex potrząsnął głową.

- Nigdy by tego nie zrobił. Brianne o tym wiedziała, i to od początku.

- Ona cierpi, Rex. Myślę, że powinna stąd wyjechać. - Wyjrzał przez okno na ponury zimowy krajobraz. - Rozmawiałem z matką. Zaprosiła Brianne, by przyjechała do nas z wizytą.

Rex uniósł brwi.

- Do Seacliff?

- Nie, do rodzinnej rezydencji w Londynie. Mówił o Halliday Hall, pałacowej rezydencji na obrzeżach miasta. Nawet Rex był pod wrażeniem wspaniałości siedziby markiza.

- Co powiedziałaś lady Halliday? Z pewnością nie wie o tym, że Brianne była... że była...

- Kochanką Marcusa?

Rex skinął ponuro głową. Nie myślał o Brianne w ten sposób. To, iż żywiła względem jego brata tak silne uczucia, zmieniało postać rzeczy.

- Matka wie tylko to, co jej powiedziałem: że Brianne przyjechała z Ameryki, jest słodka, szczerza i stała się moją drogą przyjaciółką. - Policzki Richarda z lekka poróżwiały. - I że bardzo mi na niej zależy.

Rex wyprostował się, zaskoczony, i spojrzał ostro na przyjaciela.

- Boże, człowieku. Chcesz powiedzieć, że myślisz o małżeństwie?

Richard usiadł prosto.

- Tak trudno w to uwierzyć? Wiem, że nie jest dziewicą. To było oczywiste, wystarczyło popatrzeć, jak zachowuje się w obecności twojego brata. Nie dbam o to. Jest piękna i godna pożądania. A także miła i dobra. To prawdopodobnie najbardziej przyzwoita kobieta, jaką znam.

- I zakochana w moim bracie - zauważył Rex delikatnie.

Richard ścisnął mocniej rondo wysokiego kapelusza z bobrowego futra, który spoczywał na jego kolanach.

- Marcus jej nie chce. Brianne o tym wie. Potrzebuje mężczyzny, który się nią zajmie, będzie traktował tak, jak na to zasługuje. Jesteśmy przyjaciółmi. Wielu pobierało się, nie mając nawet tego. Nie dziedziczę tytułu, więc pochodzenie Brianne nie ma znaczenia. Mogę się o nią zatroszczyć, zapewnić jej przyszłość. A z czasem... kto wie... może mnie pokocha.

Rex się nie odezwał. Powóz toczył się dalej, koła turkotały, a uprząż pogrząkiwała.

- Jest jeszcze zbyt wcześnie, wiesz o tym. Ona nie jest gotowa się zaangażować.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Na razie chciałbym tylko przekonać ją, aby przyjęła zaproszenie i pojechała ze mną do Londynu. Za miesiąc zacznie się sezon. Sądzę, że matka szybko ją polubi. Mam nadzieję, że zechce wprowadzić Brianne do towarzystwa. - Spojrzał ostro na Reksa. - Pomożesz mi?

Chciał to zrobić, a zarazem czuł się winny. W głębi duszy zdawał sobie bowiem sprawę, że Marcusowi zależy na Brianne, i to tak, jak nie zależało mu dotąd na żadnej kobiecie. Może nawet ją kochał. Lecz Marcus dokonał wyboru. Wrócił do życia na morzu, a w tym życiu nie było miejsca dla Brianne.

- Zgoda - powiedział zatem. - Sądzę, że możesz mieć rację. Pozostanie w Tintagel nie było chyba najlepszym pomysłem. Marcus zatrudnił rządcę, by zajmował się Hawksmoor i resztą jego majątku. Ja zaś mogę prowadzić swoje sprawy, przebywając

## Rozdział 22

Brandy stała obok Richarda Lockharta w foyer wystawnej rezydencji markiza Halliday na obrzeżach Londynu. Przybyła tam, podróżując z Rekssem i lordem Richardem, a także z bardzo nudną damą do towarzystwa, panią Greenwald, na co Rex bardzo nalegał.

Ledwie była w stanie uwierzyć, że udało im się ją przekonać - a prawdę mówiąc, raczej zmusić - by przyjęła zaproszenie, lecz teraz, kiedy z pomocą sympatycznych gospodarzy wyzbyła się zastrzeżeń, cieszyła się, że tu jest.

Rozejrzała się dookoła, nadal oszołomiona elegancją otoczenia, nieporównywalną z czymkolwiek, co byłaby w stanie sobie wyobrazić. Jeśli Hawksmoor House robił wrażenie, Halliday Hall oszałamiał po prostu przepychem. Ponad głową Brianne malowany rokokowy sufit przechodził w majestatyczną kopułę, zdobioną pozłocanymi wizerunkami aniołów. Wzdłuż ścian ustawiono popiersia rzymskich cesarzy, a olbrzymi kryształowy żyrandol połyskiwał światłem setki świec.

Brandy zebrała się w sobie, nadal nie do końca wierząc, iż czeka oto na pojawienie się markizy Halliday i że spędziła z bliskimi Richarda cały mie-

siąc. A prawdę mówiąc, pokochała ich jak rodzinę, której nigdy nie miała.

- Jesteś, moja droga. - Lady Halliday wtargnęła do pokoju w chmurze szafranowego jedwabiu. Była smukła, jasnowłosa i piękna. Wyglądała bardziej jak starsza siostra Richarda niż jego matka. - Przepraszam, że kazałam ci czekać. Mąż miał jednak dla mnie - zaczerwieniła się uroczo - kilka pilnych poleceń, które chciał przedyskutować.

Brandy się uśmiechnęła. Wiedziała, jakiego rodzaju polecenia wydawał damie jej przystojny małżonek. Mimo upływu lat markiz i jego żona nadal byli w sobie bardzo zakochani.

- Nic się nie stało. Richard dotrzymał mi towarzystwa.

Lady Halliday spojrzała z czułością na młodszego syna.

- Skoro tak, nie będę robiła sobie wyrzutów. Byłaś w dobrych rękach. - Poklepała syna po ogolonym starannie policzku. - Dziękuję, że zgłosiłeś się na ochotnika. Sezon prawie się już zaczął i na gwałt trzeba nam nowych strojów.

Rzeczywiście? Brandy by tego nie powiedziała. Dokonały już wraz z lady Halliday dwóch wypraw w świat londyńskiej mody. W duchu podziękowała, acz niechętnie, ojcu za to, że zostawił jej pieniądze. Suknie odpowiednie na modne rauty, przyjęcia i bale, na które zabierali ją markiz i jego żona, były nader kosztowne. Mogła sobie jednak na nie pozwolić, a nie zamierzała się kompromitować, zakładając coś niestosownego.

Wyszli z domu i wkrótce powóz torował sobie z trudem drogę przez zatłoczone ulice Londynu. W końcu dotarli jednak do St. James's i znajdujących się w okolicy sklepów. Przed wejściem do Ma-

gazynu ze Strojami dla Pań madame Rousseau powóz zatrzymał się po raz kolejny i Richard wysiadł, by pomóc wydostać się damom.

- We dwie jesteście w stanie mnie zamęczyć - powiedział. - Chyba lepiej będzie, jeśli zaczekam w powozie.

Jego matka ściągnęła jasne brwi.

- Nonsens. Nie możemy zrobić tego bez ciebie. Potrzeba nam rady eksperta. - Obróciła się na pięcie i ruszyła ku drzwiom sklepu, rzuciwszy przez ramię: - Masz tak doskonały gust.

Richard westchnął i wzniosł dłonie, uśmiechał się jednak i Brandy uznała, że tak naprawdę cieszy go, iż może im towarzyszyć. Przez kilka następnych godzin panie wybierały materiały na tuzin nowych sukien, a Brandy odbyła ponadto męczącą przymiarke jednego ze strojów, które zamówiła wcześniej. Choć wydawałoby się to niepodobieństwem, markiza skończyła przed nią, może dlatego, że Brandy nie była aż tak pewna, co powinna wybrać. Lady Halliday usiadła na obitej brokatem sofie obok syna, otworzyła malowany wachlarz i jęła się wachlować, w sklepie panowała bowiem duchota. Na ścianach, od podłogi po sufit, znajdowały się półki, na nich zaś spoczywały bele materiału. W rogu, za zasłoną, ustawiono stoły, przy których pracowało kilka kobiet.

Zapach krochmalu i farby wypełniał powietrze, szczypiąc z lekka w oczy. Brianne stała na podwyższeniu przed sofą, odbywając ostatnią przymiarke i poddając się bacznej ocenie lady Halliday przyglądającej się sokolim wzrokiem mierzonej właśnie złotobursztynowej sukni.

- Co sądzisz, Richardzie? Odrobina koronki wzdłuż dekoltu, na linii biustu? Lub może...

- Nie - wtrąciła delikatnie, acz stanowczo Brandy. - Żadnej koronki. Wolę, żeby zostało tak, jak jest.

- Zawsze to powtarzasz - mruknęła lady Halliday, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów. -1 może masz rację. Prosty krój do ciebie pasuje. Podkreśla urodę twarzy i figurę.

- Właśnie - dodał Richard, spoglądając na nią w niepokojący sposób, co zauważyła dopiero niedawno. Był miłym, szczodrym człowiekiem i cudownym przyjacielem. Zawsze będzie mu wdzięczna za to, że pomógł jej uporać się z bólem po stracie Marcusa.

Przed oczami Brandy pojawił się, nieproszony, obraz Marcusa stojącego z rozstawionymi nogami na pokładzie, z przystojną twarzą zbrązowiałą od słońca i rozwianymi czarnymi włosami, kontrastującymi ostro z bielą kołnierzyka. Spojrzała na Richarda i odepchnęła tamten obraz, grzebiąc go na powrót w zakamarkach pamięci.

- Szmaragdowy jedwab też wyglądałby prześlicznie - mówił tymczasem Richard. - Najczystsza zieleń z odrobiną złota. Doskonale nadawałby się na bal u księżnej w przyszłym tygodniu.

- Rzeczywiście. Doskonały wybór - przytaknęła synowi lady Halliday. - Zwróciła się do madame Rousseau: - Będziemy potrzebowały jeszcze kilku rzeczy. Ma pani coś w odcieniu niebieskozielonym lub cynamonu? Zważywszy na koloryt panny Winter s, powinno jej być w tym do twarzy.

- *Oui, milady.* - Drobną francuska sprzedawczyni skończyła odkładać bele materiałów, które nie były już potrzebne. - Mamy kilka rzeczy w tych kolorach. Zaraz je przyniosę.

Richard i Brianne spojrzeli na siebie, jęknęli unisono, a potem parsknęli zgodnym śmiechem.

Dobrze było znowu się śmiać, czuć to rozkoszne łaskotanie w gardle. Gdyby nie Richard i jego rodzina, pewnie nigdy by się już nie roześmiała, nie z głębi serca.

Przyglądała mu się przez chwilę spod opuszczonych rzęs. Ze swymi ładnymi rysami, piaskowego koloru włosami i smukłą sylwetką był zdecydowanie atrakcyjny. Podobał jej się też jego umysł, inteligencja, ciągły pęd, by nauczyć się czegoś nowego. Odkryła w sobie tę samą pasję i odtąd spędzała przyjemnie czas, czytając książki, które dla niej wybrał, a potem dyskutując z nim o tym, czego się dowiedziała.

Odmienił jej życie, wydobył ją z ciemności. Miała wobec niego dług. I to jaki! Poza tym bardzo go lubiła. Nim lady Halliday uznała, że pora wracać, Brandy była już wyczerpana. Był to jednak przyjemny rodzaj zmęczenia, nie mogła się też doczekać wieczoru. Richard zabierał ją do opery. Nigdy nie była w operze. Na samą myśl o tym, że będzie tam dzisiaj, poprawiał jej się humor.

I spotkają się z Reksem. Teraz nie bolało jej już tak bardzo, kiedy patrzyła na młodszego Delaine'a, dostrzegając w jego twarzy odbicie rysów brata.

Marcus stał za olbrzymim kołem sterowym „Morskiego Jastrzębia”, ściskając w dłoniach gładkie, wilgotne szprychy. Od zachodu nadciągał szkwał, spychając statek nieco z kursu. Chłodny wiatr wpadający przez otwarte drzwi sterówki szarpał połami jego sztormiaka. Statek pochylił się gwałtownie i opadł w dolinę fali.

Marcus uśmiechnął się do siebie, słysząc znajome pojękiwanie desek pod stopami. Jego kręgosłup miał się dobrze, a nogi były niemal tak silne i sprawne, jak przed wypadkiem. Choć nadal używał laski i zawsze już będzie musiał to robić, idąc, zaledwie lekko utykał. Władza w nogach została mu przywrócona, podobnie jak dowodzenie statkiem. Musiał jeszcze odkryć, kto stał za atakami na Przedsiębiorstwo Żeglugowe Hawksmoor, lecz z tego, co wiedział, wypadki przestały ich już nękać. Ogólnie biorąc, życie wróciło do normy. Poza utraconymi kontraktami, odzyskał wszystko, co miał przed wypadkiem. Zupełnie jak biblijny Hiob, pomyślał. Ból minął, a wszystko, co drogie, zostało mu zwrócone. Jego życie, przyszłość... znowu mógł sam o nich decydować.

Skąd więc to uczucie pustki?

- Dobry wieczór, kapitanie.

Marcus odpędził nieprzyjemne myśli i się uśmiechnął.

- Dobry wieczór, Hamishu.

Starszy mężczyzna wszedł do sterówki. Woda ściekała mu z runda kapelusza, naciągniętego głęboko na uszy. Pasma długich siwych włosów przywarły do pomarszczonej szyi.

- Sztorm nie wydaje się zbyt gwałtowny, lecz to się może zmienić. W tej części świata nie sposób przewidzieć, kiedy uderzy przeklęty huragan.

Marcus przyjrzał się niebu, zasnutemu szczelnie grubymi szarymi chmurami, ocenił gęstość deszczu i odnotował, że chmury stają się po brzegach jaśniejsze.

- Nie sądzę, by nam to groziło, nie zamierzam jednak ryzykować. Poleciałem Hopkinsowi, żeby



zrefował nieco żagle. Jeśli pogoda się pogorszy, zwiniemy też marsel.

Hamish zdjął kapelusz i przeczesał palcami długie siwe włosy, odsuwając je z czoła.

- Kucharz trzyma dla pana kolację. Powiedział, że nie jadł pan przez cały dzień.

- Byłem zajęty. Nie jestem też głodny, choć chętnie napiłbym się kawy.

Hamish skinął głową.

- Zajmę się tym. - Poruszył się niespokojnie, lecz nie zamierzał jeszcze wyjść. - Powinien pan bardziej o siebie dbać, kapitanie. Odkąd wypłynęliśmy, stracił pan na wadze. Coś pana trapi. Nic pan nie mówi, mam jednak wrażenie, że obaj wiemy, co to takiego.

Marcus uniósł brwi.

- Doprawdy?

- Zaprzeczy pan, że chodzi o dziewczynę? Marcus wzruszył ramionami.

- Była dla mnie kimś szczególnym. Przywiązałem się do niej, nic więc dziwnego, że od czasu do czasu za nią tęsknię.

- Tak, zapewne. - Spojrzał na drzwi, lecz nadal nie wychodził. - Dobrze być znów na pokładzie, prawda?

Marcus skinął głową, choć ku własnemu zdziwieniu nie czuł takiej euforii, jakiej się spodziewał.

- Bardzo dobrze.

-1 ta wyprawa do Chin. Od lat chciał pan tam popłynąć. Wygląda na to, że ma pan wreszcie szansę.

- Tak. - Lecz jakoś nie odczuwał z tego powodu dreszczu podniecenia. - To powinno być dochodowe przedsięwzięcie.

- Dochodowe... tak. - Hamish zmarszczył brwi. Może przypomniał sobie, że to chęć poznania te-

go, co kryje się za horyzontem, nie możliwość zarobku, kierowała zawsze kapitanem.

Marcus utkwiał wzrok w zalewanej strugami deszczu szybie sterówki.

- Sztorm przybrał nieco na sile.

- Tak, rzeczywiście. - Hamish zawahał się, jakby chciał powiedzieć coś więcej. Zamiast tego ruszył jednak do drzwi. - Wygląda na to, że będzie trochę bardziej paskudny, niż się spodziewaliśmy, a ten przekłety wiatr jest zimniejszy niż diabelski napitek. Pójdę lepiej po kawę.

Marcus popatrzył w ślad za marynarzem. Było oczywiste, że przyjaciel martwi się o niego. Niepotrzebnie. Był trochę nie w sosie, to wszystko. Musi przywyknąć znowu do przebywania na morzu. W końcu wszystko ułożyło się tak, jak zaplanował. Będzie szczęśliwy, mogąc prowadzić życie, które sobie upodobał.

Na myśl o tym zrobiło mu się dziwnie ciężko na sercu. Zmusił się, by zignorować to uczucie. Chwycił koło sterowe, utkwiał wzrok w szarej linii horyzontu i pomyślał o czekającej go wyprawie. Odkrył jednak, że zamiast czuć się podekscytowany, liczy dni dzielące go od chwili, gdy pożegluje znowu do domu.

\*\*\*

Brandy spacerowała po jednej z tuzinów oświetlonych blaskiem księżycy ścieżek ogrodów Vauxhall. Jej dłoń spoczywała na rękawie surduta Richarda.

- Twoi rodzice świetnie się dziś bawią.

- Matka zawsze rozkwita tutaj, w Vauxhallu. Uwielbia to miejsce. Uważa, iż jest niewiarygodnie romantyczne.

Brandy się uśmiechnęła. Z oddali dobiegały dźwięki orkiestry grającej serenadę.

- Tak, zapewne.

Gęstwinę wysokich drzew i ciemnozielonych krzewów przecinały kręte żwirowane alejki. Znajdowały się tu też liczne posągi i malowidła, świątynie, łuki i pawilony.

- Fajerwerki były cudowne.

- Cieszę się, że ci się podobały.

- A ta muzyka... jest po prostu prześliczna. Richard zatrzymał się i odwrócił twarzą do towarzyszki.

- To prawda, lecz ty, Brianne, jesteś od niej piękniejsza.

Brandy zarumieniła się lekko, nieprzywykła do tego nowego Richarda, który zdawał się ją adorować. Nie była pewna, czy powinna mu pozwolić. Nie należeli w końcu do tej samej sfery. No i nie była już dziewczicą. Tyle że żadna z tych rzeczy zdawała się nie mieć dla Richarda znaczenia. Zachowywał się, jakby był w niej zakochany.

Dziś uznał widać, że pora posunąć naprzód zaloty, a ona postanowiła, że mu pozwoli. Lubiła Richarda i miała wobec niego dług. Pojawił się na progu jej domu niczym rycerz na białym koniu i uratował ją przed dalszym pogrążaniem się w rozpacz. Lubiła jego towarzystwo i ceniła sobie przyjaźń z nim. Byłaby szczęściarą, gdyby poprosił ją o rękę.

Poczuła na dłoni ciepło jego palców i zauważyła, że lekko drżą. Odziany w ciemnobrązowy żakiet z szeroką białą krawatką wydawał się z minuty na minutę coraz bardziej niespokojny.

- Chciałem z tobą porozmawiać - powiedział. - Na osobności. Pomyślałem, że dziś nadarzy się

po temu okazja... to znaczy, zanim wystąpię z oficjalnym zapytaniem.

Przełknął i chrząknął, a Brandy poczuła, że i ją ogarnia zdenerwowanie.

- Tak, Richardzie?

Spojrzał w dół, na czubki błyszczących czarnych butów, zarumienił się lekko i podniósł znów wzrok.

- Próbuję cię zapytać, choć niezbyt mi to idzie, czy nie byłabyś skłonna pozwolić mi, bym dążył do małżeństwa pomiędzy nami.

Stało się. Dokładnie tak, jak sobie to wyobraziła. Richard proponował małżeństwo, przyszłość, o jakiej marzyły wszystkie kobiety. Wmawiała sobie, że jest przygotowana na oświadczyń, lecz kiedy nastąpiły, odkryła, że się myliła.

Zaczerpnęła oddechu, aby uspokoić emocje.

- Oczywiście, czuję się pochlebiona. Fakt, że w ogóle rozważasz taką możliwość, to dla mnie zaszczyt, Richardzie.

- To ja byłbym zaszczycony. Powinienem zapytać cię, czy zechcesz za mnie wyjść. Nie zrobię tego jednak, nie dzisiaj. Chciałbym tylko wiedzieć, czy byłabyś skłonna wziąć taką możliwość pod uwagę.

Brandy zdusiła niepewność, od której aż ścisnęło ją w piersi. Richard był miłym, szczodrym mężczyzną i drogim przyjacielem. Trwał przy niej, gdy go potrzebowała. W ciągu kilku ostatnich miesięcy zagościł na stałe w jej życiu. Wspomniała, jak okropnie zagubiona i samotna się czuła, kiedy stanął po raz pierwszy na progu jej domku. Nie życzyła sobie zaznać znów takiej samotności.

Zwilżyła wyschnięte nagle wargi.

- Jeśli... jeśli chciałbyś pomówić ze mną o małżeństwie, byłabym bardzo zadowolona.

Uśmiechnął się szeroko.

- Czy to znaczy, że byś się zgodziła?

- Powiedziałeś, że nie będziesz domagał się dziś odpowiedzi - odparła z uśmiechem.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Chyba zmieniłem zdanie.

- A twoi rodzice? Jesteś pewien, że nie będą temu przeciwni?

- Chcą, żebym był szczęśliwy. Kochają cię, Brianne. Ja zaś nade wszystko pragnę cię poślubić. Powiedz „tak”, Brianne. Zostań moją żoną.

Nagle zabrakło jej tchu. Czy małżeństwo było tym, czego najbardziej pragnęła? Być związaną przez całe życie z jednym mężczyzną? Tworzyć z nim dom? Budzić się obok niego co rano? Wychowywać jego dzieci? Odpowiedź pojawiła się z zadziwiającą siłą. Tak. Pragnęła mieć dom i rodzinę. Stabilność taką, jaką mieli lord i lady Halliday.

- Jeśli pytasz poważnie... Przykląkł i ujął jej dłoń.

- Pytam poważnie.

Ucisk w piersi rozprzestrzenił się na członki.

- Zatem... tak. Zostanę twoją żoną i będzie to dla mnie zaszczyt.

Richard przycisnął do ust grzbiet okrytej rękawiczką dłoni Brandy i powoli wstał.

- Dziękuję, Brianne. Uczyniłaś mnie najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

Pochylił się i musnął wargami jej usta. Nie było żaru, ognia, jedynie słabe, delikatne ciepło. Zakłopotало ją, iż czuje się aż tak rozczarowana.

- Będziemy szczęśliwi, Brandy. Obiecuję. Zmusiła się, by się uśmiechnąć, i odsunęła czym prędzej obraz Marcusa, który pojawił się, nieproszony, przed jej oczami.

- Jestem tego pewna.

- Nie chcę długiego narzeczeństwa. - Uścisnął jej dłoń. - Chyba że ty chcesz.

Wygięła wargi w leciutkim uśmiechu.

- Chcę tego, co ty, Richardzie. Pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Dobra dziewczynka. Jutro powiemy rodzicom. Weźmiemy ślub, gdy tylko uda się wszystko jak należy zorganizować.

Położył sobie znowu jej dłoń na rękawie i poprowadził ją alejką w kierunku, z którego przyszli.

Brandy milczała przez całą drogę powrotną do pawilonu. Mogła myśleć jedynie o tym, że wkrótce będzie mężatką. Choć świadomość tego nieco ją przerażała, z każdym krokiem wydawała się też bardziej zachęcająca. Na świat przyjdą dzieci. Będzie miała bliską osobę, przyjaciela, by dzielić z nim przyjemność obserwowania, jak dorastają.

Nie będzie musiała się martwić, że pewnego dnia ją opuści. Stawiać czoło perspektywie spędzenia kolejnych lat w pustce i samotności.

Marcus stał przy relingu „Morskiego Jastrzębia”, wpatrując się w wysokie, gnane wiatrem fale. Ponad jego głową żagle napinały się pod naporem wichury, a statek co i rusz przechylał się w kierunku rufy. Czuł, jak chłód przenika mu przez ubranie, nie myślał jednak o pogodzie. Ani o morzu, czy nawet o statku, kołyszącym się pod stopami. Rozmyślał o przeszłości, o dniach, kiedy nie czuł w sercu pustki, gdyż ogrzewała je obecność kobiety.

Te dni minęły, a ich miejsce zajęła samotność. Przedtem nigdy nie czuł się na morzu samotny, ani podczas rejsu, ani w porcie. Nigdy, póki nie spotkał Brianne.

Podczas miesięcy, które nastąpiły po tym, jak ją opuścił, powtarzał sobie tysiące razy, że to niemądre choćby o niej myśleć. Odeszła z jego życia, tak jak sobie życzył. Dał jej jasno do zrozumienia, że w jego świecie nie ma dla niej miejsca i że powinna ułożyć sobie życie bez niego. Pewien był, że uczucie pustki straci z czasem na sile, że zdoła wyrzucić Brandy z umysłu i z serca.

Zamiast tego usychał teraz z tęsknoty: tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu. Nieważne, jak usilnie próbował, jak ciężko pracował, nie potrafił o niej zapomnieć.

Jakiś hałas nad głową wyrwał go z zamyślenia. Spojrzał w górę, na reje, gdzie pracowało kilku marynarzy. Zobaczył, że Hamish zmierza ku niemu przez pokład, ściskając w zębach zakrzywioną fajkę.

- Jeśli pogoda się utrzyma, powinniśmy zawinąć do Port of Spain za dzień czy dwa.

Marcus przytaknął. Kierowali się ku wyspie Trynidad w południowej części Indii Zachodnich. Port of Spain był tam największym portem.

- Weźmiemy ładunek i świeże zapasy. Nie powinno nam to zająć więcej niż tydzień.

- O ile pamiętam, ma pan tam przyjaciółkę. Marcus uniósł brwi.

- Masz na myśli tę nauczycielkę?

- Wdowę, panią Reynolds. Złote włosy i ładna buzia. Zawsze z radością wita pana u siebie, kiedy zawijamy do portu.

- Nie widziałem kobiety od ponad roku. Teraz jest już pewnie mężatką.

Hamish oparł się biodrem o reling.

- Więc nie zobaczy się pan z nią?

Marcus wzruszył ramionami. Nie miał ochoty spotykać się z kobietą, nie potrafił wyobrazić sobie, że mogliby pójść do łóżka, jak to się zwykle zdarzało. Ledwie pamiętał jej twarz.

Hamish wcisnął fajkę pomiędzy zęby, zaciągnął się raz i drugi.

- Minęły miesiące, odkąd wypłynęliśmy z Anglii. Myślałem, że pan to przewycięży. Naprawdę sądziłem, że z czasem tak się stanie.

Marcus zmarszczył brwi.

- O czym ty, u licha, gadasz?

- O dziewczynie, przyjacielu. Tęskni pan za nią, jak tylko zakochany mężczyzna potrafi. Myśli pan o niej bez przerwy, w dzień i w nocy.

Marcus już miał zaprotestować, lecz Hamish potrząsnął głową.

- Nie ma potrzeby zaprzeczać. Widać to w pańskiej twarzy.

Marcus wbił wzrok w fale. Hamish miał rację. Był zakochany. Próbował wmówić sobie, że jest inaczej, lecz kłamstwo już nie wystarczało.

- Przewycięzę to. Z czasem wszystko wróci do normy i będzie tak, jak przed wypadkiem.

Tylko że jakoś w to nie wierzył. Już nie. Hamish położył mu dłoń na ramieniu.

- Zaczynam sądzić, że tym razem się pan myli. Że obaj popełniliśmy błąd.

Marcus spojrzał na przyjaciela.

- Jaki znów błąd?

- Ja taki, że założyłem, iż nie jest pan stworzony do tego, aby być mężem, ożenić się i ustatkować. Pan, sądząc, iż morze jest ważniejsze niż to, co miał pan z tą kobietą.



Marcus potrząsnął głową.

- Nie myliliśmy się, żaden z nas. Morze jest moim domem. Zawsze było.

- Zaczynam sądzić, że pański dom jest tam, gdzie dziewczyna. Nie jest pan sobą, odkąd wrócił pan na statek. Nie ma w panu za grosz radości. Niech pan będzie ze sobą szczery i przyzna, że to prawda. Czasy się zmieniają. I ludzie także. To żaden wstyd.

- Mnie to nie dotyczy.

- Naprawdę? Myślę, że byłby pan szczęśliwy w tym wielkim domu w Kornwalii, gdyby sądził pan, że czeka go tam jakaś przyszłość. Teraz Hawksmoor House należy do pana. To miejsce, z którego człowiek może być dumny, miejsce, które może nazwać domem.

Dom. Tak, rzeczywiście tak je postrzegał. Podczas miesięcy spędzonych w Tintagel przywiązał się do domu i otaczających go włości i teraz bardzo mu ich brakowało. Nie sądził przedtem, że to możliwe.

- Gdyby pan wrócił i zatęsknił pewnego dnia za morzem, zawsze może pan wziąć ją ze sobą na statek. Przez chwilę czuł się tak, jakby w jego wnętrzu zajaśniało nagle światło. To takie proste, pomyślał, a przecież niemożliwe.

- To nie byłoby w porządku, Hamishu. Kobieta potrzebuje korzeni, domu dla swoich dzieci.

- A pan nie?

Może i potrzebował. Od zawsze. Zaś morze było jedynie ucieczką przed pragnieniem czegoś, co, jak sądził, pozostanie zawsze poza jego zasięgiem. Od tygodni tęsknił za życiem w Hawksmoor House.

Brakowało mu wyzwania związanych z zarzą-

dzaniem majątkiem, budowaniem dziedzictwa, które mógłby przekazać synom.

Dzieciom, których nie chciał dotąd mieć.

No i tęsknota za Brianne po prostu zżerała mu duszę.

- W Port of Spain powinniśmy spotkać się z „Panną”. Będą wyładowywać tam towary. Mógłby pan się przesiąść i popłynąć na niej do domu. Dopilnuję, by ta stara łajba dowiozła ładunek i wróciła bezpiecznie do Anglii.

Marcus poczuł nagły ucisk w piersi. Rozpoznał w nim nadzieję i intensywność tego uczucia niemal go poraziła. Nie wierzył dotąd, iż mógłby porzucić morze, od tygodni nie pragnął jednak niczego innego. Uświadomił sobie, że wypadek go zmienił, sprawił, że zaczął postrzegać życie w zupełnie inny sposób.

- Mielśmy popłynąć do Chin. Nie byłoby w porządku, gdybym tak po prostu...

- Straci ją pan, jeśli będzie zwlekał zbyt długo. Ostry ból przeszył mu pierś. Należała do niego, lecz może ją stracić. Kto wie, czy już tak się nie stało.

Hamish pyknął z fajki, a potem spojrzał na Marcusa przez gęstą chmurę dymu.

- Czy to takie ważne, że ona nie jest przeklętą angielską damą?

Marcus spojrzał ostro na przyjaciela.

- Boże, nie! Nie obchodzi mnie, kim był jej ojciec. Nigdy mnie to nie obchodziło.

Oczami wyobraźni ujrzął nagle śliczną twarzyczkę Brandy, pełne blasku oczy, roześmiane usta. Zacisnął dłonie na mokrym relingu. Mocno, niemal boleśnie. Zawsze sięgał po to, czego pragnął. Od tygodni - miesiący - okłamywał samego siebie,

próbując sobie wmówić, że pragnie wrócić do dawnego życia.

Może chodziło o kłopoty, w jakie popadła jego firma. Nadzieję na to, że zdoła odpłacić sprawcy. A może bał się porzucić jedyne życie, jakie znał?

Jakikolwiek był powód, prawda ukazała mu się teraz z całą siłą, jasna i prosta. Samotne życie, które tak sobie cenił, nie dawało mu już szczęścia. Pragnął czegoś nowego. Chciał mieć dom i rodzinę.

Pragnął życia, w którym byłoby miejsce dla Brandy.

Spojrzał na Hamisha. Przyglądał się przez chwilę, jak wiatr rozwiewa długie, siwe włosy starego marynarza.

- „Panna”, powiadasz?

Hamish rozciągnął wargi w szerokim uśmiechu.

- Tak, kapitanie.

Marcus także się uśmiechnął. Poczł się tak, jakby z ramion zdjęto mu wielki ciężar. Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz tak się czuł. Lecz potem jego uśmiech z wolna zbladł. Nie było go w Anglii od miesiący, nie wysłał też nawet jednego listu. Brianne była piękna i godna pożądania. A także inteligentna i - dzięki lekcjom, które opłacił - potrafiła poruszać się z wdziękiem w najwyższych kręgach towarzystwa. Nawet jego brat był nią zauroczony.

A jeśli już ją stracił?

Zachowywał się jak przeklęty głupiec. A jeśli jest już za późno?

## Rozdział 23

Brandy, stojąca pod połyskującym kryształowym żyrandolem, przyjęła ramię Reksa Delaine i pozwoliła poprowadzić się na parkiet. Działo się to podczas wieczorku w eleganckiej miejskiej rezydencji lorda Richmond. Sezon był w pełnym rozkwicie i niekończący się szereg balów oraz przyjęć sprawiał, iż Brandy rzadko kładła się przed świtem.

- Czujesz się wśród nich jak ryba w wodzie - powiedział Rex, wskazując skinieniem głowy tłumek modnie ubranych dam i dżentelmenów. Rozbrzmiała muzyka, ujął więc dłoń Brandy i przeprowadził dziewczynę przez pierwsze figury kadryla. - Zakładam, iż dobrze się bawisz.

Brandy się uśmiechnęła.

- Oczywiście. - Bo przecież musiała to być prawda? Najczęściej była tak zajęta, że nie miała czasu się zastanawiać. - Nigdy nie zdołam odwdzińczyć się tobie ani Richardowi.

Rozstali się na chwilę, a potem znów połączyli. Rex z wdziękiem obrócił partnerkę.

- Wygląda na to, że bardzo go polubiłaś. Pomyślała, że oto nadarza się okazja, na którą od kilku dni czekała. Pora nie była co prawda odpowiednia, lecz jeśli mu nie powie, wieści i tak się

rozejdą, a wolałaby, aby dowiedział się o planowanym ślubie od niej.

- Richard poprosił mnie o rękę.

Rex uniósł czarne brwi, a na jego twarzy odmalował się wyraz lekkiego zdziwienia.

- Domyślam się, że powiedziałaś „tak”?

- Owszem. Mam nadzieję, że to aprobujesz. Utkwił w niej serdeczne spojrzenie niebieskich oczu.

- Nie potrzebujesz mojej aprobaty, ale tak, aprobuję. Z całego serca życzę wam obojgu szczęścia.

- Dziękuję.

- Richard to dobry człowiek... jeden z najlepszych. Wiem też, że cię uwielbia.

Rozdzielili się, a potem wrócili znów do szeregu.

- Nie sądzisz, iż mierzę zbyt wysoko? Raczej nie dorównuję Richardowi towarzysko.

- Może, jeśli chodzi o pochodzenie. Lecz spójrz tylko na siebie. W całym pomieszczeniu nie ma ani jednej osoby, która wątpiłaby, czy tu przynależysz.

Uśmiechnęła się, tym razem bardziej szczerze.

- Muszę podziękować za to profesorowi Felto-nowi... i, oczywiście, twojemu bratu.

Rex odwrócił wzrok, Brandy postąpiła tak samo. Nie powiedzieli już nic więcej i taniec dobiegł wreszcie końca. Rex odprowadził ją do miejsca, gdzie stał Richard, a obok niego jej przyszły teść, czarujący mężczyzna o inteligentnym spojrzeniu piwnych oczu, tak podobnych do oczu syna, i siwiejących na skroniach jasnych włosach.

- Ślicznie dziś wyglądasz, Brianne. - Markiz pochylił się i mówił wprost do ucha Brandy. - Nie mogę przestać myśleć o tym, jak cennym nabytkiem dla rodziny się staniesz. Mój syn ma piekiel-

ne szczęście. Nie mogę się doczekać, aby ogłosić wasze zaręczyny.

Brandy spłonęła rumieńcem.

- Dziękuję, proszę pana.

Richard rzucił jej czułe spojrzenie i się uśmiechnął. Zaprosiłby ją do tańca, ale tańczyli już z sobą kilka razy, a dzięki profesorowi Feltonowi wiedziała, że przed ogłoszeniem zaręczyn należało zachować ostrożność.

Poza tym w jej karnecie widniało już inne nazwisko, należące do mężczyzny, który dopiero został jej przedstawiony. Był nim przyjaciel markiza, Palmer Reese, bogaty armator, który wspomniał, iż jest także przyjacielem Delaine'ów.

Może dlatego tak bardzo chciała z nim zatańczyć. Miała nadzieję, że będzie wiedział coś o Marcusie, choćby to, gdzie teraz jest i jak mu się wiedzie. Co prawda, nie powinno jej to obchodzić. Nie miała od niego wieści, odkąd wrócił na morze. Lecz nie napisał także do brata. Brandy modliła się, by był bezpieczny i by na jego statkach nie zdarzały się już „wypadki”.

Pan Reese zjawił się tuż przed obiecany tańcem, odziany dość krzykliwie w jaskrawozielony żakiet z wysadzany perłami kołnierzem z zielonego aksamitu. Porwał Brandy na parkiet i puścił się wraz z nią w skoczne płąsy. Podchwyciła w przelocie spojrzenie Reksa i zaskoczył ją widok jego zdziwionej twarzy. Marszczył z niezadowoleniem brwi, lecz szybko pochłonął go tłum gości i Brandy zapomniała o tym, co zobaczyła.

Przeniosła spojrzenie na swego partnera, Palmera Reese. Był atrakcyjnym mężczyzną o falujących włosach w kolorze kawy. Rysy miał szlachetne, choć odrobinę jakby zniewieściałe. Maniery

nienagane, prawie zbyt gładkie. Nie była w stanie odgadnąć, dlaczego wzbudza w niej instynktowną niechęć.

Patrzyła na niego z przyklejonym do twarzy uśmiechem.

- Wspomniał pan chyba, kiedy nas sobie przedstawiono, że jest pan też przyjacielem lorda Hawks-moor.

- Tak... nasze rodziny znają się od lat. Wychowywaliśmy się razem jako dzieci. - Czy tylko to sobie wyobraziła, czy też powieka Palmera zaczęła nagle drgać? - Lord Halliday powiada, że jest pani bliską znajomą Delaine'ów.

Zarumieniła się leciutko, zdając sobie poniewczasie sprawę, iż może ją to zdradzić.

- Mój ojciec posiadał w Charlestonie nieruchomość. Kapitan Delaine... to znaczy lord Hawks-moor często zawijał tam do portu. Znam go, odkąd byłam małą dziewczynką.

- Rozumiem.

- Wie pan zapewne, że został w zeszłym roku ranny, i to poważnie.

- Tak, słyszałem.

- Teraz czuje się już dobrze i wrócił nawet na morze.

Tik był teraz bardziej wyraźny.

- Domyślam się, że wypłynął na dłużej. Kiedy ostatnio o nim słyszałem, zmierzał do Indii, a potem miał udać się dalej, do Chin.

Jak kilka prostych słów może sprawić aż taki ból?

- Zawsze chciał zobaczyć Orient - powiedziała miękko.

Palmer ją przyglądać się jej z nowym zainteresowaniem i Brandy zaniepokoiła się, że powiedziała za dużo.

- A pan, panie Reese? - spytała ze zbytnim ożywieniem, by zmienić temat. - Podobno posiada pan prawdziwą armadę. Czy pan też pływa do nieznanych portów?

Uśmiechnął się kątem ust.

- Od czasu do czasu, kiedy zachodzi taka potrzeba. Na szczęście nie zdarza się to często. Morze to dla mnie interes, nie pasja. Jestem zadowolony, mogąc przebywać w Londynie tak długo, jak tylko się da. Roześmiała się, pozwalając, by przeprowadził ją przez kolejne figury tańca.

- To zrozumiałe - powiedziała po to jedynie, aby odwrócić jego uwagę. Prawdę mówiąc, był w jej życiu czas, kiedy łaknęła przygody, rozpaczliwie pragnęła podróżować i zwiedzać świat. Odkąd Marcus wyjechał, nie wydawało się to już takie ważne.

Odpędziła niepożądane myśli. Wkrótce przysięgnie wierność innemu. To o nim powinna teraz myśleć, być wobec niego lojalną. Przysięgła sobie w duchu po raz kolejny, że będzie dobrą żoną i matką jego dzieci.

Właśnie o tym myślała, kiedy spojrzawszy ku wejściu do sali balowej, zobaczyła w progu wysoką, imponującą męską sylwetkę. Marcus Delaine, lord Hawksmoor, stał w drzwiach, uparcie się w nią wpatrując.

Potknęła się i niemal upadła. Serce tłukło się jej w piersi jak oszalałe. Palmer chwycił ją za ramię i musiała się na nim wesprzeć. Marcus, wyższy o głowę od otaczających go mężczyzn, nie spuszczał z niej wzroku.

Ubrany był w czarny aksamitny żakiet, dopasowany i uwydatniający szerokość ramion. W świetle połączonych kinkietów jego włosy



wydawały się granatowoczarne. Cerę miał ogorzałą, a oczy pociemniałe. Wpatrywał się w nią bez zmruczenia powiek, lecz było w jego postawie, w mocnym zaciśnięciu szczęk, coś jeszcze. Zaskoczona uświadomiła sobie, że to gniew.

- Obawiam się... Ja... nie czuję się zbyt dobrze. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wolałabym usiąść. Palmer uśmiechnął się z troską.

- Może powinniśmy wyjść na zewnątrz, zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Nie, ja... - Potrząsnęła głową nieco zbyt stanowczo, a potem wzięła oddech i się uśmiechnęła. - Wolałabym napić się czegoś zimnego.

Skinął grzecznie głową, odwrócił się i ruszył w stronę wazy z ponczem. Gdy tylko zniknął z widoku, Brandy podeszła do Reksa. Stał obok lorda Halliday, pogrążony w rozmowie z młodą, jasnowłosą damą, z którą Brandy widziała go już wcześniej. Lady Margaret Herring, przypomniała sobie. Pociągnęła za rękaw jego surduta.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy moglibyśmy zamienić słówko na osobności?

Wystarczyło jedno spojrzenie na jej pobladłą twarz i zwrócił się do blondynki, mówiąc:

- Jeśli mi pani wybaczy, lady Margaret..?

- Oczywiście. - Nie wyglądała jednak na zadowoloną.

Rex ujął ramię Brandy.

- O co chodzi? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

- Bo chyba tak było. Twój brat jest tutaj. Właśnie wszedł.

Rex poderwał gwałtownie głowę.

- Ależ to niemożliwe. Nie powinien wrócić wcześniej jak za rok.

Chwyła go za ramię i obróciła twarzą w kierunku drzwi akurat w chwili, gdy Marcus ruszył ku nim, wspierając się na lasce ze srebrną gałką.

Rex zeszywniał.

- Do diabła, mam nadzieję, że ze statkiem wszystko w porządku.

Nawet nie przyszło jej to do głowy. Mogła myśleć jedynie o tym, że Marcus wrócił, a ona właśnie zaręczyła się z innym.

Lady Halliday podeszła ku nim i powiedziała:

- Wielkie nieba! Myślałam, że pożeglowałeś na koniec świata, do Chin czy w jakieś podobne miejsce.

Marcus uśmiechnął się i pochylił nad dłonią damy, nie spuszczając jednak wzroku z Brianne.

- Taki był zamysł, zmieniłem jednak plany. Wpatrywał się w nią tak intensywnie, że aż ścisnęło ją w żołądku.

- Mieliście kłopoty? - zapytał Rex. - Mam nadzieję, że nic nie przytrafiło się „Jastrzębiowi”.

- Żadnych kłopotów - odparł Marcus. - Przynajmniej tego rodzaju.

Zastanawiała się, jakież to kłopoty mógł mieć na myśli. Ale to przecież nie jej sprawa. Choć jeszcze się do niej nie odezwał, nadal wpatrywał się w nią jak urzeczony. Gniew zniknął, zastąpiony ciepłem, które sprawiało, że ciarki przebiegały jej po skórze.

- Wygląda pani ślicznie, panno Winters. Najwidoczniej pobyt w Londynie pani służy.

- Dziękuję, milordzie. I, tak... rzeczywiście. Uświadomiła sobie, że Richard staje tuż za nią, jakby chciał zamanifestować swoje prawa. Nie była pewna, czy bardziej cieszy ją fakt, że tam jest, czy niepokoi to, iż poczuł się aż tak zagrożony. I wtedy przemówił markiz.

- Dobrze cię widzieć, Hawksmoor - powiedział, wyciągając do Marcusa dłoń. Jego rysy stwardniały jednak, a w spojrzeniu dało się odczytać ostrzeżenie. Brandy nigdy go przedtem takim nie widziała. - Przybyłeś w bardzo szczęśliwym momencie - stwierdził znacząco. - Mój syn oznajmił właśnie, że się żeni. W końcu przyszłego tygodnia odbędzie się w Halliday Hall zaręczynowe przyjęcie. Będziemy zaszczytzeni, jeśli zechcesz wziąć w nim udział.

Marcus spojrzał na Richarda, a potem na Brianne. Niemal czuła na skórze żar tego spojrzenia. Uśmiechnął się do Richarda, ale nie było w tym ciepła.

- Gratuluję, Lockhart. Czy dobrze rozumiem, że damą, o której mowa, jest panna Winters?

Richard zważył się z nim spojrzeniem.

- Tak, Brianne zgodziła się zostać moją żoną. Jestem prawdziwym szczęściarzem.

Marcus zwrócił znów przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu na Brandy. Odczuła je jak pieczętę.

- Tak... - powiedział cicho. - Rzeczywiście. Poczwała, że uginają się pod nią kolana. Pragnęła dotknąć Marcusa, rzucić mu się w ramiona i poczuć, jak się wokół niej zamykają. Złorzeczyła sobie za to w duchu, na próżno jednak.

Dobry Boże, jak mogła się łudzić, że zdołała przezwyciężyć tamto uczucie?

Wpatrywała się w Marcusa i miała ochotę głośno kląć. Krzyczeć na niego. Rozpłakać się. Jak może być dobrą żoną dla Richarda, skoro myśli o Marcusie wciąż torturują jej umysł i serce?

Czuła, że się jej przygląda. Patrzył intensywnie, jak nigdy dotąd. Po co wrócił do Anglii? Co robi w Londynie?

Dlaczego nie zostawi jej w spokoju?

Marcus rozmawiał z bratem, lecz jego spojrzenie uciekało nieustannie ku Brianne. W sukni o podniesionej talii, uszytej z bursztynowego jedwabiu i wykończonej złotem o barwie jej oczu, wydała mu się piękniejsza niż kiedykolwiek.

Zaśmiała się z czegoś, co powiedział Richard, twarz miała jednak bladą, a pod oczami ciemne kręgi.

Pragnął sprawić, by zniknęły, przytulić ją i powiedzieć, jak bardzo żałuje, że ją zranił.

Zaklął w duchu, świadom, że nie ma do tego prawa. Utracił je, gdy ją opuścił.

Tylko przysłowiowy łut szczęścia sprawił, że odnalazł ją tu, w Londynie. „Panna” wpłynęła do portu przed kilkoma zaledwie godzinami. Zszedł z pokładu i udał się do miejskiej rezydencji Delaine'ów, by się odświeżyć i przespać przed podróżą do Kornwalii.

Zaskoczony przekonał się, że jego brat też bawi w stolicy. Co prawda, nie było go akurat w domu, wybrał się bowiem na wieczorek do lorda Richmond. Powiedziano mu także, iż Brianne Winters gości u lorda i lady Halliday.

Przebywała tam nie tylko jako gość, skonstatował ponuro, ale i przyszła synowa. Nieźle jak na dziewczynę z portowej tawerny, pomyślał rozgoryczony, choć prawdę mówiąc, był przecież czas, gdy sądził, iż dobrze byłoby wyswatać Brianne z Richardem. Teraz, gdy tak się stało, na samą myśl o tym robiło mu się niedobrze.

Za późno, przemówił głos w jego głowie. Stracił ją, jak przepowiedział Hamish. Ale nie była to prawda. Nie, kiedy chodziło o tak wysoką stawkę. Nie, kiedy jedno spojrzenie w te śliczne złote oczy

sprawiło, że coś ścisnęło go za serce, mówiąc mu, jak bardzo ją kocha. Nie, kiedy tam, gdzie powinien był widzieć radość, dostrzegał jedynie cień.

Kiedyś cię kochała, powiedział znów wewnętrzny głos.

Modlił się, by nadal tak było.

Jedno wiedział na pewno. Cokolwiek by się zdarzyło, cokolwiek postanowiła, Brianne Winters będzie należała w końcu do niego. Zamierzał tego dopilnować.

\*\*\*

Brandy wierciła się nerwowo. Uczestniczyła właśnie w przyjęciu u wicehrabiego Wembley w towarzystwie Richarda i jego rodziców. Tańczyła przez cały wieczór, udając, iż dobrze się bawi. Nie było to łatwe, skoro przez niemal cały czas zerkiała dyskretnie na drzwi.

Przez pierwsze trzy dni Marcus pojawiał się wszędzie tam, gdzie ona. Nie wiedziała, czy to przypadek, lecz gdy go widziała, ogarniał ją niepokój, serce biło jak oszalałe, a myśli galopowały. Tego wieczoru pora była co prawda jeszcze wczesna, lecz Marcus nie przyszedł, a ona przyłapała się na tym, że go wygląda. Z jednej strony wolałaby się z nim nie spotkać, z drugiej miała ukrytą nadzieję, że jednak się pojawi.

Rozmawiał z nią każdego wieczoru, acz krótko. Zachowywał się jak na dżentelmena przystało, i tylko oczy zdradzały uczucia. Żar tego spojrzenia sprawiał, że czuła się niczym jeleni pochwycony w światła lamp.

Zapytał ją raz o Palmera Reese. Odparła, że ledwie go zna. Powita! to z zadowoleniem, a ona ję-

la się zastanawiać, czy nadal łączy ich przyjaźń. Nie zapytała jednak. Próbowwała z całych sił zapomnieć o Marcusie Delaine. Jak dotąd, bez powodzenia. Przechadzała się pomiędzy krytymi zielonym sukniem stolikami, przyglądając się, jak panowie grają w wista. Richard i jego ojciec siedzieli przy stole w rogu, śmiejąc się, czyniąc skromne zakłady i po prostu ciesząc się grą. Postąpiła przez chwilę za krzesłem Richarda. Spozobregła, że sprawia mu tym przyjemność.

Za kilka dni miały być ogłoszone zaręczyny.

Richard pragnął, by ślub odbył się jak najprędzej, a ona się zgodziła. Był takim miłym człowiekiem. Opuściła pokój do gry i wyszła na taras. Nie powinna przebywać tam bez opieki, rozpaczliwie potrzebowała jednak świeżego powietrza i chwili samotności, aby uporać się z myślami. Westchnęła, kierując się ku balustradzie w cieniu, za którą znajdował się wypielegnowany ogród. Pochodnie oświetlały wąskie, zwirowane alejki. Na klombach kwitły wiosenne kwiaty: bratki, żonkile, tulipany i hiacynty.

- Widzę, że nadal niezbyt przejmujesz się reputacją. - Słyszając głęboki głos Marcusa, odwróciła się gwałtownie. - Wątpię, aby narzeczonemu spodobało się, że wyszłaś sama.

Zadarła do góry brodę.

- Nie wiedziałam, że tu jesteś, inaczej bym nie przyszła.

Roześmiał się cicho, z głębi piersi, a Brandy przeszył dreszcz.

- Zapewne - powiedział. - Tym większa szkoda. Przysunął się bliżej i stał teraz oddalony od niej zaledwie o cal. Czuła ciepło jego ciała, zapach korzennej wody po goleniu.

- Śledziłeś mnie? Czego chcesz?

- Naprawdę tego nie wiesz? Czy tylko udajesz? Zwilżyła wargi, wyschnięte nagle na wiór.

- Dlaczego wróciłeś? Twój brat powiedział, że opuściłeś „Morskiego Jastrzębia”, przesiadłeś się w Indiach na „Pannę” i wróciłeś do Londynu.

Wyciągnął dłoń i przesunął palcem wzdłuż linii jej policzka.

- Może wróciłem po ciebie. Może przekonałem się, że za tobą tęsknię.

Potrząsnęła tylko głową i cofnęła się o krok.

- Musi być inny powód, ważniejszy. Nie opuściłbyś statku dla kobiety.

Zmarszczył brwi. W jego niespokojnym spojrzeniu dostrzegła tęsknotę, której nie była w stanie zrozumieć.

- Nie jesteś jakąś tam kobietą, Brianne. Podszedł na tyle blisko, że jego noga musnęła skraj jej sukni. Powietrze między nim zdawało się gęstnieć z sekundy na sekundę. Przesunął spojrzeniem po twarzy Brandy, zatrzymując je na wargach dziewczyny.

- Jesteś inna, Brianne. Jedyna w swoim rodzaju. Powinienem był powiedzieć ci to już dawno.

Spojrzała na jego śniadą, przystojną twarz, a wtedy, zanim uświadomiła sobie, co zamierza, pochylił nagle głowę i przycisnął usta do jej ust. Brandy westchnęła i zaskoczona rozchyliła wargi. Natychmiast wsunął pomiędzy nie język i jął pieścić wnętrze jej ust. Objął Brandy mocno ramionami i przycisnął do siebie. Poczowała, iż znajomy żar wciska się jej pod skórę.

Przez chwilę należała znowu do niego i wszystko było, jak trzeba. Całowała go, przelewając w ten pocałunek całą miłość, jaką kiedyś do niego czuła,

wszystko to, co straciła, gdy ją opuścił. Na chwilę marzenie o życiu z nim odzyskało blask, piękne i świeże jak kiedyś.

Lecz potem pomyślała o Richardzie, o jego dobroci, lojalności. Kochanie Marcusa mogło przysporzyć jej wyłącznie cierpienia. Oznaczało ból i nieustające poczucie straty. Przycisnęła dłonie do piersi kochanka i odepchnęła go, a potem cofnęła się o kilka kroków, chwytając gwałtownie powietrze.

- To... to nie powinno było się wydarzyć. I więcej się nie zdarzy. Jeśli chcesz, byśmy pozostali przyjaciółmi, będziesz trzymał na przyszłość ręce przy sobie.

- Chcę czegoś więcej niż przyjaźń, Brianne - powiedział, przeszywając ją spojrzeniem. - Zawsze chciałem. Brandy potrząsnęła głową, bliska łez.

- Za późno, Marcusie. Nie chciałeś mnie. Nie tak naprawdę. Miły i przyzwoity mężczyzna poprosił mnie o rękę. Proszę... Jeśli naprawdę ci na mnie zależy, zostawisz mnie w spokoju.

Wyglądał, jakby chciał się kłócić, zamiast tego spojrział jednak w bok. Jego palce, zaciśnięte wokół laski, zbiały.

Brandy odwróciła się, powstrzymując łzy. Nie wiedziała, co sprowadziło Marcusa do Londynu, ale i tak nie miało to znaczenia. Było za późno. Nie chciała go widywać. Nie życzyła sobie być z nim blisko. W końcu nauczyła się bez niego żyć i zamierzała przy tym wytrwać.

Ruszyła bez słowa ku drzwiom, zostawiając go na tarasie i złorzecząc sobie w duchu z powodu tego, do czego dopuściła. Czuła się winna. Jak mogła zdradzić w ten sposób Richarda, który był dla niej tak dobry?



Ignorując drżenie kończyn i nagłą chęć, by puścić się biegiem, wróciła na przyjęcie. Miała nadzieję, że nikt nie zauważył, jak bardzo jest poruszona. Lady Halliday siedziała w salonie. Spojrzała na zbliżającą się Brandy, odnotowując błyszczące oczy i zaróżowione policzki dziewczyny.

- Co się stało, kochanie? Wydajesz się zdecydowanie rozstrojona.

- Ja... nie czuję się dobrze. Wiem, że to nie uchodzi, ale czy nie miałyby pani coś przeciwko temu, by Richard odwiózł mnie do domu?

Markiza spojrzała na drzwi, którymi weszła Brandy. Na tarasie dostrzegła ukrytą w mroku sylwetkę wysokiego mężczyzny.

- Ja też czuję się dziś nieco znużona - powiedziała. - Chodź, powiemy Simonowi i Richardowi, że chciałybyśmy już wyjść.

- Jest pani pewna?

Markiza zerknęła znowu na taras.

- Absolutnie - odparła łagodnie. - Jest tyle do zrobienia w związku z przyjęciem zaręczynowym, że przyda nam się trochę odpoczynku.

Brandy skinęła tylko głową. Czuła się winna, zakłopotana i ścisnęła ją w piersi. Richard zasługiwał na to, by mieć żonę, która będzie kochała go całym sercem, tak jak jego matka kochała swojego męża markiza. A choć Brandy uwielbiała narzeczonego, po tym, co zdarzyło się przed chwilą na tarasie, nie była wcale pewna, czy potrafi kochać go w ten sposób.

Boże świąty, gdyby wiedziała tylko, co zrobić!

\*\*\*

Marcus siedział obok brata i lady Margaret Herring - ślicznej jasnowłosej damy, z którą Rex się ostatnio spotykał - w loży Theatre Royale na Catherine Street w Covent Garden. Po lewej stronie Margaret siedziała jej matka, hrabina Trenton. W loży naprzeciw zaś Brianne Winters, obok mężczyzny, który miał zostać wkrótce jej mężem.

Za każdym razem, gdy Richard dotykał dziewczyny, brał ją za rękę, Marcusa ścisnęło w środku.

Pozłacane krzesło tuż obok zatrzeszczało, gdy brat pochylił się ku niemu.

- Jesteś w niej zakochany, zdajesz sobie z tego sprawę? - powiedział cicho Rex. Jego niebieskie oczy błyszczały w blasku świec. - Dlaczego po prostu tego nie przyznasz?

Marcus wpatrywał się w Brandy, ledwie mogąc uwierzyć, że ta śliczna, niewiarygodnie zrównoważona młoda kobieta w sukni w żółte pasy była kiedyś posługaczką w tawernie.

- Jest zaręczona z innym - powiedział - i tak się składa, że to mój przyjaciel.

- Richard jest także moim przyjacielem. Nie znaczy to, że powinieneś stać z boku i biernie się przyglądać, jak rujnuje życie całej waszej trójce.

Marcus uśmiechnął się kątem ust.

- Nie zamierzam.

- Czego...?

- Nie wróciłem do Anglii po to, by stać z boku i przyglądać się, jak Brianne wychodzi za Richarda Lockharta.

Rex zmarszczył brwi.

- Jeśli zamierzasz uczynić ją znów swoją kochanką...

386

- Nic podobnego.
  - ...lub ją poślubić, a potem zostawiać samą na długie miesiące, kiedy będziesz na morzu...
  - Nie mam najmniejszego zamiaru zostawiać jej i wracać na morze. Już raz zrobiłem ten błąd. Rex się uśmiechnął.
  - Nie sądziłem, że okażesz się wystarczająco bystry, by uświadomić to sobie, nim będzie za późno.
  - Dziękuję, że we mnie wierzyłeś.
  - Nie przejmuj się tym. Mam tylko nadzieję, że wymyśliłeś już sposób, aby przekonać Brianne.
- Marcus się nie odezwał. Nie był jeszcze pewien, co dokładnie zamierza, wiedział tylko, iż porażka nie wchodzi w grę. Był całkowicie, absolutnie i po uszy zakochany w Brianne Winters. W ten czy inny sposób doprowadzi w końcu do tego, iż Brandy zostanie jego żoną.
- Dotrwał jakoś do końca sztuki, a potem opuścił teatr. Richard poszedł przyprowadzić powóz. Lord i lady Halliday stali na chodniku, pogrążeni w rozmowie. Zauważył, iż Brianne zmierza ku przyszłym teściom, i zastąpił jej drogę.
- Muszę się z tobą spotkać, Brianne. Są sprawy, które trzeba omówić. Wiem, że wolałabyś dalej mnie unikać, ale to się na nic nie zda. Kiedy możemy się zobaczyć?
- Uniosła głowę. Zauważył, że drżą jej dłonie.
- O czym ty mówisz?
  - O tym, byśmy porozmawiali na osobności. Wierzysz, czy nie, wróciłem do Londynu z twojego powodu. Muszę z tobą porozmawiać. Mam nadzieję, że wyświadczysz mi tę uprzejmość, choćby ze względu na dawną przyjaźń.
- Brandy potrząsnęła jednak tylko głową.

- Nie mamy sobie nic do powiedzenia. Masz swoje życie, a ja swoje. To, co nas łączyło, minęło.

Uniósł dłoń i pogładził jej policzek. W blasku ulicznej latarni skóra Brandy wydawała się blada, niemal wyprana z koloru.

- Jesteś pewna?

Brandy przełknęła i odwróciła wzrok. Patrzyła teraz na tłum bywalców kłębiący się przed wejściem.

- Choćbym nadal darzyła cię uczuciem, i tak nie miałyby to znaczenia. Podczas tych miesięcy, gdy cię nie było, dowiedziałam się o sobie wielu rzeczy. Chcę mieć dom, Marcusie. I dzieci. Ty nie jesteś tym zainteresowany. Za nic nie dopuściłbyś, by coś aż tak cię wiązało.

- Mylisz się - powiedział łagodnie. - Może było tak kiedyś, lecz to się zmieniło.

Spojrzała na niego oczami o barwie bursztynu. Widział, że cierpi. Pragnął wziąć ją w ramiona i odpędzić ból precz.

- Odejdź, Marcusie, błagam. Odejdź i zostaw mnie w spokoju.

Minęła go i jęła przeciskać się przez tłum ku miejscu, gdzie stał powóz Hallidayów. Lokaj pochylił się i otworzył drzwiczki. Richard pomógł wsiąść narzeczonej, a potem reszcie rodziny, i powóz ruszył.

Płomienne włosy Brandy zabłysły na chwilę w świetle latarni, gdy mijali Marcusa.

Przyglądał się, jak powóz znika we mgle. Czuł ucisk w piersi, jego serce boleśnie pulsowało. Żałował, że nie znalazł właściwych słów, nie potrafił jej przekonać.

- Twoja panna Winters to smaczny kąsek. - Palmer Reese stał na chodniku, oddalony zaledwie

o kilka kroków, uderzając jak gdyby nigdy nic parą skórzanych rękawiczek o wnętrze dłoni. Marcus poczuł, że sztywnieje.

- Co panna Winters ma z tobą wspólnego?

- Niestety, nic, chociaż uważam, że jest intrygująca. To z pewnością tajemnicza kobieta. Nikt nie wie o niej zbyt wiele... choć chodzą słuchy, że była kiedyś twoją kochanką.

Marcusa ogarnął gniew. Jego niechęć względem Palmera zdawała się rosnać z każdym uderzeniem serca. Zacisnął szczęki.

- To twoje domysły, Palmer, czy też oszczerza plotka, przyniesiona przez któregoś z twoich zbójów, może jednego z tych, którym zapłaciłeś, by uszkadzali moje statki?

Palmer uniósł brwi.

- Nie chcesz chyba oskarżyć mnie o wrogie działania? Jesteśmy przyjaciółmi, i to od dawna.

- Przyjaciółmi? Nie sądzę. Prawdę mówiąc, spotkałem się dziś z ludźmi, których zatrudniłem, by wywieźli się, kto stoi za wypadkami, jakie zdarzyły się na naszych statkach. Kilka miesięcy temu sporządzili listę osób, które skorzystały na moich kłopotach. Ty, Palmerze, znalazłeś się na jej czele. Reese tylko się uśmiechnął.

- Nie traktuj tego osobiście, Marcusie. Straciłeś kontrakty, więc ktoś musiał je przejąć. To był po prostu dobry interes.

Marcus zwalczył chęć, by go uderzyć.

- Uzyskałem dziś potwierdzenie, że kiedy na moich statkach zaczęły się kłopoty, twoja firma była w poważnych tarapatach finansowych.

- Nie znaczy to, że miałem z nimi cokolwiek wspólnego. Nie możesz tego dowieść.

- Rzeczywiście, niestety. Zapewniam cię jednak, że jeśli te kłopoty się powtórzą, nie będę czekał na dowody. Dopadnę cię... osobiście. Wyzwę na pojedynek. Strzelałem lepiej od ciebie już kiedy byliśmy chłopcami, a od tego czasu moje umiejętności jeszcze wzrosły.

Reese zacisnął szczęki, lecz twarz mu zbladła.

- i nie życzę sobie słyszeć żadnych więcej plotek na temat Brianne Winters. Jeśli wyrządzisz jej krzywdę, to tak, jakbyś próbował skrzywdzić mnie, zrozumiano? Rezultat będzie taki sam. Umrzesz i moje problemy skończą się raz na zawsze.

- Zwariowałaś - prychnął Reese butnie, lecz nie potrafił ukryć strachu. Marcus, bardziej pewny teraz niż kiedykolwiek, że to przez niego o mało nie stracił władzy w nogach, poczuł przebłysk satysfakcji. Rzucił Palmerowi ostatnie, twarde spojrzenie, po czym odwrócił się i odszedł. Ten człowiek był bez wątpienia winny, nie widział jednak sposobu, aby to udowodnić. Wspomniał spotkanie, które odbył tego ranka ze śledczymi z Bow Street, zatrudnionymi przed niespełna rokiem. Reynolds i Kelly byli pewni, że to Reese zorganizował sabotaż. Podejrzewali także, iż załatwił jednego ze swoich, człowieka, który pomagał mu w tym przedsięwzięciu, byłego kapitana „Pomyślnego Wiatru”, Caina Daltona. Znalaziono go w zaułku opodal kantoru Reese' a z gardłem poderżniętym od ucha do ucha. Chodziły słuchy, że pewnemu łotrowi zapłacono za to, by dokonał mordu, płacił zaś nie kto inny, jak Palmer Reese. Nie sposób było jednak znaleźć dowodów, zwłaszcza takich, które można byłoby przedstawić w sądzie.

Był czas, kiedy Marcus, opętany żądzą zemsty, mógł myśleć jedynie o tym, by *znaleźć* człowieka odpowiedzialnego za to, co stało się na „Morskim Jastrzębiu”. To dziwne, lecz teraz *zależało* mu głównie na tym, aby zapewnić bezpieczeństwo statkom i ich załogom. Mimo to groźba, którą rzucił Palmerowi, była jak najbardziej realna. Jeśli Reese spróbuje zagrozić statkom lub jemu osobiście, Marcus go zabije. Zrobi też, co konieczne, jeśli Reese ośmieli się szkalować Brianne Winters.

## Rozdział 24

Brandy musiała wyjechać. Nie mogła zostać w Londynie ani dnia dłużej. Rozmawiała tego ranka z Richardem, błagając go, aby zrozumiał i zgodził się odłożyć ogłoszenie zaręczyn.

- To wszystko dzieje się zbyt szybko - powiedziała. - Wiesz, jak mi na tobie zależy, lecz potrzebuję czasu, by pomyśleć, zobaczyć sprawy bardziej jasno.

- Chodzi o Hawksmoora, prawda? Póki nie wrócił, byłaś zadowolona. Nawet cieszyłaś się na to małżeństwo.

Brandy ujęła jego dłoń i musnęła wargami gładkie, zgrabnie uformowane palce.

- Wniosłeś znów w moje życie radość, Richardzie. Wyprowadziłeś mnie z ciemności, która niemal mnie zniszczyła. Zawsze będę ci za to wdzięczna. Potrzebuję jednak czasu. Chcę, aby pomiędzy nami wszystko było jak należy. By wszystkie cienie zniknęły.

- Pragnę się z tobą ożenić, Brianne. Zrobię dla ciebie wszystko, absolutnie wszystko.

Uśmiechnęła się do niego z czułością.

- Wiem o tym. Nie proszę, byś czekał w nieskończoność, jedynie tak długo, aż poukładam sobie wszystko w głowie.



Richard przymknął na chwilę oczy, a potem westchnął.

- Dokąd pojedziesz?

Brandy spojrzała za okno, na niebo, bardziej szare niż niebieskie i zasnuwane mżawką.

- Do mojej chaty. Tam, gdzie powietrze jest czyste i słodkie i gdzie będę mogła ocenić, co jest najlepsze dla nas obojga.

- Wiem, co jest najlepsze - stwierdził Richard stanowczo. - Potrafię uczynić cię szczęśliwą, Brianne, tylko mi pozwól.

Przycisnęła sobie jego dłoń do policzka.

- Ty i twoja rodzina jesteście najmilszymi, najbardziej szczerymi ludźmi, jakich poznałam. Nie chcę zranić ciebie ani twoich bliskich. Daj mi czas, Richardzie. Obiecuję, że wszystko się ułoży.

Zrezygnowany skinął głową.

- Zawiadomię służbę, że wracasz. Kiedy chciałabyś wyjechać?

- Jutro, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Zgoda. Dopilnuję, by wszystko było gotowe do podróży. Dam ci kilka tygodni, Brianne. Potem przyjadę i weźmiemy ślub.

Zawahała się na chwilę, a potem przycisnęła usta do jego ust w delikatnym, czułym pocałunku. Nie przypominał gorących, przepelnionych namiętnością pocałunków Marcusa, lecz Richard nie był przecież taki jak Marcus. Może właśnie to ją w nim pociągało, sprawiło, że zgodziła się za niego wyjść.

Z pewnością, kiedy już dojdzie ze sobą do ładu, będzie w stanie zaakceptować jego i życie, jakie jej obiecywał. Wspomnienia o Marcusie trafią zaś tam, gdzie powinny - do lamusa.

Świadomość tego, że wkrótce znajdzie się w Kornwalii, była niczym promień słońca prze-

dzierający się przez chmury. W domu z pewnością odnajdzie spokój. Wystarczy tylko się tam dostać.

\*\*\*

Rex Delaine usłyszał, że drzwi rezydencji otwierają się gwałtownie. Stukot laski na marmurowej posadzce powiedział mu, kto przyszedł.

- No dobrze, gdzie ona jest? - zapytał Marcus, wchodząc do salonu. - Pokojówka, której płaciłem za to, by donosiła mi, co porabia Brandy, powiedziała, że jej pani spakowała się i odjechała powozem Hallidayów.

Rex stał w swobodnej pozie, wsparty o obramowanie kominka.

- Twój szpieg nie wiedział, dokąd się udała?

- Najwidoczniej. Ty wydajesz się zdecydowanie lepiej poinformowany.

- Uważasz też pewnie, że powinienem zlitować się nad starszym bratem i pomóc mu w potrzebie.

Twarz Marcusa wypogodziła się, kącki ust uniosły w uśmiechu.

- Istotnie.

- To cię będzie kosztowało. Marcus wymamrotał coś pod nosem. -Ile?

- Jest taki ogier... Widziałem go wczoraj u Tattersalla.

- To szantaż, wiesz o tym.

- Tak, lecz absolutnie sobie na niego zasłużyłeś. Marcus nie wahał się już ani chwili.

- Zgoda.

Rex się uśmiechnął.

- Pojechała z powrotem do Kornwalii. Mógłbyś zaoszczędzić niezłą sumkę, gdybyś zechciał spo

kojnie się zastanowić. Dokąd, u licha, mogłaby jeszcze pojechać?

Marcus tylko chrząknął.

- Miałem nadzieję, że właśnie tam się kieruje, wolałem jednak się upewnić. - Odwrócił się i ruszył zdecydowanie ku drzwiom, utykając tylko odrobinę. - Nie ma zbyt wielu miejsc, gdzie mogłaby się ukryć. Gdy już tam dotrze, znajdzie się na moim terytorium i tym razem będzie musiała mnie wysłuchać.

- Powiedz jej po prostu, że ją kochasz. Nic więcej nie musisz robić.

Marcus się odwrócił.

- Dla ciebie to pewnie nic trudnego. Lecz nawet jeśli to zrobię, nie jestem wcale przekonany, że podziąła. Ale z pewnością nie zaszkodzi, pomyślał Rex. Lecz może brat ma rację. Brianne już mu nie ufa. Nie zechce zaryzykować i znów go pokochać. A potem znieść ból i cierpienie, kiedy opuści ją po raz trzeci.

- Powodzenia, bracie.

- Dzięki! - zawołał Marcus przez ramię. - Obawiam się, że będzie mi potrzebne.

Ruszył ku schodom, by się spakować i przygotować do podróży.

W pewnym sensie Rex mu zazdrościł. Nie kochał dotąd kobiety, nie naprawdę. Lady Margaret była piękna, inteligentna i go pociągała. Byłaby odpowiednią żoną i zastanawiał się, czy nie pora pomyśleć o małżeństwie.

Tylko że jej nie kochał. I nie był wcale pewien, czy chce się zakochać. Miłość rani. Jedno spojrzenie na Marcusa wystarczyło, by się o tym przekonać. Nie musi się śpieszyć, jest jeszcze czas

na przemyślenie sprawy. Na razie cieszyło go, że to brat, nie on, będzie musiał stawić czoło Brianne Winter s.

Marcus ma rację - będzie potrzebował wszelkiej pomocy, jaką zdoła sobie zapewnić.

Brandy przechadzała się po smaganej wiatrem ścieżce na szczycie klifu. Ciepłe i przesycone wilgocią powietrze sprawiało, że ubranie przyklepiało się jej do skóry. Poniżej fale lizały wąski skrawek plaży. W oddali widziała łupkowy dach chaty, a dalej, za nim, strzeliste wieżyczki Hawksmoor House.

Studiowała przez chwilę ich majestatyczne piękno, trochę nieziemskie i spowite mgiełką późnego popołudnia. Znała zarys każdej z nich, mogłaby zamknąć oczy i narysować z pamięci każde okno, odmalować każdy odcień szarości dachu. To było miejsce pełne wspomnień, jednak powoli zaczynała godzić się z tym, iż owe wspomnienia należą już do przeszłości.

Spacerowała co dzień po klifach, badając swój umysł i serce, zdecydowana znaleźć tam miejsce dla Richarda i wspólnej przyszłości. Przybyła do chaty, by odnaleźć spokój, pożegnać się z miłością i złagodzić ból, który wśliznął się jej na powrót do serca, gdy Marcus pojawił się w Londynie. Wędrowała po klifach i z każdym dniem ogarniał ją większy spokój.

A teraz on przyjechał.

Ku konsternacji i rozpaczycy Brandy, Marcus przybył rankiem do Hawksmoor House i choć jeszcze się z nim nie widziała, otrzymała liścik, w którym zapraszał ją na kolację. Notka była krótka

i oficjalna w tonie. Nie zdradzała, o czym Marcus myśli, poza jedną linijką. *Proszę, Brianne, przyjdź*, dopisał na końcu.

Nie mogła oprzeć się takiej prośbie, zwłaszcza że, prawdę mówiąc, unikała go tak długo, jak była w stanie. Pora otwarcie porozmawiać i ustalić pewne sprawy. Pobyt w Kornwalii niczego nie zmienił. Dalej przekonana była, iż chce wyjść za mąż i prowadzić normalne życie.

Richard Lockhart był miłym i przyzwoitym mężczyzną. Chciał się z nią ożenić i uczynić ją szczęśliwą. Bardzo jej na nim zależało, może nawet w pewien sposób go kochała, a jego rodzinę uwielbiała. Richard oferował jej miejsce w świecie, gdzie byłaby kochana i akceptowana. A w przyszłości także dzieci i dom, by mogli stanowić rodzinę.

Nawet obecność Marcusa nie skłoni jej, by z tego zrezygnowała, zwłaszcza teraz, kiedy wiedziała już, jak to jest, gdy on odchodzi. Jak bardzo wtedy cierpi. Zdawała sobie sprawę, że jego domem jest morze i zawsze tak będzie, nieważne co powie.

Z warg Brandy spłynęło ciche westchnienie, lecz porwał je wiatr. Zanosił się na pierwszą tego lata burzę. Na horyzoncie zbierały się już gęste chmury, zbliżając się szybko ku brzegowi. Brandy miała nadzieję, iż spadnie deszcz. Wiosna była w tym roku bardziej sucha niż zazwyczaj i ziemia potrzebowała wody. Zawiązała mocniej wstążki kapelusza. Ciepłe słoneczne promienie pieściły jej twarz, kiedy wracała do chaty.

Do chwili, kiedy podjedzie po nią powóz Marcusa, zostało jeszcze kilka godzin. Będzie miała dość czasu, aby napisać do Flo. Myślała często o przyjaciółce, mając nadzieję, że wszystko u niej w porządku. Chętnie opowiedziałaby Flo o Richardzie

i planach zamążpójścia. Zastanawiała się, czy jest szczęśliwa i czy posiadanie tawerny zapewniło jej choć odrobinę poczucia bezpieczeństwa. Wszystko wskazywało bowiem, iż przyjdzie jej mierzyć się z życiem bez mężczyzny u boku.

Usiadła w saloniku i napisała list, a potem udała się wraz z Sally do sypialni wybrać suknię na wieczór. Przejrzały zawartość szafy, lecz nic się nie nadawało.

- Nie jasnoniebieska, wyglądam w niej na zbyt bojaźliwą.

- A ta śliczna złota satyna? - spytała Sally. Brandy potrząsnęła głową.

- Zbyt uwodzicielska. Ma tak duży dekolt, że to już prawie zaproszenie.

Minęło kolejne pół godziny i Brandy uświadomiła sobie, iż przykłada zbyt dużą wagę do tego, co Marcus sobie pomyśli. To spostrzeżenie wzbudziło w niej gniew.

- Co ja, u licha, wyprawiam? Do diabła z Marcusem Delaine. Daj mi tę szmaragdową.

- Myślałam, że wolałaby pani coś z mniejszym dekoltem.

- Nie jest znowu tak duży, a ja nie zamierzam stać tu ani chwili dłużej, martwiąc się o to, co sobie pomyśli Marcus. Już mnie to nie obchodzi.

Lecz Sally tylko się uśmiechnęła. Brandy żywiła niejakię podejrzenia, iż dziewczyna hołubi w sercu obraz lorda Hawksmoor jako czarnowłosego, śmiałego pirata, który schodzi ze statku, by porwać ukochaną.

Tymczasem Marcus na pewno by tak nie postąpił, poza tym, już jej to nie obchodziło. Kochała Marcusa przez wiele lat i przysporzyło jej to jedy-

nie cierpienia. Nie była już taka głupia, by poddać się znów urokowi ciemnoniebieskich oczu i płonącego spojrzenia. Nie interesowało jej, co ma do powiedzenia.

A jednak, gdy się kąpała i zmieniała suknię, ze zdenerwowania ścisnęła ją w żołądku i drżały jej dłonie. Czy naprawdę wrócił do Londynu z jej powodu? Czego może chcieć? Dlaczego przyjechał za nią do Kornwalii?

Jak bardzo żałowała, że tego nie wie!

Marcus czekał na nią przy wejściu.

- Dobry wieczór, Brianne. Cieszę się, że mogłaś przyjść.

Choć słowa brzmiały oficjalnie, spojrzenie Marcusa powiedziało Brandy, że i tak nie dałby jej wyboru.

Odziany w czerni, złagodzoną jedynie srebrną brokatową kamizelką, wydał jej się nieziemsko przystojny.

Ile razy na niego spojrzała, czuła łaskotanie w brzuchu, a gardło wyschło jej niemal na wiór.

Uśmiechnęła się z przymusem.

- Dobry wieczór, milordzie. Ufam, iż miałeś przyjemną podróż.

Lecz to nie o podróż chciała z nim rozmawiać. Rozpaczliwie pragnęła dowiedzieć się, po co przyjechał do Kornwalii.

- Prawdę mówiąc, była długa i nużąca, tym bardziej że chciałem dotrzeć jak najszybciej na miejsce.

Oczywiście, że tego chciał, pomyślała. Nie było go w domu od miesiąca. To, że chciał wrócić, nie miało z nią nic wspólnego.

Lecz jedno spojrzenie w te ciemne oczy powiedziało jej, jak bardzo się myli.

- Kucharz uporał się już chyba z przygotowaniem kolacji. Mam nadzieję, że jesteś głodna. Ujął dziewczynę długimi, smukłymi palcami za łokieć i poprowadził korytarzem wyłożonym marmurową posadzką. Rękaw jego surduta musnął pierś Brandy. Ciarki przebiegły jej wzdłuż kręgosłupa.

- Prawdę mówiąc, umieram z głodu - odparła, siląc się na lekki ton. - Pamiętam, że macie tu wspianego szefa kuchni. Nie mogłam się doczekać kolacji, odkąd otrzymałam zaproszenie.

Bezczelnie kłamała. Nie była ani trochę głodna. Ledwie mogła myśleć o jedzeniu, nie zamierzała jednak dopuścić, aby się domyślił, jak bardzo jego obecność ją porusza.

- Doprawdy? - Uśmiechnął się kątem ust. - I pomyśleć, że sądziłem, iż wolałabyś, bym został w Londynie i dał ci spokój.

Do licha z nim! Czy musi czytać w niej jak w otwartej księdze?

- Masz wszelkie prawo tu być. Większe, prawdę mówiąc, niż ja. Hawksmoor House to twój dom.

Marcus nie próbował dyskutować, po prostu wprowadził ją do małego, lecz eleganckiego saloniku z widokiem na morze. Wskazał jej miejsce za stołem, nakrytym lnianym obrusem i oświetlonym migotliwym blaskiem świec odbijającym się od srebrnej zastawy. Przez chwilę prowadzili niezobowiązującą rozmowę: o pogodzie i podróży Marcusa do odległych wysp na Oceanie Indyjskim. Błaha konwersacja nie złagodziła napięcia, toteż Brandy ledwie była w stanie docenić smak wyszukanych potraw.

Dwaj wysocy lokaje w czarno-srebrnych liberjach podali turbota w sosie z homara, medaliony



cielęce, ostrygi, glazurowane marchewki i szparagi. Deser stanowiły kandyzowane owoce oraz krem z mleka i jaj.

Przez cały czas, gdy jedli, Marcus nie spuszczał z Brandy wzroku, obserwując ją płonącymi niebieskimi oczami tak bacznie, że z trudem mogła oddychać. Żołądek kurczył jej się z nerwów. Zacisnęła dłonie na serwetce, by nie zauważył, iż drżą. Boże, nie powinna była przychodzić. Zapomniała, jak to jest być z nim sam na sam.

Marcus skinął dłonią i lokaje podeszli, by zabrać naczynia z nietkniętymi niemal potrawami. To by było na tyle, jeśli chodzi o deklaracje, jak bardzo jest głodna. W końcu stół został uprzątnięty i służący wyszli, zostawiając ich samych.

Marcus pomógł jej wstać. Podeszli do okna. Czuła w talii jego dłoń, a na twarzy płonące spojrzenie.

Gdzieś w oddali niebo przecięła błyskawica, ostrzegając o nadciągającej burzy. .Zagrzmiało, a pochodnie w ogrodzie nad klifem rozbłysły i zamigotały w silnym, ciepłym wietrze znad morza.

Brandy przemogła wewnętrzne drżenie i zmusiła się, by spojrzeć Marcusowi w oczy.

- To był miły wieczór, Marcusie, lecz muszę wracać. Zaczyna padać. Wkrótce drogi rozmiękną i nie będą nadawały się do jazdy.

- Zawsze możesz zostać tutaj - powiedział, krzywiąc się lekko.

Natychmiast wspomniała ostatnią noc spędzoną w Hawksmoor House... i w łóżku Marcusa. Jej twarz oblała się rumieńcem, który spłynął z wolna na szyję i dekolt. Marcus pomyślał widać o tym samym, gdyż w jego spojrzeniu dostrzegła znów tamten głód.

Napięcie w pokoju wzrosło.

- Ja... nie zamierzam tu zostać. Nie chciała pamiętać tamtej nocy. Ani też o niej zapomnieć. Marcus poruszył się i przysunął bliżej. Czowała ciepło jego ciała, dotyk szorstkiej wełny na skórze. Jej nozdrzy dobiegła woń korzennej wody po goleniu i zapach mężczyzny, właściwy tylko jemu. Przesunął palcem wzdłuż jej policzka i Brandy zadrżała.

- Kochasz Richarda?

Zwilżyła wargi. Trudno jej było odpowiedzieć. Po raz pierwszy napomknął o narzeczeństwie. Uznała, że nie podoba jej się, gdy o tym mówi.

- Richard to dobry, przyzwoity mężczyzna. Będzie doskonałym mężem.

- Pytałem, czy go kochasz. Przełknęła i zadarła wyżej brodę.

- Z czasem na pewno go pokocham.

- Lecz teraz kochasz mnie.

Cofnęła się o krok, czując się tak, jakby ktoś wbił jej w pierś sztylet.

- Nie! Nie powiedziałam nic takiego! Nie kocham cię. Przyznaję, był czas, że mogła to być prawda, ale już nie jest.

Wzruszył nonszalancko ramionami, jednak napięcie widoczne w jego ciele powiedziało jej, iż wcale nie jest taki rozluźniony, jak chciałby się wydawać.

- Może i nie. Wolałbym jednak wierzyć, że zostało w tobie choć trochę uczucia, ponieważ zamierzam cię poślubić.

- Co takiego?

- Skoro nie kochasz Lockharta, możesz równie dobrze poślubić mnie. Jestem bogatszy i mam tytuł. Poza tym to ja odebrałem ci dziewictwo. To mój obowiązek uczynić cię moją żoną.

Patrzyła na niego zaskoczona, przepętiona gniewem i bólem. Nie mogła uwierzyć, iż dobrze usłyszała.

- Nie dbam o twoje pieniądze, mam dość swoich. Przedtem nie przejmowałeś się jakoś obowiązkiem.

Poza tym przyjął oświadczyzny Richarda. Wkrótce ogłoszą nasze zaręczyny...

- Czy Lockhart zdaje sobie sprawę, jak blisko byliśmy związani?

Wyprostowała się. Serce biło jej jak szalone.

- Richard zna prawdę. Nie dba o to.

- Jest więc mądrzejszy, niż sądziłem. - Przysunął się bliżej, nie odrywając od niej spojrzenia. - Choć wątpię, czy spodobałoby mu się, że jesteś tu dziś ze mną sama.

Nie, z pewnością by mu się to nie spodobało, pomyślała, żałując po raz kolejny, że przyszła. Wiedziała, że powinna natychmiast wyjść, nie była jednak do tego zdolna. Czuła, że Marcus zaraz ją pocałuje, powinna zatem odwrócić się na pięcie i uciec, lecz nogi miała jak z ołowiu. Nie była w stanie nimi poruszyć.

Ujął jej twarz w dłonie, pochylił głowę i musnął usta wargami. A potem przycisnął je do ust Brandy z pewnością i zdecydowaniem, które sprawiły, że serce podskoczyło jej w piersi, a świat dookoła zawirował. Ogarnął ją żar i przenikająca do głębi przyjemność. Czuła ciepły język, przesuwający się gładko po dolnej wardze, napierający na zęby. Rozchyliła posłusznie wargi.

Powolne, oszołamiające pocałunki, zniewalające umysł i ciało. Delikatne z początku, szybko stały się namiętne i przesycone żądzą. Jego wargi obejmowały w posiadanie jej usta, silne dłonie przyciągały, nie pozwalając się uwolnić. Czuła na udach i piersiach

dotyk jego ciała. Wtopiła się w niego, pozwalając, by jego język wśliznął się jej głęboko do ust, gładząc, pieszcząc, zawłaszczając jak nigdy przedtem.

Tylko że teraz nie miał już prawa tego robić.

Poczuła na piersiach jego dłonie. Objął je delikatnie, drażniąc brodawki przez materiał, sprawiając, że stały się wrażliwe i obrzmiałe. Przesunął dłońmi po jej ciele i jął rozpinąć złote guziczki na plecach.

Boże, on próbuje mnie uwieść! Zburzyć obronny mur, który z takim trudem wzniosła i zawładnąć znowu jej sercem. Poprzez oszołamiające opary namiętności przedarło się milczące ostrzeżenie. Powstrzymaj go, nim stracisz Richarda! Zrób to natychmiast, nim będzie za późno!

Marcus pogłębił pocałunek i Brandy zadrżała. Ogarnął ją żar, pożądanie, sięgające głębi jej istoty. I wtedy ujrzała oczami duszy bolesny obraz: stała na nabrzeżu, a Marcus przygotowywał się do wejścia na statek. Odchodził, zostawiając ją. Jak zawsze. Smutek przeszył Brandy na wskroś, dotkliwe przypomnienie bólu, jaki niedawno przeżyła.

Oparła drżące dłonie na piersi Marcusa i odepchnęła go stanowczo. Oddychała szybko i głęboko.

- Nie, to się nie stanie. Odejdź, Marcusie... Nie dotykaj mnie! Nie waż się mnie dotykać!

-Brianne... kochanie. Głos mu drżał.

- Po to mnie tu sprowadziłeś, prawda? Zeby mnie uwieść i żebym zdradziła Richarda.

- Musiałem się dowiedzieć, co czujesz, czy nadal ci na mnie zależy. Musiałem poznać prawdę.

Postąpił krok w przód, wyciągając ku niej dłoń w geście zapewnienia, lecz Brandy czym prędzej się cofnęła.

- Nie pozwolę, byś mi to zrobił, Marcusie. Nie kolejny raz. - Łzy napłynęły jej do oczu, zamazując obraz. - Nie dopuszczę, byś mnie znów zranił.

- Brianne, proszę, musisz mnie wysłuchać. Gdybyś tylko...

- Nie! Nie chcę słuchać, nie chcę słyszeć ani słowa więcej!

Przełknęła łzy i podbiegła do wysokiego okna wychodzącego na ogród. Nie zważając na szalejącą burzę, otworzyła je i wybiegła w noc.

- Brianne, nie! Na miłość boską, wracaj!

Lecz Brandy biegła, jakby diabeł następował jej na pięty, kierując się ku ścieżce nad klifem i chacie, gdzie mogłaby poczuć się bezpieczna. Łzy spływały jej po policzkach, oślepiając. Nogi drżały pod nią, a pierś bolała przy każdym oddechu. Ciepły deszcz rozmył ziemię i po kilku minutach pantofle jej przemokły, a skraj sukni wystrzepił się i ubłocił. Uniosła wyżej spódnicę i biegła niepowstrzymanie przed siebie.

Słyszała, że Marcus nawołuje gdzieś z tyłu, próbując ją dogonić, biegła więc dalej. Musi uciec, znaleźć bezpieczne schronienie. Miłość do Marcusa oznacza więcej bólu. Nawet gdyby się pobrali, i tak by ją zostawił. Morze było jego domem, jego życiem, i to się nie zmieni.

- Zaczekaj, Brianne! Boże, wracaj, zanim coś ci się stanie!

Usłyszała, mimo to biegła dalej. Włosy wymknęły się jej z upięcia i opadały mokrymi pasmami na plecy, a przemoczona szmaragdowa suknia przywarła do ciała. Niebo nad głową rozdarła błyskawica, a zaraz potem rozległ się grzmot. Brandy biegła. W oddali majaczyły już światła chaty. Gdyby zdołała tam dotrzeć, byłaby bezpieczna.

Zawadziła stopą o kamień i się potknęła. Dotkliwie klucie w boku opóźniało bieg. Ścieżka była wąska i błotnista. W jednym miejscu poprzednia ulewa spowodowała obsunięcie się części gruntu. Ominęła niebezpieczną wyrwę i biegła dalej, by po chwili potknąć się znowu i upaść. Pozbierała się jednak szybko i ruszyła znowu przed siebie. Teraz nie biegła już, ale szła, nie bardzo wiedząc, gdzie jest i dokąd zmierza. Wiedziała tylko, że musi uciec, zostawić za sobą Marcusa i ból, którego był przyczyną. Chata była już blisko. Brandy zatrzymała się przy wystającej skale i zaczerpnęła oddechu, utkwivszy wzrok w zamglonych żółtych światłach przed sobą. Usłyszała dobiegający z tyłu, nierówny tupot stóp Marcusa. Odwróciła się, by uciec, a potem krzyknęła, kiedy chwycił ją za nadgarstek i pociągnął ku sobie.

- Boże, oszalałaś? - Zgubił gdzieś laskę, drżał równie mocno jak ona, lecz trzyma! ją pewnie. Brandy szarpnęła się, szlochając rozpaczliwie i próbując się uwolnić.

- Puść mnie! Nie masz prawa mnie zatrzymywać! Odejdź i zostaw mnie w spokoju!

Wymachiwała gorączkowo ramionami, kopała i uderzała pięściami w pierś Marcusa.

- Przestań! - rozkazał, obejmując ją mocniej. - Przestań, słyszysz? Połowa ścieżki przed tobą osunęła się do morza. Na miłość boską, mogłaś zginąć!

Brandy przestała się wyrywać. Patrzyła na niego, a deszcz, zmieszany ze łzami, spływał jej po twarzy.

- Nie wyjdę za ciebie! Nie uda ci się mnie namówić! Nie zależy ci na mnie. Dbasz tylko o swoje

statki i o ocean! Nie będę przez resztę życia na drugim miejscu! Nie będę!

Odsunął mokre pasma włosów z zalanych łzami policzków Brandy.

- Nie jesteś na drugim miejscu, Brianne, nigdy nie byłaś. To ja byłem zbyt zaślepiony, by to zobaczyć. - Ujął dziewczynę pod brodę i uniósł ku sobie jej twarz. - Kocham cię, Brandy. Bardziej niż morze, bardziej niż statki. Kocham cię ponad wszystko, o czym kiedykolwiek marzyłem, i pragnę nad życie, byś została moją żoną.

Coś pękło w piersi Brandy, jakiś ciężar zsunął się jej z ramion. Marcus ją kocha! Od lat się o to modliła! Teraz jednak, choć serce w niej śpiewało, rozum podpowiadał, iż nie ma to już znaczenia.

Otarła wierzchem dłoni łzy i spojrzała ze smutkiem na Marcusa.

- Kochasz morze. Ja ci nie wystarczę. Nawet jeśli się pobierzemy, prędzej czy później mnie opuścisz.

Potrząsnął jedynie głową. Wijące się, czarne włosy przywarły mu śliskimi pasmami do czoła. Ubranie miał ubłocone i do cna przemoknięte.

- Mylisz się, Brianne. Kocham cię i nie zamierzam opuścić. Ani teraz, ani nigdy, przysięgam. Potrzebuję cię, Brandy. Nie chcę żyć bez ciebie.

Wezbrały w niej emocje. Kochał ją - widziała to, spoglądając mu w oczy. Nie miała też wątpliwości, że sama go kocha. Dziko, namiętnie, na zawsze. I choć próbowała z tym walczyć, uczucie pozostało.

-Marcusie...

- Proszę... powiedz, że za mnie wyjdiesz. Zaczerpnęła drżącego oddechu. To było szaleństwo. Nie przyniesie jej nic prócz cierpienia, mimo

to jakaś cząstka w niej pragnęła tego bardziej nawet niż on.

- Jak moglibyśmy się pobrać? Jesteś lordem, a ja tylko posługaczką z tawerny.

Uśmiechnął się z taką czułością, że fala słodyczy zalała serce Brandy.

- Jesteś najdzielniejszą, najbardziej pełną pasji kobietą, jaką spotkałem kiedykolwiek. Jesteś światłem w najgłębszym z cieni. Radością w smutku. Moim życiem i moją miłością. Chcę być z tobą na zawsze.

Oparła się o niego, poruszona pięknymi słowami. Wiedziała, że mówi poważnie, i że sam w to wierzy.

Pragnęła jedynie, aby i ona mogła uwierzyć.

- Kocham cię, Marcusie, zawsze cię kochałam.

I wtedy ją pocałował. Był to gwałtowny, żarliwy, namiętny pocałunek. Pozostawił Brandy bez tchu i oszalała niemal z tęsknoty.

- Tak bardzo cię potrzebuję, Brianne. Bardziej, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. Wyjdiesz za mnie?

Przytuliła dłoń do jego mocnej szczęki. Krople deszczu spływały mu po policzku. Marcus jej potrzebował, a ona go kochała. Nieważne, co będzie dalej, nie potrafi mu odmówić.

- Jeśli jesteś pewny... jeśli naprawdę wierzysz, że tego właśnie chcesz, zostanę twoją żoną.

Opuścił z wolna powieki, przyciągnął ją do siebie i przycisnął policzek do czubka jej głowy.

- Dzięki ci, Boże.

A potem znów ją całował, klękawszy w ciepłej mokrej ziemi. Ogień, który rozniecił wcześniej, zapłonął z nową siłą. Boże, minęło tyle czasu, a ona tak bardzo za nim tęskniła!



Położył Brandy na plecach, niepomny, gdzie się znajdują, i ją unosić jej spódnicę.

- Muszę cię mieć - wyszeptał, całując jej szyję i ramiona, wyciskając drobne pocałunki na szczytach piersi.

- Muszę się upewnić, że jesteś moja. Nie mogłem myśleć o niczym innym od miesiący.

- Marcusie... - szepnęła, poddając się pożądaniu. Skóra paliła ją w miejscu, którego dotknęły jego wargi, zamieniając krew w ogień. Poczowała, że Marcus chwytą za dekolt sukni, rozrywa śliski materiał, a potem kładzie dłonie na jej piersiach, ściskając je, dopasowując do kształtu swych dłoni, pieszcząc i drażniąc sutki.

Była wilgotna i gotowa. Marcus uwolnił jedną ręką członek, odnalazł właściwe miejsce i wsunął się w nią jednym silnym ruchem. Brandy jęknęła, a wtedy zatrzymał się na moment, jakby rozkoszował się chwilą, by zaraz opaść na nią, ugniatając dłońmi jej piersi i miażdżąc wargami usta.

Mocne, głębokie pchnięcia unosiły ją wciąż wyżej i wyżej. Przywarła do jego szyi, wyginając ku górze biodra, przyjmując go głębiej w siebie. Słodka rozkosz nadeszła szybko. Przeżyli spełnienie niemal jednocześnie. Usłyszała, jak Marcus wykrzykuje jej imię, i miłość wezbrała jej w piersi niczym fala. Deszcz przeszedł tymczasem w mżawkę, a burza z wolna ucichła. Grzmoty dobiegały teraz z oddali i mogła słyszeć bicie jego serca.

- Kocham cię - powiedział, odsuwając mokre włosy z policzka Brandy. - Byłem głupi, że cię zostawiłem.

- Ja też cię kocham, Marcusie. Bardzo.

Jak dobrze było wypowiadać te słowa, akceptować kryjącą się za nimi prawdę. Pozostała jedynie

drobna wątpliwość, cieniutka nić strachu: a jeśli popełnia właśnie błąd? Brandy spojrzała w przystojną, kochaną twarz i powiedziała sobie, że postępuje słusznie. Wątpliwość jednak pozostała.

## Rozdział 25

Pobrali się za specjalnym zezwoleniem w małym parafialnym kościółku w Tintagel. Brandy ledwie była w stanie przypomnieć sobie, co mówił pastor, pamiętała tylko, jak Marcus wypowiada zdecydowanym tonem słowa przysięgi, przyrzekając, że będzie kochał ją, szanował i opiekował się nią aż do śmierci.

Dwa dni później powiadomiono o ślubie Richarda. Marcus wysłał do przyjaciela krótki list, Brandy zaś długą epistołę, w której błagała go, by jej wybaczył i by mogli pozostać nadal przyjaciółmi.

*Kocham go, Richardzie, pisała. Nie byłoby w porządku wobec Ciebie, gdybyśmy się pobrali. Zastugujesz na to, aby poślubić kobietę, która odda Ci całe serce, nie tylko jego rozbite kawałki.*

Modliła się, aby zrozumiał i pewnego dnia jej wybaczył.

Tymczasem dni i noce z Marcusem nie przyniosły rozczarowania. Były wszystkim, o czym mogła kiedyś tylko marzyć. Spędzali niekończące się godziny, spacerując po klifie i ogrodzie, rozmawiając o przyszłości, namiętnie się kochając. Marcus

podekscytowany opowiadał o Thomasie Coke'u i jego sukcesach w rolnictwie, a także o spostrzeżeniach lorda Townsenda na temat płodo-zmianu. Zamierzał wprowadzić tę metodę uprawy w Kornwalii.

- Wszystko to brzmi cudownie, Marcusie.

- Nie ja to wymyśliłem, ale zamierzam spożytkować. Mam inne włości, bardziej rozległe i z żyźniejszą glebą. Nowe techniki powinny sprawdzić się tam jeszcze lepiej.

Cieszyło ją, kiedy rozprawiał z takim zapalem o przyszłości. Pozwalało to utrzymać tę drobną wątpliwość na wodzy i zachęcało ją, by zaufała mu tak, jak ufała kiedyś.

A jednak, kiedy przyłapywała go, jak patrzy na morze ze wzrokiem uktwionym w horyzont, nie mogła się powstrzymać, by się nie zastanawiać, co naprawdę chodzi mu po głowie.

Palmer Reese wbiegł po trapie na pokład „Pomyślnego Wiatru”. Statek miał pozostać przez kilka dni w porcie, a potem kursować przez mniej więcej miesiąc wzdłuż wybrzeża, wykonując krótkie rejsy. Palmer specjalnie tak to zaaranżował. Poczynił plany, które miały przynieść mu jeszcze więcej pieniędzy, a „Pomyślny Wiatr” odgrywał w nich kluczową rolę.

- Dobrze pana widzieć, panie Reese. - Pierwszy oficer, Jigs Marlin, buńczuczny żeglarz o krzywych nogach, prostych jasnych włosach i nieszczerym spojrzeniu, ruszył ku niemu przez pokład. - Kapitan Proctor czeka na dole. Zaprowadzę pana do jego kabiny.

Palmer uniósł dłón.

- Nie ma potrzeby. Znam drogę. Jestem pewien, że macie pracę, którą trzeba wykonać.

Marlin spochmurniał, urażony napomnieniem i nutką dezaprobaty w głosie Palmera.

- Jak pan sobie życzy, *sir*. - Wrócił do swoich zajęć, a Palmer poszedł dalej, ignorując zaciekawione spojrzenia marynarzy. Zszedł pod pokład i zapukał do drzwi kapitańskiej kajuty.

Cole Proctor musiał na niego czekać, otworzył bowiem natychmiast drzwi, uśmiechając się szeroko i zapraszając Palmera gestem, by wszedł.

- Dostałem pańską wiadomość. Nie trzeba było się fatygować, chętnie przyszedłbym do biura w porcie. - Proctor był wielkim, zwalistym mężczyzną, ani w połowie tak byстрыm, jak Cain Dalton, wystarczająco jednak inteligentnym, by poprowadzić statek. A już z pewnością nie tak kłopotliwym, jak jego poprzednik.

- Jestem pewien, że byś przyszedł - powiedział Palmer, ignorując zaproszenie. Zamiast tego podszedł do rzeźbionego drewnianego kredensu i nalał sobie brandy. - Chciałem zerknąć na statek, przekonać się, w jakim jest stanie.

Proctor się rozpromienił.

- Jest w dobrym stanie, panie Reese. W doskonałym. Pilnuję, aby te obiboki pracowały dzień i noc. Nikt się tu nie obija.

- Doskonale - powiedział Palmer, napełniając po raz drugi szklaneczkę i pociągając łyk brandy. - Mam wobec „Pomyślnego Wiatru” plany i potrzebuję, aby był w doskonałym stanie. Tymczasem będziecie pływać do najbliższych portów, tu i na kontynencie. Wykorzystajcie ten czas, by zwiększyć maksymalnie szybkość statku.

W oczach Proctora zabłyśła ciekawość.

- Ma pan coś na myśli, panie Reese? Coś,

o czym chciałby mi pan powiedzieć?

- Powiem, kiedy nadejdzie czas. Tymczasem wystarczy, żebyś wiedział, iż życzę sobie, aby „Pomyślny Wiatr” został najszybszym statkiem na wodzie. Dopilnuj, by tak się stało, to zarobisz kupę forsy, a i dla załogi znajdzie się nagroda.

Proctor się uśmiechnął.

- Proszę zostawić to mnie, *sir*. Zajmę się wszystkim.

- Lepiej tak zrób... jeśli chcesz nadal dowodzić statkiem.

Uśmiech Proctora zbladł. Palmer dopił brandy

i odstawił szklaneczkę na blat.

- Jak powiedziałem, przyszedłem się rozejrzeć. Możemy iść?

- Tak jest, cokolwiek pan każe.

Palmer zignorował nutkę wrogości w głosie Proctora. Teraz, kiedy marynarz wie, o jaką stawkę toczy się gra, dopilnuje, aby robota została wykonana jak należy.

A tak musiało się stać. Jego plan musi się powieść. Zdeterminowany zacisnął szczęki, pochylił głowę i wyszedł z kajuty.

\*\*\*

Marcus siedział w wielkim, obudowanym półkami na książki biurze, w którym urzędował przedtem jego brat. Teraz, gdy podjął się trudnego obowiązku zarządzania rozległymi włościami Hawks-moor, potrzebował więcej miejsca i Rex, wdzięczny, iż uwolniono go od ciężaru, z chęcią odstąpił mu gabinet.

Od dnia ślubu minęło kilka letnich miesięcy, najszcześniejszych w życiu Marcusa. Nie spodziewał się, iż stan małżeński może przynieść mu tyle radości i zadowolenia. Ani też odkryć miłości, która sprawiała, że ścisnęło go w piersi, ilekroć przyglądał się żonie siedzącej po drugiej stronie pokoju. Gdy obdarzała go tym szczególnym uśmiechem, zarezerwowanym wyłącznie dla niego, czuł, że jest najszcześniejszym człowiekiem na świecie. Jej dźwięczny śmiech sprawiał, że nabierał ochoty na miłość, choćby przed chwilą się kochali. Myślał o niej tak często i tak intensywnie, że zdarzało mu się zapomnieć, co robi albo co miał właśnie powiedzieć.

Czasami bywało to wręcz żenujące.

Jak tego właśnie ranka, kiedy Rex wszedł do gabinetu i przyłapał go na wpatrywaniu się z cielecym zachwytem w Brandy pracującą w ogródku.

- Nadal za nią szalejesz. - Podeszedł z uśmiechem do Marcusa. - Czasami wręcz ci zazdroszczę. Częściej dziękuję jednak losowi, że padło na ciebie, nie na mnie.

Kark Marcusa poczerwieniał. Mężczyzna chrząknął i wskazał bratu miejsce na sofie. Rex wrócił tego ranka z Londynu. Przywitali się wtedy, ale nie mieli czasu porozmawiać.

Rex usiadł, a Marcus zajął swoje zwykłe miejsce za biurkiem.

- Dobrze cię widzieć, braciszku. Co tam w Londynie?

- Mniej więcej to samo, co wtedy, kiedy go opuściłeś. Richard dochodzi powoli do siebie. Ostatnio spotyka się z młodą damą, Marybeth Winston. Wydaje się zadurzony, a ona jest nim z pewnością zainteresowana. Myślę, iż z czasem wybaczy ci, że wykradłeś mu Brianne.

Marcus chrząknął.

- Wyświadczyłem mu przysługę - burknął. - Za nic nie dałby sobie z nią rady.

- Może nie z kobietą, jaką się stała, odkąd wróciłeś. Bez ciebie była jednak tylko cieniem osoby, którą widzisz teraz za oknem. Cieszę się, że zmieniłeś zdanie, i to ze względu na was oboje.

Marcus spojrział na ogród. Brianne bawiła się z rudawym kotem, który wyglądał trochę jak Dandelion, i zaśmiewała się, obserwując, jak zwierzak podkrada się do poruszanego wiatrem liścia, a potem zawzięcie go atakuje. Natknął się na zranionego zwierzaka leżącego w stajni i oddał pod opiekę Brandy. Kot sypiał teraz w domu, aż nazbyt często w nogach jego łóżka.

- Jestem szczęściarzem, Rex, i wierz mi, mam tego świadomość.

Rex wyjął z kieszeni kopertę i pochylił się na krześle.

- Przyjechałem tu, mając określony powód. Marcus spojrział bacznie na brata.

- Inny niż braterska miłość? Zastanawiałem się, czy tak właśnie jest.

Rex wyciągnął rękę i rzucił kopertę na blat.

- Te dokumenty dotarły pod koniec tygodnia do biura Towarzystwa Żeglugowego Hawksmoor w Londynie. To raporty Reynoldsa i Kelly'ego. Przeczytałem je, uznawszy, że mogą być ważne. Po tym, co w nich znalazłem, doszedłem do wniosku, że lepiej sam je tu przywiozę.

Marcus spojrział na brata, sięgnął po kopertę i ją otworzył. Jego uwagi nie uszło, iż Rex wyraźnie spochmurniał. Wyjął z koperty gruby plik papierów i jął je przeglądać.



Zaczął od listu od Mickeya Reynoldsa, opisującego zawartość koperty. Poza nim było tam kilka dokumentów na pergaminie i wypis z ksiąg parafialnych niewielkiego kościoła w Hounslow, miejscowości opodal Londynu. Znał to miasto. O ile pamiętał, właśnie tam przyszedł na świat Palmer. Zaciekawiony pograżył się w lekturze.

Po chwili upuścił drżącymi palcami list, oparł się na krzesło i wypuścił wstrzymywany oddech.

- Boże, ledwie mogę w to uwierzyć.

- Tak samo jak ja, lecz to najwidoczniej prawda. Poza świadectwem urodzenia, mamy też dokumenty funduszu powierniczego, prowadzonego przez Bank of London. Ojciec wpłacał pieniądze na konto Avery'ego Reese'a przez blisko trzydzieści lat.

Do dnia swojej śmierci. Wtedy przepływ gotówki ustał, prawdopodobnie przez niedopatrzenie. Lub, jeśli znało się Palmera, tak jak musiał znać go ojciec, celowo.

- Zadośćuczynienie finansowe - powiedział Marcus. - Ojciec nie chciał uznać dziecka, ale nie wyrzekł się go całkowicie.

- To do niego podobne, choć nadal trudno mi się z tym pogodzić. Palmer Reese jest naszym bratem.

- Bratem przyrodnim - poprawił go Marcus.

- Tak jak ja - przypomniał mu delikatnie Rex.

- Ojciec kochał twoją matkę. To nie to samo. Zgodnie z tym, co tu znalazłem, siostra Avery'ego Reese'a, Rachel Stowe, była ładną młodą wdową o fatalnej reputacji. Kiedy zmarła podczas porodu, Avery przygarnął Palmera i wychował go jak syna.

- I to nie tylko z dobroci serca, jeśli dobrze czytam między wierszami. - Rex poruszył się na sofie, zajmując wygodniejszą pozycję. - Ojciec płacił

za szkołę Palmera, a nawet za dom, w którym mieszkali.

- Lord był żonaty, gdy Palmer się urodził, mimo to chłopiec był jego najstarszym synem. Gdyby ojciec go uznał, to on odziedziczyłby tytuł i majątek.

Rysy Reksa stwardniały.

- *Do mnie należy pomsta, rzeki Pan.* Ja zaś powiem, że to, czego się dowiedzieliśmy, stanowi doskonały motyw sabotażu.

- Palmer zawsze miał do nas pretensje. Teraz wiem dlaczego.

- Sądził, że to on powinien być odziedziczyć tytuł i majątek.

- Najwidoczniej. To zaś, w połączeniu z kłopotami finansowymi... oraz pieniędzmi, jakie zarobił naszym kosztem, stanowi doskonały motyw. Niestety, dokumenty nie stanowią dowodu dla sądu.

- Co więc z tym zrobimy? - zapytał Rex. Marcus pocierał przez chwilę brodę czubkami palców.

- Nie jestem jeszcze pewien. Nie zamierzam jednak dopuścić, by uszło mu to na sucho.

Rex tylko się uśmiechnął.

- Coś takiego nawet nie przyszłoby mi do głowy, bracie.

Brandy stała przy oknie salonu, przyglądając się, jak Marcus spaceruje brzegiem klifu ze wzrokiem utkwionym w żagle statku, ledwie widoczne na horyzoncie.

Czy to tęsknotę zauważyła na jego twarzy, kiedy spoglądał na morze? Zmartwiona zaczęła się zastanawiać. O czym wtedy myślał? Co czuł?

Wiedziała, co sama czuje. Kochała Marcusa bardziej niż kiedykolwiek. Mimo iż nic na to nie wskazywało, nie mogła przestać się martwić, że pewnego dnia znów ją opuści.

Zobaczyła, że zawraca i kieruje się ku domowi. Może rozmyślał o Palmerze Reese i nowinach, które przywiózł przed trzema dniami Rex. Reese okazał się przyrodnim bratem Marcusa i najwidoczniej to on stał za wypadkami, które wydarzyły się na statkach Przedsiębiorstwa Żeglugowego Hawksmoor. Jeden z nich o mało nie pozbawił jej męża władzy w nogach.

Co Marcus zamierza z tym zrobić? Zadawała sobie to pytanie tysiące razy, odkąd powiedział jej o odkryciu. Westchnęła, wyszła z salonu i ruszyła na poszukiwanie męża. Kiedy znalazła się blisko wejścia, zobaczyła, że Marcus rozmawia z kamerdynerem, który przekazał mu jakąś wiadomość. Po chwili nadszedł też Rex.

- To od Toma Dartona, dyrektora z Hawksmoor - powiedział Marcus, zmierzając ku gabinetowi. Brandy podążyła za mężczyznomi.

- Co pisze? - zapytał Rex.

- Chodzi o wygasający wkrótce kontrakt z importerami cukru. To nasz najcenniejszy klient. Tom martwi się, że go stracimy.

- Stworzyłoby to z pewnością problemy - odparł Rex. - Zważywszy ile kontraktów już straciliśmy. Marcus skinął głową ze wzrokiem utkwionym w list.

- Tom pisze, że importerzy postanowili załatwić sprawę tym razem inaczej.

- To znaczy: jak?

- Urządzają wyścig. Zwycięzca zdobędzie kontrakt. Takie rzeczy już się zdarzały, chociaż chodziło wtedy o herbatę, nie cukier. Zapowiedzieli, iż za-

wrą kontrakt z firmą, której statek najszybciej pokona trasę z Londynu do cukrowni na Barbadosie.

Brandy poczuła, że serce w niej zamiera. Zaciśnęła bezwiednie dłonie w pięści.

- Czy to oznacza, że „Morski Jastrząb” będzie musiał stanąć do wyścigu?

- Oczywiście - odparli jednym głosem mężczyźni, zwracając ku niej spojrzenie niebieskich oczu.

- Przypuszczam, że Palmer Reese także się zgłosi.

- Palmer pragnął tego kontraktu od lat - odparł Marcus. - Zrobi wszystko, aby go zdobyć.

- Niestety, ma duże szanse - wtrącił Rex. - „Pomyślny Wiatr” to jeden z najszybszych statków, jakie pływają obecnie po morzach.

Ściskanie w piersi przybrało na sile, zmieniając jej serce w bryłę lodu. Nie spuszczała wzroku z Marcusa.

- Wyobrażam sobie, że importerzy będą chcieli, abyś to ty dowodził „Jastrzębiem”.

Dopiero teraz uświadomił sobie, w jakim kierunku zmierzają te pytania. Musiał też zauważyć, że zbladła, rzucił bowiem list na biurko, odwrócił się i podszedł do niej.

- Tom zasugerował, że powinnem popłynąć - powiedział, ujmując jej dłoń. - Za sprawą Palme-ra nasza firma nie zarabia już tyle, co kiedyś. Nie możemy stracić także tego kontraktu.

Brandy przełknęła, próbując pozbyć się dławienia w gardle, nie była jednak w stanie przemówić. Marcus chwycił ją za ramiona i obrócił ku sobie.

- Nie sądzisz chyba, iż oznacza to, że wracam na morze?

- A nie wracasz? Bo tak to dokładnie wygląda.

- To pojedynczy rejs. Zdaję sobie sprawę, że nie będzie mnie przez kilka miesięcy, lecz nie mam

wyboru. Hamish sobie z tym nie poradzi... nie tak, jak ja. Muszę popłynąć, Brianne. Z pewnością to rozumiesz.

Rozumiała, a jakże. I to nazbyt dobrze. Opuszczał ją znowu, by wrócić do życia na morzu, jak zawsze się tego obawiała. Najgorsze zaś było, iż miał absolutną rację twierdząc, że powinien popłynąć.

- Rozumiem, dlaczego musisz to zrobić, Marcu-sie. Wiem, jak ciężko pracowałeś, by stworzyć firmę, co czujesz w związku z nią i ludźmi, którzy dla ciebie pracują. Po prostu chcę popłynąć z tobą.

Zaskoczony Marcus otworzył szerzej oczy. Zacisnął szczęki i potrząsnął głową - dokładnie tak, jak się spodziewała.

- Wiesz, że to niemożliwe.

- Dlaczego? Umieram z chęci, aby zobaczyć Barbados i...

- To nie wchodzi w grę. Reese na pewno znów czegoś spróbuje. Nie narażę cię na niebezpieczeństwo, nie ma mowy.

Nie była zaskoczona, mimo to czuła w piersi ból. Miała ochotę dyskutować, przekonywać Marcusa, aby ją zabrał, w głębi duszy wiedziała jednak, że to na nic. Serce podpowiadało jej przez cały czas, że kiedyś Marcus znów ją opuści, tylko że ona nie słuchała.

Oczy zapiekły ją od łez. Odwróciła się, by Marcus ich nie zauważył.

- Życzę ci szczęścia - powiedziała cicho. - Nie wątpię, że zwyciężysz.

Zmusiła się, by wprawić nogi w ruch, i odeszła. Marcus patrzył w ślad za drobną, oddalającą się sylwetką, czując, że serce mu się ściska.

- Sądziłem, że zrozumie.

Rex także wpatrywał się w drzwi, za którymi zniknęła Brandy.

- Myślę, że ona rozumie. Wie, że musisz popłynąć. Wie jednak także, iż obiecałeś, że nie opuścisz jej i nie wrócisz na morze, a teraz łamiesz obietnicę.

- Nie mogę uwierzyć... ty też? - parsknął zirytowany. - To co mam niby zrobić? Jeśli pozwolę, by to Hamish poprowadził statek, najprawdopodobniej przegramy i stracimy kontrakt. A gdy tak się stanie, równie dobrze możemy zamknąć firmę. Wielu porządnych ludzi straci pracę, nie mówiąc już o tym, że Palmer Reese postawi na swoim, osiągając to, co zamierzył: zniszczy Przedsiębiorstwo Żeglugowe Hawksmoor i w jakiś chory, pokręcony sposób zemści się na naszym ojcu.

Rex przeczesał palcami włosy.

- Nie potrafię ci powiedzieć, jak powinieneś postąpić. Może jeśli dasz Brandy czas, jakoś pogodzi się z tym, że znowu odchodzisz.

Marcus walnął dłonią w blat biurka.

- Nie odchodzę, do cholery! Wykonuję zadanie, którego nikt inny wykonać nie jest w stanie. Gdy skończę, wrócę i będzie po sprawie.

Rex milczał przez dłuższą chwilę, widać było jednak, że ma co do tego wątpliwości. Najwidoczniej Brianne także je miała. Zegar na kominku tykał, odmierzając w ciszy sekundy.

- Kiedy wyruszasz? - zapytał w końcu. Marcus westchnął.

- Gdy tylko wszystko zorganizuję. Na szczęście „Jastrząb” powinien zawinąć do portu w połowie przyszłego tygodnia. Będę potrzebował kolejnego, by przygotować statek do podróży.

- Domyślam się, że ten wyścig to pomysł Palme-ra. Zawsze przechwalał się, że „Pomyślny Wiatr” jest najszybszy w swojej klasie. Ciekawe, jak to zaaranżował.

Marcus spojrział na drzwi, rozmyślając o Brianne i nienawidząc Palmera Reese bardziej niż kiedykolwiek.

- Bóg jeden wie. Jedno jest pewne: odziedziczył łatwość wysławiania się po ojcu.

Rex się roześmiał.

- Ojciec potrafiłby namówić zakonnicę, by wyskoczyła z habitu. Zapewne w ten właśnie sposób wpakował się w tarapaty z młodą wdową Stowe.

Marcus uśmiechnął się blado.

- To możliwe. Jakkolwiek było, żałuję dnia, kiedy wśliznął się do łóżka tej ślicznotki.

\*\*\*

Następne dni okazały się dla Brandy pełne sprzecznych emocji. Z jednej strony rozumiała, dlaczego Marcus musi wyjechać.

Nie ma wyboru, mówiła sobie w duchu. Los firmy od tego zależy. A także los pracujących w niej ludzi.

Nie może postąpić inaczej.

Niestety, inny głos przypominał, że odmówił zabrania jej z sobą. Ten sam głos szeptał, że Marcus kocha morze bardziej niż jakąkolwiek kobietę. Ostrzegał, że kiedy Marcus raz wróci do stylu życia, który tak ukochał, będzie robił to znowu i znowu, zostawiając ją, by wiodła samotne życie na lądzie.

Dni mijały nieubłaganie. Marcus nie przestawał zapewniać, iż bardzo ją kocha. Czuła jednak, że duchem przebywa już daleko, rozmyślając o Pal-

merze Reese i czekającej go konfrontacji. Ostatniej nocy kochał się z nią z niewiarygodną czułością. Pomyślała, że to dlatego, iż zdaje sobie sprawę, jak trudne jest dla niej to, że ją opuszcza, jak bardzo martwi się o przyszłość.

Dzień wyjazdu - sobota - nadszedł aż nadto szybko. Marcus był spakowany, a powóz czekał, by zawieźć go do Londynu. Rex wyjechał dwa dni wcześniej, by poczynić konieczne przygotowania.

Teraz Marcus miał do niego dołączyć. Brandy czuła, że na samą myśl o tym zaciska się jej żołądek.

Powtarzała sobie, że powinna się z tym pogodzić, że od początku wiedziała, iż to kiedyś się wydarzy.

Bezskutecznie.

Wszedł stanowczym krokiem do sypialni. Laska stanowiła teraz nieodłączną część jego wizerunku, przydając jeszcze męskiego uroku. Serce jej się ścisnęło. Odetchnęła głęboko, by się uspokoić. Musiał popłynąć. Nie miał wyboru, ona zaś zawsze czuła, że kiedyś zostawi ją i wróci na morze.

- Jesteś gotowy? - spytała, uśmiechając się drżącymi wargami.

Marcus skinął głową.

- Bagaż zapakowane. Powóz czeka przed wejściem. - Westchnął i przesunął dłonią po włosach. - Żałuję, że muszę cię zostawić.

Uśmiech Brandy zbladł.

- Nie bardziej niż ja - powiedziała cicho.

- Gdyby nie było to takie niebezpieczne, zabrałbym cię ze sobą.

Odwróciła wzrok, mrugając gwałtownie.

- Zawsze uważałeś, że statek to nie miejsce dla kobiety. Jestem pewna, że to się nie zmieniło.

Marcus ujął ją pod brodę i zmusił, by na niego spojrzała.



- Już tak nie uważam. Chodzi jedynie o twoje bezpieczeństwo.

Brandy odsunęła się i podeszła do okna.

- Bywają rzeczy ważniejsze niż to, aby pozostać bezpiecznym.

Marcus szedł ku niej. Słyszała szelest materiału.

- Nie sądzisz chyba, że chcę popłynąć?

- Zawsze kochałeś morze, Marcusie. Oczywiście, że chcesz popłynąć.

Obrócił ją twarzą do siebie i mocno przytulił.

- Muszę odzyskać ten kontrakt. Dlatego płynę. Kocham cię, Brianne. Wrócę najszybciej, jak tylko będę mógł.

Brandy skinęła jedynie głową. Wiedziała, że Marcus musi wyjechać, mimo to serce miała jak z ołowiu.

Tuliła policzek do wykrochmalonej koszuli męża, wdychała czysty, męski zapach i przez chwilę wydawało się jej, że nie wytrzyma, że się załamie.

Odsunął się i natychmiast poczuła, że ogarnia ją pustka.

- Będę za tobą tęskniła, Marcusie - powiedziała cicho, spoglądając na kochaną, przystojną twarz męża. - Bądź ostrożny, proszę.

Pochylił głowę i pocałował ją. Oddała pocałunek, kochając go bardziej niż kiedykolwiek, obawiając się, że go straci, że jego pociąg do życia na morzu okaże się silniejszy niż miłość do niej.

- Wrócę, gdy tylko będę mógł. - Ostatni mocny pocałunek i już go nie było. Dźwięk kroków na marmurowej posadzce brzmiał niczym podzwonne, kiedy szedł korytarzem, by zniknąć znowu z jej życia.

\*\*\*

Marcus zdążył dojść niemal do powozu, gdy nieprzyjemny ucisk z tyłu głowy przerodził się w ostrzegawcze dudnienie. Pomyślał o podróży, wyobraził sobie długie, samotne tygodnie na morzu. Wspomnił Brianne i to, jak bardzo mu jej brakowało, jak o mało co jej nie stracił. Na samo wspomnienie aż ścisnęło go w trzewiach.

Powiedział prawdę - nie chciał jej zostawiać. Jednak ryzyko było zbyt wielkie.

*Bywają rzeczy ważniejsze niż to, aby pozostać bezpiecznym.*

Zatrzymał się u stóp schodów prowadzących na frontowy ganek. Brandy nie sądzi chyba, że on zamierza wrócić na dobre do żeglowania, to zaś jest zaledwie początek życia, w którym nie będzie mogła uczestniczyć? W jej oczach było jednak coś takiego... Poczucie straty, tęsknota... Błagał ją, aby za niego wyszła, aby mu zaufała. Obiecał, że jej nie opuści, zapewniał, iż życie na morzu nieodwołalnie się dla niego skończyło. I była to prawda.

Tak jak prawdą było, że chciał popłynąć w ten rejs, czuć znów pod stopami pokład, przynajmniej przez jakiś czas.

Zaczerpnął drżącego oddechu. Brianne miała do pewnego stopnia rację. Kocha morze i to się nie zmieni, lecz bardziej kocha żonę. Nie chciał jej stracić - z żadnego powodu. Aż nadto dobrze pamiętał, jak wyglądało jego życie bez niej.

Chłód przeniknął go do szpiku kości. Podróż będzie z pewnością niebezpieczna, lecz Brandy jest najsilniejszą, najdzielniejszą kobietą, jaką zna, a jeśli się postara, znajdzie sposób, by ją ochronić.

Uświadomił sobie nagle, iż pozostawienie jej, ze-

rwaniu tej więzi, która zaczęła się między nimi tworzyć, może zniszczyć ich oboje.

Odwrócił się i wbiegł z bijącym mocno sercem po stopniach. Wszedł do domu i pomaszerował korytarzem ku eleganckiemu apartamentowi, który dzielił z Brianne. Otworzył drzwi i wszedł. Siedziała na krześle przed oknem, wpatrując się w wodę. Choć nic nie słyszał, drżenie jej ramion uświadomiło mu, że płacze. Odwróciła się, gdy wszedł, zerwała z krzesła i otarła pospiesznie łzy z policzków. Marcus zatrzymał się gwałtownie.

- Marcusie..? - Policzki miała nadal wilgotne, złote oczy smutne i pełne żalu. Przeszył go dreszcz wzruszenia, sprawiając, że zacisnął mocniej dłonie na rączce laski.

-Brianne... kochanie. Przepraszam.

- O co chodzi, Marcusie? Co się stało? Zapomniałeś czegoś?

Gardło miał zaciśnięte. Chciał przytulić żonę, przegonić mrok z jej oczu. Boże, jak mógł być aż tak głupi? Przełknął z trudem i uśmiechnął się czule.

- Nie, najdroższa. Przypomniałem sobie o czymś. Przypomniałem sobie, że jesteś dla mnie ważniejsza niż jakikolwiek kontrakt, wyścig czy żądza zemsty. A także to, jak się czułem, kiedy myślałem, że cię straciłem, jaki byłem zrozpaczony, sądząc, że wyjdiesz wkrótce za innego. Nagle uświadomiłem sobie, jaki ze mnie głupiec.

Brianne nie odezwała się, zacisnęła jedynie dłonie na poręczy krzesła. Spojrzała złotymi oczami na męża.

- Ja... nie rozumiem.

- Złożyłem ci obietnicę, nim za mnie wyszłaś. Poprosiłem, abyś mi zaufała. Jeśli wyjadę bez cie-

bie, złamię to przyrzeczenie i zawiodę twoje zaufanie.

Wargi jej drżały.

- Chcesz powiedzieć, że zabierasz mnie ze sobą?

- Teraz i zawsze, ilekroć zechcesz mi towarzyszyć. Nie zostawię cię znowu, Brianne. Obiecałem ci to i mówiłem serio. Mam nadzieję, że wybaczysz mi, iż zapomniałem na chwilę, co jest naprawdę ważne.

- Marcusie... - Postąpiła krok w jego stronę i Marcus chwycił ją w ramiona.

- Boże, Brianne. - Przywarła do niego i pomyślał, że czuje się z tym niewiarygodnie, cudownie dobrze. Pocałował ją namiętnie i Brandy odwzajemniła pocałunek. - Pakuj się - powiedział cicho. - Wyruszasz zobaczyć Barbados. No i musimy wygrać wyścig.

Roześmiała się uszczęśliwiona, a Marcus pomyślał, że trudno o piękniejszy dźwięk. Był już pewny, że podjął słuszną decyzję.

- Wygramy, Marcusie. - Odrzuciła w tył chmurę miedzianych włosów. - Palmer Reese nie ma z nami szans.

Marcus się uśmiechnął. On też nie miał z Brandy szans. Podbiła jego serce dawno temu, kiedy w tawernie Pod Białym Koniem zmieniła się z dziewczęciami w kobietę.

## Rozdział 26

W dokach Londynu praca szła pełną parą. Na ulicy przed nabrzeżem roiło się od furmanek, powozów i koni. Zewsząd dobiegało podzwanianie uprząży i krzyki pracujących. Pijani marynarze, prostytutki oraz dokerzy wpadali na siebie, przedzierając się przez tłum, zaludniający wybrukowaną kocimi łbami ulicę. Hamish Bass, wsparty na relingu, obserwował z nieobecną miną ich wysiłki. Jak szczury w labiryncie, pomyślał, potrząsając siwą głową. Nie mógł się już doczekać, kiedy wróci wreszcie na morze. Tym chętniej więc nadzorował prace przy załadunku. „Morski Jastrząb” stał w porcie od niemal tygodnia. Następnego dnia po tym, jak przyплыnęli, na pokładzie pojawił się kapitan, przynosząc wieści, że importerzy cukru postanowili oddać kontrakt firmie, której statek przyplynie najszybciej na Barbados. Hamish uśmiechnął się, zadowolony. Dobrze było mieć znów na pokładzie kapitana. Jeśli ktokolwiek miał szansę wygrać z „Pomyślnym wiatrem” - a nie będzie to zadanie łatwe - to tylko Marcus Delaine. Rozciągnął wargi w jeszcze szerszym uśmiechu. Przybycie kapitana go nie zaskoczyło, choć pojawienie się jego nowo poślubionej żony stanowiło

z pewnością niespodziankę. Brandy Winters Delaine, lady Hawksmoor, weszła na pokład z wyrazem podekscytowania na twarzy oraz uśmiechem dla każdego z członków załogi. Natychmiast ruszyła też do kuchni pomóc Cyrusowi w przygotowaniu posiłku dla grupki marynarzy, która nie zeszła jeszcze na ląd. Kapitan burknął co prawda, że nie wypada, by dama pomagała w kuchni, ale dziewczyna tylko się uśmiechnęła. Pocałowała męża w obecności jego marynarzy i powiedziała, że zwariuje, jeśli zostawi ją znów w kabinie, gdzie poza czytaniem nie będzie miała nic do roboty.

Kapitanowi nie pozostało nic innego, jak się poddać. Był teraz innym człowiekiem, znacznie szczęśliwszym niż wtedy, gdy Hamish widział go po raz ostatni. Stary żeglarz roześmiał się cicho, uznając w duchu, iż kapitan postąpił słusznie, poślubiając dziewczynę i zabierając ją na statek.

Odwrócił się na odgłos kroków i zobaczył zmierzającego ku niemu Briga Butlera.

- Widział pan kapitana, panie Bass? - Brig wrócił przed kilkoma miesiącami do Anglii i pracował przez jakiś czas u ojca, próbując swych sił jako kupiec. Lecz kiedy usłyszał o rejsie, natychmiast stawił się na statku.

- Mamy problem, *sir*. Musimy natychmiast odszukać kapitana. - Butler, wysoki, jasnowłosy i przystojny, przemierzał pokład, jakby był właścicielem statku, nie zaś niskiej rangi marynarzem. Co dziwne, Hamish nie miał mu tego za złe. Chłopak był zdolny i miał tego świadomość. Młodzieniec zmienił się w mężczyznę.

- Szukacie mnie? - Marcus wyszedł ze sterówki, mając u boku Brandy. - O co chodzi, panie Butler?

Zamieszanie na pokładzie uniemożliwiło marynarzowi odpowiedź.

- Zatrzymajcie go! Nie pozwólcie mu uciec!

Trzej marynarze wyłonili się z luku, ścigając wysokiego, umięśnionego żeglarza, który parł przed siebie, jakby diabeł następował mu na pięty.

Kiedy mijał Marcusa, ten wysunął nogę i ciężki mężczyzna runął jak długi u jego stóp. Brig Butler przycisnął go natychmiast do pokładu, obejmując ramieniem za szyję.

- Postawcie go - rozkazał Marcus i Brig poderwał uciekiniera, wykręcając mu przy tym ramię i nie puszczając szyi.

- Powiedz mu, Deeks - rozkazał. - Powiedz kapitanowi, co robiłeś w ładowni.

Deeks potrząsał jak szalony głową.

- Nic! Nie robiłem nic poza tym, do czego zostałem zatrudniony!

- Majstrował dłutem przy mechanizmie napędowym, kapitanie - wyjaśnił jeden z marynarzy. - Starał się osłabić drewno tak, by się w końcu złamało.

Marcus przygwoździł winowajcę stalowym spojrzeniem, a potem wziął do rąk dłuto i jał mu się przyglądać, obracając w dłoniach.

- Zdziwiający, czego może dokonać takie małe narzędzie, prawda? Jeśli osłabi się mechanizm napędowy, statek utraci sterowność. Gdyby stało się to podczas sztormu, „Morski Jastrząb” mógłby wyrócić się do góry dnem. Próbowalesz nas zatopić, Deeks, czy jedynie spowolnić?

- Nie wiem, o czym pan mówi..

Brig wzmoenił nacisk na wykręcone ramię.

- Co z twoją pamięcią, Deeks?

- Nie zamierzałem was zatopić - wydyszał marynarz. - Jedynie spowolnić, żebyście nie zdołali dopłynąć pierwsi na Barbados.

Oddychał ciężko, próbując uwolnić się z żelaznego uścisku Briga lub choćby go poluzować.

- O ile pamiętam, pracowałeś na „Jastrzębiu” już wcześniej - stwierdził Marcus, uderzając dłutem o dłoń.

-1, jak się domyślam, robiłeś nie tylko to, do czego cię zatrudniono. To ty spowodowałeś niektóre z tych wypadków, prawda?

Deeks rozglądał się przez chwilę rozpaczliwie, szukając drogi ucieczki. Brig wzmacnił nacisk na wykręcone ramię marynarza.

- Prawda?

Deeks skinął z wolna głową.

- Kto cię wynajął?

Kiedy Deeks nie odpowiedział, Brig zacisnął mocniej ramię na jego gardle.

- Palmer Reese - wykrztusił pośpiesznie mężczyzna. - Przyszedł kiedyś do warsztatu i zaoferował więcej pieniędzy, niż mógłbym zarobić przez rok. Wiedział, że pracuję dla pana. Chciał, żebym osłabił ster.

- Mów dalej - rozkazał Marcus.

- Wczoraj wieczorem przyszedł znowu. Wiedział, że pracuję na „Jastrzębiu”. Powiedział mi o wyścigu i zapytał, czy znam sposób, aby spowolnić statek. Chciał mieć pewność, że wygra. To wszystko, przysięgam. Chodziło tylko o to, by was spowolnić.

- Przyniesź linę, Hamishu. Trzeba związać tego typu. Pan Deeks i ja udamy się z wizytą do mojego starego przyjaciela Palmera Reese.

Brianne chwyciła męża za ramię.



- Nie sądzisz, że powinniśmy zostawić to władzom? Dlaczego nie pošlesz po strażnika?

Marcus zacisnął tylko szczękę.

- Wszystko w swoim czasie, kochanie. Najpierw chcę porozmawiać z Reese'em.

- Ale czy nie byłoby lepiej... -Nie.

Brianne zadarła brodę.

- Doskonale. Skoro nie chcesz słuchać głosu rozsądku, idę z tobą.

- Nigdzie nie pójdziesz. Zostaniesz tutaj. -Ale...

- Zrób choć raz to, o co proszę, Brianne.

Oblała się rumieńcem i zacisnęła wargi, zamilkła jednak, a potem odwróciła się i po prostu odeszła.

Marcus popatrzył w ślad za żoną, skrywając rozbawienie.

- Dopilnuj wszystkiego, Hamishu, gdy mnie nie będzie. Panie Butler, proszę dać mi pół godziny, a potem udać się do sędziego. Niech przyślą kogoś do kantoru Reese'a na nabrzeżu. - Chwycił więźnia za związane ramiona. - Co zaś się tyczy ciebie, Deeks, obawiam się, że będziesz musiał pójść ze mną.

\*\*\*

Brandy miała w dłoniach materiał spódnicy, wyglądając ze zmartwioną miną przez okno dorożki, którą wynajęła na nabrzeżu, gdzie cumował „Morski Jastrząb”. Do celu nie było daleko, a gdy tylko pojazd się zatrzymał, wyskoczyła, wręczyła woźnicy kilka szylingów, przecięła brukowaną kocimi łbami uliczkę i stanęła przed wejściem do biur Przedsiębiorstwa Żeglugowego Reese.

440

Dostanie się tam poszło łatwiej, niż się spodziewała. Hamish był zajęty wydawaniem rozkazów, a Brig pracował pod pokładem. Wyminęła po prostu mężczyzn, zbiegła po trapie i zatrzymała przejeżdżającą dorożkę.

Marcus wyprzedzał ją zaledwie o kilka minut, mimo to coraz bardziej się martwiła. Powinna była go przekonać, aby zgłosił to władzom. Wolała sobie nie wyobrażać, co zrobi Palmer Reese, gdy Marcus skonfrontuje go z krzepkim Deeksem. Albo, jeśli już o tym mowa, co zrobi Deeks.

Wyprostowała się, zebrała w sobie i pchnęła ciężkie drewniane drzwi. Wiedziała, gdzie znajdują się biura Reese'a. Mijali bowiem trzykondygnacyjny budynek z cegły za każdym razem, kiedy schodzili z pokładu „Jastrzębia” lub na niego wracali. W środku panował chłód. W kącie stało biurko, ale nie było przy nim urzędnika. Przez grube dębowe belki sufitu dobiegały głosy mężczyzn. Rozróżniła głęboki baryton Marcusa i bardziej gładki, delikatny Palmera. Deeks skarżył się płaczliwie, a Reese przemawiał donośnie, z groźbą w głosie.

Serce waliło jej w piersi jak oszalałe. Od miesięcy odgrywała potulną żonę posłuszną życzeniom męża. Tym razem obawa o jego bezpieczeństwo okazała się silniejsza. Jeśli nie przyda się na nic innego, może przynajmniej sprowadzić pomoc, gdyby okazało się to konieczne.

Wspięła się cichutko po schodach, mając nadzieję, że nie zatrzeszczą i jej nie zdradzą, a potem ruszyła, skradając się, korytarzem. Coś uderzyło mocno o ścianę i serce Brandy zamarło. Przycisnęła plecy do otynkowanej na biało ściany i zaczęła iść powoli dalej, wysilając słuch i żałując, że nie przyprowadziła z sobą strażnika.

Teraz było już na to za późno. Podeszła do drzwi, przekręciła delikatnie gałkę i je uchyliła. Przez powstałą szczelinę dojrzała Marcusa. Stał obok Deeksa, poczerwieniałego z wściekłości i gniewu. Nieco dalej stał Palmer, sztywny, z dziwnym światłem w oczach, wpatrując się nieruchomym wzrokiem w Marcusa. Zamiast - jak należało się spodziewać - lęku, na jego twarzy malowało się rozbawienie.

- Zatem... pomijając to, co powiedział Deeks...

- mówił - ..domyślam się, że odkryłeś w końcu, iż łączy nas skrywane pokrewieństwo.

- Jeśli tak chcesz to nazwać. Co do mnie, wolałbym je zignorować.

Palmer wzruszył ramionami.

- Tak właśnie postąpił twój brat, Geoffrey

- stwierdził nonszalancko. Marcus otworzył szerzej oczy.

- Geoffrey wiedział, że jesteś bękartem ojca? Reese zeszywniał, słysząc, jak go nazwano.

- Odkrył to tuż przed śmiercią. W dniu wypadku. Marcus pobladł gwałtownie.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że miałeś z tym coś wspólnego?

Palmer wzruszył lekko ramionami.

- To ja powinienem być zostać dziedzicem. Jeśli Geoffrey musiał umrzeć, była to wina starego lorda.

- Boże święty... zaaranżowałeś wypadek na moście! Zapłaciłeś komuś, żeby go osłabił, tak jak zapłaciłeś Deeksowi, żeby dokonał sabotażu na statku!

- I dobrze się spisałem. Muszę przyznać, iż odkryłem, że mam do tego dryg. To nie takie proste, jak się wydaje.

Marcus ruszył ku niemu, zaciskając drżące dłonie w pięści.

- Zamordowałeś mojego brata. O mało nie zabiłeś mnie. Teraz, na Boga, ja zabiję ciebie!

W pokoju zapanował chaos. Marcus rzucił się ku Reese'owi, a Deeks ku drzwiom. Gdy tylko marynarz znalazł się pomiędzy dwoma mężczyznami, Palmer wyszarpnął z kieszeni pistolet i wycelował w pierś przyrodniego brata. Brandy krzyknęła, gdy Marcus runął całym ciężarem na Palmera, wytrącając mu broń z ręki. Pistolet wylądował na podłodze, a potem potoczył się, wirując, po dywanie, aby uderzyć o drzwi kilka zaledwie cali od miejsca, gdzie stała Brandy.

Sięgnęła przez szparę, chwyciła drżącą dłonią ciężką broń i wycelowała w biegnącego ku drzwiom marynarza.

- Lepiej niech pan zawróci, panie Deeks. Mam wrażenie, iż mąż jeszcze z panem nie skończył.

Deeks cofnął się, a Brandy weszła do pokoju, po raz pierwszy zadowolona z tego, że wychowała się w tawernie Pod Białym Koniem.

Po drugiej stronie pomieszczenia Marcus okładał Palmera. Nos Reese'a krwawił. Gors białej koszuli pokrywały czerwone plamy. Wilgotne od potu włosy opadły mu na czoło. Marcus zdzielił go raz jeszcze. Palmer uderzył głową o podłogę, wywrócił oczami i stracił przytomność.

Marcus zamierzył się do kolejnego ciosu.

- Nie rób tego, Marcusie. Nie warto. Poza tym, czy nie wolałbyś, aby go powieszono?

Marcus drżał cały z powstrzymanej furii. Oddychał ciężko i szybko.

- Przeklęty sukinsyn zabił mojego brata.

- Wiem.

Marcus z wolna przytomniał. Po chwili sprawiał już wrażenie, że wie, gdzie się znajduje i co dzieje

się dookoła. Mgła wściekłości opadła. Rozejrzał się i zobaczył Brandy, stojącą z wycelowanym w Deeksa pistoletem.

Westchnął ciężko, odsunął się od Reese'a i wstał. Pochylił się, chwycił laskę i już miał ruszyć ku żonie, gdy Brandy dostrzegła błysk stali w dłoni Reese'a.

- Marcus! - Obróciła się, wycelowała i pociągnęła błyskawicznie za spust. Od huku omal nie popękały jej bębunki, a impet wystrzału wyrwał z ręki broń. Przez chwilę wyglądało to tak, jakby czas się zatrzymał. Deeks i Marcus zamarli, zszokowani, wpatrując się w powiększającą się plamę krwi na kamizelce Reese'a.

Palmer uniósł się na łokciu, spojrzął z niedowierzaniem na tryskającą krew, a potem runął na dywan. Powieki mu opadły i wyzionął ducha.

- On... on miał pistolet, Marcusie. Spójrz, trzyma go w dłoni. - Marcus oderwał z trudem wzrok od Brandy i przykląkł przy zwłokach. Wyjął mały, kieszonkowy pistolet spomiędzy pobladłych, bezwładnych palców trupa.

- Palmer zawsze potrafił nas zadziwić. - Spojrzął na Deeksa, zerkającego tęsknie ku drzwiom.

- Nie robiłbym tego na twoim miejscu, Deeks. Brig Butler zaraz tu będzie, a wraz z nim władze. Nim zdążysz zbiec ze schodów, na ulicy zaroi się od strażników.

Zrezygnowany Deeks opuścił ramiona. Zwiesił głowę i opadł na pobliskie krzesło. Marcus przeszedł przez pokój i objął Brandy.

- Już po wszystkim, kochanie. Po wszystkim. Drżała, przytulając się do niego. W oczach miała łzy.

- On by cię zabił, Marcusie. Marcus pocałował ją w czubek głowy.

- Myślę, że o to mu przez cały czas chodziło. A gdyby mu się udało, Rex byłby zapewne następny.  
Z ust Brandy dobyło się drżące westchnienie.

- Nie zabiłam dotąd nikogo. Marcus przytulił ją mocniej.

- Ocaliłaś mi życie, Brianne. Martwiłem się, że narażam cię na niebezpieczeństwo, zabierając w rejs, tymczasem, gdyby nie ty, to ja mógłbym być dziś martwy.

Brandy objęła go za szyję, a on przycisnął ją do siebie. Drzwi do budynku otwarły się i na schodach zadudniły ciężkie kroki.

- To pewnie Brig. Przeprowadził wsparcie.

- Bogu dzięki - westchnęła z ulgą.

Po kilku sekundach w pokoju zaroilo się od ludzi. Strażnicy pochylili się nad zwłokami, a Marcus sprowadził Brandy na dół.

- Będą domagali się od nas oświadczenia. Pomyślałem, że wolałabyś złożyć je na dole.

Brandy skinęła głową, wdzięczna za to, że znajduje się z dala od sceny brutalnej przemocy. Wsparta na ramieniu Marcusa, uniosła ku niemu głowę i powiedziała:

- Sądzę, że po tym, co się wydarzyło, importerzy przedłużą ci kontrakt.

Marcus skinął głową.

- Tak, zapewne.

- To zaś oznacza, że wyścig zostanie odwołany, a „Morski Jastrząb” nie będzie musiał pokonać „Pomyślnego Wiatru”.

Marcus uśmiechnął się, lecz widać było, że czuje się cokolwiek rozczarowany.

- Teraz nie będzie to już potrzebne. Gdy wyjdzie na jaw, co zrobił Palmer, jego firma zbankrutuje.

- Nie mogę powiedzieć, że jest mi z tego powodu przykro, pomyślałam jednak... to znaczy, zastanawiałam się... czy nie moglibyśmy popłynąć mimo wszystko na Barbados?

W kącikach oczu Marcusa pojawiły się zmarszczki, a z piersi dobył rubaszny śmiech.

- Ach, lady Hawksmoor, jesteś nieoceniona! - Uśmiechnął się. - Skoro chcesz zobaczyć Barbados, jak mógłbym ci odmówić?

Brandy także się roześmiała.

- Kocham cię, Marcusie.

- Ja także cię kocham, Brianne. Kocham cię bardziej niż morze, i będę kochał, póki morze istnieje, a nawet dłużej.

Brandy wspięła się na palce i go pocałowała. Teraz nie było już miejsca na wątpliwości, na lęk. Marcus ją kocha i nigdy nie opuści. Odnaleźli dom w sobie nawzajem i gdziekolwiek się znajdą, jeśli tylko będą razem, ich serca pozostaną spokojne.

*Od autorki*

Niektórym spośród Czytelników intryga książki może wydać się znajoma. Nic w tym dziwnego, zważywszy, że zaczerpnęłam pomysł z popularnej w latach siedemdziesiątych piosenki o dziewczynie z tawerny i żeglarzu, którego kochała i nie mogła mieć, ponieważ jego żywiołem było morze.

Piosenka nosiła tytuł *Brandy* i uważałam ją za jedną z najbardziej romantycznych, jakie znam. Jednakże, jak przystało na autorkę romansów, wołałam nadać tej historii szczęśliwe zakończenie. Co by się stało, pomyślałam, gdyby mężczyzna uświadomił sobie, że miłość do kobiety może być dla niego ważniejsza niż umiłowanie morza?

I tak oto, na przestrzeni lat, zrodziła się opowieść o Brandy Winters i Marcusie Delaine. Mam nadzieję, że Wam się spodobała i że odtąd, ilekroć usłyszycie tamtą piosenkę, przypomnicie sobie, że opowieść o dwojgu kochankach ma jednak szczęśliwe zakończenie.

Wszystkiego najlepszego i przyjemnego czytania.

*Kat*